

JEFF LINDSAY



DEXTER

DYLEMATY DEXTERA

 SAGA
EGMONT

Jeff Lindsay

Dylematy Dextera

Tłumaczenie Tomasz Wilusz

Saga

Dylematy Dextera

Tłumaczenie Tomasz Wilusz

Tytuł oryginału *Dexter in the Dark*

Język oryginału angielski

DEXTER SERIES #3: DEXTER IN THE DARK: Copyright ©
2007 by Jeff Lindsay

Copyright © 2007, 2022 Jeff Lindsay i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728516102

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Dylematy Dextera](#)

[Początek](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

Epilog

Podziękowania

o książce Dylematy Dextera

Dla Hilary, jak zawsze

Początek

To pamiętało uczucie zaskoczenia i spadanie, nic więcej. Potem tylko czekało.

Czekało bardzo długo, ale bez obawy, bo nie istniała pamięć i nic jeszcze nie krzyknęło. Dlatego TO nie wiedziało, że czeka. Nie wiedziało nawet, że czymś jest. Po prostu było i nie miało jak odmierzać czasu, nie znało pojęcia czasu.

Czekało więc i obserwowało: ogień, skały, wodę i wreszcie trochę pełzającego drobiazgu, który z czasem zaczął się przeobrażać i powiększać. Stworzenia zajmowały się wyłącznie pożeraniem siebie nawzajem i rozmnażaniem. Ale że nie było tego z czym porównać, to na pewien czas wystarczyło.

TO patrzyło, jak duże i małe stworzenia zabijają się i zjadają. Nie czerpało z tego prawdziwej przyjemności, lecz nie miało innego zajęcia, a stworzeń przybywało. TO jednak mogło tylko patrzeć, nic więcej. I wtedy zaczęło się zastanawiać: Dlaczego na to patrzę?

Nie widziało żadnego sensu w tym, co się działo, i nie mogło nic zrobić, a mimo wszystko patrzyło. Bardzo długo o tym myślało, ale nie doszło do żadnych wniosków; samo pojęcie celu pozostawało czymś nie do końca uchwytnym. Byli tylko TO i one.

A ich pojawiało się coraz więcej i więcej, niestrudzenie zabijały, pożerały i kopulowały. TO, tylko jedno, nie robiło nic z tych rzeczy. Pytało siebie, dlaczego tak jest. Dlaczego tak bardzo różni się od całej reszty? Czym było i, jeśli rzeczywiście czymś było, czy też miało coś robić?

Minęło więcej czasu. Stworzenia stale się zmieniały; rosły i robiły się coraz sprawniejsze w zabijaniu siebie nawzajem. Interesujące, przynajmniej na początku, ale tylko za sprawą owych subtelnych różnic. Pełzały, skakały i wiły się po to, żeby zabijać – jedno nawet atakowało z powietrza. Bardzo ciekawe, ale co z tego?

TO poczuło się nieswojo. Czy miało uczestniczyć w tym, co widziało? A jeśli nie, dlaczego tu było i obserwowało?

Postanowiło odnaleźć powód, dla którego się tutaj znalazło, cokolwiek „tutaj” znaczyło. Dlatego, przyglądając się stworzeniom, zwracało uwagę na odmienność, czym różni się od nich. Wszystkie inne istoty musiały jeść i pić, bo inaczej umierały. A nawet jeśli jadły i piły, ostatecznie i tak umierały. TO nie umierało. Po prostu trwało. Nie musiało jeść ani pić. Stopniowo jednak uświadamiało sobie, że potrzebuje... No właśnie, czego? Nie potrafiło tego określić, wiedziało tylko, że brak tego czegoś jest coraz bardziej dotkliwy.

Wielowiekowy korowód łusek i łęgów nie przyniósł odpowiedzi. Zabijać i jeść, zabijać i jeść. Jaki to ma sens? Po co oglądać coś takiego, skoro nie można przeciwdziałać? Analizując sytuację, TO stawało się coraz bardziej zniechęcone.

Aż pewnego dnia zrodziła się zupełnie nowa myśl: Skąd pochodzę?

TO dawno odkryło, że jajka, z których wykluwają się inne stworzenia, powstają w wyniku kopulacji. TO jednak nie wyszło z jajka. Nie kopulacja dała początek jego jestestwu. Kiedy obudziło się do życia, nie istniało jeszcze nic, co mogłoby kopulować. TO było najpierw i jako byt, zda się, od zawsze, pomijając owo mgliste, niepokojące wspomnienie spadania. Ale wszystko inne albo się wykluło, albo urodziło. TO nie. I z tą myślą mur między nim a tamtymi gwałtownie urósł, wystrzelił na nieosiągalną wysokość, oddzielił TO od nich na wieczność. TO pozostało samo, zupełnie samo po wsze czasy. Cierpiało z tego powodu, bo chciało stanowić część czegoś. Było tylko jedno TO – czy nie powinien znaleźć się jakiś sposób, żeby też mogło kopulować i zrobić więcej podobnych sobie?

I nic nie stało się ważniejsze niż ta myśl: Więcej takich jak TO. Wszystko inne mogło się rozmnażać. TO też chciało.

Cierpiało, obserwując burzliwe, nieokiełznane życie tych bezrozumnych istot. Rozdrażnienie narastało, przeszło w gniew, gniew przerodził się we wściekłość na te głupie, zbędne stworzenia i ich niekończącą się, pustą, nikczemną egzystencję. A wściekłość przybierała na sile, zaogniała się, aż pewnego dnia TO nie zdołało nad nią zapanować. Bez namysłu rzuciło się na jedną z jaszczurek, pragnąc ją zmiążdżyć. I stał się cud.

TO znalazło się wewnątrz jaszczurki.

Widziało wszystko, co widziała jaszczurka, czuło to, co czuła ona.

I na długą chwilę zupełnie zapomniało o wściekłości.

Jaszczurka chyba nie zauważyła, że ma pasażera. Dalej robiła swoje, zabijała i kopulowała, a TO razem z nią. Było bardzo ciekawie, kiedy zabiła jedną z mniejszych istot. TO na próbę przeniosło się do jednego z małych stworzeń. Dużo lepszą zabawę miało, będąc w tym, które zabijało, ale to jeszcze nie wystarczyło, by nasunąć jakiegokolwiek naprawdę sensowne pomysły. Być w tym, które umierało - było niezwykle interesujące i, owszem, nasunęło pewne pomysły, ale żadnych szczególnie budujących.

Te nowe doświadczenia przez jakiś czas dawały przyjemność. Choć jednak TO mogło odczuwać proste doznania tych istot, one były co najwyżej zagubione. Nadal nie zauważały TEGO, nie miały najmniejszego pojęcia - cóż, nie miały pojęcia o czymkolwiek. Tak bardzo ograniczone, a mimo to żyły. Miały życie i nie zdawały sobie z tego sprawy, nie wiedziały, co z nim zrobić. Gdzie tu sprawiedliwość? Wkrótce TO znów się znudziło i popadało w coraz większą złość.

Aż pewnego dnia pojawiły się małpiate. Początkowo wydawało się, że nic z nich nie będzie. Były małe, tchórzliwe i głośne. Ale uwagę TEGO zwróciła jedna drobna różnica: miały ręce, które pozwalały im robić niesamowite rzeczy. TO obserwowało, jak stają się świadome swoich rąk i zaczynają ich używać do najprzeróżniejszych, zupełnie nowych czynności: masturbacji, okaleczania siebie nawzajem i odbierania żywności mniejszym pobratymcom.

TO, zafascynowane, poświęcało im coraz więcej uwagi. Patrzyło, jak jedno uderza drugie, a potem ucieka i się chowa. Patrzyło, jak jedno kradnie drugiemu, ale tylko wtedy, gdy nikt nie widzi. Patrzyło, jak robią sobie nawzajem potworne rzeczy, a później udają, że nic się nie stało. I kiedy tak patrzyło, po raz pierwszy stało się coś cudownego: TO wybuchnęło śmiechem.

A gdy się śmiało, błysnęła pewna myśl, która od razu przerodziła się w radosną pewność.

TO pomyślało: coś się z tego da zrobić.

Jaki to księżyc? Nie jasny, promienisty, szczęściem na wskroś przesywający, o nie. Och, przyciąga, skamle i świeci w tandetnej, dogasającej imitacji tego, co czynić powinien, ale brak mu wigoru. Ten księżyc nie ma w sobie wiatru, który poniósłby drapieźców po pogodnym nocnym niebie w ekstazę cięcia i krojenia. Zamiast tego nieśmiało sączy migotliwą poświatę przez wypucowane okno do wnętrza, gdzie roześmiana kobieta siedzi na skraju kanapy i z ożywieniem rozprawia o kwiatkach, tartinkach i Paryżu.

Paryżu?

Tak, z poważną twarzą jak księżyc w pełni mówi tonem ociekającym słodyczą tak, właśnie tak, o Paryżu. Znowu.

Jakiż to więc właściwie może być księżyc, z tym wręcz zachwyconym uśmiechem i brzegiem obszytym koronką drwiny? Dobija się słabo do okna, ale jakoś nie bardzo może przedrzeć się przez cały ten mdlący szczebiot. I jakiż to Mroczny Mściciel może ot tak siedzieć sobie w drugim końcu pokoju, tak jak biedny Skołowany Dexter w tej chwili, i udawać, że słucha, podczas gdy naprawdę leniwie buja w obłokach?

Ależ to nie księżyc, lecz miesiąc, wcale nie byle jaki, bo miodowy – rozwija sztandar małżeństwa w spowitym mrokiem nocy salonie sygnalizując, że pora zewrzeć szyki, przypuścić szarżę raz jeszcze na kościół, druhowie moi – albowiem Dexter o Demonicznych Dołęczkach bierze ślub. Zaprzęga się do wozu szczęśliwości ciągniętego przez uroczą Ritę, która, jak się okazuje, zawsze marzyła, by zobaczyć Paryż.

Ślub, miesiąc miodowy w Paryżu... Czy dla tych słów w ogóle jest miejsce w zdaniu, zawierającym jakąkolwiek wzmiankę o Widmowym Oprawiaczu?

Czy naprawdę możemy sobie wyobrazić nagle spoważniałego, onieśmiałego kata w kościele przy ołtarzu, wyfraczonego à la Fred Astaire, jak przyjmuje obrączkę na oczach wzruszonych uroczystą ceremonią gości? A potem Demona Dextera w szortach z madrasu,

gapiącego się na wieżę Eiffla i siorbiącego café au lait przy Łuku Triumfalnym? Wleczonego za rękę brzegiem Sekwany, patrzącego niewidzącym wzrokiem na jarmarczne błyskotki w Luwrze?

Oczywiście, zawsze mógłbym odbyć pielgrzymkę na Rue Morgue, miejsce święte dla każdego seryjnego rozpruwacza.

Ale bądźmy przez chwilę poważni: Dexter w Paryżu? Pierwsza sprawa, czy Amerykanów w ogóle wpuszczają jeszcze do Francji? I rzecz najważniejsza, Dexter w Paryżu? Spędza tam miesiąc miodowy? Czy ktoś taki jak Dexter, oddany nocy, może nawet brać pod uwagę coś tak zwyczajnego? Czy ktoś, dla kogo seks jest równie interesujący jak księgowanie deficytu, może wstąpić w związek małżeński? Krótko mówiąc, czy - w imię wszystkiego, co bezbożne, mroczne i mordercze - Dexter może naprawdę chcieć to zrobić?

Świetne, ze wszech miar uzasadnione pytania. I, prawdę mówiąc, nawet mnie samemu dość trudno na nie odpowiedzieć. Ale oto jestem, wysłuchuję oczekiwań Rity, sączących się do uszu kropla po kropli jak w chińskiej torturze wody, i zastanawiam się, jak Dexter temu podoła.

No cóż. Podoła temu, bo musi, między innymi dlatego, żeby utrzymać, a nawet uaktualnić nieodzowny kamuflaż, skrywający przed światem jego prawdziwe oblicze, którego raczej nie chciałoby się zobaczyć po drugiej stronie stołu chwilę przed zgaśnięciem świateł, zwłaszcza gdyby w zasięgu ręki były sztucce. I naturalnie, trzeba dołożyć wielu starań, by nie wyszło na jaw, że Dexterem kieruje Mroczny Pasażer z ocienionego tylnego siedzenia, który od czasu do czasu przesiada się na przód, żeby przejąć stery i zawieźć nas do Parku Rozrywki, O Jakim Nikomu Się Nie Śniło. Nie można dopuścić, by owce zobaczyły, że Dexter jest wśród nich wilkiem.

Tak więc pracujemy, Pasażer i ja, bardzo ciężko pracujemy nad naszym przebraniem. Przez ostatnich kilka lat mieliśmy Dextera z Dziewczyną, należało bowiem pokazywać światu radosne i, co najważniejsze, normalne oblicze. Rola Dziewczyny w tym uroczym spektaklu przypadła Ricie i pod wieloma względami tworzyliśmy układ idealny, jako że była tak niezainteresowana seksem, jak ja nadal jestem, a mimo to pragnęła towarzystwa Wyrozumiałego Dzentelmena. A Dexter naprawdę rozumie. Nie ludzi, romantyzm, miłość i inne takie bzdety. Nie. Dexter rozumie co innego: złowieszczą uśmiechnięte

sedno, to, jak wybrać spośród - och, jakże licznych w Miami kandydatów - tych, którzy najbardziej zasłużyli na przejście do ostatniego, mrocznego etapu selekcji do skromnego Panteonu Dextera.

Nie daje to absolutnej gwarancji, że Dexter jest czarującym kompanem; czar wymagał wielu lat ćwiczeń i jest produktem wydestylowanym z wielką wprawą w laboratorium. Ale niestety dla nieszczęsnej Rity - poharatanej po strasznie nieszczęśliwym i pełnym przemocy pierwszym małżeństwie - zdaje się, że nie potrafi dziewczyna odróżnić margaryny od masła.

No i cacy. Dexter i Rita przez dwa lata brylowali na salonach Miami, wszędzie zauważani i podziwiani. Później jednak, wskutek serii wydarzeń, które światły obserwator mógłby przyjąć z pewnym sceptycyzmem, Dexter i Rita zaręczyli się przypadkiem. Im bardziej głowiłem się, jak wybrnąć z tej absurdalnej opresji, tym większego nabierałem przekonania, że to logiczny następny krok mojej przykrywki. Żonaty Dexter - Dexter z dwójką dzieci w pakiecie. Gigantyczny skok naprzód, przejście na zupełnie nowy poziom kamuflażu.

No i ta dwójka dzieci.

Może wydawać się dziwne, że ktoś, kogo jedyną pasją jest wiwisekcja na ludzkim organizmie, lubi towarzystwo dzieci Rity, ale tak jest. Naprawdę. Zaznaczam, że nie rozczulam się na myśl o wypadnięciu mleczaka, bo to wymagałoby posiadania uczuć, a ja szczęśliwie obywam się bez takowej mutacji. Ogólnie jednak uważam, że dzieci są o wiele ciekawsze od dorosłych, i szczególną niechęć budzą we mnie ci, którzy je krzywdzą. Więcej: od czasu do czasu nawet ich wyszukuję. A kiedy już wytropię takiego drapieżnika i nabiorę pewności, że rzeczywiście zrobił to, co zrobił, dopilnowuję, żeby nie mógł powtórzyć tego nigdy więcej - lekką ręką, niewstrzymywaną przez sumienie.

Dlatego fakt, że Rita miała dwójkę dzieci z koszmarnego pierwszego małżeństwa, bynajmniej nie był odstręczający, zwłaszcza że okazało się, iż oboje potrzebują specjalnych technik wychowawczych Dextera, by przypiąć pasami ich własnych raczkujących Mrocznych Pasażerów do wygodnego, bezpiecznego Mrocznego Fotelika, dopóki sami nie nauczą się prowadzić. Prawdopodobnie w wyniku urazów

psychicznych, a nawet fizycznych, których przyczyną był otumaniony narkotykami ojciec, Cody i Astor, tak jak ja, przeszli na Ciemną Stronę. A teraz mieli stać się moimi dziećmi, zarówno prawnie, jak i duchowo. Jeszcze trochę, a uznam, iż życie naprawdę ma jakiś nadrzędny cel.

Było więc kilka doskonałych powodów, by Dexter temu podołał. Ale Paryż? Nie wiem, skąd się wzięło przekonanie, że Paryż jest romantyczny. Czy, pomijając Francuzów, ktokolwiek oprócz Lawrence'a Welka kiedykolwiek uważał, że akordeon jest sexy? I czy nie jest już od pewnego czasu aż nadto oczywiste, że nas tam nie chcą? A na dodatek jeszcze złośliwie mówią po francusku.

Może to jakiś stary film zrobił Ricie pranie mózgu, coś z wesołą, rezydentną blondynką i romantycznym brunetem, którzy z modernistyczną muzyką w tle ganiają wokół wieży Eiffla i śmieją się z urzekająco opryskliwego, palącego gauloise'y brudasa w berecie. A może kiedyś usłyszała płytę Jacques'a Brela i pomyślała sobie, o, to jest coś, co do mnie przemawia. Kto wie? W każdym razie przekonanie, że Paryż to stolica wyrafinowanego romantyzmu, na dobre utkwilo we wszystko chłonącym umyśle Rity i nie usunie się go stamtąd bez skomplikowanego zabiegu chirurgicznego.

I tak oto do niekończących się dyskusji o tym, co lepsze, kurczak czy ryba, wino czy drink-bar, doszły serie monomaniakalnych, nieskładnych monologów o Paryżu. Na pewno możemy się wyrwać na cały tydzień, dałoby nam to dość czasu, żeby obejrzeć Jardin des Tuileries i Luwr - a do tego może coś Moliera w Comédie-Française. Nie mogłem nie podziwiać tego, jak solidnie się przygotowała. Jeśli o mnie chodzi, moje zainteresowanie Paryżem wygasło do cna dawno temu, w momencie, kiedy dowiedziałem się, że leży we Francji.

Na szczęście dla nas, nie musiałem głowić się nad tym, jak jej to wszystko dyplomatycznie powiedzieć, bo w porę uratowało mnie dyskretne wejście Cody'ego i Astor. W odróżnieniu od większości siedmio- i dziesięciolatków, nie wpadają przez drzwi, waląc ze wszystkich łuf. Kochany biologiczny tatunio trochę dał im w kość i jeden ze skutków jest taki, że nigdy nie widać, jak wchodzi i wychodzi; wnikają do pomieszczeń przez osmozę. W jednej chwili ich nie ma, a zaraz potem już stoją w milczeniu obok ciebie i czekają, kiedy ich zauważysz.

- Chcemy się pobawić w chowanego - oświadczyła Astor. Była rzeczniczką tej pary; Cody nigdy nie uskładał więcej niż cztery słowa dziennie. Nie był głupi, wprost przeciwnie. Po prostu raczej wolał się nie odzywać. Teraz tylko spojrzał na mnie i skinął głową.

- Och - powiedziała Rita, przerywając swoje rozważania na temat kraju Rousseau, Kandyda i Jerry'ego Lewisa - skoro tak, to może byście...

- W chowanego z Dexterem - uściśliła Astor i Cody bardzo wyraziście pokiwał głową.

Rita zasępiła się.

- Pewnie trzeba było o tym porozmawiać wcześniej, ale nie sądzisz, że Cody i Astor... To znaczy, czy nie powinni zwracać się do ciebie jakoś bardziej, nie wiem... tak po prostu Dexter? To chyba trochę...

- Może mon papere? - spytałem. - Albo Monsieur le Comte?

- A może nie? - mruknęła Astor.

- Tak tylko myślę, że... - zaczęła Rita.

- Dexter może być - uznałem. - Przyzwyczajili się.

- Powinni okazywać więcej szacunku - stwierdziła.

Spojrzałem w dół na Astor.

- Pokaż mamie, że potrafisz powiedzieć „Dexter” z szacunkiem.

Przewróciła oczami.

- Prooooooszę cię.

Uśmiechnąłem się do Rity.

- Widzisz? Ma dziesięć lat. Nie potrafi niczego powiedzieć z szacunkiem.

- Niby tak, chociaż...

- Wszystko gra - zapewniłem ją. - Ale Paryż...

- Chodźmy na dwór - odezwał się Cody. Spojrzałem na niego z zaskoczeniem. Cztery pełne sylaby; jak na niego to praktycznie przemówienie.

- W porządku - stwierdziła Rita. - Jeśli naprawdę myślisz...

- Prawie nigdy nie myślę. To przeszkadza w procesie myślowym.

- Bez sensu - skomentowała Astor.

- Z sensem czy bez, taka jest prawda - ja na to.

Cody pokręcił głową.

- Chowanego - powiedział.

I zamiast przerywać jego słowotok, po prostu wyszedłem za nim na podwórko.

2

Oczywiście, choć przewspaniałe plany Rity nabierały coraz wyraźniejszych kształtów, nie znaczy to, że życie stało się rajem. Była jeszcze praca, taka prawdziwa. Czego jak czego, ale braku sumienności Dexterowi zarzucić nie można, toteż obowiązków nie zaniedbałem. Przez dwa tygodnie zajmowałem się nanoszeniem ostatnich pociągnięć pędzla na zupełnie nowe płótno. Natchnął mnie do tego pewien młody dżentelmen, który odziedziczył dużo pieniędzy i wydawał je na przerażające mordercze eskapady; kiedy słyszę o takich, aż żałuję, że nie jestem bogaty. Nazywał się Alexander Macauley, choć sam o sobie mówił „Zander”, co jak dla mnie brzmiało trochę gogusiowato, no ale może właśnie o to chodziło. Ostatecznie był czystej krwi hipisem z funduszem powierniczym, kimś, kto nie przepracował jednego dnia w życiu i oddał się lekkiej rozrywce tego rodzaju, przy której zadrżałoby i moje puste serduszko, gdyby tylko Zander z odrobinę lepszym wyczuciem dobierał swoje ofiary.

Źródłem fortuny Macauleyów były nieprzeliczone stada bydła, niekończące się gaje cytrusowe i nawozy sztuczne wrzucane do jeziora Okeechobee. Zander regularnie odwiedzał biedne dzielnice, by obsypywać bezdomnych hojnymi darami. A nielicznych szczęśliwców, których naprawdę chciał podnieść na duchu, podobno zatrudniał na rodzinnym ranczo, jak dowiedziałem się z łzawego panegiryku w jednej z gazet.

Dexter, rzecz jasna, przyklaskuje dobroczynności. Prawdę mówiąc, jestem jej gorącym zwolennikiem dlatego, iż prawie zawsze stanowi ona sygnał ostrzegawczy, że pod maską Matki Teresy kryje się coś niegodziwego, podłego i rozdokazywanego. Nie żebym wątpił, iż gdzieś w głębi ludzkiego serca naprawdę zamieszkuje duch życzliwego i troskliwego miłosierdzia, nakazujący kochać bliźniego swego jak siebie samego. Gdzieżbym śmiał. To znaczy, jestem pewien, że gdzieś tam musi być. Po prostu nigdy go nie widziałem. A ponieważ brak mi i człowieczeństwa, i prawdziwego serca, zmuszony

jestem bazować na osobistych doświadczeniach, z których wynika, że swój swojemu chętnie pomoże, ale obcemu – niekoniecznie.

Dlatego kiedy widzę zamożnego, przystojnego i z wyglądu normalnego młodego człowieka, który rozdaje swoje dobra najokrutniej sponiewieranym przez los, jakoś trudno mi przyjąć taki altruizm za dobrą monetę, bez względu na to, jak piękną ma formę. Sam jestem całkiem dobry w ukazywaniu świata czarującego, niewinnego oblicza, a wszyscy wiemy, na ile jest autentyczne, prawda?

Szczęśliwie dla mojego spójnego światopoglądu, Zander nie był inny – tylko dużo bogatszy. A otrzymane w spadku pieniądze sprawiły, że stał się trochę niechlujny. Ze skrupulatnie wypełnianych PIT-ów, które wyszperałem, wynikało bowiem, że rodzinne ranczo jest niezamieszkałe i nieużywane, co mogło znaczyć tylko jedno: dokądkolwiek zabierał swoich drogich, brudnych przyjaciół, nie żyli tam zdrowo i szczęśliwie, pracując na świeżym powietrzu.

Jeszcze lepsze dla moich celów było to, że na wędrowkę z nowym przyjacielem Zanderem udawali się boso. Tak się bowiem złożyło, że w specjalnym pokoju w jego pięknym domu w Coral Gables, wyposażonym w kilka bardzo przemyślnych i kosztownych zamków, których otwarcie zajęło mi prawie całe pięć minut, Zander trzymał trochę pamiątek. Głupio podejmować takie ryzyko, gdy jest się potworem; wiem o tym doskonale, bo sam to robię. Jednak jeśli pewnego dnia jakiś sumienny śledczy odszuka moją skrzyneczkę wspomnień, nie znajdzie w niej nic prócz szkiełek mikroskopowych z pojedynczą kroplą krwi w każdym i nie zdoła udowodnić, że to coś złowieszczonego.

Zander aż tak cwany nie był. Zachował po jednym bucie każdej z ofiar i liczył, że nadmiar pieniędzy i zamknięte drzwi wystarczą, by jego sekrety nigdy nie ujrzały światła dziennego.

No nie. Nic dziwnego, iż potwory mają tak fatalną reputację. Naiwność, że słów brak. I jeszcze buty? Poważnie, buty, na wszystko, co wyklęte? Staram się być tolerancyjny i wyrozumiały dla słabostek bliźnich, ale to już lekka przesada. Co może być interesującego w przepoconym, oblepionym skorupą błota, dwudziestoletnim trampku? I żeby jeszcze zostawiać je tak na widoku. To wręcz obraza.

Oczywiście, Zander pewnie kombinował, że w razie wpadki stać go na najlepszych adwokatów i sprawa skończy się tak, że najwyżej będzie musiał trochę popracować społecznie – co zakrawało na ironię, zważywszy, że od tego właśnie wszystko się zaczęło. Tyle że w swoich rachubach nie uwzględnił jednego: że wpadnie w ręce Dextera, nie policji. I że jego proces odbędzie się w Dwudziestoczworgodzinym Sądzie Mrocznego Pasażera, w którym nie ma prawników – choć oczywiście liczę, że wkrótce jakiegoś dopadnę – a wyrok nie podlega apelacji.

Czy jednak but to wystarczający dowód? Nie miałem wątpliwości, że Zander jest winny. Nawet gdyby Mroczny Pasażer nie wyśpiewywał arii przez cały czas, kiedy patrzyłem na te buty, doskonale wiedziałbym, w czym rzecz – pozostawiony samemu sobie Zander wzbogaciłby kolekcję o następne eksponaty. Byłem prawie pewien, że jest złym człowiekiem, i miałem straszną ochotę pogadać z nim przy blasku księżycy i posłać kilka ciętych uwag. Musiałem jednak zyskać pewność absolutną – do tego zobowiązywał Kodeks Harry’ego.

Zawsze przestrzegałem niewzruszonych zasad ustanowionych przez Harry’ego, mojego przybranego ojca, policjanta, który nauczył mnie, jak ze skromnością i precyzją być tym, czym jestem. To on mi pokazał, jak oczyścić miejsce zbrodni tak, jak tylko glina potrafi, i jak z taką samą starannością dobierać sobie partnerów do tańca. Jeśli istniał choć cień wątpliwości, nie mogłem zaprosić Zandera do zabawy.

A teraz? Na podstawie samej wystawy obuwia każdy sąd na świecie uznałby Zandera za winnego co najwyżej niehigienicznego fetyszyzmu; ale żaden sąd na świecie nie dysponował zeznaniami eksperta, takiego jak Mroczny Pasażer; ten cichy, naglący głos wewnętrzny popychał do czynu i rzadko się mylił. A im bardziej napierał, tym trudniej było o spokój i bezstronność. Chciałem puścić się w Ostatni Taniec z Zanderem, potrzebowałem tego jak powietrza.

Chciałem, jasne – ale nietrudno się domyślić, co powiedziałyby Harry. To nie wystarczało. Nauczył mnie, że aby mieć pewność, dobrze jest zobaczyć ciała, a Zander zdołał je ukryć na tyle dobrze, że ich nie znalazłem. Jeśli nie ma zwłok, chcieć – nieważne jak bardzo – to za mało.

Wróciłem do zebranych materiałów, żeby zobaczyć, gdzie Zander może przechowywać marynaty z trupów. Dom odpadał. Przeszukałem go i oprócz muzeum butów nie znalazłem nic podejrzanego, a Mroczny Pasażer zazwyczaj bez trudu wywachuje kolekcje zwłok. Poza tym w domu nie byłoby ich gdzie trzymać – na Florydzie nie ma piwnic, a w swojej dzielnicy Zander nie mógłby niezauważony kopać w ogródku ani taszczyć nieboszczyków. Krótka konsultacja z Pasażerem przekonała mnie, że ktoś, kto mocuje pamiątki na płytkach z orzecha, na pewno starannie pozbywa się resztek.

Ranczo nadawałoby się doskonale, ale w czasie krótkiej wizyty nie znalazłem tam żadnych śladów. Wyglądało, że dawno zostało opuszczone; nawet podjazd zarósł zielskiem.

Grzebałem głębiej: Zander kupił apartament na Maui, ale to o wiele za daleko. Miał kilka akrów ziemi w Karolinie Północnej – możliwe, lecz mało prawdopodobne, bo musiałby tam jechać dwanaście godzin z trupem w samochodzie. Był udziałowcem spółki, która chciała zagospodarować Toro Key, małą wyspę na południe od Cape Florida. Jednak własność firmy z pewnością nie wchodziła w grę – zbyt wiele osób mogło tam wejść i myszkować. Tak czy inaczej, przypomniałem sobie, że kiedy za młodu chciałem przybić do brzegu Toro Key, kręcili się tam uzbrojeni strażnicy, którzy wszystkich przeganiali. Nie, to musiało być gdzie indziej.

Wśród jego licznych inwestycji i aktywów jedyne, co wyglądało obiecująco, to łódź Zandera, piętnastometrowy cigarette. Od jednego z potworów, z którymi miałem do czynienia, nauczyłem się, że łódź daje znakomite możliwości pozbycia się resztek. Prosta sprawa: przywiązuje się ciało drutem do czegoś ciężkiego, przerzuca przez reling i można zrobić denatowi pa, pa! Czysto, schludnie, porządnie; bez hałasu, bez bałaganu, bez śladu.

I bez szansy na to, żebym zdobył nieodzowny dowód. Zander trzymał łódź na najbardziej ekskluzywnej przystani w Coconut Grove, Royal Bay Yacht Club. Ochronę mieli tam bardzo dobrą, tak dobrą, że wytrych i uśmiech nie wystarczą, by Dexter dostał się do środka. Była to zapewniająca pełen zakres usług przystań dla nieuleczalnie bogatych, taka, w której nawet cumę dziobową ci wypucują. Nie musisz tankować; jeden telefon i łódź czeka gotowa do rejsu, z szampanem chłodzącym się w kokpicie. I przez cały dzień i noc roi się tam

od radośnie uśmiechniętych uzbrojonych strażników, czapkujących jaśnie państwu, gotowych strzelać do każdego, kto przełazi przez ogrodzenie.

Łódź znalazła się poza zasięgiem. Nie ulegało wątpliwości, że Zander korzysta z niej, by pozbyć się ciała; co istotniejsze, Mroczny Pasażer też tak uważał. Nie miałem jednak możliwości, żeby się do niej dostać.

Byłem poirytowany, ba, wręcz sfrustrowany, kiedy wyobrażałem sobie Zandera ze swoim najnowszym trofeum – pewnie odpowiednio zabezpieczonym w połączanej skrzyni z lodem – jak dzwoni do kapitana przystani i zamawia tankowanie łodzi, a potem z demonstracyjną nonszalancją przemierza przystań, podczas gdy dwaj stękający ochroniarze wnoszą bagaż na pokład i uprzejmie machają na pożegnanie. Nie mogłem jednak wejść na łódź, żeby to udowodnić. Bez ostatecznego dowodu Kodeks Harry’ego nie pozwalał mi podjąć żadnych działań.

A że byłem pewny swego, cóż mi pozostawało? Mógłbym następnym razem spróbować przyłapać Zandera na gorącym uczynku. Tyle tylko, że nie wiedziałem, kiedy to miałyby się stać, a nie mogłem go obserwować bez przerwy. Musiałem od czasu do czasu pokazywać się w pracy, wypadało też dla przyzwoitości pojawiać się w domu i zachowywać pozory normalnego życia. Tak więc w którymś momencie w ciągu najbliższych kilku tygodni, o ile schemat pozostanie bez zmian, Zander zadzwoni do kapitana przystani i każe przygotować łódź, a wtedy...

Wtedy kompetentny pracownik klubu bogaczy odnotuje, co dokładnie zrobi z łodzią i kiedy: ile zatankuje paliwa, jaki szampan dostarczy i ile windeksu zużyje do umycia przedniej szyby. Wszystko to zapisze w pliku o nazwie „Macauley” i zachowa na komputerze.

I nagle znaleźliśmy się na powrót w świecie Dextera, z Pasażerem, który syczał, że to rzecz pewna, goniącym mnie do klawiatury.

Dexter jest skromny aż do przesady i w pełni świadomy, że jego niepośledni talent ma swoje granice. Na komputerze jednak nic się przede mną nie ukryje, a przynajmniej na nic takiego jeszcze nie natrafiłem. Usiadłem i wziąłem się do roboty.

W niecałe pół godziny włamałem się do komputerów jachtklubu i odszukałem dokumentację. Rzeczywiście, wszystkie zlecenia były skrupulatnie odnotowane. Dla porównania obejrzałem wykaz posiedzeń zarządu ulubionej organizacji charytatywnej Zandera, Światowej Misji Boskiego Światła, z siedzibą na obrzeżach dzielnicy Liberty City. Czternastego lutego zarząd miał przyjemność ogłosić, że Wynton Allen przenosi się z gniazda rozpusty, jakim jest Miami, na ranczo Zandera, by tam resocjalizować się uczciwą pracą. A piętnastego lutego Zander wyruszył w rejs, podczas którego zużył sto trzydzieści litrów paliwa.

Jedenastego marca podobne szczęście spotkało Tyrone'a Meeksa. Dwunastego marca Zander odbył przejażdżkę łodzią.

I tak to szło; ilekroć wyznaczano jakiegoś bezdomnego szczęśliwca, który od tej pory miał wieść sielankowy żywot, Zander w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin kazał przygotować łódź do wyjścia w morze.

To nie to samo, co zobaczyć ciała - ale Kodeks Harry'ego z założenia funkcjonujący w lukach w systemie, na ciemnych obszarach sprawiedliwości doskonałej, a nie prawa doskonałego. Ja miałem pewność, Pasażer też, a to był wystarczający dowód.

Zander wypłynie w nocny rejs innego rodzaju i nawet wszystkie jego pieniądze nie utrzymają go na powierzchni.

3

I tak oto w noc jak wiele innych, gdy księżyc zalewał swoje przyjemnie spragnione krwi dzieci akordami szalonej melodii, ja nuciłem do wtóru i szykowałem się do wyjścia na ostre harce. Praca skończona, teraz czas, by Dexter się rozerwał. Chwila powinna była wystarczyć na to, żebym pozbierał moje zabawki i wyruszył na spotkanie z nadzianym nicponiem. Tyle że, rzecz jasna, ponieważ wielkimi krokami zbliżał się ślub, nic już nie było proste. I chyba nigdy więcej nie będzie - tak mi się przynajmniej wydawało.

Oczywiście wznosiłem doskonałą, prawie nieprzenikalną fasadę z lśniącej, antyseptycznej stali i szkła, która miała przesłonić fronton Zamku Dextera, ponurego gotyckiego gmaszyska rodem z horroru. Dlatego z wielką ochotą współpracowałem przy odsyłaniu Dawnego Dextera na spoczynek, co pociągnęło za sobą udział w procesie „konsolidacji naszego związku”, jak to ujmowała Rita. W tym wypadku znaczyło to, iż czeka mnie przeprowadzka z wygodnego kącika na skraju Coconut Grove dalej na południe, do mającego trzy sypialnie domu Rity, bo tak będzie „praktycznie”. Ma się rozumieć, było to nie tylko praktyczne, ale i Potwornie Niedogodne. Po zaprowadzeniu nowego ładu nie mogłem liczyć nawet na odrobinę prywatności. A tej oczywiście potrzebowałem. Każdy oddany, odpowiedzialny ogr ma swoje tajemnice i wolałbym, aby pewne rzeczy nie ujrzały światła dziennego, a jeśli już, to tylko w moich rękach.

Były to, na przykład, materiały o potencjalnych towarzyszach zabaw; no i mała drewniana skrzynka, bardzo mi droga, zawierająca czterdzieści jeden szkiełek mikroskopowych, każde z zachowaną w środku kroplą zaschniętej krwi, reprezentującą jedno nie całkiem ludzkie życie, któremu położyłem kres własnymi rękami - pamiątkowy album mojego wewnętrznego ja. Nie zostawiam po sobie wielgachnych stert gnijącego mięsa. Nie jestem niechlujnym, niedbałym, sieczącym bez opamiętania zwyrodnialcem. Jestem niezwykle schludnym, sieczącym bez opamiętania zwyrodnialcem. Zawsze bardzo,

ale to bardzo starannie pozbywam się resztek i nawet jakiś okrutny, zaciekły nieprzyjaciel, który zawzięłby się, żeby pokazać światu, jaka ze mnie bestia plugawa, miałby trudności z ustaleniem, czym właściwie są te szkiełka.

Gdybym jednak musiał się z nich tłumaczyć, mogłyby pojawić się pytania, które w końcu, kto wie, czy nie okazałyby się kłopotliwe, nawet gdyby zadała je kochająca żona – a co dopiero wróg dążący z pasją do tego, by mnie zniszczyć. Ostatnio trafił się taki zajadły: policjant z Miami, sierżant Doakes. I choć formalnie rzecz biorąc, jeszcze żył, zacząłem myśleć o nim w czasie przeszłym, jako że wskutek nieszczęśliwego splotu wydarzeń stracił obie stopy i dłonie, a także język. Z pewnością nie był zdatny do tego, by wymierzyć mi jakże należną sprawiedliwość. Miałem jednak dość oleju w głowie, żeby wiedzieć, iż skoro napatoczył się jeden taki jak on, to wcześniej czy później pojawi się następny.

I dlatego przywiązywałem wagę do prywatności – nie żebym kiedykolwiek trąbił na lewo i prawo o moich sprawach osobistych. O ile wiem, jeszcze nikt nie zaglądał do mojej skrzynki ze szkiełkami. Tyle że nigdy dotąd nie miałem narzeczonej, która wyręczała mnie w sprzątaniu, ani dwójki bardzo ciekawskich dzieci, które węszyły w moich rzeczach, bo chciałby być takie jak Mroczny Papić Dexter.

Rita zdawała się rozumieć moją potrzebę prywatności – choć nie jej powody – i poświęciła swój pokój do szycia, zmieniając go na coś, co nazwała gabinetem Dextera. Kiedyś znajdą się w nim mój komputer, moje nieliczne książki i kompakty, i, jak sądzę, palisandrowa skrzynka ze szkiełkami. Ale jakżebym mógł ją tu zostawić? Potrafiłbym przekonująco wyjaśnić Cody'emu i Astor, czym jest – ale co powiedzieć Ricie? Może należałoby ją schować? Wydrążyć za fałszywą biblioteczką sekretny korytarz, wiodący krętymi schodami na dół, do mojej mrocznej kryjówki? A może włożyć skrzynkę na dno atrapy pojemnika z kremem do golenia? Był to pewien problem.

Kiedyś trzeba go będzie rozwiązać; na razie wciąż miałem swoje stare mieszkanie. Mimo to w moim gabinecie trzymałem parę drobiazgów, noże do oprawiania ryb i taśmę samoprzylepną, co mogłem łatwo wytłumaczyć zamiłowaniem do wędkarstwa i klimatyzacji. Rozwiązania poszukamy później. W tej chwili lodowate palce dźgały

mnie i łaskotały w plecy, i spieszno mi było na spotkanie z bufonowatym gogusiem.

A że nóż i taśmę musiałem do czegoś schować, poszedłem do mojego gabinetu po granatową torbę sportową, którą zachowywałem na uroczystą okazję. Wyciągnąłem ją z szafy, czując na języku ostry, coraz silniejszy smak spodziewanej rozkoszy, i włożyłem do środka zabawki: nową rolkę taśmy samoprzylepnej, nóż do oprawiania ryb, rękawiczki, moją jedwabną maskę i, na wszelki wypadek, zwój nylonowej liny. Wszystko gotowe. Czuję, jak moje żyły promieniują stalowym podnieceniem, uszy wypełniała mi szalona, narastająca muzyka, huczący puls Pasażera ponaglał, zagrzewał do czynu. Odwróciłem się, żeby wyjść...

I wpadłem na dobraną parę poważnych dzieci, które zadarły głowy i spojrzały na mnie wyczekująco.

- On chce iść - powiedziała Astor i Cody skinął głową, wpatrzony we mnie wielkimi, nieruchomymi oczami.

Jestem przekonany, iż każdy, kto mnie zna, powiedziałby, że mam gadane i nigdy nie tracę rezonu; kiedy jednak odtworzyłem w myśli słowa Astor i raz jeszcze poszukałem interpretacji, w której nie znaczyłyby tego, co znaczyły, zdołałem wydobyć z siebie tylko bardzo ludzki dźwięk, mniej więcej: „A hę ho?”

- Z tobą - powiedziała Astor, cierpliwie, jak do upośledzonej umysłowo pokojówki. - Cody chce dziś z tobą iść.

Z perspektywy czasu wyraźnie widać, że ten problem musiał się kiedyś pojawić. I, co ważne, trzeba uczciwie przyznać, że spodziewałem się tego - ale później. Nie teraz. Nie u progu mojej Nocy Spełnienia. Nie kiedy każdy włos na karku stał mi dęba i krzykiem domagał się zaspokojenia czystej, palącej potrzeby, aby wypełznąć w mrok z zimną, wytopioną z nierdzewnej stali furią...

Sytuacja zdecydowanie wymagała poważnego przemyślenia, cóż, kiedy moje nerwy uparcie żądały, żebym wyskoczył przez okno i czmychnął w noc - ale dzieciaki wciąż stały przede mną, więc wziąłem głęboki oddech i skupiłem na nich uwagę.

Lśniaca, pełna ostrych kantów blaszana dusza Dextera Mściciela uformowała się w wyniku urazu z dzieciństwa, tak głębokiego, że zupełnie wyparłem go z pamięci. To doświadczenie sprawiło,

że jestem tym, czym jestem, i nie wątpię, że siąkałbym nosem i byłbym nieszczęśliwy z tego powodu, gdybym był zdolny do jakichkolwiek uczuć. Cody i Astor nosili takie same blizny, pamiątki po ojcu, otumanionym narkotykami brutalu, który pastwił się nad nimi, aż oboje na dobre wzgardzili słońcem i lizakami. Mój mądry przybrany ojciec, wychowując mnie, wiedział, że czegoś takiego nie da się cofnąć, nie można wepchnąć węża z powrotem do jaja.

Można go za to wytresować. Harry wyszkolił mnie, zrobił ze mnie coś, co polowało tylko na innych mrocznych drapieźców, inne monstra i upiory w przebraniach z ludzkiej skóry, żerujące w mieście. Mojej żądzy mordy nie dało się wykorzenić, była niezmienna i nieprzemijająca, ale Harry nauczył mnie tropić i usuwać tylko tych, którzy zgodnie z jego, jak na glinę przystało, rygorystycznymi zasadami naprawdę na to zasługiwali.

Kiedy odkryłem, że Cody jest taki sam, obiecałem sobie, że pójdę Drogą Harry'ego, przekażę chłopcu swoją wiedzę, wychowam go w duchu Mrocznej Prawości. Była to jednak cała galaktyka komplikacji, wyjaśnień i nauk. Harry wpajał mi to wszystko przez prawie dziesięć lat, zanim pozwolił mi się pobawić z czymś bardziej skomplikowanym od bezpieczeństwa zwierzaka. Z Codym nawet jeszcze nie zacząłem - i choć czułem się trochę jakbym robił z siebie Mistrza Jedi, teraz zacząć nie mogłem. Wiedziałem, że Cody pewnego dnia będzie musiał pogodzić się z tym, że jest taki jak ja, i szczerze chciałem mu pomóc - ale niech to nie będzie dziś. Nie kiedy przez okno dolatywało wesołe wołanie księżycy, który ciągnął mnie jak żółta lokomotywa doczepiona do mojego mózgu.

- Nie jestem, tego... - zacząłem, chcąc wszystkiemu zaprzeczyć. Ale spojrzeli na mnie z tak ujmującym wyrazem zimnej pewności, że urwałem. - Nie - powiedziałem stanowczo. - Jest o wiele za mały.

Wymienili szybkie spojrzenia, nic więcej, lecz kryła się w nich cała rozmowa.

- Mówiłam mu, że tak powiesz - stwierdziła Astor.

- I słusznie.

- Dexter, obiecałeś przecież, że nam pokażesz.

- Pokażę - zapewniłem, czując na plecach zimne palce, które powoli wędrują w górę i naciskają, popychają w stronę drzwi - ale nie teraz.

- No więc, kiedy? - spytała.

Spojrzałem na nich i wypełniła mnie niesamowicie dziwna mieszanka uczuć: z jednej strony rwałem się do tego, żeby już wyjść i coś pociachać, a z drugiej miałem ochotę opatulić oboje miękkim kocem i zabić wszystko, co się do nich zbliży. A na dodatek, o tak, do kompletu, nieśmiało wkradało się pragnienie, by złapać ich za te zakute łebki i stuknąć nimi o siebie.

Czy to znaczy, że wreszcie poczułem się ojcem?

Całe ciało przenikał zimny ogień rozniecony potrzebą zrobienia tego, o czym ani mru-mru, ale odetchnąłem bardzo głęboko i przybrałem obojętną minę.

- Jutro macie szkołę, a teraz już prawie pora, żebyście poszli spać.

Spojrzeli na mnie, jakbym ich zdradził, poniekąd słusznie; zmieniłem reguły gry i wcieliłem się w rolę Papcia Dextera, gdy myśleli, że rozmawiają z Demonem Dexterem. W gruncie rzeczy powiedziałem jednak prawdę. Nie można zabierać dzieci na nocne świniobicie i oczekiwać, by nazajutrz pamiętały abecadło. Nawet mnie niełatwo było po małej przygodzie stawić się rano w pracy, a miałem to szczęście, że mogłem wypić tyle kubańskiej kawy, ile dusza zapragnie. Z pewnością w ich wieku to jeszcze zdecydowanie za wcześnie.

- Oj, gadasz jak dorosły. - Astor prychnęła z miażdżącą pogardą dziesięcioletki.

- Przecież jestem dorosły - odparłem. - I staram się być takim dorosłym, jakiego potrzebujecie. - Choć zęby mnie bolały od wstrzymywania narastającego głodu, mówiłem serio, co jednak w najmniejszym stopniu nie złagodziło dezaprobaty widocznej w ich spojrzeniach.

- Myśleliśmy, że jesteś inny - stwierdziła.

- Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym być jeszcze bardziej inny i nadal wyglądać jak człowiek.

- To nie fair - odezwał się Cody i w jego oczach zobaczyłem małą mroczną bestyjkę, która uniosła głowę i zaryczała na mnie.

- Owszem, to nie fair. - Rozwinąłem temat. - W życiu nic nie jest fair. Fair to brzydkie słowo i proszę nie używać przy mnie takiego języka.

Cody patrzył na mnie z rozżaleniem, ale w jego twardym spojrzeniu dostrzegłem zimne wyrachowanie, takim jeszcze go nie widziałem, i nie wiedziałem, czy chcę chłopaka trzepnąć, czy dać mu ciastko.

- Nie fair - powtórzył.

- Posłuchaj - powiedziałem - to coś, na czym się znam. Niech to będzie pierwsza lekcja. Normalne dzieci w dni szkolne chodzą spać o wyznaczonej porze.

- Nienormalny - odparował i wysunął dolną wargę tak daleko, że można by za nią wstawić jego podręczniki.

- I o to chodzi - wyjaśniłem mu. - Dlatego musisz zawsze normalnie wyglądać, normalnie się zachowywać, sprawiać na otoczeniu wrażenie normalnego. I jeszcze jedno: musisz robić dokładnie to, co ci każę, bo inaczej nie mamy o czym mówić. - Wyraźnie nie był do końca przekonany, ale miękł. - Cody. Musisz mi zaufać i robić wszystko po mojemu.

- Muszę - mruknął.

- Tak. Musisz.

Bardzo długo na mnie patrzył, po czym przeniósł wzrok na siostrę, która spojrzała na niego. To był cud komunikacji bezgłosowej; widziałem po nich, że toczą długą, ogromnie zawiłą rozmowę, choć nie padło ani jedno słowo. Wreszcie Astor wzruszyła ramionami i odwróciła się do mnie, mówiąc.

- Musisz obiecać.

- Niech będzie - odparłem. - Obiecać co?

- Że zaczniesz nas uczyć - oświadczyła, a Cody skinął głową. - Niedługo.

Odetchnąłem głęboko. Tak naprawdę nigdy nie miałem żadnych szans pójść do nieba, które i tak uważałem za byt wysoce hipotetyczne. Ale żeby zdecydować się na coś takiego, zgodzić się zrobić z tych obszarpanych potworków schludne, dobrze wykształcone potworki - cóż, pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że moje poglądy na temat nieba nie okażą się mylne.

- Obiecuję - odpowiedziałem. Popatrzyli po sobie, spojrzeli na mnie i poszli.

A ja zostałem z torbą pełną zabawek, pilną sprawą do załatwienia i cokolwiek ostudzonym zapałem.

Czy tak wygląda życie każdej rodziny? Jeśli jest to typowe, jak można coś takiego znieść? Po co ludziom więcej niż jedno dziecko, ba, po co im dzieci w ogóle? Miałem przed sobą ważny i pożyteczny cel, a tu nagle wyskakuje mi coś, z czym jeszcze nigdy nie musiała się borykać żadna mamusia z przedmieścia. W totalnym oszołomieniu nie mogłem sobie przypomnieć, o czym myślałem ledwie parę chwil temu. Mimo że słyszałem zniecierpliwiony pomruk Mrocznego Pasażera – dziwnie przytłumiony, z nutką niepewności – trochę potrwało, zanim wziąłem się w garść i znów przeistoczyłem się ze Skołowanego Papcia Dextera w Zimnego Mściciela. Trudno mi było odzyskać lodowaty spokój, towarzyszący zwykle poczuciu gotowości i zagrożenia; prawdę mówiąc, nie pamiętałem nawet, gdzie zostawiłem kluczyki od samochodu.

Jakoś je znalazłem i chwiejnie wypadłem z gabinetu. Wymamrotałem do Rity nic nieznaczące czułe słówka i nareszcie wyszedłem z domu w noc.

4

Śledziłem Zandera dość długo, by poznać jego rozkład zajęć, a że był czwartkowy wieczór, dokładnie wiedziałem, gdzie go zastanę. Czwartkowe wieczory spędzał w Światowej Misji Boskiego Światła – zapewne doglądał inwentarza. Przez jakieś półtorej godziny pouśmiewa się do personelu i weźmie udział w krótkim nabożeństwie, a potem wypisze czek pastelowi, potężnemu Murzynowi, który kiedyś grał w NFL. Pastor podziękuje z uśmiechem, a Zander chyłkiem wymknie się tylnymi drzwiami do swojej skromnej miejskiej terenówki i pokornie pojedzie do domu, opromieniony cnotliwym uczuciem, jakie płynie tylko z prawdziwie dobrych uczynków.

Ale dziś wieczorem nie będzie jechał sam.

Dziś wieczorem Dexter i jego Mroczny Pasażer dołączą do niego i zabiorą w podróż, jakiej jeszcze nie było.

Najpierw jednak zimne i ostrożne podchody, uwieńczenie tygodni dyskretnej obserwacji.

Zaparkowałem wóz zaledwie kilka kilometrów od domu Rity, przy dużym, starym kompleksie handlowym Dadeland, i poszedłem pieszo na pobliską stację Metrorail. W pociągu rzadko panował tłok, nawet w godzinach szczytu, ale ludzi było akurat tyle, że nikt nie zwracał na mnie uwagi. Ot, uprzejmy człowiek w modnych, ciemnych ciuchach, z torbą sportową w ręku.

Wysiadłem jedną stację za centrum i przeszedłem sześć przecznicy dzielących mnie od misji. Czuję rosnące napięcie, przywracające mnie do stanu niezbędnej gotowości. O Codym i Astor pomyślimy później. Tu i teraz, na tej ulicy, cały płonąłem zimnym, ukrytym światłem. Oślepiający pomarańczoworóżowy blask specjalnych latarni mających odstraszać bandytów nie mógł zmyć ciemności, którą z każdym krokiem otulałem się coraz ciaśniej.

Misja miała siedzibę na rogu niezbyt ruchliwej ulicy, w przerobionym sklepie. Przed wejściem gromadzili się ludzie – normalne, skoro w środku rozdawali jedzenie i ubrania, a w zamian chcieli tylko, żebyś

na tych parę chwil odstawił flaszkę rumu i wysłuchał wielebnego, który wytłumaczy ci, dlaczego pójdziesz do piekła. Nawet mnie się wydawało, że to całkiem przyzwoity układ, ale cóż, nie byłem głodny. Poszedłem dalej, w stronę parkingu na tyłach budynku.

Niby było tam trochę ciemniej, ale dla mnie i tak zdecydowanie za jasno, tak jasno, że prawie nie dało się dostrzec księżyca, choć czułem, że jest tam, na niebie, i uśmiecha się złośliwie, kiedy widzi nasze małe, wijące się, kruche życie, ustrojone girlandami potworów istniejących tylko po to, aby je odbierać wielkimi, pełnymi bólu kęsami. Potworów takich jak ja i Zander. Ale od dziś będzie o jednego mniej.

Obszedłem parking wkoło. Wyglądało na to, że nic mi nie grozi. Nikogo w zasięgu wzroku, nikt nie siedział ani nie drzemał w żadnym z samochodów. Jedyne okno z widokiem na okolicę było małe, osadzone wysoko w tylnej ścianie misji i miało matową szybę - ubikacja. Krążyłem coraz bliżej samochodu Zandera, niebieskiego dodge'a durango ustawionego przodem do ściany obok tylnego wyjścia. Nacisnąłem klamkę w drzwiach dodge'a - zamknięty. Obok zaparkowany był stary chrysler, czcigodna fura pastora. Stałem za nim i czekałem.

Z torby sportowej wyciągnąłem białą jedwabną maskę i opuściłem ją na twarz, poprawiając otwory na oczy. Jeszcze tylko pętla z mocnej żyłki i gotowe. Zaraz się zacznie. Mroczny Taniec. Nieświadom, co go czeka, Zander wyjdzie w noc drapieży, noc ostrych niespodzianek, w ostateczną, okrutną ciemność spełnieniem dzikim przeszytą. Już wkrótce beztróska opuści swój świat i znajdzie się w moim. A wtedy...

Czy Cody pamiętał, żeby umyć zęby? Ostatnio zdarzało mu się zapominać, a Rita nie chciała wyciągać go z łóżka, kiedy już ułożył się do snu. Ale ważne, by zaszczepić mu dobre nawyki od małego, a szczotkowanie zębów to rzecz istotna.

Szarpnąłem żyłką i pętla opadła mi na kolana. W szkole Astor jutro będą robione zdjęcia. Miała włożyć sukienkę z zeszłorocznej Wielkanocy, żeby ładnie wyglądać. Czy nie zapomniała przygotować ubrania wcześniej? Jasne, nie uśmiechnie się do zdjęcia, ale powinna przynajmniej dobrze się prezentować.

Jak to jest, że czaję się tu, w ciemności, z pętlą w dłoni, gotów do ataku, i myślę o takich rzeczach? Jak to możliwe, by czas wyczekiwania wypełniały mi takie myśli zamiast kły ostrzącego pragnienia, by spuścić Mrocznego Pasażera ze smyczy i dać mu się pobawić z, och, jakże na to zasługującym nowym kolegą? Czy to przedsmak tego, jak wyglądać będzie nowe, piękne życie Dextera po ślubie?

Ostrożnie odetchnęłam. Teraz już doskonale rozumiałem W.C. Fieldsa; ja też nie mogłam pracować z dziećmi. Zamknęłam oczy, wciągnęłam i wypuściłam ciemne, nocne powietrze. Lodowata gotowość powracała. Dexter powoli usunął się w cień i stery znów przejął Mroczny Pasażer.

W samą porę.

Zachrobotwały otwierane tylne drzwi i usłyszeliśmy kakofonię okropnych zwierzęcych głosów, meczenie i beczenie składające się na prawdziwie koszmarną interpretację pieśni *Just a Closer Walk with Thee*, dźwięk, który każdego zagoniłby z powrotem do kieliszka, Zandera zaś wypłoszył z sali. W drzwiach jeszcze się odwrócił i z uśmiechem na twarzy radośnie pomachał zebranym, po czym drzwi się zatrzasnęły, przeszedł dookoła samochodu na stronę kierowcy i był nasz.

Zander wygrzebał kluczyki, trzasnął otwierany zamek, a my okrążyliśmy samochód i stanęliśmy za jego plecami. Zanim zrozumiał, co się dzieje, pętla przecięła ze świstem powietrze, opadła na jego szyję, a my szarpnęliśmy dość mocno, by ściąć go z nóg i rzucić na kolana. Nie mógł zaczerpnąć powietrza, twarz mu ciemniała, i to było dobre.

- Gębę na kłódkę - powiedzieliśmy ostro, idealnie tak jak trzeba. - Rób dokładnie to, co mówimy, bez jednego słowa, bez jednego dźwięku, a jeszcze trochę pożyjesz - poinstruowaliśmy go i troszkę zacisnęliśmy pętlę na znak, że należy do nas i musi być posłuszny.

Przyjemnie było patrzeć, jak Zander osuwa się na twarz i przestaje się uśmiechać. Ślina ciekła mu z kącika ust i chwycił za pętlę, ale zacisnęliśmy ją za mocno, żeby zdołał wsunąć palec pod żyłkę. Kiedy omdlewał, poluźniliśmy ucisk na tyle, by mógł wziąć jeden, bolesny, chrapliwy oddech.

- Teraz wstań - poleciliśmy łagodnie, pociągając pętlę do góry. I Zander powoli, czepiając się boku samochodu, wstał.

- Dobrze. Wsiadaj. - Pętla na chwilę przeszła do mojej lewej dłoni, żebyśmy mogli otworzyć drzwi, a potem, za słupkiem drzwi, wróciła do prawej i wsiadliśmy na tył. - Jedź - rzuciliśmy naszym mrocznym, lodowatym głosem, tym do wydawania rozkazów.

- Dokąd? - spytał Zander ochryple.

Zacisnęliśmy pętlę mocno dla przypomnienia, żeby nie odzywał się niepytany. Kiedy to do niego dotarło, poluźniliśmy.

- Na zachód. Ani słowa więcej. Jedź.

Wrzucił bieg i kilkoma delikatnymi pociągnięciami żyłki skierowałem go na zachód, na autostradę Dolphin. Robił dokładnie to, co mówiliśmy. Zerkał co prawda na nas w lusterku wstecznym, ale leciutkie zaciśnięcie pętli zapewniło nam jego pełną współpracę do czasu, aż zabraliśmy go na autostradę Palmetto w kierunku północnym.

- Słuchaj - odezwał się nagle, kiedy mijaliśmy lotnisko - wiesz, jestem bogaty. Serio. Mogę dać ci wszystko, co chcesz.

- Możesz, fakt, i to zrobisz. - Nie zrozumiał, w czym rzecz, bo trochę się odprężył.

- No dobra - wychrypiał. - To ile chcesz?

Spojrzeliliśmy mu w oczy w lusterku wstecznym i powoli, bardzo powoli tak, żeby zaczął rozumieć, zacisnęliśmy mu żyłkę na szyi. Kiedy już prawie nie mógł oddychać, zostawiliśmy ją tak na chwilę.

- Wszystko. Weźmiemy wszystko. - Poluźniliśmy pętlę, tylko trochę. - Jedź.

Zander jechał. Przez resztę drogi nie powiedział słowa, ale nie wydawał się tak przerażony, jak by wypadało. Oczywiście musiał mieć poczucie, że to nie dzieje się naprawdę, że coś takiego nie może się przytrafić komuś, od zawsze żyjącemu w hermetycznym kokonie z pieniędzy. Wszystko miało swoją cenę, a jego stać było na zapłacenie każdej. Zaraz przystąpi do negocjacji. Zapłaci okup i będzie mógł odejść.

Tu miał rację. W końcu zapłaci. Ale nie pieniędzmi. I odejdzie.

Nie jechaliśmy daleko i milczeliśmy aż do zjazdu na Hialeah, który wybraliśmy. Zander, zwalniając przed skrętem, zerknął na mnie w lusterku ze strachem w oczach, rosnącym przerażeniem potwora

w potrzasku gotowego odgryźć sobie nogę, byleby uciec; jego panika roznieciła w Mrocznym Pasażerze przyjemne ciepło, dzięki czemu poczuliśmy się bardzo zadowoleni i silni.

- Ty nie... tam, tam nie ma... Dokąd jedziemy? - wyjąkał. Był słaby, żałosny, coraz bardziej podobny do człowieka, czym tak nas rozżościł, że szarpnęliśmy za mocno i na chwilę zjechał na pobocze, więc musieliśmy połuznić pętlę. Wrócił na drogę przy końcu zjazdu.

- W prawo. - Skręcił niezręcznie, oddychając chrapliwie przez zaślinione usta. Posłusznie wykonywał wszystkie polecenia, aż odbiliśmy w lewo na wąską, ciemną uliczkę między starymi magazynami.

Zaparkował tam, gdzie kazaliśmy, przy zardzewiałych drzwiach ciemnego, nieużywanego budynku. Na częściowo przegniłym, uciętym na końcu szyldzie, wciąż widział napis „Jone Plasti”.

- Stój. - Nerwowo zaciągnął ręczny, a my już byliśmy za drzwiami i wywlekaliśmy go na ziemię; zacisnęliśmy pętlę i patrzyliśmy chwilę, jak miotał się, zanim podźwignęliśmy go na nogi. Ślina zaschła mu na ustach i teraz w jego oczach widać było odrobinę wiary, gdy tak stał, brzydki i odrażający w pięknym blasku księżyca, drżał na myśl o tym, że pieniądze mogą nie wystarczyć, i owładnięty coraz silniejszym podejrzeniem, że być może niczym nie różni się od tych, którym zrobił dokładnie to samo, podejrzeniem, które odebrało mu siły. Pozwoliliśmy mu chwilę postać, żeby złapał oddech, i pchnęliśmy w stronę drzwi. Wyciągnął rękę i oparł się o ścianę z betonowych bloków.

- Posłuchaj - mówił łamiącym się głosem. - Mogę ci dać kupę forsy. Ile chcesz.

Nie odpowiedzieliśmy. Zander oblizał wargi.

- No dobrze. - Teraz głos miał suchy, rwący się i pełen desperacji. - To czego chcesz?

- Tego samego, co zabierałeś innym - odparliśmy z najmocniejszym jak dotąd szarpnięciem żyłką. - Oprócz buta.

Wytrzeszczył oczy, usta opadły mu w kącikach i zsikał się w gacie.

- To nie ja - zaczął. - To nie tak...

- To ty. To tak. - Ciągnąc mocno za smycz, wepchnęliśmy go przez drzwi do starannie przygotowanego pomieszczenia. Było tam kilka zamiecionych pod ścianę kawałków rury z PCW i, co ważniejsze

dla Zandera, dwie stuosiemdziesięciolitrowe beczki kwasu solnego, które pozostały po Jone Plasti, kiedy splajtowało.

Bez trudu ułożyliśmy Zandera na wysprzątanym z myślą o nim warsztacie i po chwili był już do niego przywiązany i przymocowanym taśmą, a my aż paliliśmy się, żeby zacząć. Rozcięliśmy pętlę i jęknął, kiedy ostrze drasnęło mu szyję.

- Jezuu! - zawył. - To duży błąd!

Nie odpowiedzieliśmy; czekała nas praca i w przygotowaniu do niej pociąłem na nim ubranie i ostrożnie wrzuciłem, skrawek po skrawku, do beczki z kwasem.

- Nie, proszę cię! Naprawdę nie jest tak, jak myślisz... Nie wiesz, co robisz!

Byliśmy gotowi i pokazaliśmy mu nóż, by przekonać, że doskonale wiemy, co robimy, i że to zaraz zrobimy.

- Błagam cię, stary. - Nigdy nie przypuszczał, że można bać się tak, jak bał się w tej chwili; strach wyszedł daleko poza upokorzenie, jakim było to, że zsiakał się w gacie i zebrał o życie, daleko poza granice jego wyobraźni.

I nagle stał się zaskakująco spokojny. Spojrzał mi prosto w oczy niepasującym do sytuacji, przytomnym wzrokiem i zmienionym nie do poznania głosem powiedział:

- On cię znajdzie.

Przerwaliśmy na chwilę, żeby zastanowić się, co to znaczy. Ale byliśmy prawie pewni, że to jego ostatni rozpaczliwy blef, a to stępiło wyborny smak jego przerażenia i nas zdenerwowało, więc zalepiliśmy mu usta taśmą i wzięliśmy się do pracy.

A kiedy skończyliśmy, nie zostało z niego nic prócz jednego buta. Można by go oprawić, ale oczywiście to byłoby niechlujstwo, więc wylądował w beczce kwasu razem z resztą Zandera.

Niedobrze, pomyślał Obserwator. Siedzieli w opuszczonym magazynie o wiele za długo i nie ulegało wątpliwości, że cokolwiek tam robili, nie było to spotkanie towarzyskie.

Zresztą, tak samo jak jego zaplanowane spotkanie z Zanderem. Ich rozmowy dotyczyły wyłącznie interesów, choć Zander wyraźnie postrzegał je w innych kategoriach. Podziw, który malował się na jego

twarzą podczas tych rzadkich spotkań, wymownie pokazywał, co ten głupiec myślał i czuł. Taki był dumny ze swojego skromnego wkładu, tak bardzo pragnął być blisko zimnej, przeogromnej mocy.

Obserwator nie czuł żalu z powodu tego, co mogło spotkać Zandera – z zastępstwem nie było kłopotu. Zajmowało go co innego: dlaczego to wydarzyło się akurat dziś i co z tego może wynikać.

Dobrze się stało, że nie interweniował, tylko poprzestał na obserwacji. Mógł bez trudu wkroczyć do akcji i pochwycić beczelnego młodego człowieka, który uprowadził Zandera, zetrzeć go na proch. Nawet w tej chwili czuł, jak szmerze w nim potężna moc, która mogłaby wyzwolić się z rykiem i zmieść wszystko, co jej na drodze, ale nie.

Obserwator potrafił zachować cierpliwość i to też było jego siłą. Jeśli tamten rzeczywiście jest niebezpieczny, lepiej zaczekać i dobrze mu się przyjrzeć; a kiedy już wystarczająco pozna charakter zagrożenia, zaatakuje – szybko, zdecydowanie, do całkowitego niszczenia przeciwnika.

Dlatego obserwował. Minęło kilka godzin, zanim tamten wyszedł i wsiadł do samochodu Zandera. Obserwator trzymał się daleko z tyłu, początkowo ze zgaszonymi światłami, i swobodnie śledził niebieskie durango w wieczornym ruchu. A kiedy tamten zostawił wóz na parkingu przy stacji Metrorail i wsiadł do pociągu, on zrobił to samo, tuż przed zamknięciem się drzwi. Zajął miejsce w drugim końcu wagonu i po raz pierwszy uważnie obejrzał odbicie tej twarzy.

Zaskakująco młoda i nawet przyjemna. Wręcz promieniująca niewinnością. Nie taka, jakiej można by oczekiwać, no ale tak to zwykle bywa.

Młody człowiek wysiadł przy Dadeland i ruszył do jednego z wielu zaparkowanych tam samochodów. Obserwator szedł za nim. Było późno, na parkingu żywej duszy. Wiedział, że mógłby to załatwić teraz, prosta sprawa, wystarczy podkraść się trochę bliżej i pozwolić, by napełniła go moc, która jego rękami pośle tamtego w ciemność. Czuł, jak ta siła w nim wzbiera, powoli, majestatycznie, jeszcze tylko kilka kroków, na usta już ciśnie się potężny, niemy ryk drapieżnika dopadającego zdobycz...

Zatrzymał się w pół kroku i powoli odszedł przejściem między samochodami.

Bo na desce rozdzielczej tamtego leżała bardzo wyraźnie widoczna plakietka.

Policyjne zezwolenie na parkowanie.

Całe szczęście, że zachował cierpliwość. Jeśli tamten był z policji... Problem mógł się okazać dużo poważniejszy, niż przypuszczał. Niedobrze, bardzo niedobrze. Nie obejdzie się bez starannych przygotowań. I dalszej obserwacji.

Obserwator bezszelestnie rozpląnął się w mroku, żeby się przyszykować. I żeby patrzeć.

5

Mówią, że lichy nie śpi, i to prawie na pewno o mnie, bo przez kilka dni po tym, kiedy posłałem kochanego Zanderka tam, gdzie czekała na niego zasłużona nagroda, biedny Niezmordowany Dexter był naprawdę bardzo zajęty. Właśnie wtedy, gdy gorączkowe przygotowania Rity ruszyły pełną parą, moja praca postanowiła wziąć z tego przykład. Do Miami zawitała najwyraźniej ta powracająca co jakiś czas pora, kiedy ludziom zaczyna się wydawać, że zabójstwo to dobry pomysł, i przez trzy dni tkwiłem po gałki oczne w rozbryzgach krwi.

Ale czwarty dzień okazał się jeszcze gorszy. Przyniosłem do pracy pączki, jak to mi się czasem zdarza - zwłaszcza po moich igraszkach. Nie wiedzieć czemu, przez kilka dni po tym, jak ja i Pasażer mamy nocne spotkanie, czuję się nie tylko bardziej wyluzowany, ale i głodny. Jestem pewien, że ma to głębokie psychologiczne znaczenie, ale mnie tylko interesuje, żeby złapać ze dwa pączki z dżemem, zanim sępy z laboratorium wszystkie rozdrapią. Znaczenie może poczekać, gdy gra idzie o pączki.

Tego ranka jednak udało mi się dopaść zaledwie jednego z malinowym nadzieniem - i cud, że nie straciłem przy tym palca. Całe piętro żyło przygotowaniami do wyjazdu na miejsce zdarzenia i towarzyszące temu zamieszanie wykazywało, że doszło do szczególnie makabrycznej zbrodni, co niezbyt mnie ucieszyło. Czekala nas praca do późna gdzieś z dala od cywilizacji i kubańskich kanapek. Kto wie, co mi się dostanie na lunch? Skoro z pączkami dałem się wyrolować, lunch mógł się okazać bardzo ważnym posiłkiem, o ile w ogóle będę miał chwilę przerwy.

Złapałem mój podręczny zestaw do analizy śladów krwi i wyszedłem z Vince'em Masuoką, który mimo swojej drobnej postury jakimś cudem dorwał dwa bardzo cenne pączki z nadzieniem - w tym jeden z kremem bawarskim i lukrem czekoladowym.

- Coś za dobrze ci się powodzi, Mocarny Łowco. - Wskazałem ruchem głowy jego łup.

- Bogowie lasu byli łaskawi - odparł i wziął duży kęs. - Mój lud nie zazna głodu.

- Ale ja owszem - powiedziałem.

Obdarzył mnie swoim okropnym, sztucznym uśmiechem, który wyglądał jak wyćwiczony z rządowym podręcznikiem mimiki w rękę.

- Prawa dżungli są okrutne, Koniku Polny - skwitował.

- Tak, wiem. Najpierw trzeba nauczyć się myśleć jak pączek.

- Ha! - Jego śmiech był jeszcze bardziej sztuczny od jego uśmiechu; brzmiał jak odczytywany na głos z zapisu fonetycznego. - A-ha-ha-ha! - Biedak zdawał się symulować wszystkie ludzkie zachowania, tak samo jak ja. Tyle że nie wychodziło mu to tak dobrze jak mnie. Nic dziwnego, że czułem się przy nim znakomicie. Tym bardziej że dość często brał przynoszenie pączków na siebie.

- Przydałby ci się lepszy kamuflaż - stwierdził, patrząc na moją hawajską koszulę w pstry, różowozielony wzorek, złożony z tancerek hula. - Albo lepszy gust.

- Była przeceniona.

- No cóż, niedługo to Rita będzie ci dobierać ubrania. - I nagle z okropnej sztucznej wesołości przeszedł na zupełnie inny ton: - Słuchaj, chyba znalazłem idealnego kucharza.

- Robi pączki z dżemem? - spytałem ze szczerą nadzieją, że temat mojego nadciągającego wielkimi krokami szczęścia małżeńskiego umrze śmiercią naturalną. Cóż, poprosiłem Vince'a, żeby był moim drużbą, i traktował sprawę z pełną powagą.

- To gość z najwyższej półki - kontynuował. - Obsługiwał rozdanie nagród MTV, imprezy show-biznesowe i takie tam.

- I jest drogi, aż miło - zauważyłem.

- Ale ma wobec mnie dług wdzięczności - usłyszałem dobrą nowinę. - Myślę, że da się go namówić, żeby spuścił z ceny. Może do jakichś stu pięćdziesięciu od nakrycia.

- Wiesz, Vince, liczyłem, że będzie nas stać na więcej niż jedno nakrycie.

- Pisali o nim w tym, jak mu tam, „South Beach Magazine” - dorzucił, jakby lekko urażony. - Mógłbyś przynajmniej z nim pogadać.

- Szczerze mówiąc - powiedziałem, jak zawsze, kiedy kłamię - zdaje się, że Rita wolałaby coś skromniejszego. Bufet czy coś.

Vince już naprawdę się nadał.

- Przynajmniej z nim pogadaj - powtórzył.

- Spytałem, co na to Rita - odparłem z nadzieją, że to raz na zawsze zamknie ten temat. Vince w drodze na miejsce zbrodni więcej o tym nie wspomniał, więc może się udało.

Miejsce zbrodni okazało się dużo mniej kłopotliwe, niż przypuszczałem, i kiedy tam dotarłem, humor zdecydowanie mi się poprawił. Po pierwsze, znajdowało się na kampusie Uniwersytetu Miami, mojej kochanej alma mater, i - aby nie wyjść z odgrywanej od urodzenia roli człowieka - zawsze, gdy tam byłem, starałem się udawać, że darzę to miejsce szczególnym sentymentem. Po drugie, podobno było bardzo mało świeżej krwi, co dawało nadzieję, że uwinę się z robotą. No i nie będę musiał się babrać w tym mokrym, czerwonym paskudztwie - naprawdę nie lubię krwi, co może dziwić, ale mówię szczerze. Natomiast czerpię dużą satysfakcję z porządkowania jej na miejscu zbrodni, zmuszania jej, żeby dopasowała się do przyzwoitego schematu, i w ogóle zachowywała, jak należy. W tym wypadku, jak przypuszczałem, nie będzie to wielkie wyzwanie.

I tak jak zwykle w doskonałym nastroju niespiesznie ruszyłem w stronę żółtej taśmy broniącej dostępu do miejsca zbrodni, pewien, że czeka mnie uroczy przerywnik w zabieganym dniu roboczym...

I ledwie przestąpiłem taśmę, zamarłem.

Przez chwilę był tylko jaskrawożółty blask i przyprawiające o mdłości uczucie bezwładnego lotu przez pustkę. Nie widziałem nic prócz ostrego jak nóż, oślepiającego światła. Z mrocznego tylnego siedzenia dobiegał niemy krzyk odrazy mieszającej się ze ślepym przerażeniem, jakie budzi zgrzyt noża rzeźnickiego po tablicy. Potem tupot szybko uciekających nóg, nerwowość, szalona pewność, że coś tu jest bardzo nie w porządku, i znikąd wskazówki, co to ani gdzie tego szukać.

Odzyskałem wzrok i rozejrzałem się wokół. Nie zobaczyłem nic, czego nie spodziewałbym się zobaczyć na miejscu zbrodni: tłumek za żółtą taśmą, kilku mundurowych trzymających gapiów na dystans, kilku detektywów w tanich garniturach i moja ekipa, szczury laboratoryjne przeczesujące na czworakach krzaki. Patrząc gołym

okiem, wszystko wyglądało najzupełniej normalnie. I właśnie dlatego o odpowiedź poprosiłem moje niezawodne, całkowicie ubrane oko wewnętrzne.

Co się dzieje? – spytałem w duchu i ponownie zamknąwszy oczy czekałem, co Pasażer będzie miał do powiedzenia na temat tej bezprecedensowej reakcji, tego osobliwego dyskomfortu. Przywykłem już do komentarzy Mrocznego Wspólnika i nieraz zdarzało się, że mój pierwszy rzut oka na miejsce zbrodni przerywał sączony ukradkiem do ucha szept uznania albo rozbawienia, ale to... to była rozpacзлиwa skarga, bez dwóch zdań, i nie wiedziałem, co o tym sądzić.

No co? – spytałem jeszcze raz. Ale odpowiedział tylko niespokojny poszum niewidzialnych skrzydeł, otrząsnąłem się więc z tego i poszedłem na miejsce zdarzenia.

Ciała musiały zostać spalone gdzie indziej, bo w pobliżu nie było różna dość dużego, by aż tak dokładnie upiec dwie kobiety średniej postury. Leżały przy ścieżce okalającej jezioro, które przecinało kampus, i znalazła je para amatorów porannego joggingu. Na podstawie nielicznych śladów krwi, które znalazłem, stwierdziłem, że głowy odcięto już po tym, jak kobiety spłonęły żywcem.

Zaintrygował mnie jeden drobny szczegół. Ciała były ułożone starannie, niemal z czcią, ze zwęglonymi rękami skrzyżowanymi na piersi. A na każdym z torsów, na miejscu odciętej głowy, ktoś z pietyzmem umieścił ceramiczny łeb byka.

Czułe gesty tego rodzaju zawsze wywołują taki czy inny komentarz Mrocznego Pasażera – najczęściej rozbawiony szept, cichy chichot, bywa, że nawet ukłucie zazdrości. Tym razem jednak, kiedy Dexter powiedział do siebie: „Oho, łeb byka! I co my na to?“, odpowiedzią Pasażera było natychmiastowe i zdecydowane...

Milczenie?

Żadnego szepotu, żadnego westchnienia?

Wystosowałem poirytowane żądanie odpowiedzi i usłyszałem tylko tupot spłoszonych nóg, jakby Pasażer chował się to tu, to tam, za wszystkim, co mogłoby mu zapewnić schronienie, w nadziei, że zdoła przeczekać tę burzę niezauważony.

Otworzyłem oczy, bardziej z zaskoczenia niż z jakiegokolwiek innego powodu. Nie mogłem sobie przypomnieć, by Pasażer kiedykolwiek

nie miał nic do powiedzenia na nasz ulubiony temat, a tu proszę. Żeby choć był tylko przygaszony, ale nie; on się schował.

Spojrzałem na dwa zwęglone ciała z nowym szacunkiem. Nie miałem pojęcia, co to mogło oznaczać, ale skoro coś takiego nigdy dotąd się nie wydarzyło, warto by to ustalić.

Angel Batista-Bez-Skojarzeń chodził na czworakach po drugiej stronie ścieżki i bardzo uważnie oglądał rzeczy, których ja nie widziałem i które mnie nieszczególnie interesowały.

- Znalazłeś to już? - spytałem go.

Nie podniósł głowy.

- Co miałem znaleźć?

- Pojęcia nie mam - odparłem. - Ale musi gdzieś tu być.

Wyciągnął rękę uzbrojoną w pincetę i wyrwał pojedyncze źdźbło trawy. Obejrzał je dokładnie i schował do plastikowego woreczka.

- Po co nakładać ceramiczną głowę byka?

- Bo czekolada by się roztopiła - odparłem.

Skinął głową, nie podnosząc wzroku.

- Twoja siostra uważa, że to pachnie Santerią.

- No coś ty - powiedziałem. Ta możliwość nie przyszła mi do głowy i trochę zezłościłem się z tego powodu. W końcu to jest Miami; coś, co wygląda na rytuał, w dodatku wykorzystujący zwierzęce łby, od razu powinno nam się skojarzyć z Santerią. Ta afro-kubańska religia, która łączyła animizm Jorubów z katolicyzmem, była tu powszechna. A że dużą rolę grały w niej ofiary ze zwierząt i symbolika zwierzęca, to wyjaśniałoby, skąd wzięły się głowy byków. I choć praktykujący nie mieli przewagi, większość miejscowych trzymała w domu jedną, dwie świece ze świętymi lub naszyjniki z muszli monetek kupione u zielarza. Ogólnie uważano, że nawet jeśli w coś nie wierzysz, trochę szacunku dla tego nie zaszkodzi.

Powinno mi to być od razu przyjść do głowy. Ale moja przybrana siostra, teraz już pełnoprawna sierżant z wydziału zabójstw, wpadła na to pierwsza, choć podobno to ja byłem ten bystry.

Ulżyło mi, że przydzielili Deborę do tej sprawy, bo to zapowiadało minimum mrozącej krew w żyłach głupoty. No a przy okazji liczyłem, że wreszcie znajdzie sobie dziewczyna coś ciekawszego do roboty. Ostatnio bowiem dzień i noc krzątała się przy swoim okaleczonym

chłopaku, Kyle’u Chutskym, który stracił jeden czy dwa mniej istotne członki podczas niedawnego spotkania z obłąkanym chirurgiem-amatorem, specjalistą w przerabianiu ludzi na skowyczące ziemniaki – tym samym czarnym charakterem, który artystycznie poprzykrawał tak wiele zbędnych części sierżanta Doakesa. Zabrakło mu czasu, żeby skończyć i z Kyle’em, ale Deb bardzo wzięła sobie do serca to, co się stało, i po tym, jak śmiertelnie postrzeliła pocziwego doktora, poświęciła się pielęgnowaniu Chutsky’ego, żeby znów zrobić z niego pełnego wigoru mężczyznę.

Jestem pewien, że nabiła sobie masę punktów w klasyfikacji etycznej, nieważne, kto ją prowadził, ale prawdę mówiąc, wszystkie te dni wolnego nie wyszły jej na dobre w oczach szefostwa, a co gorsza, biedny samotny Dexter boleśnie odczuł niczym niezawinione odstawienie na boczny tor przez jedyne żyjącego członka rodziny.

Dlatego zatrudnienie Debory przy tej sprawie było wszystkim na rękę. Teraz rozmawiała po drugiej stronie ścieżki ze swoim szefem, kapitanem Matthewsem, i niewątpliwie dawała mu trochę amunicji na jego nieustającą wojnę z prasą, która uparcie nie chciała sfotografować go od tej lepszej strony.

A wozy transmisyjne już podjeżdżały i wypluwały ekipy kręcące plany ogólne. Paru lokalnych ogarów śledczych, ściskających z nabożeństwem mikrofony, recytowało przepojone smutkiem zdania o tragedii, jaką było tak brutalne unicestwienie dwojga istnień ludzkich. Jak zawsze, podziękowałem opatrności za to, że żyję w wolnym kraju, w którym media mają święte prawo pokazywać trupy w wieczornych wiadomościach.

Kapitan Matthews starannie przygładził wierzchem dłoni i bez tego idealnie ułożone włosy, klepnął Debore w ramię i poszedł porozmawiać z dziennikarzami. A ja pomaszerowałem do siostry.

Stała tam, gdzie zostawił ją Matthews, i nie spuszczała go z oka, kiedy rozmawiał z Rickiem Sangre, jednym z prawdziwych guru dziennikarstwa hołdującego zasadzie „krwawo znaczy klawo”.

- Hej, siostrzyczko - powiedziałem. - Witaj z powrotem w prawdziwym świecie.

Pokręciła głową.

- Hip hura.

- Jak się miewa Kyle? - spytałem nauczony, że o takie rzeczy należy pytać.

- Fizycznie? Dobrze. Ale ciągle czuje się taki... niepotrzebny. A te palanty z Waszyngtonu nie pozwalają mu wrócić do pracy.

Trudno mi było ocenić, czy Chutsky nadaje się do tego, by wrócić do pracy, bo nikt nigdy nie powiedział, czym się właściwie zajmował. Wiedziałem tylko, że miało jakieś powiązania z bliżej nieokreślonym organem rządu i praca miała charakter tajny, nic ponadto.

- Cóż - szukałem stosownego banału - jestem pewien, że to kwestia czasu.

- Uhm - odparła - Jasne. - Spojrzała w miejsce, gdzie leżały dwa zwęglone ciała. - Przynajmniej teraz będę miała czym zająć myśli.

- Wróble ćwierkają, że podejrzewasz tych od Santerii. - Błyskawicznie odwróciła się do mnie.

- A ty nie?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale? - rzuciła ostrym tonem.

- Żadnych ale.

- Niech cię diabli, Dexter. Co o tym wiesz? - Zapytała nie bez powodu. Wszyscy wiedzieli, że od czasu do czasu zdarzało mi się przedstawiać całkiem trafne hipotezy dotyczące niektórych makabrycznych zabójstw. Pojawiła się nawet opinia, że jestem znawcą sposobu myślenia i działania pokręconych psycholi - co nie mogło dziwić, skoro, o czym nie wiedział nikt oprócz siostry, byłem jednym z nich.

Debora od niedawna znała moją prawdziwą naturę i bez skrupowania wykorzystywała ją, by ułatwić sobie pracę. Nie miałem nic przeciwko; chętnie pomagałem. Od czego jest rodzina? I mało obchodziło mnie, że moi współbracia-potwory spłacą swój dług wobec społeczeństwa na krześle elektrycznym - no chyba że, ma się rozumieć, chodziło o kogoś, kogo wolałem zachować dla własnej niewinnej rozrywki.

Ale w tym wypadku nie miałem Deborze nic do powiedzenia. Tak naprawdę liczyłem, że ona podrzuci mi jakiś okruch informacji, coś, co mogłoby wyjaśnić, czemu Mroczny Pasażer odstawił ten osobliwy, zupełnie doń niepodobny numer ze znikaniem. Choć akurat

o tym szczerze wolałbym jej nie mówić. Z drugiej strony, cokolwiek powiem o tej podwójnej ofierze całopalnej, nie uwierzy. Uzna po prostu, że wiem coś, co z powodów osobistych postanowiłem zachować dla siebie. Bardziej podejrzliwa od siostry jest tylko siostra, która pracuje w policji.

Rzeczywiście, była przekonana, że coś przed nią ukrywam, i próbowała to wyciągnąć.

- No, Dexter, wyduś wreszcie. Powiedz, co o tym wiesz.

- Droga siostrzyczko, jestem w kropce.

- No to byczo - rzuciła i chyba nie dostrzegła ironii w moich słowach. - Nie wierzę. Nie mówisz wszystkiego.

- A skąd - zapewniłem. - Czy okłamałbym swoją jedyną siostrę?

Przeszyła mnie wzrokiem.

- Czyli to nie Santeria?

- Nie mam pojęcia - powiedziałem tak uspokajająco, jak tylko mogłem. - Wydaje się, że to dobry punkt wyjścia. Ale...

- Wiedziałaś - warknęła. - Ale co?

- Cóż - zacząłem. Naprawdę, dopiero co przyszło mi to do głowy i pewnie nic nie znaczyło, ale że byłem już w połowie zdania, dociągnąłem je do końca. - Słyszałaś kiedyś, żeby santero używali ceramiki? I te byki... Zdaje się, że ich bardziej kręcą łby koźle?

Przez minutę bardzo uważnie mi się przyglądała, po czym pokręciła głową.

- To wszystko? Nic więcej nie masz?

- Przecież mówię, Deb, nie mam nic. Tak tylko głośno myślę. Mówię, co mi do głowy przychodzi.

- Cóż, jeśli nie kłamiesz...

- Oczywiście, że nie - obruszyłem się.

- To masz figę z makiem - powiedziała i znów odwróciła się w stronę kapitana Matthews, który odpowiadał na pytania, pracując solidnie swoją okazałą, męską szczęką wysuniętą do przodu. - A to tylko trochę mniej niż ochłapy, które mam ja.

Nie zdawałem sobie sprawy, że figa z makiem to mniej niż ochłapy, poszerzyłem więc swoją wiedzę. Jednak nawet to wiekopomne odkrycie nie przyczyniło się do znalezienia odpowiedzi na pytanie najważniejsze: dlaczego Mroczny Pasażer zrejterował? Dzięki mojej pracy i mojemu

hobby widziałem rzeczy, których większość ludzi nie potrafi sobie nawet wyobrazić, no chyba że oglądali filmy, które puszcza się kierowcom złapanym na jeździe po pijaku. I do każdej sprawy, z jaką się zetknąłem, choćby najbardziej makabrycznej, mój cieniem spowity kompan miał jakiś celny komentarz natury ogólnej, nawet jeśli było to tylko ziewnięcie.

Teraz jednak, postawiony przed - wielkie rzeczy - dwoma zwęglonymi ciałami i paroma sztukami chałupniczej ceramiki, Mroczny Pasażer postanowił czmychnąć jak spłoszony pajak i zostawić mnie na łodzi - było to dla mnie zupełnie nowe uczucie i stwierdziłem, że ani trochę mi się ono nie podoba.

Ale co miałem zrobić? Nie znałem nikogo, z kim mógłbym porozmawiać o czymś takim jak Mroczny Pasażer, przynajmniej jeśli chciałem pozostać na wolności, a chciałem, zdecydowanie. O ile się orientowałem, nie było żadnych ekspertów w tej dziedzinie, oprócz mnie. Co jednak tak naprawdę wiedziałem o moim serdecznym druhu? Czy rzeczywiście znałem go na wylot tylko dlatego, że tak długo u mnie siedział? Przez to, że dał dyla do piwnicy, czułem się okropnie spięty, zupełnie jakbym nagle odkrył, że chodzę po moim gabinecie bez spodni. Sęk w tym, że nie miałem pojęcia, czym Mroczny Pasażer był ani skąd się wziął, i nigdy nie przywiązywałem do tego większej wagi.

Aż do teraz.

Przy żółtej taśmie zabezpieczającej rozciągniętej przez policję zebrał się skromny tłumek. Dostatecznie duży, by Obserwator mógł stać w środku i niczym się nie wyróżniać.

Patrzył z zimnym głodem, który nie odbijał się na jego twarzy - twarz nie okazywała nic; była tylko maską, sposobem, żeby ukryć zmagazynowaną w nim moc, zwiniętą jak sprężyna. Mimo to otaczający go ludzie zdawali się ją wyczuwać i od czasu do czasu zerkali niepewnie w jego stronę, jakby słyszeli gdzieś w pobliżu ryczenie tygrysa.

Obserwatorowi podobało się ich zakłopotanie i tępy strach, z jakim gapili się na jego dzieło. To było jedną z wielu przyjemności, jakie dawało posiadanie tej mocy, i jednym z powodów, dla których lubił patrzeć.

Teraz jednak patrzył w określonym celu, uważnie i z rozmysłem, nie przestawał obserwować mrówczej krzątaniny, i czuł jak zbiera w nim moc. Chodzące mięso, pomyślał. Istoty, które stoją niżej od owiec, a my jesteśmy pasterzem.

Podczas gdy napawał się ich pożałowania godną reakcją na jego kompozycję, poczuł, że obca siła muska jego wyczulone zmysły, zmysły drapieńczy. Powoli przesunął spojrzeniem wzdłuż żółtej taśmy...

Tam. To był on, ten w pstrej hawajskiej koszuli. Naprawdę pracował w policji.

Obserwator ostrożnie go wybadał, jak jeden owad obmacujący drugiego czułkami; tamten stał nieruchomo z zamkniętymi oczami, jakby zadawał w duchu pytanie - tak. Teraz wszystko jasne. Poczul sięgające ku niemu zmysły; miał dużą moc, to pewne.

Ale jaki był jego cel?

Tamten wyprostował się, rozejrzał, po czym jakby się otrząsnął i wszedł za taśmę.

My jesteśmy silniejsi, pomyślał Obserwator. Silniejsi od nich wszystkich. Przekonają się o tym, ku ich wielkiej rozpacz.

Czuł narastający głód - ale musiał wiedzieć więcej, więc zaczeka na odpowiedni moment. Będzie czekał i patrzył.

Na razie.

6

Miejsce zabójstwa bez jednego rozbryzgu krwi to powinien być dla mnie spacer, ale jakoś nie mogłem wprawić się w na tyle bez troski nastrój, żeby się tym nacieszyć. Przez pewien czas krążyłem, chodziłem z jednej strony taśmy na drugą i z powrotem, ale roboty było dla mnie tyle co nic. A że Debora najwyraźniej powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia, czułem się cokolwiek osamotniony i znużony bezczynnością.

Człowiekowi rozsądnemu można by wybaczyć, gdyby się trochę nadąsał, ale ja nigdy nie twierdziłem, że jestem rozsądny, a to bardzo ograniczało moje możliwości. Chyba najlepiej byłoby machnąć na to ręką i pomyśleć o wielu ważnych sprawach, które dopominały się zainteresowania - takich jak dzieci, kucharz, Paryż, lunch... Cała litania. Nic dziwnego, że Pasażer troszkę się spieszył.

Jeszcze raz spojrzałem na spalone ciała. Nie kryły w sobie nic złowieszczonego. Ale Mroczny Pasażer uparcie milczał.

Bez pośpiechu wróciłem do Debory. Właśnie rozmawiała z Angelem-Bez-Skojarzeń. Oboje spojrzeli na mnie wyczekująco, ale nie miałem w zanadrzu żadnej dowcipnej uwagi, co było zupełnie nie w moim stylu. Szczęśliwie dla mojej słynnej na cały świat reputacji Dextera - wiecznie pogodnego stoika, zanim do reszty zmarkotniałem, Debora zajrzała mi za ramię i prychnęła.

- No, kurwa, nareszcie.

Podążyłem oczami za jej spojrzeniem do radiowozu, który właśnie podjechał, i zobaczyłem wysiadającego mężczyznę w bieli.

Przybył oficjalny babalao Miasta Miami.

Nasze piękne miasto stale tonie w oślepiających oparach kolesiostwa i korupcji - takie Chicago z czasów prohibicji do pięt nam nie dorasta - i co roku wyrzuca się miliony dolarów na fikcyjne usługi konsultingowe, rozrastające się budżety projektów, które nie mogą ruszyć z miejsca, bo zostały przyznane czyjejś teściowej, i inne specjalne wydatki o wielkim znaczeniu dla obywateli, choćby na nowe

luksusowe auta dla politycznych klakierów. Nie powinno więc dziwić, że miasto wypłaca pensję plus dodatki kapłanowi Santerii.

Dziwi to, że kapłan uczciwie pracuje na swoje pieniądze.

Co rano o wschodzie słońca babalao zajeżdża przed gmach sądu, gdzie zwykle znajduje zwierzątko złożone w ofierze przez ludzi, mających ważne sprawy sądowe w toku. Żaden obywatel Miami przy zdrowych zmysłach nie tknąłby tych szczątków, ale oczywiście nie uchodzi zostawiać ich porzucanych wokół wspaniałej świątyni sprawiedliwości. Dlatego babalao usuwa ofiary, muszle monetek, pióra, paciorki, amulety i obrazki w taki sposób, by nie urazić oriszy, duchów opiekuńczych Santerii.

Czasami wzywa się go, żeby w interesie całej społeczności rzucił takie czy inne zaklęcie, na przykład pobłogosławił nową estakadę zbudowaną przez najtańszego wykonawcę lub obłożył New York Jets klątwą. A tym razem wyglądało na to, że wezwała go moja siostra, Debora.

Oficjalny miejski babalao był Murzynem pod pięćdziesiątkę, miał metr osiemdziesiąt wzrostu, bardzo długie paznokcie i wielkie brzuszysko. Nosił białe spodnie, białą guayabere i sandały. Przyczłapał ciężko od radiowozu, który go przywiózł, z obrażoną miną urzędasa oderwanego od ważnej roboty papierkowej. Idąc, czyścił ręką koszuli czarne okulary w rogowej oprawie. Włożył je przy ciałach i ledwie to zrobił, stanął jak wryty.

Przez długą chwilę tylko patrzył. Potem, nie odrywając oczu od trupów, zaczął się cofać. Jakies dziesięć metrów dalej odwrócił się, poszedł do radiowozu i wsiadł.

- Co jest, kurwa - powiedziała Debora i musiałem przyznać, że wyjęła mi to z ust. Babalao trzasnął drzwiami i siedział nieruchomo na przednim siedzeniu, patrząc przed siebie. Debora mruknęła „Szlag by to” i podeszła do samochodu. A ponieważ jak wszystkie dociekliwe umysły łaknę wiedzy, ruszyłem za nią.

Kiedy doszedłem do samochodu, stuknęła w szybę od strony pasażera, a babalao nadal patrzył w dal, z zaciętymi szczękami, i uparcie udawał, że jej nie widzi. Zapukała mocniej; pokręcił głową.

- Proszę otworzyć - posłużyła się swoim najlepszym policyjnym głosem, tym od wydawania rozkazu „rzuć broń”. Pokręcił głową

bardziej energicznie. Zapukała w szybę jeszcze mocniej. – Otwierać! – krzyknęła.

Wreszcie opuścił szybę.

– Nic tu po mnie – usłyszeliśmy.

– Co to w ogóle jest? – napierała Debora.

Tylko pokręcił głową.

– Muszę wracać do pracy.

– Czy to Palo Mayombe? – spytałem go i Deb zgromiła mnie wzrokiem za to, że się wtrącam, ale uznałem, że moje pytanie jest zasadne. Palo Mayombe było nieco mroczniejszą odmianą Santerii i choć nic o niej nie wiedziałem, dotarły do mnie intrygujące plotki o pewnych bardzo okrutnych obrzędach.

Babalao znów pokręcił głową.

– Słuchajcie – powiedział – są na świecie takie rzeczy, że nawet sobie nie wyobrażacie, i lepiej, żebyście o nich nie wiedzieli.

– To jedna z nich? – dociekałem.

– Nie wiem – odparł. – Niewykluczone.

– Co może nam pan o tym powiedzieć? – naciskała Debora.

– Nie mogę powiedzieć nic, bo nic nie wiem – rzekł. – Ale to mi się nie podoba i nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Mam ważne sprawy... Powiedzcie tamtemu gliniarzowi, że muszę jechać. – I zamknął okno.

– Cholera. – Debora spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Przecież nic nie zrobiłem – obruszyłem się.

– Cholera – powtórzyła. – Co to, kurde, znaczy?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Uhm – mruknęła Debora z nieprzekonaną miną, co zakrawało na ironię. To znaczy, ludzie wierzą mi bez zastrzeżeń, kiedy nie jestem z nimi do końca szczerzy; a tu proszę, moja przybrana krew, a nie chce uwierzyć, że naprawdę nic a nic nie wiem. Tyle tylko, że babalao zareagował tak samo jak Pasażer – no właśnie, co z tego wynikało?

Zanim mogłem rozwinąć tę frapującą myśl, zauważyłem złe spojrzenie Debory.

– Znaleźliście głowy? – spytałem, jak mi się zdawało, całkiem do rzeczy. – Gdybyśmy wiedzieli, co z nimi zrobił, mogłoby to dać pojęcie o całym rytuale.

- Nie, nie znaleźliśmy głów. Nie znalazłam nic oprócz brata, który coś przede mną ukrywa.

- Debora, daj spokój, podejrzliwość piękności szkodzi. Zmarszczek dostaniesz.

- Może przy okazji dostanę mordercę - powiedziała i wróciła do spalonych ciał.

Ponieważ wyraźnie przestałem być użyteczny, przynajmniej dla mojej siostry, na miejscu zbrodni zostało mi niewiele do zrobienia. Pobrałem jeszcze małe próbki zakrzepłej czarnej skorupy okalającej obie szyje i wróciłem do laboratorium dość wcześnie, by swobodnie zdążyć zjeść późny lunch.

Niestety jednak biedny Dzielny Dexter najwidoczniej miał na plecach wymalowaną tarczę strzelniczą, bo moje kłopoty dopiero się zaczynały. Już sprzątałem biurko i szykowałem się do wzięcia udziału w radośnie zabójczych popołudniowych korkach, kiedy do mojego gabinetu wparował Vince Masuoka.

- Właśnie rozmawiałem z Mannym - oznajmił. - Może się z nami spotkać jutro o dziesiątej rano.

- To wspaniale - odparłem. - A byłoby jeszcze wspanialej, gdybym wiedział, kto to jest Manny i czemu chce się z nami spotkać.

Vince o dziwo wyglądał na lekko urażonego. Naprawdę. Rzadki widok.

- Manny Borque. Kucharz.

- Ten z MTV?

- Zgadza się. Ten, który zdobył tyle nagród i był chwalony w „Gourmet”.

- No tak. - Grałem na zwłokę w nadziei, że jakiś genialny błysk natchnienia wyciągnie mnie z tej opresji. - Nagradzany kucharz.

- Dexter, to nie byle kto. Dzięki niemu możesz mieć ślub z klasą.

- Wiesz, Vince, to super, ale...

- Słuchaj no - przerwał bezceremonialnie ostrym tonem, jakiego nigdy nie używał - mówiłeś, że pogadasz z Ritą, i decyzję zostawisz jej.

- Tak powiedziałem?

- Tak powiedziałeś. A ja nie pozwolę ci zmarnować wyjątkowej okazji, nie kiedy wiem, że chodzi o coś, na czym Ricie by zależało.

Skąd u niego ta pewność? Byłem zaręczony z tą kobietą, a pojęcia nie miałem, jaki kucharz przyprawiłby ją o bojaźń i drzenie. Nie wydawało mi się jednak, że to dobry moment na pytanie Vince'a, skąd wie, na czym Ricie by zależało, a na czym nie. Z drugiej strony, facet, który na Halloween przebiera się za Carmen Mirandę, może rzeczywiście ma lepsze niż ja rozeznanie w najskrytszych kulinarnych żądach mojej narzeczonej.

- Cóż - powiedziałem w końcu, uznając, że najlepszym rozwiązaniem będzie granie na czas, dopóki nie nadarzy się okazja do ucieczki. - W takim razie pojedę do domu i porozmawiam z Ritą.

- Słusznie - rzucił. I nie wypadł gniewnie z gabinetu, ale gdyby były drzwi, którymi można by trzasnąć, pewnie by to zrobił.

Skończyłem sprzątać i wtarabaniłem się w wieczorny ruch. W drodze do domu wjechał za mnie facet pod czterdziestkę w sportowo-użytkowej toyocie i nie wiedzieć czemu zaczął trąbić. Jakies pięć, sześć przecznic dalej zrównał się ze mną i, pokazując mi środkowy palec, lekko szarpnął kierownicą, żeby mnie nastraszyć i zepchnąć z jezdni. Choć byłem pełen uznania dla jego zapału i z chęcią zrobiłbym mu przyjemność, zostałem na drodze. Nie ma najmniejszego sensu próbować zrozumieć sposób, w jaki kierowcy z Miami przemieszczają się z punktu A do punktu B. Trzeba się po prostu odprężyć i cieszyć otaczającą agresją - a z tym, wiadomo, kłopotu nigdy nie miałem. Dlatego uśmiechnąłem się i pomachałem, a on wcisnął gaz do dechy i zniknął wśród samochodów z prędkością o jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę wyższą od dozwolonej.

Chaos i zamęt towarzyszące wieczornym powrotom do domu zazwyczaj są dla mnie idealnym ukoronowaniem dnia. Widok całego tego gniewu, tej żądy mordy, relaksuje, sprawia, że czuję więź, która łączy mnie z moim rodzinnym miastem i jego dziarskimi mieszkańcami. Dziś jednak trudno było znaleźć cokolwiek, co poprawiłoby mi nastrój. W życiu nie pomyślałbym, że to możliwe, ale czułem niepokój.

Co gorsza, nie wiedziałem, jaka jeszcze jest przyczyna niezbyt dobrego samopoczucia, prócz tej, że Mroczny Pasażer odwrócił się do mnie plecami na miejscu artystycznego zabójstwa. Zdarzyło się to po raz pierwszy i mogłem tylko przypuszczać, że powodem było coś niezwykłego i być może zagrażającego Dexterowi. Ale co? I na jakiej podstawie tak sądziłem, skoro o samym Pasażerze nie wiedziałem

tak naprawdę nic, poza tym że zawsze mogłem liczyć na jego wesołe komentarze i przemyślenia. Widzieliśmy już spalone ciała, ceramiki też naoglądaliśmy się do przesytu, zawsze bez dreszczu obrzydzenia czy choćby słowa protestu. Czy chodziło o połączenie jednego z drugim? A może te dwa ciała miały w sobie coś szczególnego? A może to po prostu zbieg okoliczności, zupełnie niezwiązany z tym, co zobaczyliśmy?

Im więcej myślałem, tym mniej wiedziałem, ale oblewająca mnie rzeka samochodów układała się w kojąco mordercze wzory i kiedy dotarłem do domu Rity, prawie przekonałem siebie, że naprawdę nie ma się czym martwić.

Wszyscy byli już w domu. Rita miała dużo bliżej do pracy niż ja, a dzieci chodziły na zajęcia pozaszkolne do pobliskiego parku, więc cała gromadka czekała co najmniej pół godziny na okazję, by mnie podręczyć i pozbawić zasłużonego spokoju.

- Pokazali to w wiadomościach - szepnęła Astor, ledwie otworzyłem drzwi, a Cody skinął głową i powiedział „Fuj” swoim cichym, chrapliwym głosem.

- Co pokazali? - spytałem, usiłując ich ominąć i przy tym nie zdeptać.

- Spaliłeś ich! - syknęła Astor, a Cody spojrział na mnie niby obojętnie, a mimo to z wyczuwalną dezaprobatą.

- Że co? Kogo...

- Tych dwóch ludzi, których znaleźli przy college'u - wyjaśniła. - Nie tego chcemy się uczyć - dodała z naciskiem, a Cody znów pokiwał głową.

- Przy... Mówisz o uniwersytecie? To nie ja...

- Uniwersytet, college nie ma różnicy - stwierdziła Astor z niepodlegającą dyskusji pewnością dziesięcioletki. - I uważamy, że spalanie jest obrzydliwe.

Zaświtało mi, co zobaczyli w wiadomościach - relację z miejsca, w którym rano pobierałem z dwóch zwęglonych ciał upieczone próbki krwi. I tylko dlatego, że wiedzieli, iż któregoś wieczoru poszedłem się rozerwać, uznali, że to moje dzieło. Nawet pomijając dziwną rejteradę Mrocznego Pasażera, zgadzałem się, iż było na wskroś obrzydliwe

i mocno zdenerwowało mnie, że ich zdaniem mogłem w tym mieć swój udział.

- Słuchajcie no. - Skarciłem się wzrokiem. - To nie było...

- Dexter? To ty? - zajadłowała Rita z kuchni.

- Nie jestem pewien - odkrzyknąłem. - Sprawdzę w dokumentach.

Wpadła rozpromieniona i zanim mogłem się obronić, objęła mnie i ścisnęła tak mocno, jakby koniecznie chciała mi utrudnić oddychanie.

- Cześć, przystojniaku. Jak minął dzień?

- Obrzydliwie - mruknęła Astor.

- Przecudownie - powiedziałem, łapiąc oddech. - Trupów starczyło dla każdego. I miałem okazję użyć wacików.

Rita była zde gustowana.

- A fe. To... Nie wiem, czy powinieneś tak mówić przy dzieciach. Mogę mieć złe sny.

Gdybym pozwolił sobie na szczerłość, odparłbym, że jej dzieci prędzej przyprawią innych o złe sny, niż same ich doświadczą, ale ponieważ nie muszę się ograniczać do mówienia prawdy, poklepałem ją tylko, bagatelizując sprawę:

- Gorsze rzeczy słyszą co dzień w kreskówkach. Prawda, dzieci?

- Nie - zaprotestował cicho Cody. Spojrzałem na niego z zaskoczeniem. Rzadko się odzywał i zaniepokoiło mnie, że teraz nie tylko zabrał głos, ale też się sprzeciwił. Tak naprawdę tego dnia wszystko stanęło na głowie, poczynając od panicznej ucieczki Mrocznego Pasażera rano, poprzez tyradę Vince'a na temat cateringu, aż po... to. W imię wszystkiego, co mroczne i makabryczne, co tu się działo? Mam fatalną aurę? A może układ księżyców Jowisza w Strzelcu był dla mnie niekorzystny?

- Cody - powiedziałem. Naprawdę w moim głosie zabrzmiał lekki wyrzut. - Nie będziesz miał z tego powodu złych snów, co?

- On nie ma złych snów - oświadczyła Astor dobitnie, jakby mówiła coś, co wiedzieć powinien każdy, kto nie jest poważnie upośledzony na umyśle. - W ogóle nie ma snów.

- Dobrze wiedzieć. - Mnie też prawie nigdy nic się nie śni i z niewiadomych przyczyn zależało mi na tym, by mieć z Codym jak najwięcej wspólnego. Ale Rita ani myślała tak to zostawić.

- Astor, proszę cię, nie gadaj głupstw. Oczywiście, że Cody ma sny. Każdy ma sny.

- Ja nie - upierał się Cody. Teraz nie tylko stawiał się nam obojgu, ale i praktycznie bił swój rekord gadatliwości. I choć nie miałem serca, to znaczy miałem, ale tylko takie do pompowania krwi, to poczułem sympatię do chłopaka i chciałem stanąć po jego stronie.

- I bardzo dobrze. - Zająłem solidarne stanowisko. - Tak trzymać. Sny są mocno przereklamowane. Nie dają się porządnie wyspać.

- Oj, Dexter - obruszyła się Rita - to nie jest coś, co powinniśmy pochwalać.

- Pewnie, że powinniśmy. - Mrugnąłem do Cody'ego. - Chłopak pokazuje, że ma ogień, ikrę i wyobraźnię.

- Wcale nie - burknął i teraz to już naprawdę nie mogłem się nadziwić jego wylewności.

- Oczywiście, że nie - powiedziałem do niego, zniżając głos. - Ale musimy mówić twojej mamie takie rzeczy, żeby się nie martwiła.

- Na litość boską - zachnęła się Rita. - Nie mam do was siły. Dzieci, idźcie pobawić się na dworze.

- Chcemy pobawić się z Dexterem - uściśliła naburmuszona Astor.

- Przyjdę za pięć minut, obiecuję.

- Ja myślę. - Spojrzała na mnie złowrogo. Ruszyli do tylnych drzwi i zniknęli w głębi korytarza. Kiedy wyszli, odetchnąłem głęboko, zadowolony, że zajadłe i nieusprawiedliwione ataki na moją osobę chwilowo ustały. Oczywiście, powinienem był wiedzieć, że to tylko pobożne życzenie.

- Chodź tu. - Rita, siedząc na sofie, pociągnęła mnie za rękę. - Dzwonił Vince - zaczęła, kiedy umościliśmy się na poduszkach.

- Tak? - Na samą myśl, co mógł powiedzieć Ricie, przeszył mnie dreszcz grozy. - Co powiedział?

Pokręciła głową.

- Był bardzo tajemniczy. Prosił, żeby dać mu znać, kiedy już to omówimy. Spytałam, co mamy omówić, o co w ogóle chodzi, ale powiedział tylko, że dowiem się od ciebie.

W ostatniej chwili powstrzymałem się od palnięcia niewybaczalnej gafy, jaką byłoby powtórzenie pytania „Tak?” Na swoją obronę muszę wyznać, że w głowie miałem zupełny mętlik, panikarska myśl, że pora

umknąć w jakieś bezpieczne miejsce, mieszała się z postanowieniem, by przedtem znaleźć czas na złożenie Vince'owi wizyty z moją torbą zabawek. Zanim jednak zdążyłem w duchu wybrać odpowiedni nóż, Rita już mówiła dalej.

- Serio, Dexter, powinieneś się cieszyć, że masz takiego przyjaciela jak Vince. Naprawdę poważnie traktuje obowiązki druzby. No i ma doskonały gust.

- A jaki drogi - mruknąłem i może to jeszcze były następstwa mojej niedoszłej gafy z powtórzeniem „Tak?”, ale ledwie skończyłem mówić, a już wiedziałem, że powiedziałem o trzy słowa za dużo. No i rzeczywiście, Rita zapaliła się jak choinka.

- Naprawdę? Cóż, w sumie trudno się dziwić. To znaczy, jedno najczęściej idzie w parze z drugim, nie? Zwykle dostajesz to, za co płacisz.

- Tak, ale wszystko rozbija się o to, ile musisz zapłacić - odparłem.

- Za co? - spytała Rita, no i stało się. Wpadłem.

- Cóż Vince'owi strzeliło do głowy, żebyśmy wynajęli kucharza z South Beach, strasznie drogiego faceta, który obsługuje imprezy gwiazd i takie tam.

Rita złożyła dłonie pod brodą. Promieniała szczęściem.

- Nie mów, że to Manny Borque! - krzyknęła. - Vince zna Manny'ego Borque'a?

No i wiadomo było, że już jest pozamiatane, ale Dzielny Dexter nie poddaje się bez walki, choćby nieudolnej.

- Wspomniałem, że jest bardzo drogi? - powiedziałem z nadzieją.

- Och, Dexter, w takiej chwili nie można się martwić pieniędzmi!

- Właśnie, że można. I się martwię.

- Nie warto się zastanawiać, skoro jest szansa ściągnąć Manny'ego Borque'a. - W jej głosie zabrzmiała zaskakująco ostra nuta, którą słyszałem u niej tylko wtedy, kiedy była zła na dzieci.

- Jasne, Rita, ale... nie ma sensu wydawać ciężkich pieniędzy na samego kucharza.

- Sens nie ma nic do rzeczy - stwierdziła i musiałem przyznać, że co do tego jesteśmy zgodni. - Jeśli możemy wynająć Manny'ego Borque'a na nasze wesele, szaleństwem byłoby tego nie zrobić.

- Jednak... - zacząłem i urwałem, bo poza faktem, że idiotyzmem jest płacić zawrotną sumę za krakersy z liśćmi cykorii ręcznie pomalowanymi sokiem z rabarbaru i wykrojonymi w kształty Jennifer Lopez, nie przychodziły mi do głowy żadne kontrargumenty. Co, ten nie wystarczał?

Jak się okazało - nie.

- Dexter. - Spojrzała na mnie ciepło. - Ile razy w życiu bierze się ślub? - I, mogę się pochwalić, byłem dość czujny, by odeprzeć cisnącą się na usta odpowiedź „W twoim wypadku najmniej dwa”, co prawdopodobnie było bardzo mądre.

Szybko zmieniłem kurs i przerzuciłem się na taktykę, której nauczyły mnie długie lata udawania człowieka.

- Rita, najważniejsza część ślubu to chwila, kiedy włożę ci obrączkę. Wszystko mi jedno, co potem zjemy.

- Jakiś ty kochany - rozanieliła się. - Czyli nie masz nic przeciwko wynajęciu Manny'ego Borque'a?

I znów zorientowałem się, że przegrałem spór, zanim zdążyłem ustalić, po której właściwie jestem stronie. Poczulem suchość w ustach - niewątpliwie dlatego, że je rozdziawiłem, podczas gdy mózg rozpaczliwie usiłował zrozumieć to, co się właśnie stało, i znaleźć coś mądrego do powiedzenia, co pozwoliłoby mi wrócić na pewny grunt.

Ale było już o wiele za późno.

- Oddzwonię do Vince'a - powiedziała i nachyliła się, żeby pocałować mnie w policzek. - Och, ale się cieszę. Dziękuję, Dexter.

Cóż, w końcu małżeństwo wymaga kompromisów, prawda?

7

Naturalnie, Manny Borque mieszkał w South Beach, na ostatnim piętrze jednego z nowych wieżowców, które wyrastają w Miami jak grzyby po deszczu. Ten zajął miejsce dzikiej plaży, na którą Harry zabierał mnie i Deb co sobota rano, żebyśmy szukali skarbów. Znajdowaliśmy stare koła ratunkowe, tajemnicze drewniane szczątki jakiejś pechowej łodzi, boje od węcierzy do połowu homarów, strzępy sieci rybackich i, pewnego emocjonującego poranka, unoszące się na falach na wskroś martwe ludzkie ciało. To było jedno z najdroższych wspomnień z lat chłopięcych i strasznie mi się nie podobało, że właśnie tam ktoś postawił tę lichą, lśniącą wieżę.

O dziesiątej następnego ranka wyszliśmy z Vince'em z pracy i pojechaliśmy do tego okropnego gmaszyska, powstałego w miejscu, gdzie za młodu miałem tyle frajdy. W windzie milczałem i obserwowałem, jak Vince wierci się i mruga. Czemu miał tremę przed spotkaniem z kimś, kto trudnił się okrawaniem siekanej wątróbki, tego nie wiem, ale tak było. Po policzku ściekła mu kropla potu i nerwowo przełknął ślinę, dwa razy.

- To kucharz, Vince - powiedziałem mu. - Nie jest niebezpieczny. Nawet karty bibliotecznej ci nie unieważni.

Spojrzał na mnie i znów przełknął.

- Łatwo wpada w złość. Potrafi być bardzo wymagający.

- No cóż - odparłem z wielką radością - skoro tak, poszukajmy kogoś bardziej sensownego.

Zacisnął szczęki jak człowiek stojący przed plutonem egzekucyjnym i pokręcił głową.

- Nie. - Minę miał hardą. - Damy radę. - Drzwi windy rozsunęły się jak na zawołanie. Wyprostował ramiona i skinął głową. - Chodź.

Poszliśmy na koniec korytarza i Vince zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami. Odetchnął głęboko, uniósł pięść i, po chwili wahania, zapukał. Kiedy długo nic się nie działo, spojrzał na mnie i zamrugał, nie opuszczając ręki.

Drzwi się otworzyły.

- Cześć, Vic! - zaszczębiotało coś, co w nich stało.

Vince w odpowiedzi oblał się rumieńcem i wyjąkał:

- Ja tylko, cześć. - Przesąpił z nogi na nogę, wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „Ehm tego” i zrobił pół kroku w tył.

Było to niezwykle i ogromnie zajmujące przedstawienie, nie tylko dla mnie. Człowieczek, który otworzył, oglądał je z uśmiechem wskazującym, że ludzkie cierpienie w każdej postaci stanowi dla niego doskonałą rozrywkę, i pozwolił, by Vince wiercił się przez kilka długich chwil, zanim powiedział:

- Ależ wejdźcie!

Manny Borque, jeśli to rzeczywiście on, a nie dziwaczny hologram z *Gwiezdnych wojen*, mierzył cały metr sześćdziesiąt od spodu wyszywanych srebrnych butów na wysokich obcasach po czubek ufarbowanej na pomarańczowo głowy. Włosy miał krótko ostrzyżone, z pominięciem czarnej grzywki, która rozdzielała się na czole jak ogon jaskółki i opadała na przeogromne, wysadzone strasami okulary. Nosił luźną, jaskrawoczerwoną, pstrokatą koszulę i - zdaje się, że nic poza tym - koszula ta wirowała wokół niego, kiedy cofnął się od drzwi, żeby zaprosić nas gestem do środka, a następnie podreptał szybkimi, małymi kroczkami do wielkiego okna panoramicznego z widokiem na wodę.

- Chodźcie, porozmawiamy - powiedział, omijając piedestał z olbrzymim, bliżej niezidentyfikowanym obiektem, który wyglądał jak wielka kula zwierzęcych rzygów, unurzana w plastiku i wymalowana sprejem fluorescencyjnym. Zaprowadził nas do szklanego stolika przy oknie, który otaczały cztery przedmioty; prawdopodobnie miały to być krzesła, ale łatwo można by je wziąć za wykonane z brązu siodła na wielbłąda, przyspawane do pali. - Siadajcie - zaprosił szerokim gestem i zająłem wyrób krzesłopodobny najbliżej okna. Vince po chwili wahania usiadł obok mnie, a Manny wskoczył na miejsce naprzeciw niego. - No cóż - zagadnął - co u ciebie, Vic? Napijecie się kawy? - I nie czekając na odpowiedź, odwrócił głowę w lewo i zawołał: - Eduardo!

Obok mnie Vince wziął urywany oddech, ale zanim mógł cokolwiek z nim zrobić, Manny zwrócił się twarzą do mnie.

- A pan co taki nieśmiały? Pan młody, zgadza się?

- Dexter Morgan - przedstawiłem się. - Ale z nieśmiałością to bym nie przesadzał.

- Vic jest nieśmiały za was obu - skomentował. I rzeczywiście, Vince jak na komendę zaczerwienił się na tyle, na ile mu cera pozwalała. A ponieważ wciąż byłem dość mocno poirytowany, że muszę przechodzić te męczarnie, postanowiłem, że nie przyjdę mu z pomocą i ani nie powiem Manny'emu coś do słuchu, ani nawet mu nie wyklaruję, że Vince to nie „Vic”. Byłem pewien, że doskonale znał jego prawdziwe imię i po prostu znęcał się nad facetem. A mnie to nie przeszkadzało: niech Vince cierpi, dobrze mu tak. Nie powinien zwracać się do Rity za moimi plecami i wrabiać mnie w coś takiego.

Wpadł Eduardo z przezroczywą plastikową tacą, na której balansował staroświecki, kolorowy serwis do kawy Fiestaware. Był masywnym młodym mężczyzną, ze dwa razy większym od Manny'ego, i też robił wszystko, żeby zadowolić tego gnoma. Postawił przed nim żółtą filiżankę i już miał podsunąć Vince'owi niebieską, kiedy Manny powstrzymał go, kładąc palec na jego rękę.

- Eduardo - powiedział jedwabistym głosem i chłopak zamarł. - Żółta? Już zapomnieliśmy? Manny'ego jest niebieska.

Eduardo prawie wyskoczył ze skóry; natychmiast wrzucił wsteczny i omal nie upuścił tacy, kiedy pospiesznie zabierał obmierzłą żółtą filiżankę i zastępował ją tą właściwą.

- Dziękuję, Eduardo. - Chłopak znieruchomiał, jakby niepewny, czy podziękowania są na serio, czy też znów się czymś naraził. Manny jednak tylko poklepał go po rękę i przypomniał uprzejmie o obowiązkach: - A teraz obsłuż naszych gości, proszę. - Eduardo skinął głową i obszedł stół wkoło.

Jak się okazało, żółtą filiżankę dostałem ja, co mi nie przeszkadzało, choć zastanawiałem się, czy to znaczy, że mnie nie lubią. Naławszy kawy, Eduardo pośpieszył do kuchni i przyniósł na talerzyku pół tuzina pastelitos. I choć, trzeba przyznać, nie były w kształcie pośladków Jennifer Lopez, to równie dobrze mogłyby być. Wyglądały jak małe jeżozwierze nadziane kremem - ciemnobrązowe grudki ze sterczącymi kolcami albo czekoladowymi, albo powyrywany z ukwiału. Otwarty środek ukazywał pomarańczową, budyniopodobną masę i każda taka

masa miała na górze odrobinę czegoś zielonego, niebieskiego lub brązowego.

Eduardo postawił talerzyk na środku stolika i przez chwilę wszyscy tylko patrzyliśmy na ciastka. Manny zdawał się je podziwiać, a Vince'a najwyraźniej ogarnęło religijne uniesienie, bo znów kilka razy przełknął ślinę i wydał dźwięk, który mógł być okrzykiem zachwytu. Co do mnie, nie byłem pewien, czy mamy te cudowności zjeść, czy wykorzystać w jakimś dziwnym, krwawym azteckim rytuale, więc tylko wpatrywałem się w talerzyk z nadzieją, że dostanę jakąś wskazówkę.

Udzielił mi jej Vince.

- Mój Boże - wykrztusił.

Manny skinął głową.

- Piękne, prawda? Ale ta-a-a-kie nie na czasie. - Podniósł jedno, to z niebieskim czubkiem, i przyjrzał mu się z czymś w rodzaju powściągliwej sympatii. - Paleta barw się przejadła, no i identyczne zaczęli robić w tym strasznym starym hotelu nad Indian Creek. Mimo to... - Wzruszył ramionami i wrzucił sobie ciastko do ust. Nie spowodowało poważnego krwotoku, zauważyłem z zadowoleniem. - Człowiek przywiązuje się do swoich starych sztuczek. - Odwrócił się i mrugnął do Eduardo. - Może czasem aż za bardzo. - Chłopak poblądł i uciekł do kuchni, a Manny odwrócił się do nas z wielkim krokodylim uśmiechem. - Częstujcie się.

- Boję się którekolwiek ugryźć - odezwał się Vince. - Są takie idealne.

- A ja się obawiam, że będą się odgryzać - stwierdziłem.

Manny obnażył imponujący garnitur zębów.

- Gdybym mógł je tego nauczyć - powiedział - nigdy nie byłbym samotny. - Pchnął talerzyk w moją stronę. - Śmiało.

- Czy podałyby je pan na moim weselu? - spytałem w przeświadczeniu, iż może wypadałoby znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

Vince szturchnął mnie łokciem, i to mocno, ale najwyraźniej było za późno. Oczy Manny'ego zwężyły się w szparki, choć jego imponujące uzębienie pozostało na widoku.

- Ja nie podaję - sprostował. - Ja prezentuję. A prezentuję to, co uważam za najlepsze.

- A nie powinienem wiedzieć z wyprzedzeniem, czego się spodziewać? Może panna młoda ma alergię na podlaną wasabi rukolę w galarecie?

Manny zacisnął pięści tak mocno, że słyszałem, jak trzeszcza mu knykcie. Przez chwilę czułem dreszczyk nadziei na myśl, że być może udało mi się go chytrze spławić. Kucharz jednak odprężył się i uśmiechnął.

- Podoba mi się twój kolega, Vic - stwierdził. - Jest bardzo odważny.

Vince obdarzył nas obu uśmiechem i znów zaczął oddychać, a Manny nabazgrał coś na kartce i tak oto wielki Manny Borque zgodził się obsługiwać moje wesele za okazijną cenę dwustu pięćdziesięciu dolarów od nakrycia.

Wydawała się dość wysoka. Z drugiej strony, przecież dostałem wyraźne polecenie, żeby nie martwić się o pieniądze. Rita na pewno coś wykombinuje, na przykład zaprosi tylko dwie, trzy osoby. Tak czy owak, nie dane mi było długo martwić się czymś tak błahym jak finanse, bo chwilę potem moja komórka zaświergotała swoją radosną pieśń żalobną i kiedy odebrałem, usłyszałem, jak Debora mówi, nie próbując nawet odpowiedzieć na moje radosne „cześć”:

- Jesteś mi tu potrzebny. Już.

- Na razie tartinkami się zajmuję. Sprawa wagi państwowej - odparowałem. - Pożyczysz mi dwadzieścia tysięcy dolarów?

Wydała gardłowy dźwięk.

- Dexter, nie mam czasu na pierdoły. Za dwadzieścia minut dobówka. Chcę, żebyś na niej był. - W wydziale zabójstw przyjęło się, że dwadzieścia cztery godziny po rozpoczęciu śledztwa zespół zbierał się w komplecie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest zorganizowane jak należy i czy nadajemy na tych samych falach. A Deb widocznie uważała, że mam jakieś głębokie przemyślenia, którymi mogę się podzielić - miło słyszeć, ale myliła się. Skoro Mroczny Pasażer najwyraźniej nadal przebywał na urlopie, nie zanosilo się na to, by w najbliższym czasie miał na mnie spłynąć olśniewający blask natchnienia.

- Deb, naprawdę nic mi nie przychodzi do głowy.

- Masz tu być i już - ucięła i się rozłączyła.

8

Na drodze numer 836, zaraz za miejscem, w którym wpadała do niej 395 z Miami Beach, utworzył się kilkusetmetrowy korek. Posuwaliśmy się centymetr po centymetrze od zjazdu do zjazdu, aż zobaczyliśmy, w czym problem: jakaś ciężarówka zgubiła ładunek arbuzów. Drogę przecinał kilkunastocentymetrowej grubości pas czerwonozielonej brei, w której taplały się mniej lub bardziej zniszczone samochody. Poboczem przejechała karetka, a za nią kolumna aut, których kierowcy byli zbyt ważni, by czekać w korku. Cała kolejka rozbrzmiewała trąbieniem, ludzie krzyczeli, wygrażali sobie pięściami i gdzieś z przodu padł pojedynczy strzał. Jak dobrze wrócić do normalnego życia.

Zanim przebiliśmy się przez korek na ulice miasta, straciliśmy piętnaście minut, a następnych piętnaście zajął nam dojazd do pracy. Jadąc windą na górę, obaj z Vincem milczeliśmy, ale kiedy drzwi się rozsunęły i wyszliśmy, zatrzymał mnie.

- Dobrze robisz - powiedział.

- Wiem - odparłem. - I muszę się z tym pospieszyć, bo Debora mnie zabije.

Złapał mnie za rękę.

- Mówię o Mannym. Oko ci zbieleje, kiedy zobaczysz, co przygotowuje. To wszystko zmieni.

Na pewno zmieni stan konta, to już wiedziałem, ale nadal nie widziałem w tym sensu. Czy naprawdę goście będą się lepiej bawić, jeśli poda się im różnorodność pozaziemskich z wyglądu obiektów niewiadomego użytku i pochodzenia zamiast zimnych mięs? Często ludzi nie rozumiem, ale to już szczyt, wisienka na torcie - o ile w ogóle będziemy mieć tort, co wcale nie było takie pewne.

Za to doskonale rozumiałem co innego: poglądy Debory na temat punktualności. Odziedziczone po naszym ojcu zasady uczyły, że spóźnienie się to brak szacunku i nic go nie może usprawiedliwić. Dlatego oderwałem palce Vince'a od mojej ręki i uściśnąłem jego dłoń.

- Jestem pewien, że jedzenie będzie wszystkim smakować - podsumowałem optymistycznie, licząc, że wyczerpiemy wreszcie temat.

Nie puszczał mojej ręki.

- Chodzi o coś więcej - zaczął.

- Vince...

- To mówi o twojej przyszłości - ciągnął. - Coś bardzo pozytywnego, twoje życie z Ritą...

- Moje życie będzie zagrożone, jeśli zaraz nie pójdę, Vince.

- Ogromnie się cieszę - powiedział, a mnie zrobiło się głupio na widok Vince'a, który okazywał prawdziwe chyba uczucia, że tak spanikowałem, uciekając od niego do sali konferencyjnej.

Sala była pełna, bo sprawa nabrała rozgłosu po historycznych relacjach w wieczornych wiadomościach o znalezieniu dwóch młodych kobiet, spalonych i pozbawionych głów. Debora spojrzała na mnie bykiem, kiedy wśliznąłem się do środka i stanąłem przy drzwiach, a ja obdarzyłem ją rozbajającym, mam nadzieję, uśmiechem. Przerwała mówcy, jednemu z policjantów, którzy pierwsi zjawili się na miejscu zdarzenia.

- No dobrze. Wiemy, że nie znajdziemy głów na miejscu zbrodni.

Myślałem, że moje spóźnione przybycie i jadowite spojrzenie, które posłała mi Debora, zagwarantują mi nagrodę za Najbardziej Dramatyczne Wejście, ale głęboko się myliłem. Ponieważ właśnie gdy Deb próbowała na nowo rozruszać towarzystwo, zostałem przyćmiony tak kompletnie, jak świeczka w deszczu bomb zapalających.

- Jakież pomysły? - zwróciła się do wszystkich sierżant Siostra.

- Można by przeszukać dno jeziora - wyrwała się Camilla Figg. Ta trzydziestopięcioletnia mysz laboratoryjna zazwyczaj siedziała cicho, dlatego zdziwiłem się, usłyszawszy jej głos. Niektórym ten stan rzeczy wyraźnie odpowiadał, bo od razu naskoczył na nią chudy, nawiedzony glina nazwiskiem Corrigan.

- Bzdura. Głowy by się wynurzyły.

- Wcale nie. Przecież to sama kość - upierała się Camilla.

- U niektórych, owszem - powiedział Corrigan i parę osób nawet się zaśmiało.

Debora zmarszczyła brwi i już chciała kontynuować, kiedy z korytarza dobiegł dziwny odgłos.

Łup.

Niezbyt głośne, a mimo to skupiło na sobie uwagę całej sali.

Łup.

Bliższe, trochę głośniejsze, nadciągające zupełnie jak coś z niskobudżetowego horroru...

Łup.

Z jakiegoś nieznanego mi powodu wszyscy w sali jakby wstrzymali oddech i powoli odwrócili się w stronę drzwi. I choćby dlatego, że nie chciałem się wyróżniać, sam też już wykręcałem głowę, żeby zerknąć na korytarz, kiedy powstrzymało mnie najulotniejsze wewnętrzne muśnięcie, ledwo odczuwalne mrowienie, zamknąłem więc oczy i wyteżyłem słuch. Halo? - powiedziałem w duchu i po krótkiej chwili rozległ się cichy, trochę niepewny dźwięk, coś jakby odchrząknięcie, a wtedy...

Ktoś w sali wymamrotał „Słodki Jezu”, z nabożnym przerażeniem, które zawsze niezawodnie rozbudzało moje zainteresowanie, i cichy nie-całkiem-dźwięk we mnie przeszedł w mruczenie i przycichł. Otworzyłem oczy.

Mogę tylko powiedzieć, że z radości wywołanej tym, że Pasażer poruszył się na mrocznym tylnym siedzeniu, na chwilę zupełnie zapomniałem o otaczającym świecie. Niebezpieczny błąd, zwłaszcza gdy jest się sztucznym człowiekiem jak ja, i dobitnie przekonałem się o tym, kiedy otworzyłem oczy. Wrażenie piorunujące.

To rzeczywiście był niskobudżetowy horror, *Noc żywych trupów*, tyle że rozgrywający się naprawdę, w drzwiach bowiem, u mojego prawego boku, wpatrzony we mnie, stał człowiek, który powinien już nie żyć.

Sierżant Doakes.

Doakes nigdy mnie nie lubił. Tylko on, jako chyba jedyny glina w całej policji, podejrzewał, że mogę być tym, czym w istocie jestem. Zawsze myślałem, że widział, co ukrywam pod maską, bo był poniekąd tym samym, co ja - bezwzględny zabójcą. Próbował udowodnić, że co złego to ja, i mu się nie udało, a to niepowodzenie też jakoś nie zaskarbiło mi jego sympatii.

Kiedy widziałem Doakesa ostatnio, ratownicy pakowali go do karetki nieprzytomnego, po części wskutek szoku i bólu spowodowanego usunięciem języka, stóp i dłoni przez nadzwyczaj utalentowanego

chirurga-amatora, który uważał, że sierżant źle się wobec niego zachował. Owszem, prawdą jest, że subtelnie utwierdzałem niepełnoetatowego lekarza w tym przekonaniu, ale, jak nakazywała przyzwoitość, najpierw skłoniłem Doakesa, by przystał na to, żebyśmy mogli złapać tego nieludzkiego potwora. Nawiasem mówiąc, bardzo niewiele zabrakło, żebym go ocalił, poważnie przy tym narażając swoje cenne i niezastąpione życie i członki. Może moja pomoc nie była tak zdecydowana i nie nadeszła tak szybko, jak na to z pewnością liczył, ale próbowałem i słowo daję, to naprawdę nie moja wina, że kiedy go zabierali, wydawał się bardziej martwy niż żywy.

Dlatego prosiłem tylko o odrobinę uznania za narażanie się dla niego na ogromne niebezpieczeństwo, nic więcej. Nie żebym od razu chciał dostać kwiaty, medal czy choćby bombonierkę; wystarczyłoby coś w rodzaju serdecznego klepnięcia w plecy i wyszeptanego „Dzięki, stary”. Oczywiście, bez języka niełatwo byłoby mu wyszeptać cokolwiek zrozumiałego, a klepnięcie w plecy jedną z jego nowych metalowych dłoni mogłoby okazać się bolesne, ale niechby chociaż spróbował. Czy to wygórowane żądanie?

Okazuje się, że tak. Doakes wgapił się we mnie, jakby był najbardziej wygłodniałym psem na świecie, a ja ostatnim stekiem. Dawniej miałem wrażenie, że jadu, który miał w spojrzeniu, kiedy na mnie patrzył, starczyłoby, żeby wytepić całą listę gatunków zagrożonych. To jednak mógłbym określić jako łagodny śmiech poczochronego dziecka w słoneczny dzień, porównując z tym, jak patrzył na mnie teraz. I wiedziałem już, co sprawiło, że Pasażer odchrząknął – zapach znajomego drapieźcy. Poczulem, jak powoli rozpościerają się we mnie skrzydła, powracają z rykiem do życia, podejmują wyzwanie wyczierające z oczu Doakesa, w których ciemnej głębi jego wewnętrzny potwór warczał i pluł na mojego potwora. Staliśmy tak długą chwilę i na pozór tylko patrzyliśmy na siebie, ale pod naszymi maskami kryły się dwa drapieżne cienie, z przeraźliwym jazgotem skaczące sobie do gardeł.

Ktoś coś mówił, ale świat skurczył się i zostaliśmy tylko ja, Doakes i dwa czarne cienie nawołujące do walki. Nie słyszeliśmy ani słowa, tylko irytujący poszum w tle.

I wreszcie przez mgłę przedarł się głos Debory:

- Sierżancie Doakes. - Glina w końcu odwrócił się do niej i czar przysł. A ja, z lekkim poczuciem triumfu płynącym z mocy - o radości! o rozkoszy! - Pasażera i drobnego zwycięstwa, jakie odniosłem, zmuszając Doakesa, by pierwszy uciekł spojrzeniem, wtopiłem się w tło i zrobiłem krok w tył, żeby obejrzeć to, co zostało z mojego niegdyś potężnego wroga.

Sierżant Doakes wciąż był rekordzistą wydziału w wyciskaniu, leżąc, ale nie zanosilo się na to, by w najbliższym czasie miał swój rekord obronić. Wychudł i, nie licząc ognia tłącego się w głębi oczu, wyglądał mizernie. Stał sztywno na dwóch protezach stóp, ze zwieszonymi po bokach rękami, na których końcach lśniły jakieś srebrne ustrojstwa przypominające wymyślne uchwyty imadła.

Słyszałem, jak inni w sali oddychają, ale poza tym panowała zupełna cisza. Wszyscy wpatrywali się w to coś, co kiedyś było Doakesem, a on wpatrywał się w Deborę, która oblizwała wargi, jakby szukała czegoś sensownego do powiedzenia. W końcu stanęło na:

- Siadaj, Doakes. Hm. Może wprowadzę cię w temat?

Doakes długo na nią patrzył. Wreszcie odwrócił się niezgrabnie, spojrział na mnie spode łba i, ciężko tupiąc, wyszedł z sali. Jego dziwne, miarowe kroki niosły się echem po korytarzu, coraz dalsze i dalsze, aż zupełnie ucichły.

Ogólnie rzecz biorąc, gliniarze nie lubią pokazywać po sobie, że coś zrobiło na nich wrażenie albo ich wystraszyło, dlatego przez kilka sekund nikt nie oddychał, żeby nie zdradzić jakiegoś niepożądanego uczucia. Naturalnie, to Debora pierwsza przerwała tę nienaturalną ciszę.

- No dobrze - powiedziała i nagle wszyscy zaczęli odchrząkiwać i wiercić się na krzesłach.

- No dobrze - powtórzyła - czyli głów nie znajdziemy na miejscu zbrodni.

- Głowy się nie wynurzają - upierała się Camilla Figg wzgardliwym tonem i znów byliśmy w tym samym punkcie, co przed nagłym pojawieniem się połowy sierżanta Doakesa. Głędzili tak jeszcze jakieś dziesięć minut, niestrudzenie walcząc z przestępczością metodą kłótni o to, kto wypełni papierki, kiedy znów zakłóciło naradę otwarcie drzwi obok mnie.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Wszedł kapitan Matthews. - Mam... ee... wspaniałą, jak sądzę, wiadomość. - Rozejrzał się po sali, marszcząc czoło. Nawet ja mogłem mu doradzić, że nie jest to odpowiednia mina do podawania wspaniałych wiadomości. - To... ten... ehem. Wrócił sierżant Doakes i jest... ee... Musicie zrozumieć, że jest mocno... nno... okaleczony. Zostało mu tylko parę lat do pełnej emerytury, więc prawnicy, ee... pomyśleliśmy, że w tych okolicznościach, hm... - Urwał i błędził wzrokiem po sali. - Ktoś już wam powiedział?

- Sierżant Doakes dopiero co tu był - wyjaśniła Debora.

- Aha. Skoro tak... - Wzruszył ramionami. - W porządku. Dobrze więc. Możecie kontynuować. Coś do zameldowania?

- Na razie żadnych postępów, kapitanie.

- Cóż, wierzę, że to rozwikłacie, zanim prasa... to znaczy, we właściwym czasie.

- Tak jest.

- Dobrze więc - powtórzył. Jeszcze raz rzucił okiem po sali, wyprostował ramiona i wyszedł.

- Głowy się nie wynurzają - powiedział ktoś i rozległa się salwa śmiechu.

- Boże - jęknęła Debora. - Moglibyśmy się skupić? Mamy tu dwa ciała.

I będzie ich więcej, pomyślałem, a Mroczny Pasażer zadrżał lekko, jakby bardzo dzielnie walczył z pokusą ucieczki, ale to było wszystko i nie zaprzętałem sobie tym głowy.

9

Nie śnię. To znaczy, jestem pewien, że w którymś momencie normalnego snu przez moją podświadomość muszą paradować obrazy i urywki jakichś bredni. Podobno zdarza się to wszystkim. Jednak nawet jeśli mam sny, to jakoś nigdy ich nie pamiętam, co podobno nie zdarza się nikomu. Dlatego zakładam, że nie śnię.

Nic więc dziwnego, że doznałem szoku, kiedy tej nocy obudziłem się w ramionach Rity, krzychałem coś, czego nie mogłem dosłyszeć; było tylko echo mojego zduszonego głosu, dochodzące z otulającej mnie ciemności, chłodna dłoń Rity na moim czole i jej szept:

- Już dobrze, kochanie, nie zostawię cię.

- Dziękuję ci bardzo - wychrypiałem. Odkaszlnąłem i usiadłem prosto.

- Miałeś zły sen.

- Poważnie? O czym? - Wciąż nie pamiętałem nic prócz moich krzyków i niejasnego poczucia zagrożenia osaczającego mnie, samego jak palec.

- Nie wiem. Krzychałeś „Wróć! Nie zostawiaj mnie samego”. - Odchrząknęła. - Dexter... wiem, że jesteś trochę zestresowany ślubem...

- A skąd.

- Chciałabym, żebyś wiedział, że nigdy cię nie zostawię. - Znów sięgnęła po moją rękę. - Zawsze będziemy razem, misiu. Nigdzie cię nie puszcę. - Przysunęła się i położyła głowę na moim ramieniu. - Nie bój się. Dexter, nigdy cię nie zostawię.

Choć nie znam się na snach, byłem prawie pewien, że moja podświadomość nie martwiła się zbytnio o to, czy Rita mnie zostawi. To znaczy, taka możliwość nawet nie przyszła mi do głowy, co wcale nie dowodziło zaufania z mojej strony. Po prostu o tym nie pomyślałem. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, czemu w ogóle chciała ze mną być, więc ewentualne rozstanie stałoby się równie wielką zagadką.

Nie, to odezwała się moja podświadomość. Jeśli krzyczała z bólu wywołanego groźbą porzucenia, doskonale wiedziałem, co boi się stracić: Mrocznego Pasażera. Mojego serdecznego kumpla, nieodłącznego towarzysza podróży przez smutki i ostre przyjemności życia. Za tym snem krył się strach przed utratą czegoś, co było ważną częścią mnie, co mnie wręcz określało przez całe moje życie.

Najwyraźniej kiedy to dało drapaka do kryjówki na miejscu zbrodni przy uniwersytecie, doznałem większego wstrząsu, niż przypuszczałem. Nagły i mocno przerażający powrót sześćdziesięciu pięciu procent sierżanta Doakesa rozbudził poczucie zagrożenia, a dalej to już prosta sprawa. Podświadomość dorzuciła swoje trzy grosze i podsunęła mi sen na ten temat. Wszystko jasne - psychologia dla początkujących, podręcznikowy przypadek, nic, czym należałoby się martwić.

To dlaczego wciąż się martwiłem?

Bo Pasażer nigdy dotąd nawet się nie wzdrygnął i nadal nie wiedziałem, czemu zrobił to teraz. Czy Rita miała rację co do stresu związanego z nadchodzącym ślubem? A może te dwa bezgłowe ciała nad przyuczelnianym jeziorem rzeczywiście miały w sobie coś, co wypłoszyło ze mnie Mrok?

Nie wiedziałem - a ponieważ Rita w pocieszaniu mnie zaczęła przechodzić od słów do czynów, nie zanosilo się, żebym miał się tego wkrótce dowiedzieć.

- Chodź tu, kotku - szepnęła.

Ostatecznie w podwójnym łóżku nie bardzo jest dokąd uciec, mam rację?

Następny ranek upłynął pod znakiem obsesji Debory na punkcie odnalezienia brakujących głów dwóch trupów spod uczelni. Jakimś sposobem wyciekła do prasy informacja, że policja szuka dwóch czaszek, które gdzieś się zawieruszyły. To było Miami i naprawdę spodziewałbym się, że zaginiona głowa wzbudzi mniejsze zainteresowanie mediów niż taki korek na autostradzie numer 95, ale fakt, że były dwie głowy, i podobno młodych kobiet, wywołał spore poruszenie. Kapitan Matthews doskonale wiedział, jak wiele warta jest każda wzmianka o nim w prasie, ale nawet jemu nie podobał się

opryskliwy, histeryczny ton, który zdominował wszystkie relacje na ten temat.

I tak oto wszyscy znaleźliśmy się pod presją; kapitan przycisnął Deborę, a ona przerzuciła swoje brzemie na nas. Vince Masuoka nabrał przekonania, że dostarczy jej klucz do całej sprawy, jeśli tylko ustali, która dziwaczna sekta odpowiada za to, co się stało. Skutek był taki, że tego ranka wsadził głowę do mojego gabinetu, bez żadnego ostrzeżenia obdarzył mnie swoim najlepszym sztucznym uśmiechem i powiedział, głośno i wyraźnie:

- Candomblé.

- Wstydź się - powiedziałem. - Kto to widział tak się wyrażać o tej porze.

- Ha - zaśmiał się tym swoim strasznym, sztucznym śmiechem. - Pora jest w sam raz, bez obaw. Candomblé to taka Santeria, tylko że brazylijska.

- Vince, nie mam powodu, żeby ci nie wierzyć. Moje pytanie jest takie: co ty, do cholery, gadasz?

Zrobił dwa kroki w głąb gabinetu, podrygując przy tym tak, jakby próbował utrzymać na ziemi ciało wzbijające się do lotu.

- W niektórych rytuałach używają zwierzęcych głów - powiedział. - Jest o tym w Internecie.

- No proszę. A piszą może w Internecie, że ci Brazylijczycy grillują ludzi, obcinają im głowy i na ich miejsce wkładają ceramiczne bycze łby?

Vince trochę oklapł.

- Nie - przyznał i uniósł brwi z nadzieją. - Ale wykorzystują zwierzęta.

- A w jakiż to sposób, Vince?

- Cóż. - Rozejrzał się po moim pokoiku, pewnie za jakimś innym tematem do rozmowy. - Czasem, no wiesz, część ofiarują bogom, a resztę zjadają.

- Vince, sugerujesz, że te zaginione głowy ktoś zjadł?

- Nie. - Naburmuszył się prawie tak, jak to się zdarzało Cody'emu i Astor. - Ale mógłby.

- Strasznie by w zębach chrupały, nie sądzisz?

- No dobrze - stwierdził, teraz już śmiertelnie obrażony. - Próbuję tylko pomóc. - I wymaszerował sztywno, nawet bez cienia sztucznego uśmiechu.

Ale chaos dopiero się zaczynał. Jak wskazywała moja niechciana wyprawa do krainy snów, byłem już pod wystarczająco dużym ciśnieniem, nawet bez dodatkowego ciężaru w postaci szalejącej siostry. Jednak nie minęło kilka minut, a moja mała oaza spokoju znów rozleciała się w drobny mak, tym razem za sprawą Debory, która wpadła z impetem do gabinetu, jakby gonił ją rój wściekłych pszczół.

- Chodź - warknęła.

- Dokąd? - spytałem całkiem do rzeczy, jak mi się wydawało, ale zareagowała tak, jakbym poprosił, żeby zgoliła włosy i pomalowała sobie czerep na niebiesko.

- Zbieraj się i chodź! - Była nieźle wkurzona, więc się zebrałem i poszedłem za nią na parking do jej samochodu.

- Jak Boga kocham - wyrzekła, kiedy przebijaliśmy się przez ruch uliczny - w życiu nie widziałam Matthews'a tak wkurwionego. I teraz to moja wina! - Dla podkreślenia walnęła pięścią w klakson i zajęchała drogę furgonetce z napisem „Dom spokojnej starości Palm View”. - Wszystko przez jakiegoś złamasa, który dał prasie cynk o głowach.

- Cóż, Deb - powiedziałem najbardziej rzeczowym i uspokajającym tonem, na jaki było mnie stać - głowy na pewno się znajdą.

- A żebyś, kurde, wiedział - odparła i o mało nie potrafiła grubasa na rowerze obwieszonym wielkimi sakwami wypchanymi złodem. - Bo dowiem się, do której sekty skurwiel należy, i wtedy go dorwę.

Słowa pocieszenia zamarzyły mi na ustach. Najwyraźniej moja kochana, pomyłona siostra ubzdurzyła sobie, jak Vince, że wystarczy znaleźć właściwą alternatywną religię, a morderca sam wpadnie w ręce.

- Jasne. A gdzie się tego dowiemy?

Bez słowa wysunęła się na Biscayne Boulevard, zaparkowała przy krawężniku i wysiadła. I tak oto, wbrew sobie, nie protestując, poszedłem za nią do Centrum Ubogacenia Wewnętrzznego, hurtowni wszystkich jakże niezbędnych rzeczy, które mają w nazwie słowa „holistyczne”, „ziołowe” lub „aura”.

Centrum mieściło się w małym, zaniedbanym budynku przy Biscayne Boulevard, w okolicy, którą najwyraźniej wydzielono na mocy traktatu jako swoisty rezerwat dla prostytutek i dilerów cracku. Solidne kraty zamontowane były i na witrynach, i na drzwiach, które okazały się zaryglowane. Debora załomotała w nie i po chwili rozbrzmiało drażniące brzęczenie. Pchnęła drzwi, a te w końcu szczęknęły i się otworzyły.

Weszliśmy. Spowiła mnie dusząca chmura mdląco słodkiego kadzidła i zorientowałem się, że moje ubogacenie wewnętrzne zaczęło się od kapitalnego remontu płuc. W obłokach dymu majaczył duży żółty jedwabny transparent, rozwieszony na ścianie, który głosił, że „Wszyscy jesteśmy jedno”. Nie precyzował, jedno co. Grała cicha muzyka, dźwięk, jakby ktoś, kto przedawkował środki uspokajające, pobrzękiwał dzwoneczkami, żeby nie zasnąć. W tle szumiał wodospad i jestem pewien, że zrobiłoby mi się lekko na duszy, gdybym ją miał. A że nie miałem, wszystko to wydało mi się irytująco niedorzeczne.

Ale oczywiście nie byliśmy tu dla przyjemności ani nawet dla wewnętrznego ubogacenia. A sierżant Siostra, ma się rozumieć, nie zwykła tracić czasu na banialuki. Pomaszerowała do lady, za którą stała kobieta w średnim wieku ubrana we wzorzystą suknię do podłogi, uszytą chyba ze starej krepiny. Miała siwiejące włosy, sterczące bez ładu i składu na wszystkie strony, i zmarszczone czoło. Oczywiście, mogła to być błoga mina kogoś, kto dostąpił oświecenia.

- W czym mogę pomóc? - Głos brzmiał chropawo, a ton zdawał się sugerować, że takim jak my nic już nie pomoże.

Debora uniosła odznakę. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, kobieta wyrwała ją z jej dłoni.

- W porządku, sierżant Morgan - Rzuciła blachę na ladę. - Wygląda, że jest prawdziwa.

- Nie mogła pani tego wyczytać z jej aury? - podesunąłem usłużnie. Moja uwaga jakoś nie spotkała się z uznaniem, na jakie zasługiwała, więc wzruszyłem ramionami i posłuchałem, jak Debora przystępuje do mozolnego przesłuchania.

- Chciałabym zadać kilka pytań, jeśli można. - Pochyliła się, żeby zgarnąć z lady swoją odznakę.

- O co? - Kobieta zmarszczyła brwi jeszcze bardziej, a Debora odpowiedziała jej tym samym i zanosilo się na stary dobry pojedynek na groźne miny, z główną nagrodą w postaci darmowej terapii botoksem, utrwalającej zwycięskiego marsa na stałe.

- Doszło do kilku zabójstw - powiedziała Debora.

- Co to ma wspólnego ze mną? - Kobieta wzruszyła ramionami.

Przyklasnąłem jej tokowi rozumowania, ale cóż, od czasu do czasu trzeba grać dla swojej drużyny.

- To, że wszyscy jesteśmy jedno - wtrąciłem. - Naczelna zasada każdego dochodzenia.

Obróciła zmarszczone czoło w moją stronę i zaczęła agresywnie.

- A pan to kto? Proszę pokazać odznakę.

- Wsparcie. Ubezpieczam partnerkę przed złą karmą.

Kobieta prychnęła, ale przynajmniej mnie nie zastrzeliła.

- Policja w tym mieście tonie w złej karmie. Byłam na wiecu, który rozpedziliście, i już ja wiem, jacy jesteście.

- Może i tak - odparła Debora - ale druga strona jest jeszcze gorsza, więc zechce pani łaskawie odpowiedzieć na kilka pytań?

Zasepiona kobieta spojrzała na Deborę i wzruszyła ramionami.

- Niech będzie, ale nie bardzo widzę, jak mogłabym pomóc. I nie przeciągajcie struny, bo zadzwonię po adwokata.

- Dobrze - powiedziała Debora. - Szukamy informacji o kimś, kto może być powiązany z miejscową alternatywną grupą religijną, która ma fioła na punkcie byków.

Przez chwilę myślałem, że jeszcze trochę, a kobieta się uśmiechnie, ale w porę się powstrzymała.

- Byki? Jezu, a kto nie ma fioła na ich punkcie. Zaczęło się jeszcze w Sumerii, na Krecie, wszystkich kolebkach cywilizacji. Mnóstwo ludzi je czciło. To znaczy, nie dość, że mają wielkiego kutasa, to jeszcze są silne.

Jeśli myślała, że spieszy Deborę, to nie wiedziała o glinach z Miami tyle, ile jej się wydawało. Moja siostra nawet okiem nie mrugnęła.

- Zna pani jakąś szczególną grupę, która jest stąd? - spytała Deb.

- Nie wiem. Na przykład jaką?

- Candomblé? - podpowiedziałem, przelotnie wdzięczny Vince'owi za podsuniecie mi tej nazwy. - Palo Mayombe? Może nawet Wicca.

- O te hiszpańskie wymysły pytajcie w Eleggua na Ósmej. Ja się na tym nie znam. Ci od Wicca czasem wpadają do nas na zakupy, ale bez nakazu nic wam o tym nie powiem. Zresztą nie interesują się bykami. - Prychnęła. - Sterczą nago w Everglades i czekają, aż obudzi się w nich moc.

- Jest ktoś jeszcze? - naciskała Deb.

Kobieta tylko pokręciła głową.

- Nie wiem. To znaczy, znam większość grup w mieście i żadna mi do tego nie pasuje. - Wzruszyła ramionami. - Może druidzi, niedługo mają jakieś wiosenne święto. Kiedyś składali ofiary z ludzi.

Debora zmarszczyła brwi z jeszcze większym natężeniem.

- Kiedy to było?

Tym razem kobieta naprawdę się uśmiechnęła, tylko troszeczkę, kącikiem ust.

- Jakies dwa tysiące lat temu. Trochę się spóźniłaś, Sherlocku.

- Przychodzi pani do głowy coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc?

Kobieta pokręciła głową.

- Pomóc w czym? Może gdzieś tam jest jakiś niewydarzony psychol, który czytał Aleistera Crowleya i hoduje krowy. Skąd mogę wiedzieć?

Debora chwilę patrzyła na nią, jakby się zastanawiała, czy można ją aresztować za chamstwo, i w końcu najwyraźniej uznała, że nie.

- Dziękuję, że poświęciła nam pani czas. - Rzuciła na ladę swoją wizytówkę. - Jeśli coś się pani przypomni, proszę do mnie zadzwonić.

- Taa, jasne - odparła kobieta, nawet nie zerknąwszy na wizytówkę. Debora jeszcze chwilę wpijała się w nią wzrokiem, po czym zrobiła w tył zwrot i wymaszerowała. Kobieta spojrzała na mnie. Uśmiechnąłem się.

- Bardzo lubię warzywa. - Przekazałem jej znak pokoju i wyszedłem za siostrą.

- To był głupi pomysł - stwierdziła Debora, kiedy szliśmy szybkim krokiem do samochodu.

- Och, tego bym nie powiedział - odparłem. I w zasadzie mówiłem prawdę, nie powiedziałbym tego. To znaczy, pomysł oczywiście głupi, ale mówiąc to na głos, prosiłbym się o potężnego kuksańca w ramię od Debory. - Przynajmniej wyeliminowaliśmy parę możliwości.

- Pewnie - przytaknęła z goryczą. - Wiemy, że raczej nie zrobiła tego grupa gołych świrów. No chyba że dwa tysiące lat temu.

Poniekąd miała rację, ale uważam, że moją życiową misją jest podtrzymywać w bliźnich pozytywne nastawienie.

- Zawsze to krok naprzód - zauważyłem. - Zajrzymy na Ósmą? Będę tłumaczył. - Deb, choć rodowita mieszkanka Miami, dla kaprysu uparła się, by w szkole uczyć się francuskiego i po hiszpańsku ledwo radziła sobie z zamówieniem lunchu.

Pokręciła głową.

- Strata czasu. Każę Angelowi popytać ludzi, ale nic z tego nie będzie.

I miała rację. Angel wrócił późnym popołudniem z bardzo ładną świeczką, na której widniała modlitwa do świętego Judy po hiszpańsku, ale poza tym jego wyprawa na Ósmą, zgodnie z przewidywaniami Debory, okazała się stratą czasu.

Nie zostało nam nic oprócz dwóch bezgłowych ciał i okropnie złego przeczucia.

Wkrótce miało się to zmienić.

Następnego dnia nie wydarzyło się nic, na horyzoncie nie zamajaczył nawet cień pomysłu w sprawie podwójnego zabójstwa na uczelni. A że życie pokraczną groteską jest, winą za brak postępów Debora obarczyła mnie. Wmówiła sobie, że posiadam specjalne magiczne moce, które sprawiły, że zgłębiłem mroczną tajemnicę obu morderstw, i że z małoszkowych osobistych powodów ukrywam kluczowe informacje.

Bardzo mi to schlebiało, ale było zupełnie niezgodne z prawdą. Wiedziałem tylko tyle, że ta sprawa z jakiegoś powodu wystraszyła Mrocznego Pasażera, i że nie chcę, by to się powtórzyło. Postanowiłem trzymać się z dala od śledztwa, a ponieważ praktycznie nie wymagało badań krwi, w logicznym i uporządkowanym wszechświecie nie powinienem mieć z tym kłopotów.

Niestety rzeczywistość wygląda inaczej. Naszym wszechświatem rządzi ślepy los, a jego mieszkańcy drwią z logiki. Dowód rzeczowy numer jeden: moja siostra. Późnym przedpołudniem dopadła mnie w moim małym boksie i zaciągnęła na lunch z jej chłopakiem, Kyle'em Chutskym. W zasadzie nie miałem nic przeciwko Chutsky'emu, poza tym, że zawsze zachowywał się tak, jakby znał najprawdziwszą prawdę o wszystkim. Pomijając to, był tak miły i uprzejmy, jak miły i uprzejmy potrafi być bezwzględny zabójca, i okazałbym się hipokrytą, gdybym miał o to do niego pretensje. A ponieważ moja siostra najwyraźniej dobrze się z nim czuła, nie miałem pretensji ani o to, ani o nic innego.

Poszedłem więc na lunch, bo raz, była moją siostrą, i dwa, potężnej maszynie, jaką jest mój organizm, trzeba niemal na okrągło dostarczać paliwa.

Paliwem, jakiego pragnie najczęściej, jest kanapka medianoche, zwykle ze smażonymi plátanos i koktajlem mlecznym mamé. Nie wiem dlaczego ten prosty, a przy tym pożywny posiłek wygrywa tak transcendentną melodię na strunach mojego jestestwa, ale nic nie może się z nim równać. Odpowiednio przyrządzony, wprowadza

mnie w stan na tyle bliski ekstazy, na ile to u mnie możliwe. A nigdzie nie przyrządzają go bardziej odpowiednio niż w Café Relampago, knajpce nieopodal komendy głównej, gdzie Morganowie jadali od niepamiętnych czasów. Był tak pyszny, że wrażenia nie psuło nawet niemilknące zrządzenie Debory.

- Szlag by to! - powiedziała do mnie z ustami wypchanymi kęsem kanapki. Oczywiście jak na nią to nic oryginalnego, ale bluznęła z taką zaciekłością, że aż sypnęło się na mnie trochę okruszków chleba. Wzięłam łyk przepysznego batido de mamá i czekałem, aż rozwinie swoją myśl, ona jednak tylko powtórzyła: - Szlag by to!

- Znów ukrywasz uczucia, Deb. Ale jestem twoim bratem, widzę, że coś cię gnębi.

Chutsky prychnął i mozolnie piłował kubański stek.

- No co ty - zaczął. Miał coś dodać, ale widelec, który ścisnął w protezie lewej dłoni, wysliznął mu się i obrócił bokiem. - Szlag by to - zaklął i dotarło do mnie, że on i moja siostra mają ze sobą dużo więcej wspólnego, niż mi się wydawało. Debora nachyliła się i pomogła mu wyprostować widelec. - Dzięki - mruknął i wpakował do ust duży kęs kotleta.

- A widzisz? - zagadnąłem pogodnie. - Potrzebowałaś tylko czegoś, co pozwoliłoby ci zapomnieć o własnych kłopotach.

Siedzieliśmy wokół stolika, przy którym jedliśmy już pewnie ze sto razy. Debora jednak rzadko zważała na sentymenty; wyprostowała się i rąbnęła w poobijany blat z Formiki tak mocno, że podskoczyła cukierniczka.

- Chcę wiedzieć, kto gadał z tym futem Rickiem Sangrem! - wybuchnęła. Sangre był reporterem lokalnej telewizji, wyznającym zasadę, że im więcej krwi się leje, tym ważniejsze, by ludzie mieli wolne media, z których poznają możliwie najwięcej drastycznych szczegółów. Sądząc z tonu jej głosu, Debora najwyraźniej sądziła, że Rick został moim nowym najlepszym przyjacielem.

- Zapewniam, że nie ja. I raczej nie Doakes.

- Uch - mruknął Chutsky.

- I - powiedziała - chcę znaleźć te zaszrane głowy!

- Ich też nie mam - odparłem. - Pytałaś w biurze rzeczy znalezionych?

- Dexter, ty coś wiesz - stwierdziła. - Wyrzuć to z siebie, proszę.

Chutsky podniósł głowę i przełknął.

- Czemu miałyby wiedzieć coś, czego ty nie wiesz? - spytał. - Było dużo rozbryzgów?

- Ani jednego - powiedziałem. - Znaleźliśmy ciała upieczone i suchutkie.

Chutsky skinął głową i nabrał na widelec trochę ryżu i fasoli.

- Chory sukinsyn z ciebie, wiesz?

- Gorzej niż chory - wtrąciła Debora. - Coś ukrywa.

- Aha - mruknął Chutsky z pełnymi ustami - co, znowu robi za profilera-amatora? - To takie drobne kłamstewko; powiedzieliśmy mu, że moje hobby to sama teoria, bez praktyki.

- Tak - odparła Debora. - I nie chce mi powiedzieć, co wymyślił.

- Może trudno ci w to uwierzyć, siostrzyczko, ale nie wiem nic. Tylko... - Wzruszyłem ramionami, ale już na mnie naskoczyła.

- Co! No mów, proszę cię.

Znów się zawahałem. Nie bardzo wiedziałem, jak mógłbym jej wytłumaczyć, że te zabójstwa wywołały zupełnie nową, wielce niepokojącą reakcję Mrocznego Pasażera.

- To tylko przeczucie - powiedziałem. - Coś tu jest nie halo.

Prychnęła.

- Dwa spalone ciała bez głów, a ten mówi, że coś jest nie halo. Zdaje się, że kiedyś byłeś bystry?

Ugryzłem kęs kanapki, a Debora, zamiast jeść, traciła cenny czas na marszczenie brwi.

- Zidentyfikowaliście ciała? - spytałem.

- A gdzie tam. Nie ma głów, więc nie ma dokumentacji dentystycznej. Ciała spalone, czyli nie da się pobrać linii papilarnych. Kurde, nie wiemy nawet, jakiego koloru miały włosy. Co według ciebie mam zrobić?

- Wiesz, może mógłbym pomóc. - Chutsky nabił na widelec kawał smażonego maduras i wrzucił do ust. - Mam pewne możliwości.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - odparła, a on wzruszył ramionami.

- Z pomocy Dextera korzystasz.

- To co innego.

- Jak to? - spytał, całkiem do rzeczy.

- Bo on mi pomaga. Ty chcesz mnie wyręczyć.

Spojrzeli sobie w oczy i długo milczeli. Nieraz tak przy mnie robili i przypominało to bardzo bezgłośnie rozmowy Cody'ego i Astor, aż ciarki przechodziły. Miło było widzieć, że tak dobrana z nich para, ale to ja mam na głowie ślub, z wyraźnie niepoczytalnym ekskluzywnym kucharzem w pakiecie. Szczęśliwie, zanim zacząłem zgrzytać zębami, Deb przerwała niesamowitą ciszę:

- Nie będę jedną z tych kobiet, które trzeba prowadzić za rączkę.

- Ale mogę zdobyć informacje, jakich ty nie zdobędziesz - przekonywał Kyle, kładąc zdrową rękę na jej ramieniu.

- Na przykład jakie? - spytałem. Muszę przyznać, że od pewnego czasu byłem ciekaw, co Chutsky właściwie robi, czy raczej co robił przed swoimi nieplanowanymi amputacjami. Wiedziałem, że pracował dla jakiejś rządowej agencji, którą nazywał IAR, ale nadal nie miałem pojęcia, co ten skrót oznacza.

Uprzejmie odwrócił się do mnie.

- Mam znajomych i informatorów w wielu miejscach - wyjaśnił. - Może ktoś gdzieś natknął się na coś podobnego, wystarczy zadzwonić i zapytać.

- Mówisz o swoich kumplach z IAR?

Uśmiechnął się.

- Coś w tym stylu.

- Dexter, na litość boską - zachnęła się Debora. - IAR to po prostu inna agencja rządowa. Taka agencja nie istnieje, to żart dla wtajemniczonych.

- Miło wreszcie być wtajemniczonym - powiedziałem. - I nadal masz dostęp do ich archiwum?

Wzruszył ramionami.

- Teoretycznie jestem na urlopie zdrowotnym.

- Urlopie od czego?

Obdarzył mnie mechanicznym uśmiechem.

- Lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział. Sęk w tym, że jeszcze nie zdecydowali, czy będzie ze mnie jakiś, kurna, pożytek. - Obrócił widelec ściśnięty w stalowej dłoni i patrzył, jak się rusza. - Cholera - powiedział.

A ponieważ czułem, że atmosfera staje się coraz bardziej drażniąca, zrobiłem, co mogłem, żeby była przynajmniej do zniesienia.

- Znaleźliście coś w piecu? - spytałem. - Bizuterię czy coś takiego?

- W jakim, kurwa, piecu? - Debora zmierzyła mnie wzrokiem.

- W tym, w którym spalono ciała - odparłem.

- Ty mnie w ogóle słuchasz? Nie znaleźliśmy miejsca, gdzie spalono ciała.

- Aha. Bo ja przyjąłem, że to było w kampusie, w pracowni ceramicznej.

Po jej nagle zastygłej twarzy poznałem, że albo ma ciężką niestrawność, albo nie wiedziała o pracowni ceramicznej.

- To kilkaset metrów od jeziora i miejsca znalezienia zwłok - mówiłem. - No wiesz, piec. Taki, w którym wypalają garnki.

Debora wpatrywała się we mnie jeszcze przez chwilę, po czym zerwała się od stolika. Pomyślałem, że to nadzwyczaj oryginalny i dramatyczny sposób zakończenia rozmowy, i minęło trochę czasu, zanim mogłem zrobić coś więcej niż tylko za nią zamrużyć.

- Zgaduję, że o tym nie wiedziała - powiedział Chutsky.

- Na to wygląda. Idziemy?

Wzruszył ramionami i wbił widelec w ostatni kawałek steku.

- Wezmę sobie tartę i cafecita. Potem, skoro nie mogę pomóc, zamówię taksówkę - powiedział. Nabrał trochę ryżu i fasoli, kiwnął mi głową. - Idź już, jeśli nie chcesz wracać do roboty pieszo.

Prawdę mówiąc, nie uśmiechało mi się wracać pieszo. Z drugiej strony, miałem jeszcze prawie pół koktajlu i szkoda go było zostawić. Wstałem i wyszedłem, ale żeby być mniej stratny, zabrałem niedojedzoną połowę kanapki Debory. Wypadłem za drzwi.

Wkrótce już wjeżdżaliśmy przez bramę do kampusu uniwersytetu. Debora przez część drogi rozmawiała przez radio i umawiała się z ludźmi przy piecach albo tylko mamrotała przez zaciśnięte zęby.

Za bramą skręciliśmy w lewo na krętą drogę wiodącą do pracowni ceramicznej i garncarskiej. Na trzecim roku chodziłem na zajęcia z garncarstwa, żeby poszerzyć horyzonty, i przekonałem się, że normalne wazony lepić umiem, ale gorzej mi wychodzą oryginalne dzieła sztuki, przynajmniej w tej dziedzinie. Pochlebiam sobie,

że na własnym poletku jestem kreatywny, jak to niedawno udowodniłem na przykładzie Zandera.

Angel-Bez-Skojarzeń był już na miejscu i starannie, cierpliwie szukał w pierwszym piecu jakichkolwiek śladów. Debora podeszła i kucnęła obok niego, a ja zostałem sam z ostatnimi trzema kęsami jej kanapki. Wziąłem pierwszy. Przy żółtej taśmie zbierał się tłum. Może ludzie liczyli na to, że zobaczą coś zbyt straszego, by na to patrzeć; nigdy nie rozumiałem, czemu tak się gromadzili, ale robili to zawsze.

Debora była na ziemi obok Angela, który wsadził głowę do pierwszego pieca. Zanosiło się, że trzeba będzie długo poczekać.

Właśnie włożyłem ostatni kęs kanapki do ust, kiedy poczułem, że ktoś mnie obserwuje. To, że ludzie na mnie patrzyli, nie dziwiło; patrzą na każdego po tej ciekawszej stronie żółtej taśmy. Oprócz gapiów jednak ktoś mnie obserwował - Mroczny Pasażer darł się na mnie, że moja cudowna, nadzwyczajna osoba stała się obiektem czyjś szczególnego zainteresowania, i nie było to przyjemne uczucie. Przełknąłem resztę kanapki i kiedy się odwróciłem, żeby popatrzeć, szept we mnie przeszedł w coś jakby syk zakłopotania... i nagle umilkł.

A kiedy to się stało, znów poczułem paniczny strach, od którego aż mnie zemdlilo, i zrobiło mi się żółto przed oczami. Zachwiałem się, wszystkie moje zmysły krzyczały, że jestem w niebezpieczeństwie, ale nie byłem w stanie zupełnie nic z tym zrobić. Trwało to tylko sekundę. Wysiłkiem woli wydobyłem się z otchłani i uważnie rozejrzałem po okolicy - nic się nie zmieniło. Garstka gapiów, jasno świecące słońce, łagodny wiatr poruszający liśćmi drzew. Kolejny piękny dzień w Miami, ale gdzieś w raju podniósł głowę wąż. Zamknąłem oczy i wyteżyłem słuch w nadziei, że wychwycę coś, co naprowadzi mnie na trop zagrożenia, ale nie było nic prócz echa oddalającego się skrobania szponiastych łap.

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się znowu. Zebrała się grupa jakichś piętnastu ludzi, którzy udawali, że nie kręci ich perspektywa zobaczenia krwawej jatki, ale żaden niczym się nie wyróżniał. Nikt nie czał się, nie patrzył złowrogo ani nie chował bazooki pod koszulą. Normalnie spodziewałbym się, że mój Pasażer zobaczy mroczny cień otaczający drapieżcę, ale teraz nie miałem co liczyć na takie wsparcie. Z tego, co widziałem, wśród gapiów nie czyhało nic złowieszczonego. Cóż

więc uruchomiło alarm przeciwpożarowy Pasażera? Tak mało o nim wiedziałem; po prostu był, ze swoim ciętym dowcipem i ostrymi sugestiami. Ani razu nie okazał zmieszania, dopóki nie zobaczył dwóch ciał nad jeziorem. A teraz powtarzał się z tą swoją mglistą niepewnością, ledwie pół kilometra od tamtego miejsca.

Czy coś było w wodzie? A może istniał jakiś związek między tymi piecami a dwoma spalonymi ciałami?

Poszedłem w miejsce, gdzie pracowali Debora i Angel-Bez-Skojarzeń. Wyglądało na to, że nie znaleźli nic szczególnie niepokojącego, i żadna iskra paniki nie przeskoczyła z pieca do kryjówki Mrocznego Pasażera.

Skoro tej drugiej ucieczki nie spowodowało coś, co miałem przed sobą, to co? A jeśli postępowała jakaś dziwna wewnętrzna erozja? Może moje nieuchronnie nadciągające mężo-wanie i ojczymo-stwo okazało się dla Pasażera nadmiernym obciążeniem. Czy robiłem się zbyt miły, żeby nadawać się na nosiciela? To byłby los gorszy niż czyjaś śmierć.

Zauważyłem, że stoję tuż przy taśmie zabezpieczającej i że góruje nade mną potężny kształt.

- Ee, dzień dobry? - powiedział. Był to wielki, muskularny młody osobnik z przydługimi, prostymi włosami i miną kogoś, kto wierzy, że oddychanie przez usta to jest to.

- W czym mogę obywatelowi pomóc? - spytałem.

- Pan to ten, no - znaczy się, glina?

- Poniekąd - odparłem.

Skinął głową i chwilę myślał nad moją odpowiedzią, oglądając się za siebie, jakby mogło tam być coś do jedzenia. Na karku miał jeden z tych nieszczęsnych tatuaży, które ostatnio są tak popularne, jakiś orientalny znak, pewnie przedstawiający wyraz „matoł”. Osilek potarł się po tatuażu, jakby usłyszał, że o nim myślę, po czym odwrócił się do mnie i wykrztusił:

- Bo właśnie myślałem, co z Jessiką.

- To oczywiste. Jak my wszyscy.

- Wiedzą, czy to ona? Bo jestem tak jakby jej chłopakiem.

Młody dżentelmen natychmiast stał się obiektem mojego profesjonalnego zainteresowania.

- Jessica zaginęła? - spytałem go.

Przytaknął.

- Mieliśmy ćwiczyć, co nie? Jak co rano, wie pan. Okrążenie toru, potem mięśnie brzucha. Ale wczoraj się nie pokazała. Dziś rano to samo. No to sobie pomyślałem, ee... - Zmarszczył czoło, najwyraźniej z wysiłku myślenia, i strumyczek słów wysychł.

- Jak się nazywasz?

- Kurt. Kurt Wagner. A pan?

- Dexter. Zaczekaj chwilę, Kurt. - Szybko poszedłem po Deborę, zanim chłopak przemęczy się myśleniem.

- Debora - powiedziałem - możliwe, że coś mamy.

- Na pewno nie w tych twoich cholernych piecach - wyrzekała. - Za małe na zwłoki.

- Nie w nich. Tamtemu młodemu człowiekowi zapodziała się dziewczyna.

Poderwała głowę niemal jak pies gończy, który zwietrzył zwierzynę. Wbiła wzrok w tak-jakby-chłopaka Jessiki, który napotkał jej spojrzenie i przestąpił z nogi na nogę.

- No, kurwa, nareszcie - burknęła i ruszyła w jego stronę.

Spojrzałem na Angela. Wzruszył ramionami i wstał. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. W końcu jednak pokręcił głową, otrzepał ręce i poszedł za Deb, żeby wysłuchać, co Kurt ma do powiedzenia. A ja teraz już naprawdę zostałem zupełnie sam ze swoimi mrocznymi myślami.

Tylko patrzeć; czasem to wystarczało. Oczywiście, wiadomo było, czym to się nieuchronnie skończy: buchnie żar, popłynie cudowna krew i zatętni wszechogarniający puls emocji ofiar, potężniejsza muzyka uporządkowanego szaleństwa, niosąca kolejną duszę w objęcia śmierci... Ale to później. Na razie Obserwatorowi wystarczało, że patrzył i sycił się rozkosznym uczuciem bezimiennej, najwyższej mocy. I niepokojem tamtego. Niepokój będzie rósł, piał się w skali muzycznej do strachu, potem paniki i wreszcie w pełni rozwiniętego przerażenia. Wszystko we właściwym czasie.

Obserwator patrzył, jak tamten rozgląda się po tłumie, jak po omacku szuka czegoś, co naprowadziłoby go na trop źródła rosnącego poczucia zagrożenia, które łaskotało jego zmysły.

Oczywiście, nie znajdzie nic. Jeszcze nie. Dopóty, dopóki sam Obserwator nie zdecyduje, że nadszedł właściwy moment. Dopóki nie wpędzi tamtego w stan tępej, bezrozumnej paniki. Dopiero wtedy przestanie patrzeć i podejmie ostateczne działania.

A tymczasem – pora dać tamtemu usłyszeć muzykę strachu.

Nazywała się Jessica Ortega. Była na trzecim roku i mieszkała w jednym z pobliskich domów studenckich. Kurt podał nam numer pokoju i Debora zostawiła Angela przy piecach, gdzie miał zaczekać, aż zluzuje go patrol.

Nigdy nie wiedziałem, czemu mówi się domy studenckie, nie akademiki. Może dlatego, że ostatnimi czasy tak bardzo przypominały hotele. Tych uświęconych murów nie porastał bluszcz, hol wypełniały szkła i rośliny doniczkowe, a wyłożone wykładziną korytarze wyglądały czysto i świeżo.

Zatrzymaliśmy się pod drzwiami pokoju Jessiki. Na wysokości oczu przyklejona do nich była mała, ładna wizytówka z nazwiskami „Ariel Goldman & Jessica Ortega”. Niżej widniał mniejszy dopisek „Wjazd tylko z napojami wysokowymi”. Ktoś podkreślił „Wjazd” i pod spodem nabazgrał „Serio?”

Debora spojrzała na mnie z uniesioną brwią.

- Imprezowe dziewczyny - powiedziała.

- Takie też są potrzebne - zauważyłem.

Prychnęła i zapukała. Cisza. Zaczekała całe trzy sekundy, zanim zapukała znowu, mocniej.

Usłyszałem, że za mną otwierają się drzwi. Odwróciłem się i zobaczyłem dziewczynę w okularach, chudą jak szczapa, z krótkimi blond włosami; patrzyła na nas.

- Nie ma ich - poinformowała z nieskrywaną dezaprobatą. - Już od paru dni. Pierwszy raz w semestrze jest cisza.

- Nie wiesz, gdzie są? - spytała Debora.

Dziewczyna przewróciła oczami.

- Pewnie na ostrym balecie.

- Kiedy widziałaś je ostatnio?

Wzruszyła ramionami.

- Ich się nie widzi, je się słyszy. Głośna muzyka i śmiechy po nocach, czujecie? To mordęga dla kogoś, kto naprawdę uczy się i chodzi na zajęcia. - Pokręciła głową i włosy zafalowały lekko wokół twarzy. - To znaczy, ileż można?

- To kiedy je ostatnio słyszałaś? - Próbowałem ustalić wreszcie coś konkretnego.

Spojrzała na mnie.

- Jesteście z policji czy coś? Co zmalowały tym razem?

- A co zmalowały przedtem? - rzuciła lekko Deb.

Westchnęła.

- Mandaty za złe parkowanie. I to dużo. Do tego jeden za jazdę pod wpływem. Hej, tylko żeby nie było, że je sypię czy coś.

- Czy to coś niezwykłego, że ich nie ma? - powiedziałem.

- Ich obecność na zajęciach, o, to jest niezwykle. Nie wiem, jak w ogóle dostają zaliczenia. To znaczy - obdarzyła nas wymownym półuśmieszkiem - mogę się domyślić, ale... - Wzruszyła ramionami. Nie podzieliła się z nami domysłem, jeśli nie liczyć tego uśmieszku.

- Na jakie zajęcia chodzą razem? - dociekała Debora.

Dziewczyna znów wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Musielibyście sprawdzić w dziekanacie czy gdzieś.

Do dziekanatu czy gdzieś nie szło się długo, zwłaszcza w tempie, jakie narzuciła Debora. Udało mi się dotrzymać jej kroku i nawet nie byłem zbyt zdyszany, by zadać jedno, dwa podchwytliwe pytania.

- Dlaczego to ważne, na jakie zajęcia chodziły razem?

Debora zrobiła niecierpliwy gest ręką.

- Jeśli ta dziewczyna ma rację, Jessica i jej współlokatorka...

- Ariel Goldman - przypomniałem.

- No właśnie. Czyli jeśli płacą seksem za dobre stopnie, wypadałoby pogadać z ich profesorami.

Miało to sens z pozoru. Seks jest jednym z najczęstszych motywów zabójstwa, co zdaje się przeczyć plotkom, jakoby miał coś wspólnego z miłością. Nie pasował tylko jeden drobny szczegół.

- Po co jakiś profesor miałby je upiec i obciąć im głowy? Czemu ich po prostu nie udusić i nie wrzucić ciał do kontenera na śmieci?

Debora pokręciła głową.

- Nieważne, jak to zrobił. Liczy się, czy to zrobił.

- No dobra. A na ile jesteśmy pewni, że właśnie te dwie są ofiarami?

- Na tyle, żeby porozmawiać z ich nauczycielami - odparła. - To już jakiś początek.

Przyszliśmy do dziekanatu, Deb machnęła blachą i od razu nas wpuścili. Przez następne pół godziny mogła jednak tylko chodzić wkoło i mamrotać pod nosem, gdy ja przeglądałem dokumentację na komputerze z asystentką dziekana. Jak się okazało, Jessica i Ariel uczyły się razem na kilka kursów, wydrukowałem więc nazwiska, numery gabinetów i adresy domowe prowadzących. Debora zerknęła na listę i kiwnęła głową.

- Ci dwaj, Bukovich i Halpern, mają teraz dyżur. Możemy zacząć od nich.

Wyszliśmy na kolejną przechadzkę po parnym kampusie.

- Miło znów być na uczelni, co? - zagadnąłem w jak zawsze daremnej próbie podtrzymania uprzejmej rozmowy.

Debora prychnęła.

- Miło będzie, jeśli zidentyfikujemy ciała i może wpadniemy na trop tego, kto to zrobił.

Nie sądziłem, by zidentyfikowanie ciał miało rzeczywiście pomóc w schwytaniu mordercy, ale przecież mnie też zdarza się mylić; zresztą, rutyna i nawyki są siłą napędową policyjnej roboty, a jedna ze szczytnych tradycji naszego rzemiosła głosi, że dobrze jest znać nazwisko zmarłego. Dlatego z własnej nieprzymuszonej woli polazłem z Deborą do biurowca, w którym czekali dwaj profesorowie.

Profesor Halpern urzędował na parterze, przy samym wejściu, i zanim drzwi budynku zamknęły się za nią, Deb już pukała do jego gabinetu. Nikt nie odpowiadał; odczekała chwilę i spróbowała przekręcić gałkę. Drzwi były zamknięte na zamek, więc załomotała w nie jeszcze raz, też bez skutku.

Jakiś mężczyzna niespiesznie nadszedł z głębi korytarza i zatrzymał się przy sąsiednim gabinecie. Zerknął na nas, unosząc brew.

- Szukacie Jerry'ego Halperna? Zdaje się, że dziś go nie ma.

- Wie pan, gdzie jest? - spytała Debora.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Domyślałem się, że w domu, skoro nie tutaj. Czemu państwo pytacie?

Deb pokazała mu odznakę. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- Rozumiem - powiedział. - Chodzi o te dwa trupy z drugiego końca kampusu?

- Ma pan jakiś powód, żeby tak sądzić?

- N-n-n-nie - odparł. - Raczej nie.

Patrzyła na niego i czekała, ale nie powiedział nic więcej.

- Można wiedzieć, jak się pan nazywa? - spytała wreszcie.

- Doktor Wilkins. - Skinął głową w stronę drzwi, przed którymi stał.
- To mój gabinet.

- Doktorze Wilkins, byłby pan łaskaw wyjaśnić mi, co znaczyła pańska uwaga o profesorze Halpernie?

Wilkins odął wargi.

- Cóż - zaczął z wahaniem. - Jerry to dość sympatyczny gość, ale skoro chodzi o morderstwo... - Przez chwilę milczał. Debora też. - Cóż... Chyba w zeszłą środę słyszałem jakieś hałasy w jego gabinecie. - Pokręcił głową. - Te ściany nie są zbyt grube.

- Jakie hałasy?

- Krzyki. I coś jakby szamotaninę? W każdym razie wyjrzałem na korytarz i zobaczyłem studentkę, która wyskoczyła z gabinetu Halperna i uciekła. Była, tego... Miała rozerwaną bluzkę.

- Nie rozpoznał jej pan przypadkiem?

- Owszem. W poprzednim semestrze znalazła się w mojej grupie. Nazywa się Ariel Goldman. Urocza dziewczyna, ale marna studentka.

Debora zerknęła na mnie i zachęciłem ją skinieniem głowy.

- Myśli pan, że Halpern dobierał się do Ariel Goldman?

Wilkins przechylił głowę na bok i unióśł dłoń.

- Nie wiem tego na pewno. Ale tak to wyglądało.

Debora spojrzała na niego, ale nie miał nic do dodania, więc skinęła głową.

- Dziękuję, doktorze Wilkins. Bardzo nam pan pomógł.

- Mam nadzieję - odparł i odwrócił się, by otworzyć drzwi do swojego gabinetu. Deb już patrzyła w wydruk z dziekanatu.

- Halpern mieszka jakieś półtora kilometra stąd - powiedziała i ruszyła do wyjścia. A ja znowu musiałem ją gonić.

- To którą hipotezę odrzucamy? - spytałem. - Tę, że Ariel próbowała uwieść Halperna? Czy że on próbował ją zgwałcić?

- Niczego nie odrzucamy - powiedziała. - Przynajmniej dopóki nie porozmawiamy z Halpernem.

Doktor Jerry Halpern mieszkał niecałe trzy kilometry od kampusu, w piętrowym budynku, który pewnie przed czterdziestu laty uchodził za bardzo ładny. Otworzył drzwi zaraz, jak tylko Debora zapukała, i zamrugał, kiedy słońce padło mu na twarz. Miał trzydzieści kilka lat, był chudy, ale nie wysportowany, z kilkudniowym zarostem.

- Tak? - powiedział jękliwym głosem, takim w sam raz dla osiemdziesięcioletniego uczonego. Odkaslnął i spróbował znowu. - O co chodzi?

Debora pokazała mu swoją odznakę.

- Możemy wejść? - spytała.

Halpern wlepił wybałuszone oczy w odznakę i jakby oklapł.

- Ja nie... co, co... wejść? Po co?

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań. O Ariel Goldman.

Halpern zemdlał.

Niezbyt często mam okazję widzieć moją siostrę z zaskoczoną minąza dobrze nad sobą panuje. Dlatego przyjemnie było zobaczyć, jak opadła jej szczeka, gdy Halpern grzmotnął na podłogę. Ubrałem twarz w stosowny do okazji, podobny wyraz i schyliłem się, żeby sprawdzić tętno.

- Serce mu bije - stwierdziłem.

- Do środka z nim - zakomenderowała Debora i zawlokłem go do mieszkania.

Pewnie nie było tak małe, na jakie wyglądało, ale na ścianach od podłogi do sufitu piętrzyły się pękające w szwach regały, a stół do pracy zawałały papiery i książki. Na skrawku wolnego miejsca zmieściły się sfatygowana, obskurna dwuosobowa kanapa, tapicerowany fotel i lampka. Udało mi się dźwignąć Halperna na kanapę. Zaskrzypiała i ugięła się niepokojąco pod jego ciężarem.

Wstałem i omal nie wpadłem na Debore, już z groźną miną pochyloną nad Halpernem.

- Lepiej zaczekaj, aż się ocknie, zanim zaczniesz go straszyć - poradziłem.

- Sukinsyn coś wie - burknęła. - Inaczej czemu by tak fiknęła?

- Złe odżywianie?

- Obudź go.

Myślałem, że żartuje, ale oczywiście była śmiertelnie poważna.

- Jakies sugestie? - spytałem. - Zapomniałem soli trzeźwiących.

- Nie możemy stać i czekać. - Wychyliła się do przodu, jakby chciała nim potrząsnąć, a może dać mu fangę w nos.

Jednak szczęśliwie dla siebie, Halpern akurat w tej chwili postanowił odzyskać przytomność. Zatrzepotał powiekami kilka razy, zanim otworzył oczy; spojrzął na nas i zeszywniał.

- Czego chcecie? - odezwał się.

- Obiecujesz, że więcej nie zemdlejesz? - zapytałem go. Debora dźgnęła mnie łokciem.

- Ariel Goldman - rzuciła.

- O Boże - jęknął Halpern. - Wiedziałem, że tak będzie.

- Miałeś rację - przytaknąłem.

- Musicie mi uwierzyć. - Usiłował się podnieść. - Ja tego nie zrobiłem.

- No dobrze. - Deb zmusiła się do spokoju. - Nie ty, to kto?

- Ona sama - odparł.

Debora spojrzała na mnie, może w nadziei, że potrafię wyjaśnić, dlaczego Halpernowi fatalnie odbiło. Niestety, nie potrafiłem, więc znów spojrzała na niego.

- Ona to zrobiła - powiedziała głosem pełnym gliniarskiego powątpiewania.

- Tak - upierał się. - Chciała mnie wrobić, żebym musiał dać jej dobrą ocenę.

- Spaliła się. - Debora mówiła, bardzo powoli, jakby zwracała się do trzylatka. - A potem obcięła sobie głowę. Żebyś musiał dać jej dobrą ocenę.

- Mam nadzieję, że dostała choć czwórkę za wkład pracy - dodałem.

Halpern patrzył na nas wybałuszonymi oczami, z luźno opadniętą szczęką, która drgała spazmatycznie, jakby próbowała się domknąć,

ale brakowało w niej ścięga.

- C-co - wykrztusił wreszcie. - O czym wy mówicie?

- O Ariel Goldman - przypomniała cierpliwie Deb. - I o jej współlokatorce, Jessice Ortedze. Obie spalone na śmierć. Obie bez głów. Co możesz nam o tym powiedzieć, Jerry?

Halpern drgnął i długo się nie odzywał.

- Ja, ja... Nie żyją? - wyszeptał wreszcie.

- Jerry. - Deb starała się przemówić mu do rozumu. - Mają obcięte głowy. Jak myślisz?

Patrzyłem z wielkim zainteresowaniem, jak po twarzy Halperna przelatuje cała gama min wyrażających rozmaite odcienie niezrozumienia, aż w końcu, kiedy trybiki w głowie zaskoczyły, znów opadła mu szczęka.

- Myślicie, że... że ja... Nie możecie...

- Przykro mi, Jerry, ale mogę - przerwała mu bezceremonialnie Debora. - Chyba że mi wytłumaczysz, dlaczego nie powinnam.

- Ale to... Ja nigdy...

- Ktoś to zrobił - powiedziałem.

- Tak, ale, mój Boże.

- Jerry - włączyła się Debora - myślałeś, że o co chcieliśmy spytać?

- O, o gwałt. To znaczy, o to, jak jej nie zgwałciłem.

Gdzieś istnieje świat, w którym wszystko jest zrozumiałe. Gdzieś. Nie tutaj.

- Jak jej nie zgwałciłeś - powtórzyła Debora.

- Tak, bo... chciała, żebym to zrobił.

- Chciała, żebyś ją zgwałcił? - spytałem, wymawiając powoli i dokładnie każde słowo.

- Ona, ona... - Poczerwieniał. - Proponowała mi, no, seks. Za dobry stopień. - Wbił wzrok w podłogę. - Odmówiłem.

- I wtedy poprosiła, żebyś ją zgwałcił? - spytałem jeszcze raz. Debora dźgnęła mnie łokciem.

- Odmówiłeś, Jerry? - Przybrała zdumioną minę. - Takiej ładnej dziewczynie?

- Wtedy, eee... wtedy powiedziała, że piątkę tak czy inaczej dostanie. I rozerwała na sobie bluzkę, i zaczęła krzyczeć. - Przełknął ślinę,

ale nie podniósł oczu.

- Mów dalej.

- I mi pomachała. - Uniósł rękę i zrobił pa, pa. - I wybiegła na korytarz. - W końcu spojrział w górę. - Ubiegam się w tym roku o stały etat - powiedział. - Gdyby coś takiego wyszło na jaw, to byłby koniec mojej kariery.

- Rozumiem - Deb pokiwała głową. - Czyli zabiłeś ją dla ratowania swojej kariery.

- Co? Nie! - wykrztusił. - Nie zabiłem jej!

- Nie ty, to kto, Jerry?

- Nie wiem! - Był niemal obrażony, jakbyśmy oskarżyli go o kradzież ostatniego ciastka. Debora tylko na niego patrzyła, a jego rozbiegany wzrok błędził między nią a mną. - To nie ja!

- Chciałabym ci wierzyć, Jerry - odparła Debora. - Ale to już nie ode mnie zależy.

- Jak to?

- Będę musiała poprosić, żebyś pojechał ze mną.

- Aresztujecie mnie? - wybuchnął.

- Zabiorę cię na komisariat, żebyś tam odpowiedział na parę pytań, to wszystko - uspokoiła go.

- O mój Boże - jęknął. - Aresztujecie mnie. To... nie. Nie.

- Profesorze, załatwmy to bezboleśnie - powiedziała Debora. - Chyba obejdzie się bez kajdanek, co?

Długo na nią patrzył, aż nagle zerwał się na nogi i pobiegł do drzwi. Na nieszczęście dla niego i jego przemyślnego planu ucieczki, musiał ominąć mnie, a Dexter zewsząd zbiera zasłużone pochwały za błyskawiczny refleks. Podstawiłem profesorowi nogę; wyłożył się jak długi i rąbnął głową w drzwi.

- Au! - wrzasnął.

Uśmiechnąłem się do Debory.

- Jednak przydadzą się kajdanki.

Tak naprawdę nie jestem paranoikiem. Nie mam poczucia zagrożenia ze strony tajemniczych wrogów, którzy chcą mnie osaczyć, torturować, zabić. Oczywiście, wiem doskonale, że jeśli pozwolę, by zsunęła mi się maska i odsłoniła moje prawdziwe oblicze, całe społeczeństwo jednym głosem zażąda mojej śmierci w męczarniach, ale to nie jest paranoja, tylko trzeźwe, spokojne spojrzenie na ogólnie akceptowaną rzeczywistość, i wcale mnie to nie przeraża. Po prostu staram się być ostrożny, żeby do tego nie dopuścić.

Tyle że dotychczas ogromna częścią mojej ostrożności sprowadzała się do wsłuchiwania w dyskretne podszepty Mrocznego Pasażera, a on wciąż dziwnie krępował się podzielić ze mną swoimi przemyśleniami. Miałem więc do czynienia z nową, zaskakującą wewnętrzną ciszą, która jak kamyk wrzucony do wody wytwarzała we mnie kręgi niepokoju, a przez to byłem bardzo spięty. Wszystko zaczęło się przy piecach, od tego uczucia, że ktoś mnie obserwuje czy nawet podchodzi. A potem, kiedy wracaliśmy na komendę, miałem nieodparte wrażenie, że jedzie za nami jakiś wóz. Czy tak naprawdę było? Czy miał złowrogie zamiary? A jeśli tak, to czy wobec mnie, czy Debory, czy też po prostu, jak to się zdarzało kierowcom z Miami, postanowił kogoś postraszyć i padło na nas?

Obserwowałem ten samochód, białą toyotę avalon, w lusterku bocznym. Trzymał się za nami przez całą drogę, aż Debora skręciła na parking, a wtedy po prostu pojechał dalej. Kierowca ani nie zwolnił, ani na nas nie spojrzał, ale nie mogłem odpędzić absurdalnego przeświadczenia, że naprawdę nas śledził. Jednak żeby mieć pewność, musiałbym to usłyszeć od Pasażera, a on milczał - wydał z siebie tylko coś jakby syczące odchrząknięcie, więc uznałem, że postąpiłbym bezdennie głupio, gdybym powiedział coś Deborze na ten temat.

A później, kiedy wyszedłem do swojego samochodu, żeby wrócić do domu na noc, znów odniosłem to samo wrażenie, że ktoś albo coś mnie obserwuje - ale to było tylko wrażenie. Nie przestroga, nie szept

z cienia, nie nakazujący gotowość trzepot niewidzialnych czarnych skrzydeł – po prostu wrażenie. Poczulem się nieswojo. Kiedy Pasażer mówi, ja słucham. I działałam. Teraz jednak nie mówił, tylko wiercił się, a ja nie miałem pojęcia, jak to zinterpretować. Dlatego przy braku jakiegokolwiek bardziej konkretnego pomysłu, w drodze do domu patrzyłem w lusterko wsteczne.

Czy to właśnie znaczy być człowiekiem? Że idzie się przez życie z nieodstępującym poczuciem, że jest się kawałkiem mięsa na kopytach, uciekającym w popłochu przed depczącymi po piętach tygrysami? Jeśli tak, w dużym stopniu wyjaśniałoby to ludzkie zachowania. Jako drapieżca świetnie wiem, jak silny czuje się ktoś, kto przechadza się w przebraniu wśród stad potencjalnych ofiar, świadom, że w każdej chwili może jedną z nich oderwać od pozostałych. Jednak milczenie Pasażera sprawiło, że nie tylko wtopiłem się w otoczenie, ale także dołączyłem do stada, stałem się bezbronną zwierzyną, i wcale mi się to nie podobało. Zrobiłem się przez to dużo bardziej czujny.

I kiedy zjechałem z autostrady, dzięki mojej wzmożonej czujności zobaczyłem jadącą za mną białą toyotę avalon.

Racja, na świecie jest mnóstwo białych toyot avalon. Japończycy przegrali wojnę i to daje im prawo do zdominowania naszego rynku motoryzacyjnego. I, jak podpowiadał rozsądek, wiele z tych avalonów mogło jechać do domu tą samą ruchliwą trasą co ja. Logicznie rzecz biorąc, liczba stron świata jest ograniczona i nic w tym dziwnego, że taki czy inny biały avalon wybrał jedną z nich. A nielogicznie byłoby zakładać, że ktoś miałby chcieć mnie śledzić. Bo co zrobiłem? To znaczy co takiego, co można by mi udowodnić?

Dlatego moje wrażenie, że ktoś mnie śledzi, było zupełnie wbrew logice, co nie wyjaśnia, czemu nagle skręciłem z autostrady numer 1 w prawo, w boczną ulicę.

Nie wyjaśnia też, czemu biały avalon pojechał za mną.

Wóz trzymał się daleko z tyłu, jak postąpiłby każdy drapieżca, który nie chce spłoszyć upatrzonej ofiary – albo normalny człowiek, który zbiegiem okoliczności skręcił na tę samą drogę co ja. Tak więc z tym samym, zupełnie do mnie niepodobnym brakiem logiki, zrobiłem następny zwrot, tym razem w lewo, na wąską osiedlową uliczkę.

Tamten samochód po chwili podążył za mną.

Dziarski Dexter nie wie, co to strach. Z tego by wynikało, że huczący łomot mojego serca, suchość w ustach i zlewny pot to objawy rosnącego niepokoju.

Nie podobało mi się to uczucie. Nie byłem już Nożowładnym Rycerzem. Mój oręż i zbroja zostały w jakimś głębokim lochu zamku, a ja, kruchy i łakomy kąsek, znalazłem się bez nich na polu bitwy, i z bliżej nieokreślonego powodu umacniałem się w przekonaniu, że coś złośliwie mój zapach.

Znów skręciłem w prawo – i obok mignął mi znak z napisem „Droga bez wylotu”.

Ślepy zaułek. Znalazłem się w potrzasku.

Nie wiedzieć czemu, zwolniłem i zaczekałem, aż tamten samochód nadjedzie. Chyba po prostu chciałem się upewnić, że naprawdę istnieje. Istniał. Pojechałem na koniec uliczki, gdzie droga rozszerzała się i tworzyła mały, okrągły placyk do zawracania. Przed domem u szczytu placyku nie stały żadne samochody. Wtoczyłem się na podjazd, zgasiłem silnik i czekałem, zadziwiony łoskotem mojego serca i moją niezdolnością do tego, by zrobić coś więcej niż tylko siedzieć i czekać na nieuchronny atak kłów i pazurów tego, co mnie ścigało.

Biały samochód przy placyku zwolnił, podjechał do mnie...

I pojechał dalej, dookoła placyku, z powrotem w głąb uliczki, ku słońcu zachodzącemu nad Miami.

Odprowadziłem go wzrokiem i kiedy tylne światła zniknęły za zakrętem, nagle przypomniałem sobie, jak się oddycha. Skorzystałem z odzyskanej umiejętności i bardzo to było przyjemne. Kiedy już zawartość tlenu wróciła do normy i znów zadomowiłem się we własnej skórze, poczułem się jak bardzo głupi Dexter. Bo co się tak naprawdę stało? Jakiś samochód zdawał się mnie śledzić, ale w końcu odjechał. Istniał milion powodów, dla których mógł wybrać tę samą trasę co ja, i większość z nich dała się podsumować jednym słowem: przypadek. A kiedy biedny Dobity Dexter siedział i pocił się za kierownicą, cóż uczynił wielki zły wóz? Pojechał dalej. Nie zatrzymał się, żeby popatrzeć, warknąć czy rzucić granat ręczny. Pojechał dalej i zostawił mnie w kałuży mojego własnego absurdalnego strachu.

Coś zastukało w moją szybę i walnąłem się głową w sufit samochodu.

Odwróciłem się w bok. Patrzył na mnie pochylony wąsaty mężczyzna w średnim wieku, ze szpetnymi śladami po trądziku. Nie zauważyłem go aż do teraz; kolejny dowód, że byłem sam, niechroniony.

Opuściłem szybę.

- Pomóc w czymś? - spytał.

- Nie, dziękuję. - Ciekawy, w czym właściwie chciałby mi pomóc. Nie trzymał mnie długo w niepewności.

- Stoi pan przed moim domem - zauważył.

- Aha. - Przyszło mi do głowy, że pewnie ma rację i że należy mu się jakieś wytłumaczenie. - Ja do Vinny'ego. - Mało oryginalne, ale w tych okolicznościach ujdzie.

- Pomylił pan adres - odparł mężczyzna z nutą złośliwego triumfu, która prawie że przywróciła mi dobry nastrój.

- Przepraszam - powiedziałem. Zamknąłem okno i cofnąłem wóz, a mężczyzna stał i patrzył za mną, pewnie chcąc się upewnić, że nagle nie wyskoczę i nie rzucę się na niego z maczetą. Już po paru minutach wchłonął mnie krwiożerczy chaos na autostradzie numer 1 i rutynowa agresja ruchu ulicznego otuliła ciepłym kocem - poczułem, że znów powoli zapadam się w siebie. Wracąłem do domu, za kruszejącymi murami Zamku Dexter, tego z pustym lochem i całą resztą.

Nigdy jeszcze nie było mi tak głupio - czułem się jak prawdziwy człowiek, przynajmniej na tyle, na ile to dla mnie osiągalne. Co ja sobie, do licha, myślałem? W ogóle nie myślałem, po prostu zareagowałem na dziwaczne ukłucie paniki. Niedorzecznie, tak po ludzku, że aż śmiechu warte, oczywiście przy założeniu, że jestem prawdziwym człowiekiem, który potrafi się naprawdę śmiać. No cóż. Przynajmniej byłem śmieszny, to już coś.

Na ostatnich kilometrach zająłem się wymyślaniem obelg, którymi mógłbym obrzucić siebie za tchórzliwą i przesadną reakcję, i zanim zajechałem pod dom Rity, nie zostawiłem na sobie suchej nitki, co zdecydowanie poprawiło mi samopoczucie. Wysiadłem z prawie że szczerym uśmiechem, rozpierany radością płynącą z najgłębszej głębi Dextera Durnoty. A kiedy podchodziłem już do drzwi wejściowych, minął mnie powoli jadący samochód.

Biały avalon, rzecz jasna.

Jeśli jest na tym świecie coś takiego jak sprawiedliwość, z pewnością był to jeden z tych momentów, które uszykowała specjalnie dla mnie. Tyle razy ubawiłem się, patrząc na kogoś, kto stał z rozdziawionymi ustami, kompletnie sparaliżowany z zaskoczenia i strachu, a teraz proszę, mamy Dextera w tej samej idiotycznej pozie. Wryty w ziemię, niezdolny nawet do otarcia śliny cieknącej mi z ust, patrzyłem na jadący powoli samochód i nie mogłem opędzić się od myśli, że bardzo głupio wyglądam.

Naturalnie, wyglądałbym jeszcze bardziej głupio, gdyby ten z białego samochodu zrobił coś więcej, niż tylko przejechał obok mnie, ale szczęśliwie dla liczego grona ludzi, którzy mnie znają i kochają – jest ich co najmniej dwoje, ze mną włącznie – wóz się nie zatrzymał. Przez chwilę miałem wrażenie, że widzę twarz mężczyzny patrzącego na mnie z fotela kierowcy. Potem dodał gazu, zjechał trochę bliżej środka ulicy, tak że w świetle zabłysł emblemat toyoty, srebrna głowa byka, i zniknął w oddali.

A ja, z braku lepszego pomysłu, zamknąłem usta, poskrobałem się po głowie i chwiejnym krokiem wszedłem do domu.

Było ciche, ale bardzo głębokie i silne bębnienie, i narastająca radość, wyzwolona ulgą i niecierpliwym wyczekiwaniem na to, co zaraz nadejdzie. Potem zadęły rogi i to już się zbliżało, jeszcze chwila, a zacnie się, nareszcie, znowu, i kiedy błogość przeszła w melodię, zdałoby się dochodząca zewsząd, nogi poniosły mnie tam, gdzie głosy obiecywały rozkosz, która napelni wszystko tym poczuciem wszechogarniającego spełnienia, i poszybujemy w objęciach ekstazy...

Obudziłem się z walącym sercem i uczuciem ulgi, które na pewno nie znajdowało uzasadnienia i którego nie rozumiałem. Bo nie była to ulga, jaką spragnionemu daje łyk wody czy zmęczonemu odpoczynek, choć to też.

Ale – to już nie zaskakujące, lecz głęboko niepokojące – była to także ulga, jaka przychodzi po moich igraszkach ze złymi ludźmi; ulga, która mówi, że zaspokoiliś najgłębsze pragnienia swojego ja, więc teraz możesz się odprężyć i na jakiś czas spocząć na laurach.

A tak być nie mogło. To najbardziej prywatne i osobiste z uczuć nie miało prawa nawiedzać mnie we śnie.

Spojrzałem na zegar obok łóżka: pięć po północy, nie pora na to, by Dexter czuwał, zwłaszcza w nocy, którą zamierzał przespać.

Po drugiej stronie łóżka Rita chrapała cicho i podrygiwała lekko, jak pies śniący, że goni królika.

A po mojej stronie łóżka: strasznie skołowany Dexter. Coś wdarło się w pozbawioną snów noc i zburzyło spokojne morze mojego bezdusznego snu. Nie wiedziałem co, ale z niewiadomego powodu wielce mnie uradowało, a to niedobrze. Moim księżycowym hobby cieszyłem się na swój beznamiętny sposób. Nic innego dotąd nie miało wstępu do zakamarka mrocznego lochu Dextera. I ten stan rzeczy mi odpowiadał. Miałem własny, dobrze strzeżony kącik, ogrodzony i zaryglowany, w którym czułem moją osobistą, szczególną radość – tylko w te noce. Inaczej nie miałyby to sensu.

Cóż więc wdarło się tam i zalało loch tym niechcianym uczuciem? Co, u licha, mogło dostać się do środka z tak nadzwyczajną łatwością?

Położyłem się z mocnym postanowieniem, by zasnąć i udowodnić sobie, że nadal ja tu rządzę, że nic się nie stało, a już na pewno się nie powtórzy. To była Dexterlandia, moje królestwo. Nic innego nie miało do niej wstępu. Zamknąłem oczy i poprosiłem o potwierdzenie wewnętrzny głos władzy Mrocznego Pasażera; czekałem, aż przytaknie, aż wysyczy kojące słowa, które pokażą tej brzękliwej muzyce i towarzyszącej jej eksplozji uczucia, gdzie ich miejsce, wypędzą je z mroku. I czekałem, aż coś powie, on jednak milczał.

Szturchnąłem go więc bardzo ostrą i poirytowaną myślą „Obudź się! Pokażże te swoje zęby!”

Nie powiedział nic.

Pospiesznie zajrzałem we wszystkie zakątki mojego ja, wrzeszczałem z coraz większym niepokojem, nawołując Pasażera, ale zostało po nim tylko puste, starannie wysprzątane miejsce, pokój do wynajęcia. Jakby w ogóle go tam nigdy nie było.

Wciąż słyszałem echo muzyki, odbijało się od twardych ścian nieumeblowanego mieszkania i niosło przez niespodziewaną, bardzo bolesną pustkę.

Mroczny Pasażer odszedł.

Następny dzień spędziłem w gorączkowej niepewności; miałem nadzieję, że Pasażer powróci, a jednocześnie coś mi mówiło, że nie. Z upływem czasu zwątpienie przeważało i stało się coraz bardziej przygnębiające.

Była we mnie duża, kruszejąca wyrwa i tak naprawdę nie miałem jak o tym myśleć ani jak radzić sobie z poczuciem zięjącej pustki, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałem. Na pewno nie powiedziałbym, że cierpiałem wewnętrzne katusze - zawsze wydawało mi się, że to coś dla tych, którzy lubią się ze sobą cackać - ale czułem się nieswojo i przez cały dzień tkwiłem w gęstej mazi nerwowego lęku.

Dokąd odszedł mój Pasażer i dlaczego? Czy wróci? Pytania te nieuchronnie wciągały mnie w głębsze, jeszcze bardziej niepokojące rozważania: czym był Pasażer i dlaczego w ogóle we mnie zamieszkał?

Trochę mnie to otrzeźwiło, kiedy uświadomiłem sobie, w jak dużym stopniu określałem samego siebie przez coś, co tak naprawdę mną nie było - a może było? Może cała postać Mrocznego Pasażera to tylko chory twór uszkodzonego umysłu, sieć, która miała chwytać odbłaski przefiltrowanej rzeczywistości i chronić mnie przed straszną prawdą o tym, kim naprawdę jestem. Istniała taka możliwość. Mam podstawową wiedzę z zakresu psychologii i już od pewnego czasu zakładam, że nie mieszcze się w żadnej skali. Nie przeszkadza mi to; świetnie sobie radzę bez nawet odrobiny normalnego człowieczeństwa.

Przynajmniej tak było do tej pory. Nagle jednak zostałem sam ze sobą i nic już nie wydawało się tak wyraziste, pewne. I po raz pierwszy musiałem poznać prawdę.

Oczywiście, w niewielu miejscach pracy dostaje się płatny urlop na introspekcję, nawet kiedy jej przedmiotem jest coś tak ważnego jak zaginieni Mroczni Pasażerowie. Nie, Dexter musiał odrobić pańszczyzną. Zwłaszcza pod batem Debory.

Na szczęście chodziło głównie o rutynowe czynności. Przez cały ranek z resztą szcurków laboratoryjnych przeczesywaliśmy mieszkanie

Halperna w poszukiwaniu konkretnych dowodów jego winy. Co ucieszyło mnie jeszcze bardziej, była ich taka obfitość, że nie musieliśmy się zbytnio napracować.

W głębi szafy znaleźliśmy skarpetkę, a na niej kilka kropel krwi. Spod kanapy wyciągnęliśmy biały płócienny but z plamą do kompletu. W plastikowym worku w łazience leżały spodnie z osmalonym mankietem i też ze śladami krwi, małymi, rozbryźniętymi kropeczkami utwardzonymi pod wpływem żaru.

Pewnie to dobrze, że tyle tego wszystkiego znalazło się na widoku, bo Dexter naprawdę nie był dziś tak bystry i pełen zapału jak zawsze. W jednej chwili dryfowałem w niespokojnej szarej mgłę i zastanawiałem się, czy Pasażer powróci, by zaraz potem ocknąć się w szafie, z brudną, zakrwawioną skarpetą w ręku. Gdyby czekała mnie robota śledcza z prawdziwego zdarzenia, nie wiem, czy dałbym radę wznieść się na mój zwykle bardzo wysoki poziom.

Na szczęście, nie zachodziła taka potrzeba. Nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś, kto w końcu miał kilka dni na to, żeby posprzątać, tak ochoczo rozrzucał wokół siebie wyraźne i niezbite dowody. Kiedy oddaję się swojemu małemu hobby, jestem schludny, porządnym i - po kilku minutach - niewinny z punktu widzenia medycyny sądowej; Halpern zaś przez kilka dni nie podjął nawet elementarnych środków ostrożności. To było prawie zbyt łatwe i kiedy obejrzelśmy jego samochód, odrzuciłem „prawie”. Na podłokietniku przedniego siedzenia widniał zaschnięty, krwawy odcisk kciuka.

Oczywiście, istniała możliwość, że badania laboratoryjne wykażą, że to krew kury, a Halpern po prostu oddawał się niewinnej rozrywce, na przykład amatorskiemu ubojowi drobiu. W to jednak wątpiłem. Wszystko zdecydowanie wskazywało, że zrobił komuś coś naprawdę niesympatycznego.

A mimo to nie dawała mi spokoju natrętna myśl: że to też wydaje się zdecydowanie za łatwe. Coś tu nie pasowało. Ponieważ jednak nie miałem Pasażera, który wskazałby mi właściwy kierunek, zachowałem to dla siebie. Tak czy inaczej, okrucieństwem byłoby przekłuć radosny balonik Debory. Wręcz promieniała z zadowolenia, kiedy przyszły wyniki badań, i coraz bardziej wyglądało na to, że w osobie Halperna złowiliśmy taaaaką pomyloną rybę.

Nie uwierzycie, ale coś sobie nuciła pod nosem, kiedy ciągnęła mnie na przesłuchanie Halperna, co wzmogło moje zaniepokojenie w stopniu dotąd niespotykanym. Obserwowałem ją, gdy wchodziliśmy do pokoju, w którym czekał profesor. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio miała w sobie tyle radości. Zapomniała nawet przybrać tej srogiej, wyrażającej dezaprobatę, miny. Po prostu szok, coś całkowicie sprzecznego z prawem natury, zupełnie jakby na autostradzie 95 wszyscy nagle postanowili jechać wolno i ostrożnie.

- To co, Jerry? - zaczęła swobodnie, kiedy usiedliśmy naprzeciwko Halperna. - Porozmawiamy o tych dwóch dziewczynach?

- Nie ma o czym rozmawiać - odparł. Był strasznie blady, prawie zielonkawy, ale sprawiał wrażenie dużo bardziej zdeterminowanego niż wtedy, gdy go przywieźliśmy. - Coś wam się pomyliło. Nic nie zrobiłem.

Debora spojrzała na mnie z uśmiechem i pokręciła głową.

- Nic nie zrobił - powiedziała radośnie.

- Całkiem prawdopodobne - stwierdziłem. - Może podrzucili mu te ubrania, kiedy oglądał Lettermana.

- Tak było, Jerry? - spytała. - Ktoś inny zostawił u ciebie zakrwawione ciuchy?

Pozieleniał jeszcze bardziej, o ile to możliwe.

- Co... zakrwawione... o czym wy mówicie?

Uśmiechnęła się do niego.

- Jerry. Znaleźliśmy twoje spodnie, uwalane krwią. Krwią ofiar. Znaleźliśmy but i skarpetkę, ta sama historia. I krwawy odcisk palca w twoim samochodzie. Twój odcisk, ich krew. - Debora odchyliła się na oparcie i skrzyżowała ręce. - I co, pamięć wraca?

Jeszcze mówiła, gdy Halpern zaczął kręcić głową i teraz robił to nadal, jakby w jakimś dziwnym nieświadomym odruchu.

- Nie. Nie. To nawet nie jest... Nie.

- Nie, Jerry? Co znaczy „nie”?

Wciąż kręcił głową. Kropla potu oderwała się od jego włosów i plasnęła na stół. Słyszałem, jak z wysiłkiem oddychał.

- Proszę - jęknął. - To obłąd. Nic nie zrobiłem. Dlaczego... To czysty Kafka, nic nie zrobiłem.

Debora odwróciła się do mnie i uniosła brew.

- Kafka?

- Myśli, że jest karaluchem - wyjaśniłem.

- Jerry, ja durna glina jestem. Nie znam Kafki. Ale niezbite dowody poznaję na pierwszy rzut oka. I wiesz co, Jerry? Widzę je w całym twoim mieszkaniu.

- Ale ja nic nie zrobiłem - skamlał.

- No dobrze. - Wzruszyła ramionami. - W takim razie pomóż mi. Skąd to wszystko się u ciebie wzięło?

- To Wilkins - powiedział i zrobił zaskoczoną minę, jakby te słowa wyszły nie z jego ust.

- Wilkins? - Debora spojrzała na mnie.

- Profesor z sąsiedniego gabinetu? - zwróciłem się Halperna.

- Zgadza się. - Wyraźnie się ożywił. Wychylił się do przodu. - To Wilkins... To musiał być on.

- A więc Wilkins - mówiła Debora. - Przebrał się w twoje ciuchy, zabił dziewczyny, a potem odniósł ubranie do twojego mieszkania.

- Właśnie tak.

- Czemu miałyby to zrobić?

- Obaj ubiegamy się o stały etat. Dostanie go tylko jeden z nas.

Spojrzała na niego tak, jakby zaproponował, by zatańczyli nago.

- Stały etat - powiedziała wreszcie głosem pełnym zdumienia.

- Zgadza się - odparł, lekko urażony. - To najważniejsza chwila w karierze naukowej.

- Na tyle ważna, by zabić? - spytałem.

Wbił wzrok w punkt na stole.

- To Wilkins - powtórzył.

Debora przyglądała mu się przez całą minutę z miną ciotuni czule obserwującej ukochanego siostrzeńca. On patrzył na nią przez kilka sekund, zamrugał, zerknął na stół, na mnie i znowu na stół. Kiedy cisza się przedłużała, w końcu podniósł oczy na Deborę.

- No dobrze, Jerry. Jeśli to najlepsze, na co cię stać, chyba już czas, żebyś zadzwonił po adwokata.

Wywalił na nią gały, ale nie przychodziło mu do głowy nic, milczał, więc Debora wstała i poszła do drzwi, a ja za nią.

- Mam go - stwierdziła z satysfakcją na korytarzu. - Sukinsyn jest uwarzony. Gem, set, mecz.

I była taka rozradowana, że coś mnie podkusiło, żeby zmącić jej nastrój:

- O ile to zrobił.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie.

- Pewnie, że to zrobił, Dex. Jezu, więcej wiary w siebie. Odwaliłeś kawał dobrej roboty i wreszcie choć raz za pierwszym podejściem dorwaliśmy winnego.

- Może.

Przechyliła głowę na bok i przyjrzała mi się, wciąż z tym dumnym uśmiechem.

- Co z tobą, Dex? Trzęsiesz gatkami przed ślubem?

- Wszystko w porządku - odparłem. - Świat jest pełen harmonii i szczęścia jak nigdy. Ja tylko... - I tu się zawahałem, bo tak naprawdę nie wiedziałem, co ja tylko. Towarzyszyło mi jedynie to nieodparte i niedorzeczne wrażenie, że coś jest nie tak.

- Wiem, Dex - powiedziała życzliwym tonem, który jeszcze bardziej popsuł mi samopoczucie. - To zbyt proste, mam rację? Ale pomyśl o całym tym syfie, który znosimy co dzień, przy każdym innym śledztwie. Chyba logiczne, że raz na jakiś czas musi się nam trafić coś lżejszego, no nie?

- Nie wiem. Po prostu czuję, że coś tu nie gra.

Prychnęła.

- Mamy na gościa tyle twardych dowodów, że kto by się przejmował, co czujesz. Wrzuć na luz, ciesz się, że dobrze przepracowałeś dzień.

Jestem pewien, że to była doskonała rada, ale nie mogłem jej usłuchać. Choć nie miałem do pomocy znajomego szeptu, który podsuwałby mi moje kwestie, musiałem coś powiedzieć.

- Nie robi wrażenia, jakby kłamał - zauważyłem, dość nieprzekonująco.

Debora wzruszyła ramionami.

- To wariat. Nie mój problem. Zrobił to.

- Ale jeśli jest psychiczny, czemu miałoby to tak nagle wyskoczyć? Facet ma trzydzieści kilka lat i pierwszy raz coś zrobił? To się kupy nie trzyma.

Poklepała mnie po ramieniu i znów się uśmiechnęła.

- Słusznie, Dex. Może zapuścisz kompa i sprawdzisz jego przeszłość? Założę się, że coś znajdziemy. - Zerknęła na zegarek. - Ale po konferencji prasowej, dobrze? Chodź, nie mogę się spóźnić.

Poszedłem więc posłusznie za nią, rozmyślając, jak to jest, że zawsze dobrowolnie biorę na siebie dodatkową robotę.

Rzeczywiście, Debora otrzymała dar z niebios, jakim była konferencja prasowa, coś, czym kapitan Matthews obdzczał nielicznych. Pierwszy raz miała wystąpić publicznie jako detektyw prowadząca ważne śledztwo, które dorobiło się własnego szumu medialnego, i wyraźnie podszkoliła się w tym, jak wyglądać i mówić w wieczornych wiadomościach. Zniknął uśmiech i wszelkie inne widoczne ślady uczuć; mówiła bezbarwnym, opanowanym do perfekcji żargonem policyjnym. Tylko ktoś, kto znał ją tak dobrze jak ja, mógł poznać, że pod drewnianą twarzą buzowała wielka i nietypowa dla niej radość.

Stałem więc z tyłu sali i patrzyłem, jak moja siostra przedstawia serię radośnie mechanicznych komunikatów, które wzięte razem wyrażały jej przekonanie, że zatrzymała podejrzanego w sprawie makabrycznych zabójstw na uczelni, no i kiedy tylko będzie wiedziała na pewno, że człowiek ten jest winny, drodzy przyjaciele z mediów od razu zostaną poinformowani. Tryskała dumą i szczęściem i czystą złośliwością z mojej strony było choćby zasugerować, że z winą Halperna coś jest nie tak, zwłaszcza że sam nie potrafiłem powiedzieć, czym to coś może być - i czy w ogóle jest.

Prawie na pewno miała rację - Halpern był winny, a ja wygłupiałem się i marudziłem, bo mój zaginiony Pasażer wyrzucił mnie z tramwaju zwanego Zdrowym Rozsądkiem. To właśnie echo jego nieobecności powodowało, że czułem się nieswojo, nie jakiegokolwiek wątpliwości co do podejrzanego w sprawie, która tak czy owak zupełnie, ale to zupełnie nic dla mnie nie znaczyła. Prawie na pewno...

I znów to „prawie”. Przez całe życie kierowałem się pewnikami - nie miałem doświadczenia z „prawie” i denerwowało mnie, i głęboko niepokoiło, że nie mogę liczyć na ten głos pewności, który bez hamletyzowania i wątpliwości mówił mi, co jest co. Zaczęło do mnie docierać, jak bardzo bezradny jestem bez Mrocznego Pasażera. Nawet w pracy zawodowej nic już nie było proste.

Po powrocie do boksu usiadłem na krześle i odchyliłem się z zamkniętymi oczami. Jest tam kto? – spytałem z nadzieją. Cisza. Puste miejsce i ból, który stopniowo wypierał otepiałające zdumienie. Niezajęty pracą, nie miałem nic, co powstrzymałoby mnie od narcystycznego uzalania się nad sobą. Sam w mrocznym, złym świecie pełnym strasznych istot, takich jak ja. A przynajmniej ja taki, jaki kiedyś byłem.

Dokąd odszedł Pasażer i dlaczego to zrobił? Jeśli coś go naprawdę przepłoszyło, czym to coś mogło być? Co mogło przerazić istotę, która żyła ciemnością i z letargu tak naprawdę budził ją tylko błysk noża?

Za tą myślą przyszła następna, bardzo niepożądana: jeśli to hipotetyczne coś wystraszyło Pasażera, czy podążyło jego śladem na wygnanie? Czy też nadal wietrzyło mój trop? Czy znalazłem się w niebezpieczeństwie, przed którym nic już mnie nie uchroni – bo nic mi nie powie, czy za moimi plecami czyha jakieś śmiertelne zagrożenie, dopóki nie poczuję strużki śliny ściekającej na mój kark?

Zawsze słyszałem, że nowe doświadczenia to dobra rzecz, ale akurat to było czystą torturą. Im więcej myślałem, tym mniej rozumiałem, co się ze mną dzieje, i tym bardziej mnie to bolało.

Cóż, istniało jedno niezawodne lekarstwo na przygnębienie: ciężka, solidna praca nad czymś zupełnie bezużytecznym. Obróciłem się twarzą do komputera i wziąłem się do roboty.

Po ledwie kilku minutach miałem już przed sobą pełny życiorys doktora Geralda Halperna. Oczywiście nie wystarczyło poszukać go przez Google, o nie, sprawa nie była aż tak prosta. Na przykład otwarcie utajnionych akt sądowych zajęło mi prawie całe pięć minut. Kiedy jednak tego dokonałem, wyszło na to, że trud się opłacił i pomyślałem sobie: „No, no, no...” A ponieważ, nad czym ubolewałem, nie miałem z kim podzielić się tą refleksją, powiedziałem to też na głos.

- No, no, no.

Akta dotyczące opieki zastępczej byłyby wystarczająco ciekawe same w sobie – nie dlatego, że poczułem jakąkolwiek więź z Halpernem, bo też nie miałem rodziców. Ja dzięki Harry’emu, Doris i Deborze nie mogłem uskarżać się na brak domu i rodziny, nie to co Halpern, który przenosił się od jednej rodziny zastępczej do drugiej, zanim w końcu wylądował na uniwersytecie Syracuse.

Dużo ciekawsze jednak okazały się akta, których nikt miał nie otwierać bez nakazu, zgody sądu i kamiennej tablicy prosto z ręki Boga. A kiedy przestudiowałem je po raz drugi, zareagowałem z jeszcze większym przejęciem.

- No, no, no... - powiedziałem i dźwięk słów odbijających się od ścian mojego gabinetu przyprawił mnie o lekki dreszcz. A ponieważ sensacyjne odkrycia zawsze wypadają bardziej dramatycznie przed publicznością, sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do siostry.

Po kilku minutach wcisnęła się do mojego boksu i usiadła na składanym krześle.

- Co znalazłeś?

- Doktor Gerald Halpern ma Przeszłość - odparłem, starannie wymawiając wielką literę, żeby Debora nie skoczyła przez biurko i mnie nie wyściskała.

- Wiedziałam. - Pokiwała głową. - Co zrobił?

- Nie tyle zrobił - wyjaśniłem - ile jemu zrobiono.

- Przestań chrzanić - zirytowała się. - Co się stało?

- Pierwsza sprawa, okazuje się, że jest sierotą.

- Dex, proszę cię, do rzeczy.

Uniosłem dłoń, próbując uspokoić Deb, ale to widać nie poskutkowało, bo zaczęła stukać knykциями w blat biurka.

- Ja tu próbuję odmalować subtelne tło, siostrzyczko - dodałem tytułem komentarza.

- Maluj szybciej - odparowała.

- No dobrze. Halpern trafił do rodziny zastępczej w stanie Nowy Jork, bo, kiedy go znaleźli, mieszkał w pudle pod autostradą. Odszukano jego rodziców, niestety niedługo przedtem zginęli w nieprzyjemnych okolicznościach. I, jak się wydaje, w zupełności na to zasłużyli.

- Co to, kurwa, znaczy?

- Stręczyli go pedofilom.

- Jezu. - Debora była zszokowana. Nawet w Miami coś takiego uznano by za lekkie przegięcie.

- A Halpern nic z tego nie pamięta. W aktach piszą, że w chwilach stresu urywa mu się film. To zrozumiałe. Zaniki pamięci to pewnie

odruchowa reakcja na traumatyczne przeżycia. Tak bywa.

- No to zajebicie - powiedziała Debora, a ja w duchu podziwiałem jej klasę. - Czyli ma luki w pamięci. Musisz przyznać, że to pasuje. Dziewczyna próbuje go zrobić w gwałt, a on i bez tego martwi się, co będzie z jego stałym etatem, więc wpada w stres i nieświadomie ją zabija.

- Jest jeszcze parę innych szczegółów. - Przyznam, że delektowałem się dramatyzmem chwili chyba trochę bardziej niż to konieczne. - Po pierwsze, śmierć jego rodziców.

- To znaczy? - spytała, zupełnie nieporuszona moją kreacją.

- Mieli obcięte głowy. A dom został podpalony.

Debora wyprostowała się.

- O kurde - mruknęła.

- Też tak pomyślałem.

- Do licha, Dex, to wspaniale. Mamy skubańca.

- Cóż, na pewno pasuje do schematu.

- I to, kurczę, jak. Więc zabił rodziców?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mogli niczego udowodnić. Inaczej Halpern trafiłby do zakładu. Nikt nie wierzył, że dzieciak mógłby urządzić taką jatkę. Ale są prawie pewni, że tam był i przynajmniej widział, co się stało.

Spojrzała na mnie twardym wzrokiem.

- To nie wystarczy? Nadal uważasz, że jest niewinny? Znacząco, znów masz te swoje przeczucia czy jak?

Zapieкло bardziej niż powinno i na chwilę zamknąłem oczy. Wciąż nie było tam nic prócz ciemności i pustki. Moje osławione przeczucia oczywiście brały się z podszeptów Mrocznego Pasażera i pod jego nieobecność nie miałem się na czym oprzeć.

- Ostatnio ich nie miewam - wyznałem. - Po prostu coś w tej sprawie mi się nie podoba. To tylko...

Otworzyłem oczy. Debora wpatrywała się we mnie. Na jej twarzy po raz pierwszy tego dnia dostrzegłem coś innego niż tylko radosny entuzjazm i przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby chciała spytać, co znaczą moje słowa i czy dobrze się czuję. Nie miałem pojęcia, co odpowiedziałbym, bo o Mrocznym Pasażerze jeszcze nigdy z nikim

nie rozmawiałem i wizja dzielenia się czymś tak intymnym była mocno niepokojąca.

- Nie wiem - odezwałem się słabym głosem. - Coś tu nie gra.

Debora uśmiechnęła się łagodnie. Poczuliśmy się różnie, gdyby warknęła i kazała mi się odpieprzyć, ona jednak tylko wyciągnęła rękę nad biurkiem i poklepała mnie po dłoni.

- Dex - mówiła cicho - twardych dowodów mamy aż nadto. Przeszłość pasuje. Motyw jest. Przyznajesz, że nie masz tych swoich... przecuć. - Przechyliła głowę na bok, wciąż uśmiechnięta, co sprawiło, że poczułem się jeszcze bardziej nieswojo. - Wszystko jest git, braciszku. Cokolwiek cię gnębi, przyczyny szukaj gdzie indziej. Facet zabił, my go dopadliśmy, koniec kropka. - Puściła moją dłoń, zanim którekolwiek z nas mogło zalać się łzami. - Ale trochę się o ciebie martwię.

- Nic mi nie jest - odparłem i nawet ja słyszałem, że to trąci fałszem.

Debora długo na mnie patrzyła, aż wreszcie wstała.

- Niech ci będzie - powiedziała. - Ale w razie czego zawsze możesz na mnie liczyć. - Odwróciła się i wyszła.

Przez resztę dnia czułem się, jakbym brnął w szarej zupie, i kiedy w końcu wróciłem do Rity, zupa zestaliła się w galaretę, która odcięła mnie od reszty świata. Nie wiem, co jedliśmy na kolację, nie wiem, czy ktoś coś mówił. Mogłem tylko nasłuchiwać jednego jedyne go dźwięku: tupotu powracającego pędem Pasażera. Nadaremnie. Dlatego też przez resztę wieczoru dryfowałem na autopilocie i w końcu poszedłem do łóżka, wciąż bez reszty zaprzątnięty Tępy Pustym Dexterem.

Sporym zaskoczeniem było dla mnie to, że ludzie, nawet półczłowiek, jakim się stawałem, nie zapadają w sen automatycznie. W swoim poprzednim wcieleniu, Demona Dextera, spałem doskonale i zasypiałem bez trudu, wystarczyło położyć się, zamknąć oczy i pomyśleć: „Trzy dwa jeden start”. Czary-mary i lulu.

Nowy Model Dextera nie miał tyle szczęścia.

Przewracałem się z boku na bok, nakazywałem swojej żalösnej osobie natychmiast zasnąć, bez żadnych ale, i wszystko na nic. Nie mogłem spać. Mogłem tylko leżeć z szeroko otwartymi oczami i zastanawiać się dlaczego.

Noc ciągnęła się w nieskończoność, a wraz z nią straszne, ponure rozmyślenia. Czy przez całe życie wprowadzałem sam siebie w błąd? A jeśli nie byłem Dzielnym Dexterem Rozpruwaczem i jego Chytrym Pomocnikiem Pasażerem? A jeśli tak naprawdę byłem tylko Mrocznym Szoferem, który dostał małą izdebkę w pałacu w zamian za wożenie swojego pana na umówione wizyty? I skoro nie potrzebowano już moich usług, kim zostanę teraz, kiedy szef się wyprowadził? Kim byłem, jeśli już nie sobą?

Myśli dalekie od radosnych nie poprawiły mi humoru. Nie pomogły też zasnąć. A że przewracanie się z boku na bok męczyło mnie, ale nie zmęczyło, przerzuciłem się na kiwanie i kołysanie, z tym samym mniej więcej skutkiem. Koło wpół do czwartej nad ranem musiałem przypadkiem odkryć właściwą kombinację bezsensownych ruchów, bo wreszcie zapadłem w płytki, męczący sen.

Obudziło mnie skwierczenie i zapach smażącego się bekonu. Zerknąłem na zegar – ósma trzydzieści dwie. Tak późno jeszcze nigdy się nie obudziłem, no ale była sobota. Rita pozwoliła mi dłużej pobyć w stanie przygnębiającej nieświadomości. A teraz wynagrodzi mój powrót na jawę obfitym śniadaniem. Juhu.

Śniadanie rzeczywiście trochę mnie pokrzepiło. Trudno podsycać w sobie porządną, głęboką depresję i poczucie kompletnego braku własnej wartości, kiedy jest się najedzonym, i dałem za wygraną w połowie przepysznego omletu.

Cody i Astor naturalnie nie spali już od ładnych paru godzin – w sobotę rano mieli prawo nieograniczonego dostępu do telewizora i zwykle wykorzystywali to, by oglądać kreskówki, które nie mogłyby powstać przed odkryciem LSD. Nawet mnie nie zauważyli, kiedy chwiejnie przeszedłem obok nich do kuchni, i podczas gdy wgapiali się w gadające sprzęty kuchenne, ja skończyłem jeść śniadanie, wypłem ostatnią kawę i postanowiłem dać życiu jeszcze jeden dzień na to, żeby wzięło się w garść.

– Lepiej? – spytała Rita, kiedy odstawiłem kubek po kawie.

– Omlet był palce lizać. Dziękuję.

Uśmiechnęła się i zerwała z krzesła, żeby cmoknąć mnie w policzek, po czym wrzuciła wszystkie naczynia do zlewu i zaczęła zmywać.

- Pamiętaj, obiecałeś, że dziś rano zabierzesz gdzieś Cody'ego i Astor - usłyszałem przez szum wody lejącej się z kranu.

- Tak obiecałem?

- Dexter, wiesz, że mam przymiarękę. Do sukni ślubnej. Już dawno cię uprzedzałam, a ty powiedziałeś, że nie ma sprawy, popilnujesz dzieci, kiedy ja pójdę na przymiarękę do Susan, a potem muszę jeszcze wpaść do kwiaciarni i obejrzeć parę bukietów, nawet Vince chciał pomóc, podobno ma jakiegoś znajomego?

- Wątpię - mruknąłem, myśląc o Mannym Borque. - Nie Vince.

- Ale nie skorzystałam. Myślę, że dobrze zrobiłam?

- Doskonale - odparłem. - Mamy tylko jeden dom do sprzedania.

- Nie chciałam zrobić mu przykrości i nie wątpię, że ten jego znajomy jest świetny, ale kwiaty od zawsze kupuję u Hansa i serce by mu pękło, gdybym te na ślub zamówiła gdzie indziej.

- W porządku - powiedziałem. - Wezmę dzieci.

Liczyłem na okazję, by poważnie zająć się swoim osobistym nieszczęściem i znaleźć jakiś pomysł, jak zabrać się do rozwikłania problemu nieobecnego Pasażera. A gdyby nic z tego nie wyszło, miło byłoby choć trochę zrelaksować się, może nawet odespać zarwaną część nocy, bo to przecież moje święte prawo.

W końcu była sobota. Jak wiadomo, wiele powszechnie szanowanych religii i związków zawodowych zaleca, by dzień ten poświęcić na relaks i rozwój osobisty; na oderwanie się od gorączkowej bieganiny, zasłużony wypoczynek i rekreację. Dexter jednak ostatnio robił praktycznie za męża i ojca, co, jak się przekonywałem, zmienia wszystko. A skoro Rita rzuciła się w wir przygotowań do ślubu i śmigąła to tu, to tam jak tornado z blond grzywką, mnie nie pozostawało nic innego, jak tylko zgarnąć Cody'ego i Astor i dać im odetchnąć od tego chaosu przy jakimś zajęciu uznanym przez społeczeństwo za stosowne dla dorosłych i dzieci.

Po wnikliwym przestudiowaniu wszystkich możliwości, zdecydowałem się na Muzeum Nauki i Planetarium w Miami. Pełno tam będzie innych rodzin, co mnie pozwoli zachować kamuflaż, a dzieciom zacząć pracować nad swoim. Skoro zamierzały wstąpić na Drogę Mroku, musiały powoli oswajać się z myślą, że im bardziej jest się nienormalnym, tym ważniejsze, by sprawiać wrażenie normalności.

A w wypadku naszej trójki trudno o coś bardziej normalnie wyglądającego od wizyty w muzeum z Kochającym Papciem Dexterem. Miało to jeszcze jedną niebagatelną zaletę - to było Dla Nich Pożyteczne, duży plus, bez względu na to, jak silnie wzdrygali się na tę myśl.

Dlatego obiecałem wirującej Ricie, że bezpiecznie wrócimy na kolację, zapakowałem naszą trójkę do mojego samochodu i ruszyłem autostradą numer 1 na północ. Przejechałem przez Coconut Grove i tuż przed Rickenbacker Causeway skręciłem na parking muzeum. Jednak nie znaczyło to, że dalej poszło jak z płatka, co to, to nie. Cody wysiadł i stanął na parkingu jak słup. Astor chwilę patrzyła na niego, po czym odwróciła się do mnie.

- Po co tam idziemy? - spytała.

- Żeby się czegoś nauczyć - wyjaśniłem.

- Błę. - Wykrzywiła się, a Cody pokiwał głową.

- Ważne jest, żebyśmy spędzali czas ze sobą - dodałem.

- W muzeum? - rzuciła Astor. - Żałosne.

- Ładne słowo - stwierdziłem. - Gdzie je podłapałaś?

- Nie idziemy - zdecydowała. - Chcemy coś zrobić.

- Byłaś kiedyś w tym muzeum?

- Nie - powiedziała, przeciągając słowo do trzech pełnych pogardy głosek tak, jak tylko dziesięciolatki potrafią.

- Cóż, może będziesz zaskoczona - zauważyłem. - Może się nawet, o dziwo, czegoś nauczysz.

- Nie tego chcemy się uczyć - zaprotestowała. - Nie w muzeum.

- A czego właściwie chcielibyście się uczyć? - Sam byłem pod wrażeniem tego, że mówię zupełnie jak cierpliwy dorosły.

Astor zrobiła minę.

- No wiesz. Mówiłeś, że nam coś pokażesz.

- Jesteś pewna, że tego właśnie nie robię? - spytałem.

Chwilę patrzyła na mnie z wahaniem i odwróciła się do Cody'ego. Cokolwiek mieli sobie do powiedzenia, obyli się bez słów. Kiedy znów odwróciła się do mnie, była śmiertelnie poważna, obstawała przy swoim.

- W życiu - powiedziała.

- Co wiesz o tym, co wam chcę pokazać?

- Deeee-xter. A po co byśmy prosili, żebyś nam pokazał?

- Bo nic o tym nie wiecie, a ja owszem.

- Phi.

- Wasza nauka zaczyna się w tym budynku - oświadczyłem z moją najbardziej poważną miną. - Chodźcie i się ucźcie. - Przez chwilę przyglądałem się im, patrzyłem, jak narasta w nich niepewność, aż w końcu odwróciłem się i ruszyłem w stronę muzeum. Może byłem zrzędlivy z niewyspania, no i nie miałem pewności, czy za mną pójda, ale wiedziałem, że trzeba od razu ustalić pewne zasady. Musieli zrobić to po mojemu, tak, jak ja dawno temu zrozumiałem, że muszę słućać Harry'ego i przestrzegać jego kodeksu.

Niełatwo być czternastolatkiem, nawet gdy jest się sztucznym człowiekiem. W tym wieku biologia bierze górę i rządzi żelazną ręką, także wtedy, gdy czternastolatek, o którym mowa, bardziej zainteresowany jest biologią kliniczną niż tą, o której z wypiekami na twarzy rozprawiają jego koledzy z klasy w gimnazjum Ponce de Leon.

Jednym z imperatywów kategoriycznych wieku dojrzewania, stosującym się także do młodych potworów, jest to, że nikt powyżej dwudziestki nic nie wie. A ponieważ Harry w owym czasie dwudziestkę miał dawno za sobą, wszedłem w krótki okres buntu przeciwko niczym nieuzasadnionym ograniczeniom, które nałożył na moje najzupełniej naturalne i zdrowe pragnienie, by posiekać kumpli z klasy na plasterki.

Harry przygotował urzekająco logiczny plan, jak mnie naprostować, co było jego określeniem na doprowadzanie rzeczy - i ludzi - do ładu i porządku. Tyle że logika traci znaczenie, kiedy nieopierzony Mroczny Pasażer po raz pierwszy rozpościera skrzydła i tłucze nimi w kraty klatki, pragnąc wzbić się w przestworza i runąć na ofiarę jak ostra, stalowa błyskawica.

Harry wiedział tak wiele rzeczy, których musiałem się nauczyć, by bezpiecznie i po cichu stać się sobą, przepoczwarzyć się z dzikiego, dojrzewającego potwora w Mrocznego Mściciela: jak udawać człowieka, jak być pewnym i ostrożnym, jak po sobie sprzątać. Znał się na tym wszystkim tak, jak znać się mógł tylko glina. Rozumiałem to nawet wtedy, ale wydawało mi się nudne i niepotrzebne.

A poza tym przecież Harry nie mógł naprawdę wszystkiego wiedzieć. Na przykład nie wiedział o Stevie Gonzalezie, wyjątkowo uroczym okazyjnym pokwitającej ludzkości, który zaskarbił sobie moje szczególne względy.

Steve był ode mnie większy i rok, dwa lata starszy; nad górną wargą miał już coś, co nazywał wąsami. Chodziliśmy razem na WF i uważał, że daną mu przez Boga misją jest uprzykrzać mi życie przy każdej

nadarzającej się okazji. Jeśli miał rację, Bóg musiał być zadowolony, że Steve oddał się porzuconej misji całym sercem.

Do incydentu doszło na długo przed tym, kiedy Dexter stał się Żywą Kostką Lodu, no i zebrało się w chłopaku trochę burzliwych i bardzo gwałtownych emocji. Wyraźnie zadowolono to Steve'a i zachęciło go, by wznieść się na wyżyny pomysłowości w prześladowaniach kipiącego ze złości młodego Dextera. Obaj wiedzieliśmy, że może się to skończyć tylko w jeden sposób, ale niestety dla Steve'a, nie skończyło się tak, jak sobie zaplanował.

Pewnego popołudnia zbytnio pracowity woźny wmaszerował do laboratorium biologicznego w Ponce de Leon, gdzie zastał Dextera i Steve'a rozstrzygających swój konflikt charakterów. Nie była to klasyczna szkolna solówka z gradem wyzwisk i beładnie zadawanych ciosów, choć zdaje się, że Steve na coś takiego liczył. Nie przypuszczał jednak, że stanie oko w oko z młodym Mrocznym Pasażerem, i dlatego właśnie, kiedy znalazł go woźny, leżał mocno przyklejony taśmą do stolika, z ustami zalepionymi kawałkiem szarej taśmy, podczas gdy Dexter pochylał się nad nim ze skalpelem i próbował sobie przypomnieć, czego nauczył się na tej lekcji biologii, kiedy robili sekcję żaby.

Harry przyjechał po mnie radiowozem, w mundurze. Wysłuchał oburzonego zastępcy dyrektora, który opisał całe zdarzenie, zacytował regulamin szkoły i chciał wiedzieć, co w związku z tym opiekun zamierza zrobić. Harry tylko patrzył na niego, aż potok słów z ust zastępcy dyrektora zmienił się w strużkę i w końcu wysechł. Popatrzył jeszcze chwilę, dla efektu, a następnie zwrócił swoje zimne niebieskie oczy na mnie.

- Dexter, zrobiłeś to, o czym usłyszałem? - spytał.

Pod tym stalowym spojrzeniem nie dało się migać ani kłamać.

- Tak - potwierdziłem, a Harry skinął głową.

- Widzi pan? - wtrącił się zastępca dyrektora. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Harry osaczył go wzrokiem.

A potem znów zwrócił się do mnie.

- Dlaczego?

- Bo się mnie czepiał. - Zabrzmiało to mało przekonująco, więc dodałem: - Ciągle. Bez przerwy.

- I dlatego przylepiłeś go do stolika - powiedział głosem zupełnie pozbawionym modulacji.

- Uhm.

- I wzięłeś skalpel.

- Chciałem, żeby przestał.

- Czemu nic nikomu nie powiedziałaś?

Wzruszyłem ramionami, co w owym czasie było dużą częścią mojego słownictwa użytkowego.

- Dlaczego nie powiedziałaś mnie?

- Sam sobie poradzę - burknąłem.

- Jak widać, kiepsko ci to wychodzi - stwierdził.

Wyglądało na to, że bardzo niewiele mogę zrobić, więc przeniósłem spojrzenie na swoje stopy. One jednak wyraźnie nie miały nic ciekawego do wniesienia do tej dyskusji, więc znów podniosłem głowę. Harry wciąż mi się przyglądał i nie wiem, jak to możliwe, ale w ogóle przestał mrugać. Nie wydawał się rozgniewany, a ja tak naprawdę nie bałem się go, przez co cała sytuacja stała się jeszcze bardziej niezręczna.

- Przepraszam - odezwałem się wreszcie. Nie byłem pewien, czy mówię szczerze; zresztą do dziś nie wiem, czy potrafię naprawdę żałować czegokolwiek, co zrobiłem. Uznałem jednak, że to bardzo dyplomatyczna odpowiedź, a poza tym nic innego nie zdołał wymyślić nastoletni mózg. I choć jestem pewien, że Harry nie uwierzył w moją skruchę, znów skinął głową.

- Chodźmy - powiedział.

- Chwileczkę - zaprotestował zastępca dyrektora. - Jest jeszcze parę spraw do omówienia.

Harry bezceremonialnie wszedł mu w słowo:

- Na przykład to, że przez brak nadzoru dopuściliście do tego, by znany łobuziak sprowokował mojego syna do tego rodzaju konfrontacji? Ile razy ukaraliście tego drugiego chłopaka?

- Nie o tym... - próbował bronić swego wicedyrektor.

- A może to, że zostawiliście skalpele i inne niebezpieczne narzędzia w otwartej, niepilnowanej sali, gdzie mogły łatwo wpaść w ręce każdego ucznia?

- Ależ panie władzo...

- Umówmy się tak - oświadczył Harry. - Ja obiecuję, że przymknę oko na wasze karygodne zaniedbania, jeśli obieca pan, że postaracie się poprawić na przyszłość.

- Ale ten chłopak...

- Ja się nim zajmę. A pan niech tu zrobi porządek, żebym nie musiał powiadomić kuratorium.

No i oczywiście to kończyło sprawę. Harry nie zwykł dyskutować, niezależnie czy miał przed sobą podejrzanego o morderstwo, prezesa Klubu Rotariańskiego, czy młodego, zbłąkanego potwora. Zastępca dyrektora jeszcze kilka razy otworzył i zamknął usta, ale nie wyszły z nich żadne słowa, tylko ni to charkot, ni to odchrząknięcie. Ojczym przypatrywał mu się przez chwilę, aż w końcu odwrócił się do mnie.

- Chodźmy - powtórzył.

Przez całą drogę do samochodu milczał i nie było to przyjazne milczenie. Nie odzywał się, kiedy wyjechaliśmy spod szkoły i odbiliśmy na północ, na Dixie Highway - zamiast skierować się wokół szkoły w przeciwną stronę, Granada do Hardee, a stamtąd do naszego domku w Grove. Spojrzałem na niego, kiedy skręcał, ale wciąż nie miał nic do powiedzenia, a jego mina nie bardzo zachęcała do rozmowy. Patrzył prosto przed siebie na drogę i jechał - szybko, ale nie na tyle, by musiał włączyć sygnał.

Na Siedemnastej skręcił w lewo i przyszła mi do głowy irracjonalna myśl, że zabiera mnie na Orange Bowl. Jednak minęliśmy zjazd na stadion i jechaliśmy dalej, na drugi brzeg rzeki Miami, potem na North River Drive odbiliśmy w prawo, i teraz już wiedziałem, dokąd zmierzamy, ale nadal nie miałem pojęcia, po co. Harry wciąż nie powiedział jednego słowa ani nawet nie spojrzał w moją stronę, a ja czułem, że atmosfera robi się duszna, i nie miało to nic wspólnego z chmurami burzowymi, które zbierały się na horyzoncie.

Harry zaparkował radiowóz i nareszcie przemówił.

- Chodź - rzucił. - Do środka. - Spojrzałem na niego, ale już wysiadał, więc zrobiłem to samo i pokornie poszedłem za nim do izby zatrzymań.

Harry był tu dobrze znany, jak wszędzie, gdzie się zna dobrych gliniarzy. Okrzyki „Harry!” i „Hej, sierżancie!” towarzyszyły mu przez całą drogę z rejestracji korytarzem do cel. A ja wlokłem się

za nim i miałem coraz gorsze przeczucia. Czemu Harry przywiózł mnie do aresztu? Dlaczego mnie nie zrugął, nie powiedział, jak bardzo go zawiodłem, nie wymyślił jakiejś surowej, ale sprawiedliwej kary?

Ani to, co robił, ani to, czego nie mówił, nie było dla mnie żadną wskazówką. Szedłem więc za nim i tyle. W końcu zatrzymał nas strażnik. Harry wziął go na stronę i coś szepnął; ten spojrzał na mnie, skinął głową i zaprowadził nas na koniec bloku.

- Oto i on. Bawcie się dobrze. - Wskazał ruchem głowy postać w celi, zerknął na mnie i poszedł, a my z Harrym znów trwaliliśmy w niezręcznym milczeniu.

Harry odwrócił się i zajął do celi. Niewyraźna postać w środku poruszyła się, wstała i podeszła do krat.

- Ależ to sierżant Harry! - wykrzyknął radośnie męski głos. - Jak się masz, Harry? Miło, że wpadłeś.

- Witaj, Carl - odparł Harry. I nareszcie odwrócił się do mnie. - Dexter, to jest Carl.

- Przystojny z ciebie chłopak, Dexter - powiedział Carl. - Bardzo miło cię poznać.

Oczy, które na mnie patrzyły, były jasne i puste, ale w ich głębi prawie że widziałem ogromny mroczny cień i coś we mnie drgnęło, cofało się rakiem przed tą większą, bardziej drapieżną istotą zza krat. Nie wyglądał szczególnie potężnie czy groźnie - można nawet powiedzieć, że na pozór robił całkiem sympatyczne wrażenie, ze swoimi starannie przyczesanymi blond włosami i regularnymi rysami - ale miał w sobie coś, co sprawiło, że poczułem się nieswojo.

- Przywieźli Carla wczoraj - wyjaśnił Harry. - Zabił jedenastu ludzi.

- Cóż - przyznał skromnie Carl - mniej więcej.

Na zewnątrz zagrzmiało i zaczęło padać. Spojrzałem na Carla z autentycznym zaciekawieniem; teraz już wiedziałem, co spłoszyło mojego Mrocznego Pasażera. Myśmy dopiero stawiali pierwsze kroki, a tu mieliśmy kogoś, kto osiągnął cel podróży, i to jedenaście razy, mniej więcej. Po raz pierwszy zrozumiałem, jak poczuliby się moi koledzy z klasy, gdyby stanęli twarzą w twarz z zawodowym futbolistą.

- Carl lubi zabijać ludzi - stwierdził Harry beznamiętnym tonem. - Prawda, Carl?

- Przynajmniej mam co robić - odparł pogodnie.

- Miałeś, dopóki cię nie złapaliśmy - zgasił go Harry.

- Też fakt. Cóż... - wzruszył ramionami i obdarzył Harry'ego bardzo sztucznie wyglądającym uśmiechem -...było miło, ale się skończyło.

- Stałeś się nieostrożny - powiedział Harry.

- To prawda - zgodził się Carl. - Skąd mogłem wiedzieć, że policja będzie aż tak skrupulatna?

- Jak pan to robi? - wypaliłem.

- To nie takie trudne - odparł Carl.

- Nie, to znaczy... ee... Jak?

Carl przyjrzał mi się badawczo i prawie że dosłyszałem mruczenie dochodzące z cienia w głębi jego oczu. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na chwilę i wszystko zagłuszył mroczny dźwięk dwóch drapieźców spotykających się nad małą, bezbroną ofiarą.

- No, no... - Carl pokręcił głową. - Czy to naprawdę możliwe? - Odwrócił się do Harry'ego w chwili, kiedy już zaczynałem się wiercić. - Czyli to ma być lekcja pogładowa, tak, sierżancie? Nastraszyć chłopaka, żeby wrócił na drogę cnoty?

Harry tylko patrzył na niego, twarz miał kamienną, nic nie mówił.

- Cóż, mój biedny, drogi Harry, muszę ci z przykrością powiedzieć, że z tej akurat drogi nie da się zejść. Kto raz na nią wstąpi, zostanie tam do końca życia, może nawet dłużej, i ani ty, ani ja, ani to drogie dziecko nic na to nie poradzimy.

- Jest jedno wyjście - odezwał się wreszcie Harry.

- Naprawdę? - Wydawało się, że wokół Carla powoli unosi się czarna chmura, gęstniejąc na jego wyszczerzonych w uśmiechu zębach, wyciąga skrzydła do Harry'ego i do mnie. - A jakież to, jeśli wolno wiedzieć?

- Nie dać się złapać.

Czarna chmura na moment zastygła, po czym cofnęła się i zniknęła.

- O mój Boże - powiedział Carl. - Jaka szkoda, że nie umiem się śmiać. - Powoli pokręcił głową z boku na bok. - Mówisz serio, prawda? O mój Boże. Sierżancie Harry, wspaniały z was tatuś. - I obdarzył nas uśmiechem tak szerokim, że wydawał się niemal szczery.

Harry utkwiał we mnie lodowate, niebieskie oczy.

- Złapali go - mówił - bo nie wiedział, co robi. A teraz trafi na krzesło elektryczne. Bo nie wiedział, co robi policja. Bo - Harry

nie modulował głosu i nie mrugał – nie został przeszkolony.

Spojrzałem na Carla, obserwującego nas przez grube kraty swoimi zbyt jasnymi, martwymi, pustymi oczami. Złapali go. Odwróciłem się do Harry'ego.

- Rozumiem – powiedziałem.

I to była prawda.

Tak skończył się mój młodzieńczy bunt.

A teraz, tak wiele lat później – wspaniałych lat, wypełnionych szatkowaniem i niedawaniem się złapać – w pełni rozumiałem, jak niesamowite ryzyko podjął Harry, przedstawiając mnie Carlowi. Nie miałem szans wypaść tak przekonująco jak on – w końcu Harry w swoim postępowaniu kierował się uczuciami, a mnie to nie grozi – ale mogłem pójść za jego przykładem i zmusić Cody'ego i Astor do posłuszeństwa. Podejmę ryzyko, jak kiedyś Harry.

Albo za mną pójda, albo nie.

Poszli.

W muzeum kłębił się tłum poszukiwaczy wiedzy lub chociaż ubikacji. Większość była w wieku od dwóch do dziesięciu lat i, na oko, jeden dorosły przypadał na mniej więcej siedmioro dzieci. Niczym wielkie stado kolorowych papug, cała ta czereda krążyła wśród eksponatów z donośnym skrzekiem, który, choć w co najmniej trzech różnych językach, wszędzie brzmiał tak samo. Międzynarodowy język dzieci.

Cody i Astor, jakby lekko onieśmieleni tłumem, trzymali się blisko mnie. Stanowiło to miłą odmianę od ich zwykłej niechęci do przeżywania przygód z Dexterem i, próbując to wykorzystać, skierowałem ich prosto do wystawy piranii.

- Jak wyglądają? - spytałem.

- Bardzo groźnie - powiedział cicho Cody, patrząc szeroko otwartymi oczami na liczne obnażone zęby ryb.

- To piranie - stwierdziła Astor. - Całą krowę by zjadły.

- Co zrobilibyście, gdybyście poszli popływać i zobaczyli piranie?

- Zabiłbym je - odparł zdecydowanie Cody.

- Za dużo ich - zauważyła Astor. - Trzeba uciec i trzymać się od nich z daleka.

- A więc ilekroć zobaczycie te paskudne rybska, albo spróbujecie je zabić, albo uciekniecie? - Pokiwali głowami. - A gdyby one były tak cwane jak ludzie, co by zrobiły?

- Przebrałyby się. - Astor zachichotała.

- Otóż to - powiedziałem i nawet Cody się uśmiechnął. - Jakie przebranie byście polecili? Perukę i brodę?

- Dex-ter - zganiała mnie Astor. - To ryby. Ryby nie noszą brody.

- Aha. Czyli chciałyby nadal wyglądać jak ryby?

- Oczywiście - odparła, jakbym był za głupi, żeby rozumieć mądre słowa.

- A jakie ryby? - spytałem. - Takie wielgachne? Jak rekiny?

- Normalne - odezwał się Cody. Astor chwilę na niego patrzyła, po czym skinęła głową.

- Takie, jakich wokół jest dużo - stwierdziła. - Żeby nie odstraszyć tego, co chcą zjeść.

- Uhm - przytaknąłem.

Oboje przez chwilę przypatrywali się rybom w milczeniu. To Cody złapał pierwszy. Zmarszczył czoło i spojrzał na mnie. Uśmiechnąłem się zachęcająco. Szepnął coś do Astor, która zrobiła zaskoczona minę. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale urwała i poprzestała na:

- Aha.

- No właśnie - powiedziałem. - Aha.

Zerknęła na Cody'ego, który znów podniósł wzrok znad piranii. Także i tym razem nie powiedzieli nic na głos, ale odbyli pełną rozmowę. Zaczekałem, aż skończą i spojrzą na mnie.

- Czego możemy się nauczyć od piranii? - spytałem.

- Nie wyglądaj groźnie - odpowiedział Cody.

- Wyglądaj jak coś normalnego - dodała niechętnie Astor. - Ale, Dexter, ryby to nie ludzie.

- Masz całkowitą rację. Bo ludzie mogą przetrwać dzięki temu, że potrafią rozpoznać coś, co wygląda niebezpiecznie. A ryby dają się złapać. My tego nie chcemy. - Spojrzeli z powagą na mnie, a potem na ryby. - Czego jeszcze się dziś nauczyliśmy? - spytałem po chwili.

- Nie daj się złapać - odparła Astor.

Westchnąłem. To już przynajmniej jakiś początek, ale zostało jeszcze mnóstwo pracy.

- Chodźcie - powiedziałem. - Obejrzyjmy inne eksponaty.

Nie znałem tego muzeum za dobrze, może dlatego, że do niedawna nie miałem dzieci, które mógłbym tam zaciągnąć. Improvizowałem więc na całego, szukałem rzeczy, które dałyby im do myślenia i skłoniły ich, by zaczęli się uczyć tego, co trzeba. Z piraniami to po prostu szczęśliwy traf, przyznaję - po prostu rzuciły mi się w oczy, a mój olbrzymi mózg podpowiedział, że mógłbym wykorzystać ryby jako pomoc naukową. Z następnym pomyslnym zbiegiem okoliczności nie poszło już tak łatwo; pół godziny przedzieraliśmy się wytrwale przez żądny krwi tłum dzieci i ich bezwzględnych rodziców, zanim natrafiliśmy na lwa.

I znów srogi wygląd i reputacja zwierza okazały się nieodpartą pokusą dla Cody'ego i Astor. Stanęli jak wryci przed eksponatem. Oczywiście lew był wypchany, zdaje się, że nazywa się to diorama, ale przykuł ich uwagę. Z szeroko otwartą paszczą i lśnącymi kłami stał dumnie nad martwą gazelą. Towarzyszyły mu dwie lwice i lwiątko. Przy eksponatach znajdował się dwustronicowy opis i mniej więcej w połowie drugiej strony znalazłem to, czego potrzebowałem.

- O właśnie - zagadnąłem wesoło - widzicie, jak to dobrze, że nie jesteśmy lwami?

- Nie - odparł Cody.

- Tu jest napisane - mówiłem - że lew, który przejmuje inną lwią rodzinę...

- Mówi się stado, Dexter - poprawiła mnie Astor. - Tak było w „Królu Lwie”.

- Niech będzie - przystałem. - Tatuś-lew, który zostaje nowym przywódcą stada, zabija wszystkie lwiątko.

- Okropne - obruszyła się Astor.

Uśmiechnąłem się, obnażając swoje ostre kły.

- Ależ nie, całkowicie naturalne. Chroni swoje potomstwo i zapewnia swoim lwiątkom przewodnictwo w stadzie. Dużo drapieżników tak robi.

- Co to ma wspólnego z nami? - spytała Astor. - Chyba nas nie zabijesz, kiedy weźmiesz ślub z mamą, co?

- Oczywiście, że nie. Teraz jesteście moimi lwiątkami.

- I co z tego? - dociekała.

Otworzyłem usta, żeby jej to wyjaśnić, i naraz poczułem, że uchodzi ze mnie powietrze. Stałem z rozdziawioną gębą, ale nie mogłem mówić, bo w głowie wirowała mi myśl tak nieprawdopodobna, że nawet nie było sensu, aby się jej wypierać. Słyszałem swoje słowa: „Dużo drapieżników tak robi”. „Chroni swoje potomstwo”.

Cokolwiek zrobiło ze mnie drapieżcę, gnieździło się w Mrocznym Pasażerze. A teraz coś Pasażera wypłoszyło. Czy to możliwe, żeby...

Żeby co? Nowy tatuś-Pasażer zagrażał mojemu Pasażerowi? Spotkałem w życiu wielu ludzi, nad którymi wisiał cień podobny do mojego, i za każdym razem rozpoznaliśmy się, powarczeliśmy na siebie i tyle. To za głupie, by w ogóle o tym myśleć - Pasażerowie nie mieli tatusiów.

A może?

- Dexter - powiedziała Astor. - Przerażasz nas.

Przyznam, że sam siebie też przerażałem. Myśl, że Pasażer mógł mieć rodzica, który na niego poluje, odrzuciłem jako całkiem niedorzeczną - ale z drugiej strony, skąd właściwie Pasażer się wziął? Wydawało mi się raczej oczywiste, że jest czymś więcej niż tylko wytworem mojego obłąkanego umysłu. Nie cierpiałem na schizofrenię - obaj wiedzieliśmy to na pewno. Jego zniknięcie dowodziło, że istniał niezależnie ode mnie.

A to znaczyło, że skądś przybył. Był starszy ode mnie. Miał źródło, czy nazwać je rodzicem, czy czymś innym.

- Ziemia do Dextera - powiedziała Astor i zorientowałem się, że ciągle stoję przed nimi zastygły z durnie rozdziawionymi ustami, w nietypowej dla mnie pozycji pedantycznego zombi.

- Tak - palnąłem ni w pięć, ni w dziewięć. - Myślałem o czymś.

- Bardzo bolało? - spytała.

Zamknąłem usta i spojrzałem na nią. Stała twarzą do mnie, z miną dziesięcioletki zniesmaczonej tym, jak głupi potrafią być dorośli, i przy tej okazji miała święte prawo tak myśleć. Zawsze traktowałem Pasażera jak coś oczywistego, do tego stopnia, że nigdy tak naprawdę się nie zastanawiałem, skąd pochodził ani jak powstał. Popadłem w pychę, zadowolony jak idiota, że mam go u swojego boku, że jestem sobą, nie innym, bardziej pustym śmiertelnikiem, a teraz, kiedy trochę wiedzy o sobie samym mogłoby mi uratować skórę, zaniemówiłem. Dlaczego nigdy wcześniej nie pomyślałem o tych sprawach? I dlaczego zdecydowałem się zrobić to właśnie teraz, w obecności przemądrzałego dziecka? Musiałem poświęcić temu trochę czasu i namysłu, ale oczywiście nie tu i nie teraz.

- Przepraszam - powiedziałem. - Chodźmy obejrzyć planetarium.

- Przecież miałeś nam powiedzieć, dlaczego lwy są ważne - przypomniała.

Prawdę mówiąc, nie pamiętałem już, dlaczego właściwie lwy są ważne. Jednak szczęśliwie dla mojego wizerunku nie musiałem się do tego przyznawać, bo akurat wtedy zaświergotała moja komórka.

- Momencik. - Wyciągnąłem telefon z futerału i zerknąłem na ekranik. Debora. A że rodzina to rodzina, odebrałem.

- Znaleźli głowy - rzuciła.

Nie od razu się domyśliłem, o co chodzi, ale Deb syczała mi w ucho i uznałem, że należy coś odpowiedzieć.

- Głowy? Od tych dwu ciał z uczelni? - spytałem.

Syknęła z irytacją.

- Jezu, Dex - prychnęła - w mieście nie ma aż tylu ludzi bez głowy.

- No wiesz, jest ratusz - zauważyłem.

- Dexter, rusz dupę i przyjeżdżaj. Jesteś mi potrzebny.

- Ale, Deb, jest sobota, a ja właśnie...

- Już. - I się rozłączyła.

Spojrzałem na Cody'ego i Astor. Miałem twarde orzech do zgryzienia. Jeśli odwiozę ich do domu, minie co najmniej godzina, zanim dołączę do siostry, no i stracimy cenną okazję, by pobyć razem. Z drugiej strony, nawet ja wiedziałem, że zabieranie dzieci na miejsce zabójstwa mogło zostać uznane za pomysł co najmniej ekscentryczny.

Chociaż miałyby to też walory wychowawcze. Należało im uświadomić, jak skrupulatna jest policja, kiedy pojawiają się trupy, więc czemu by nie skorzystać z okazji. W sumie nawet uwzględniając to, że moja kochana siostra może i mnie za to urwać łeb, uznałem, że najlepiej będzie wsadzić dzieci do samochodu i zabrać na ich pierwsze dochodzenie.

- No dobrze. - Schowałem komórkę z powrotem do futerału. - Musimy jechać.

- Gdzie? - spytał Cody.

- Pomóc mojej siostrze - odparłem. - Zapamiętacie, czego się dziś nauczyliśmy?

- Tak, ale to tylko muzeum. - Astor nie dawała za wygraną. - Nie tego chcemy się uczyć.

- Właśnie, że tego - stwierdziłem. - I musicie mi zaufać, i robić wszystko po mojemu, bo inaczej nie będę was uczyć. - Nachyliłem się tak, żeby móc spojrzeć obojgu prosto w oczy. - Wcale a wcale.

Astor zmarszczyła brwi.

- Dex-terrrr - powiedziała.

- Mówię poważnie. Albo po mojemu, albo wcale.

Raz jeszcze spojrzeli na siebie z Codym. Po chwili on skinął głową, a ona odwróciła się do mnie.

- Zgoda. Obiecujemy.
- Poczekamy - mruknął Cody.
- Rozumiemy - dodała Astor. - Kiedy zaczniemy robić coś fajnego?
- Kiedy powiem. Na razie musimy jechać.

Natychmiast zmieniła się na powrót w opryskliwą dziesięciolatkę.

- Gdzie teraz?

- Muszę trochę popracować - powiedziałem - więc zabiorę was ze sobą.

- Zobaczymy trupa? - spytała z nadzieją.

Zaprzeciżyłem.

- Tylko głowę.

Spojrzała na Cody'ego, potem na mnie.

- Mamie się to nie spodoba.

- Jeśli chcecie, możecie poczekać w samochodzie.

- Jedźmy - rzucił Cody, gadatliwy jak rzadko.

Pojechaliśmy.

Debora czekała przed skromnym, wartym ze dwa miliony domem na zagrodzonym osiedlu w Coconut Grove. Ulica była zamknięta od punktu tuż za budką strażniczą do samego domu stojącego mniej więcej na środku osiedla, po lewej stronie; oburzeni mieszkańcy tłumnie wylegli na swoje starannie przystrzyżone trawniki i zadbane ścieżki, wściekli na nieokrzesany motłoch z policji, który wdarł się do ich małego rajku. Debora była na ulicy i pokazywała wideokamerzyście, co filmować i pod jakim kątem. Szybko podeszliśmy do niej, ja przodem, Cody i Astor krok w krok za mną.

- Co to jest, do cholery? - Przeniosła gniewne spojrzenie z dzieci na mnie.

- Istoty znane jako „dzieci” - wyjaśniłem. - Często stanowią produkt uboczny małżeństwa i może dlatego o nich nie słyszałaś.

- Pojebało cię? Po coś ich tu przywiózł? - warknęła.

- Powiedziałaś brzydkie słowo. - Astor spiorunowała ją wzrokiem. - Jesteś mi winna pięćdziesiąt centów.

Debora otworzyła usta, poczerwieniała jak burak i je zamknęła.

- Musisz ich stąd zabrać - przemówiła wreszcie. - Nie powinny tego oglądać.

- Ale my chcemy - stwierdziła Astor.

- Sza - powiedziałem. - Ty też, Cody.

- Jezu Chryste, Dexter. - Debora westchnęła.

- Kazałaś od razu przyjechać, więc przyjechałem.

- Nie mogę niańczyć dwójki dzieci.

- Nie musisz - zapewniłem. - Poradzą sobie.

Debora patrzyła na dzieci, a one na nią. Nikt nawet powie ką nie mrugnął i myślałem, że jeszcze trochę, a moja kochana siostra odgryzie sobie dolną wargę. W końcu się otrząsnęła.

- Chrzanić to - rzuciła. - Nie mam czasu użerać się z wami. Zaczekajcie tam. - Wskazała na swój samochód zaparkowany

po drugiej stronie ulicy, złapała mnie za ramię i pociągnęła w stronę domu, wokół którego koncentrowała się cała krzątanka. – Zobacz. – Wycelowała palcem we fronton domu.

Przez telefon powiedziała mi, że znaleźli głowy, ale prawdę mówiąc trzeba by się niełicho natrudzić, żeby ich nie zauważyć. Krótki podjazd przed domem wił się między dwoma słupkami bramy ze skały koralowej, by dalej rozlać się w mały dziedziniec z fontanną pośrodku. Każdy słupek wieńczyła ozdobna lampa. Na podjeździe między nimi zostało nakreślone kredą coś, co wyglądało jak litery MLK, tyle że wykaligrafowane dziwnym pismem, którego nie rozpoznałem. A żeby nikt się za długo nad tą wiadomością nie głowił, na każdym ze słupków...

Cóż. Choć musiałem przyznać, że ekspozycja ta miała pewien prymitywny wigor i niezaprzeczalnie dramatyczną siłę wyrazu, jak na mój gust była zdecydowanie zbyt wulgarna. Mimo że głowy najwyraźniej zostały starannie oczyszczone, brakowało powiek, a usta od żaru wykrzywiły się w dziwny uśmiech, i nie wyglądało to ładnie. Oczywiście nikt na miejscu zdarzenia nie pytał mnie o zdanie, ale zawsze uważałem, że nie powinno się zostawiać resztek. Takie niechlujstwo nie przystoi człowiekowi dobrej roboty. I żeby zostawić głowy tak na widoku – no nie, to już zwykłe popisywanie się, dowód braku finezji. Inna sprawa, że o gustach się nie dyskutuje. Pierwszy przyznam, że moja technika jest tylko jedną z wielu możliwych. I jak zawsze w kwestiach estetycznych, czekałem na jakiś cichy syczący szepet zgody Mrocznego Pasażera, ale się nie doczekałem.

Oczywiście nie zostałem zupełnie sam. Była przy mnie Debora i, zamyślony nad zniknięciem mojego mrocznego kompana, uświadomiłem sobie, że coś do mnie mówi.

– Kiedy wrócili po pogrzebie, to na nich czekało.

– Oni, znaczy kto? – spytałem i skinąłem głową w stronę domu.

Deb dźgnęła mnie łokciem w bok. Zaboląło.

– Rodzina, tłuku. Rodzina tej Ortegi. Słuchasz, co do ciebie mówię?

– Czyli to się stało w biały dzień? – Nie wiedzieć czemu, to jakby pogłębiło grozę zdarzenia.

– Większość sąsiadów też była rano na pogrzebie. Szukamy kogoś, kto mógł coś widzieć. – Wzruszyła ramionami. – Może dopisze nam

szczęście. Kto wie.

Trudno powiedzieć, ale z jakiegoś powodu nie sądziłem, by cokolwiek związanego z tą sprawą mogło przynieść nam szczęście.

- To chyba stawia winę Halperna pod pewnym znakiem zapytania - powiedziałem.

- A gdzie tam - odparowała. - Złamas jest winny.

- Aha. Czyli uważasz, że głowy znalazł ktoś inny i tego...

- Psiakrew, sama nie wiem. Musi mieć współnika.

Tylko pokręciłem głową. To nie miało najmniejszego sensu, o czym oboje wiedzieliśmy. Ktoś, kto potrafił obmyślić i popełnić dwa rytualne morderstwa, niemal na pewno musiał działać w pojedynkę. Takie czyny miały podłoże głęboko osobiste - każdy mały krok wynikał z unikalnej, wewnętrznej potrzeby - wykluczone, żeby dwoje ludzi mogło podzielać tę samą wizję. Ceremonialne wystawienie głów dziwnie pasowało do sposobu ułożenia zwłok - to były dwa elementy jednego rytuału.

- Coś tu nie gra - powiedziałem.

- A coś gra?

Spojrzałem na głowy starannie osadzone na lampach. Oczywiście spłonęły w ogniu, który usmażył ciała, i nie było śladów krwi. Szyje wyglądały na ucięte równo jak od linijki. Poza tym nie miałem żadnych błyskotliwych spostrzeżeń, a mimo to Debora patrzyła na mnie wyczekująco. Ciężko żyć z opinią kogoś, kto potrafi przeniknąć do najgłębszego sedna każdej zagadki, kiedy tę umiejętność zawdzięczało się podpowiedziom mrocznego wewnętrznego głosu, a tych nagle zabrakło. Czuję się jak lalka brzuchomówcy, której teraz każą wystąpić solo.

- Obie głowy są tutaj - zastanawiałem się głośno, bo coś musiałem powiedzieć. - Czemu nie w domu drugiej dziewczyny? Tej, która miała chłopaka?

- Jej rodzina mieszka w Massachusetts - odparła Debora. - Tak było łatwiej.

- Sprawdziłaś go, mam nadzieję?

- Kogo?

- Chłopaka tej zabitej - mówiłem powoli i wyraźnie. - Tego z tatuażem na karku.

- Jezu Chryste, Dexter, oczywiście, że go sprawdzamy. Każdego, kto zbliżył się do tych dziewczyn na kilometr w całym ich zasranym, żalonym życiu, a ty... - Odetchnęła głęboko, ale nie za bardzo ją to uspokoiło. - Słuchaj, z typowo policyjną robotą ja sobie poradzę. Potrzeba mi pomocy z tym porąbanym ohydztwem, na którym podobno się znasz.

Miło było dostać potwierdzenie, że nadal jestem Królem Porąbanego Ohydztwa, ale nie mogłem nie zadać sobie pytania, jak długo nim pozostanę bez mojej Mrocznej Korony. Tak czy owak, żeby ratować reputację, musiałem zaryzykować i poczynić jakieś wnikliwie spostrzeżenie, więc spróbowałem.

- No dobrze. Z porąbanego, ohydznego punktu widzenia, podejrzenie, że mamy dwóch różnych zabójców stosujących ten sam rytuał, jest bez sensu. Czyli albo zabił je Halpern, a ktoś inny znalazł głowy i pomyślał sobie, a co tam, wywieszę je... albo posadziliśmy nie tego człowieka.

- Walić to - odparowała.

- Co?

- Wszystko, do cholery! I tak źle, i tak niedobrze.

- No to dupa - stwierdziłem, ku zaskoczeniu nas obojga. A ponieważ miałem już serdecznie dosyć Debory, siebie i całej tej historii ze spalonymi trupami bez głów, zrobiłem jedyne, co nakazywała logika i zdrowy rozsądek. Kopnąłem orzech kokosowy.

Dużo lepiej. Teraz jeszcze rozboleła mnie noga.

- Sprawdzam Goldmana - powiedziała raptownie Debora, wskazując dom ruchem głowy. - Na razie wygląda na to, że jest zwykłym dentystą. Ma biurowiec w Davie. Ale to... to śmierdzi porachunkami przemytników kokainy. Bez sensu. Niech to diabli, Dexter - rzuciła. - Daj mi coś.

Spojrzałem na nią z zaskoczeniem. Jakimś cudem odwróciła kota ogonem i znów zwała wszystko na moje barki, a ja nie miałem absolutnie nic oprócz głębokiej nadziei, że Goldman okaże się bossem narkotykowym w przebraniu dentysty.

- Nic mi nie przychodzi do głowy - wyznałem smutną prawdę.

- Szlag by to. - Spojrzała za moje plecy, na skraj gromadzącego się tłumu. Przyjechał pierwszy wóz transmisyjny i jeszcze się

nie zatrzymał, a reporter już wyskoczył i zaczął popychać kamerzystę w miejsce do zrobienia planu ogólnego. – Cholerny świat – mruknęła Debora i pobiegła się nimi zająć.

– Dexter, tamten facet jest jakiś straszny – usłyszałem cichy głosik za plecami i pospiesznie zrobiłem w tył zwrot. Cody i Astor. Znów dałem im się podejść. Stali razem, Cody z głową przekrzywioną w stronę tłumku po drugiej stronie taśmy ostrzegawczej.

– Który? – spytałem.

– Tamten – odparła Astor. – W pomarańczowej koszuli. Nie każ mi pokazywać palcem, patrzy tutaj.

Poszukałem pomarańczowej koszuli w tłumie, ale mignął mi tylko kolorowy kształt znikający wewnątrz samochodu na drugim końcu uliczki. Był to mały niebieski wóz, nie biały avalon, ale kiedy wyjeżdżał na główną drogę, zauważyłem jeszcze jedną, znajomą barwną plamkę przy lusterku wstecznym. Jasne, nie mogłem tego wiedzieć na pewno, ale dałbym sobie głowę uciąć, że to przepustka na parking dla kadry Uniwersytetu Miami.

Odwróciłem się do Astor.

– No to już go nie ma. Czemu wydał ci się straszny?

– On tak powiedział. – Wskazała na Cody'ego, który skinął głową.

– Bo był – powiedział niemal szeptem. – Miał duży cień.

– Przykro mi, że was wystraszył – odparłem. – Ale już pojechał.

Cody kiwnął głową.

– Możemy obejrzyć głowy?

Prawda, że dzieci są interesujące? Chociażby Cody: chwilę temu wystraszyło go coś tak niekonkretnego jak czyjś cień, a teraz proszę, rwał się, żeby obejrzyć z bliska konkretny przykład morderstwa, terroru i ludzkiej śmiertelności. Oczywiście rozumiałem jego ciekawość, ale nie mogłem otwarcie wyrazić zgody. Z drugiej strony, nie miałem pojęcia, jak im to wytłumaczyć. Słyszałem, że w języku tureckim można oddać takie niuansy, że się w głowie nie mieści, ale angielski zdecydowanie nie wystarczał, by udzielić wyczerpującej odpowiedzi.

Szczęśliwie dla mnie, wróciła Debora.

– Nigdy więcej nie poskarżę się na kapitana – mruknęła. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale niedyplomatycznie byłoby jej to wytknąć.

- Niech sam użera się z tymi pijawkami z prasy.

- Może po prostu jesteś nie do ludzi.

- Te gnidy to nie ludzie - odparowała. - Skubańcom zależy tylko na tym, żeby pokazać się na tle głów w tych swoich wypieszczonych fryzurkach i wysłać taśmę do stacji. Co za zwierzęta chcą oglądać coś takiego?

Akurat na to pytanie znałem odpowiedź, ponieważ dwójkę takich właśnie zwierząt miałem pod opieką i, prawdę mówiąc, mnie też można by do nich zaliczyć. Uznałem jednak, że lepiej pominąć to milczeniem i skupić się na problemie w tej chwili najważniejszym. Dlatego zastanawiałem się, dlaczego to właściwie straszny facet Cody'ego był straszny, i nad faktem, że miał coś, co bardzo przypominało przepustkę na parking uniwersytetu.

- Coś mi przyszło do głowy - powiedziałem, a Debora odwróciła się do mnie tak gwałtownie, jakbym ostrzegł, że nadepnęła na pytona. - To raczej nie pasuje do twojej hipotezy o dentyście dorabiającym sobie jako boss narkotykowy - uprzedziłem lojalnie.

- Wal - syknęła.

- Ktoś tu był i wystraszył dzieci. Odjechał samochodem z przepustką na parking dla kadry uniwersytetu.

Spojrzała na mnie twardym, nieodgadnionym wzrokiem.

- Cholera. Ten facet, o którym mówił Halpern, jak mu było?

- Wilkins.

- Nie - stwierdziła. - To niemożliwe. Tylko dlatego, że dzieciaki się kogoś wystraszyły? Nie.

- Ma motyw - zauważyłem.

- Co, stały etat, na litość boską? Dexter, weź przestań.

- Nam może to wydawać się błahe - powiedziałem. - Im niekoniecznie.

- Czyli żeby załapać się na stały etat - pokręciła głową - włamuje się do Halperna, kradnie jego ubrania, zabija dwie dziewczyny...

- A potem napuszcza nas na Halperna - dodałem, bo przypomniało mi się, jak stał na korytarzu i czynił aluzje pod jego adresem.

Debora raptownie spojrzała na mnie.

- Kurde. Rzeczywiście, tak było, zgadza się? Wysłał nas do Halperna.

- Niby stały etat to marny motyw - zauważyłem - ale chyba bardziej prawdopodobny niż to, że Danny Rollins i Ted Bundy zawarli spółkę, nie?

Przygładziła włosy z tyłu - zaskakująco kobiecy gest jak na kogoś, o kim przywykłem myśleć jako o sierżant Głazie.

- Może - odezwała się po chwili milczenia. - Za mało o Wilkinsie wiem, żeby mieć pewność.

- Porozmawiamy z nim?

Pokręciła głową.

- Najpierw chcę się jeszcze raz zobaczyć z Halpernem.

- Czekaj, pójdę po dzieci.

Naturalnie, nie było ich nigdzie w pobliżu miejsca, w którym być powinny. Mimo to znalazłem je bez trudu; poszły przyjrzeć się dwu głowom i może tak mi się tylko zdawało, ale miałem wrażenie, że w oku Cody'ego dostrzegłem błysk fachowego uznania.

- Chodźcie - powiedziałem - musimy jechać.

Odwrócili się i z ociąganiem poszli za mną, ale usłyszałem, jak Astor mamrocze pod nosem:

- I tak lepsze to niż jakieś głupie muzeum.

Patrzył z drugiego końca grupy, która zebrała się, żeby oglądać widowisko. Starał się być tylko jednym z gapiów, niczym nieróżniącym się od reszty i nie ściągającym na siebie szczególnej uwagi. Naraził się na niebezpieczeństwo tym, że w ogóle się tu zjawił - ktoś mógł go rozpoznać, ale Obserwator zaryzykował. No i oczywiście przyjemnie było zobaczyć reakcję na swoje dzieło; odrobina próżności, na którą sobie pozwolił.

Poza tym ciekawiło go, jak zrozumieją jedyną prostą wskazówkę, którą im zostawił. Tamten okazał się bystry - ale na razie ją zignorował, ominął i pozwolił, by jego współpracownicy ją obfotografowali i zbadali. Może należało być bardziej dosadnym, ale zostało dość czasu, by zrobić, co trzeba. Nie spieszyć się, przygotować tamtego i zabrać go w odpowiednim momencie - to najważniejsze.

Podszedł trochę bliżej, by przyjrzeć się tamtemu; spróbuje poznać po nim, jak zareagował na to, co dotychczas zobaczył. Ciekawe,

że przyprowadził ze sobą dzieci. Widok dwóch głów niespecjalnie je poruszył. Może były przyzwyczajone do takich rzeczy albo...

Nie. To niemożliwe.

Z najwyższą ostrożnością przesuwiał się do przodu, aż stanął przy żółtej taśmie, najbliższej dzieci, jak się dało.

A kiedy chłopiec podniósł głowę i spojrzenia ich się spotkały, stało się oczywiste, że to nie pomyłka.

Przez chwilę nie odrywali od siebie wzroku i poczucie czasu zginęło wśród furkotu ciemnych skrzydeł. Chłopiec stał i patrzył tak, jakby poznał, nie z kim, a z czym ma do czynienia, i jego małe mroczne skrzydła zatrzepotały z podszytą lękiem furią. Obserwator nie mógł się powstrzymać; podszedł bliżej, żeby dzieciak mógł zobaczyć i jego, i otaczający go nimb ciemnej mocy. Chłopiec nie okazał strachu – wytrzymał jego spojrzenie i zademonstrował własną moc. Potem odwrócił się, wziął siostrę za rękę i razem podreptali do tamtego.

Pora iść. Dzieci go na pewno wskażą, a on nie chciał, by ktokolwiek zobaczył jego twarz, jeszcze nie. Pospieszenie wrócił do samochodu i odjechał, ale bez nawet cienia niepokoju. Wręcz przeciwnie, był zadowolony bardziej niż miał prawo oczekiwać.

To przez dzieci, oczywiście. Nie tylko dlatego, że powiedzą tamtemu i podsycą w nim niezbędny strach. Chodziło też o to, że Obserwator naprawdę lubił dzieci. Wspaniale się z nimi pracowało, emitowały tak silne emocje, że całe wydarzenie zyskiwało dodatkowy ładunek energii.

Dzieci – znakomicie.

Robiło się całkiem przyjemnie.

Siedzieć w tych małpiatych i pomagać im w zabijaniu – to przez pewien czas wystarczało. Za którymś powtórzeniem jednak stało się nudne i TO znów zaczęło myśleć, że musi być coś więcej. Odbieraniu życia towarzyszył nęcący dreszcz czegoś nieokreślonego, poczucie, że coś już-już prawie się budzi, by na powrót zapaść w sen, i TO chciało wiedzieć, w czym rzecz.

Jednak mimo że próbowało wiele razy i z wieloma małpiatymi, nie przybliżyło się ani trochę do poznania tego uczucia, nie mogło wejść

na tyle głęboko, by dociec jego istoty. A to jeszcze bardziej pobudzało ciekawość.

Minęło dużo czasu i TO znów popadło w ponury nastrój. Małpiate były zbyt proste i tyle, i cokolwiek z nimi robiło, już nie wystarczało. Zaczęło więc gardzić ich głupią, bezcelową egzystencją. Raz czy dwa porwało się na nie, pragnąc je ukarać za to ich nieme, banalne cierpienie, i zmusiło swojego nosiciela, żeby pozabijał całe rodziny, całe plemiona. A kiedy umierały, gdzieś tuż poza zasięgiem majaczyła ta cudowna obietnica czegoś innego, by zaraz znów rozmyć się w nicość.

TO szalało z frustracji; musiał być jakiś sposób, żeby się przebić, dowiedzieć się, czym jest to nieuchwytnie coś, wyciągnąć je z niebytu.

I wtedy małpiate wreszcie zaczęły się zmieniać. Początkowo bardzo powoli, tak powoli, że TO nawet nie zdało sobie sprawy, co się dzieje, dopóki proces nie trwał już w najlepsze. I pewnego pięknego dnia, kiedy TO weszło w nowego nosiciela, ten stanął na tylnych nogach i, podczas gdy TO wciąż jeszcze nie mogło pojąć, co się stało, istota spytała: „Kim jesteś?”

Najpierw był głęboki szok, a potem jeszcze silniejsza rozkosz.

TO już nie było samo.

Do aresztu dojechaliśmy bez przeszkód, ale z Deborą za kierownicą oznaczało to tylko tyle, że nikt nie odniósł poważnych obrażeń. Spieszyło jej się, a była przede wszystkim gliniarzem z Miami, którego prowadzić nauczyli inni gliniarze z Miami. Mówiąc wprost, uważała, że ruch w mieście jest z natury płynny, i przecinała go jak rozgrzany nóż masło, wsuwała się w luki, których tak naprawdę nie było, i jasno dawała innym kierowcom do zrozumienia, że albo ustąpią, albo zginą.

Cody i Astor, bezpiecznie zapięci pasami na tylnym siedzeniu, oczywiście mieli wielką frajdę. Siedzieli tak prosto, jak tylko mogli, i z wyciągniętymi szyjami wyglądali na zewnątrz. I, co już było wyjątkową rzadkością, Cody nawet uśmiechnął się przelotnie, kiedy omal nie staranowaliśmy dwustukilowego mężczyzny na małym motocyklu.

- Włącz sygnał - zażądała Astor.

- To nie zabawa, do cholery - warknęła Debora.

- Czyli co, włączasz sygnał tylko jak jest zabawa, do cholery? - wypaliła Astor, a Debora poczerwieniała jak piwonia i mocno szarpnęła kierownicą, żeby zjechać z autostrady numer 1. Ominęła o centymetry zdezelowaną hondę na czterech gumowych oponach.

- Astor - powiedziałem. - Nie używaj takich słów.

- Ona ich używa na okrągło - zauważyła Astor.

- W jej wieku też będziesz mogła ich używać do woli. Ale nie kiedy masz dziesięć lat.

- To głupie. Albo słowo jest brzydkie, albo nie, nieważne, ile się ma lat.

- Święta prawda - odparłem. - Ale nie mogę mówić sierżant Deborze, jak ma się wyrażać.

- To głupie - powtórzyła Astor i przeskoczyła na inny temat: - Naprawdę jest sierżantem? To więcej niż policjant?

- To znaczy, że jest policjantem-szefem - wyjaśniłem.

- Czyli może mówić tym w niebieskich mundurach, co mają robić?

- Tak.

- I może też nosić broń?

- Tak.

Astor wychyliła się do przodu na tyle, na ile pozwalał pas bezpieczeństwa, i spojrzała na Deborahę z czymś zbliżonym do szacunku. Nieczęsto widziałem u niej taką minę.

- Nie wiedziałam, że dziewczyny mogą nosić broń i być policjantem-szefem - powiedziała.

- Dziewczyny mogą robić wszystko to, co robią choler... co robią chłopcy - odburknęła Debora. - Zwykle lepiej.

Astor spojrzała na Cody'ego, a potem na mnie.

- Wszystko? - dociekała.

- Prawie - odparłem. - Zawodowy futbol raczej odpada.

- Strzelasz do ludzi? - spytała Deborahę.

- Dexter, na litość boską. - Deb westchnęła.

- Czasem strzela - odpowiedziałem Astor - ale nie lubi o tym mówić.

- Dlaczego?

- Strzelanie do ludzi to coś bardzo osobistego - wyjaśniłem - i zdaje się, że uważa, że to tylko i wyłącznie jej sprawa.

- Przestańcie mówić o mnie, jakbym była lampą - warknęła Debora.

- Przecież tu siedzę.

- Wiem - mruknęła Astor. - Powiesz nam, kogo zastrzeliłaś?

Zamiast odpowiedzi Debora weszła z piskiem opon w ostry zakręt, wjechała na parking i wyhamowała przed aresztem. Samochodem aż zatrzęsło.

- Jesteśmy na miejscu. - Wyskoczyła jak z gniazda czerwonych mrówek. Wpadła do budynku i kiedy tylko rozpiąłem Cody'emu i Astor pasy, poszliśmy za nią w spokojniejszym tempie.

Debora jeszcze rozmawiała z sierżantem dyżurnym, a ja zaprowadziłem Cody'ego i Astor do dwóch wysłużonych krzesel.

- Zaczekajcie tu. Będę za pięć minut.

- Mamy czekać? - spytała Astor głosem drżącym z oburzenia.

- Tak. Muszę iść pogadać z jednym podejrzanym typem.

- Dlaczego nie możemy pójść z tobą?

- Bo to niezgodne z prawem - wyjaśniłem. - No już, zaczekajcie. Proszę.

Mieli smętne miny, ale przynajmniej nie zerwali się z krzesel i nie uciekli z krzykiem w głąb korytarza. Wykorzystałem to, że byli tak skłonni do współpracy, i dołączyłem do Debory.

Skierowaliśmy się do jednego z pokoiw przesłuchań w głębi korytarza. Po kilku minutach wszedł Halpern, prowadzony przez strażnika. Był skuty kajdankami i wyglądał jeszcze gorzej, niż kiedy go przywieźliśmy. Nie ogolił się, miał skołtunione włosy, a z jego oczu wyzierało coś, co nazwać mogę tylko bezdenną rozpaczą, choć wiem, że to banał. Opadł na krzesło, popchnięty przez strażnika, usiadłszy na skraju siedzenia, oparł się dłońmi o stół i wbił w nie wzrok.

Debora skinęła głową na strażnika i ten wyszedł na korytarz. Zwróciła spojrzenie na Halperna.

- No, Jerry - zagadnęła - mam nadzieję, że się wyspałeś.

Poderwał głowę jak za pociągnięciem sznurka i wybałuszył na nią oczy.

- Co... co pani ma na myśli?

Deb uniosła brwi.

- Nic, Jerry. Po prostu jestem uprzejma.

Chwilę się w nią wpatrywał, po czym znów spuścił głowę.

- Chcę do domu - wyjęczał cichym, drżącym głosem.

- Nie wątpię, Jerry - odparła Debora łagodnie. - Ale jeszcze nie mogę cię puścić.

Pokręcił tylko głową i wymamrotał coś, czego nie było słyhać.

- Co mówisz, Jerry? - spytała tym samym życzliwym, cierpliwym tonem.

- Nie wydaje mi się, żebym coś zrobił - powiedział, nadal nie podnosząc wzroku.

- Nie wydaje ci się? Nie sądzisz, że powinniśmy być tego pewni, zanim cię puścimy?

Ośmielił się na nią spojrzeć.

- W nocy... - zaczął. - Może to dlatego, że tu jestem... - Pokręcił głową. - Nie wiem. Nie wiem - zakończył.

- Byłeś już w podobnym miejscu, co, Jerry? W dzieciństwie - podsunęła Debora, a on skinął głową. - I pobyt tutaj coś

ci przypomniał?

Wzdrygnął się, jakby napluła mu w twarz.

- Nic mi się... To nie jest wspomnienie - powiedziała. - To był sen. To musiał być sen.

- Co ci się śniło, Jerry?

Patrzył na nią z rozdziawionymi ustami.

- Może będzie ci lżej, kiedy o tym opowiesz - przekonywała. - Skoro to tylko sen, co ci szkodzi? - Pokręcił głową. - Co ci się śniło, Jerry? - powtórzyła z nieco większym naciskiem, ale wciąż bardzo łagodnie.

- Jest taki duży posąg - mówił, jakby zaskoczony, że wypowiada te słowa.

- Dobrze - powiedziała Debora.

- Bardzo... bardzo duży - ciągnął. - I... i... ma ogień rozpalony w brzuchu.

- Ma brzuch? Jaki to za posąg?

- Taki duży - odparł. - Figura z brązu, z wyciągniętymi rękami, które się opuszczają, żeby... - Urwał i coś wymamrotał.

- Co mówisz, Jerry?

- Powiedział, że ma głowę byka - wyjaśniłem i poczułem, jak włosy mi się jeżą na karku.

- Ręce się opuszczają - kontynuował Halpern. - A ja jestem... naprawdę szczęśliwy. Nie wiem dlaczego. Słyszę śpiew. I wkładam w te ręce dwie dziewczyny. Dźgam je nożem, a posąg podnosi je i wrzuca sobie do ust. W ogień...

- Jerry. - Deb pokusiła się o jeszcze łagodniejszy ton. - Twoje ubrania były poplamione krwią i osmalone. - Milczał, więc mówiła dalej. - Wiemy, że kiedy jesteś w zbyt dużym stresie, masz zaniki pamięci. - Wciąż się nie odzywał. - Jerry, a może miałaś właśnie taki zanik pamięci, zabiłaś dziewczyny i wróciłaś do domu? Nieświadomie?

Znów zaczął kręcić głową, powoli i mechanicznie.

- Masz lepszy pomysł? - spytała.

- Gdzie znalazłbym taki posąg? - przemówił wreszcie. - To... jak mógłbym, co, znaleźć posąg, rozpać w nim ogień, zabrać tam dziewczyny i... jak to możliwe? Jak mógłbym nieświadomie zrobić to wszystko?

Debora spojrzała na mnie, a ja wzruszyłem ramionami. W sumie miał słuszność. W końcu muszą być jakieś granice tego, co można zrobić przez sen, a to rzeczywiście trochę by je przekraczało. Pytała dalej:

- To skąd się wziął ten sen, Jerry?
- Każdy ma sny.
- A krew na twoich ubraniach?
- Wilkins to zrobił. Musiał, nie ma innej możliwości.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł sierżant. Zgiął się wpół i szepnął coś Deborze na ucho. Przechyliłem się ku nim, żeby posłuchać.

- Adwokat tego tutaj robi zamieszanie. Twierdzi, że jego klient jest niewinny, skoro głowy się znalazły, kiedy siedział. - Sierżant wzruszył ramionami. - Nie mogę go nie wpuścić.

- W porządku - odparła Deb. - Dzięki, Dave. - Jeszcze raz wzruszył ramionami, wyprostował się i wyszedł.

Debora spojrzała na mnie.

- Cóż - powiedziałem - przynajmniej już nie myślę, że to za proste. Odwróciła się do Halperna.

- No dobrze, Jerry. Porozmawiamy później. - Wstała i wyszła, a ja za nią.

- I co o tym sądzimy? - spytałem ją.

Pokręciła głową.

- Jezu, Dex, nie wiem. Bez cudu ani rusz. - Przystanęła i odwróciła się twarzą do mnie. - Albo facet rzeczywiście zrobił to, kiedy urwał mu się film, co znaczy, że wszystko zaplanował nieświadomie, a to niemożliwe.

- Prawdopodobnie.

- Albo ktoś inny zadał sobie od groma trudu, żeby to przygotować i wrobić go; i zgrał to w czasie z jego zanikiem pamięci.

- Co też jest niemożliwe - podsunąłem usłudnie.

- Uhm. Wiem.

- A ten posąg z głową byka i ogniem w brzuchu?

- Chrzanić go. To tylko sen. Nie ma innego wytłumaczenia.

- To gdzie spaliły się te dziewczyny?

- Możesz mi pokazać olbrzymi posąg z głową byka i wbudowanym grillem? Gdzie ukryć coś takiego? Jeśli to znajdziesz, uwierzę, że naprawdę istnieje - powiedziała.

- To co, musimy wypuścić Halperna?

- Takiego wała - warknęła. - Mogę go jeszcze potrzymać za stawianie oporu podczas aresztowania. - Odwróciła się i ruszyła do rejestracji.

Kiedy doszliśmy do wyjścia, Cody i Astor siedzieli z sierżantem i choć nie tam gdzie im kazałem, machnąłem na to ręką, bo, ku mojej wielkiej uldze, niczego nie podpalili. Debora patrzyła ze zniecierpliwieniem, jak ich odbieram, i wyszliśmy razem.

- Co teraz? - spytałem.

- Jak to co? Trzeba pogadać z Wilkinsem.

- I spytać, czy ma w ogródku posąg z głową byka?

- Nie - odparła. - To pieprzenie w bambus.

- Brzydkie słowo - odezwała się Astor. - Wisisz mi pięćdziesiąt centów.

- Robi się późno - zauważyłem. - Muszę odwieźć dzieci do domu, zanim ich matka to mnie wrzuci na grill.

Debora długo patrzyła na Cody'ego i Astor, po czym podniosła wzrok na mnie.

- Niech ci będzie - powiedziała.

Ostatecznie udało mi się odstawić Cody'ego i Astor do domu, zanim Rita wyszła z siebie, ale zapowiadała się niezła jazda, kiedy usłyszała, że oglądali obcięte głowy. Dzieci zbytnio się tym nie przejęły i raczej pozostawały pod wrażeniem tego, jak im minął dzień, a powzięte przez Astor postanowienie, by zostać Sancho Pansą mojej siostry Debory, na tyle zaprzątnęło Ritę, że zapomniała unieść się słusznym gniewem. W końcu wczesny wybór zawodu mógł później oszczędzić dużo czasu i kłopotów.

Widać było, że Ricie aż się w głowie gotuje i że jak zacznie paplać, to nieprędko skończy. Normalnie tylko uśmiechałbym się, potakiwał i dał jej się wygadać. Nie miałem jednak nastroju do robienia czegokolwiek, co trąciłoby normalnością. Przez ostatnie dwa dni chciałem tylko trochę czasu i spokoju, żeby spróbować ustalić, dokąd wyprowadził się mój Pasażer, a zamiast tego byłem rozrywany na wszystkie strony przez Deborę, Ritę, dzieci, a nawet – to niesłychane – pracę. Moje przebranie zastąpiło istotę, która miała się za nim kryć, i to mi nie odpowiadało. Ale teraz, jeśli tylko uspię czujność Rity i wykradnę się z domu, wreszcie będę miał trochę czasu dla siebie.

Pod pretekstem ważnej roboty śledczej, która nie mogła poczekać do poniedziałku rano, pojechałem do pracy, rozkoszując się względną harmonią i spokojem ruchu ulicznego w sobotni wieczór w Miami.

Przez pierwszych piętnaście minut jazdy nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że ktoś mnie śledzi. To absurd, wiem, ale nie przywykłem do tego, żeby być sam nocą, i czułem się zupełnie bezbronny. Opuszczony przez Pasażera, stałem się tygrysem z przytępionym węchem i bez kłów. Miałem wrażenie, że jestem ociężały i głupi, i ciarki nie chciały przestać chodzić mi po karku. Całym sobą czułem nieuchronnie nadciągający strach, potrzebę, by zawrócić i obwąchać wydeptany przez siebie szlak, bo gdzieś tam czyha coś wygłodniałego. A w tle tego wszystkiego pobrzmiwało echo owej dziwnej muzyki

ze snu, w której rytm moje nogi podrygiwały mimowolnie, jakby wyrwały się dokądś beze mnie.

To okropne uczucie i gdybym tylko miał zdolność empatii, pewnie w tej chwili doznałbym wstrząsającego objawienia i z ręką podniesioną do czoła padłbym na ziemię, mamrocząc zboląłym głosem, jak bardzo żałuję wszystkich tych okazji, kiedy to ja byłem tropiącym i gotowałem innym ten sam koszmar. Nie jestem jednak zaprogramowany na odczuwanie wewnętrznych katuszy – przynajmniej własnych – więc myśleć mogłem tylko o moim przeogromnym problemie. Pasażer zniknął, a ja czułem się zupełnie bezbronny, jeśli ktoś rzeczywiście mnie śledził.

Pewnie coś mi się uroiło. Któż miałby tropić dobrego Dextera, brnącego przez swoje całkiem normalne sztuczne życie z radosnym uśmiechem, dwójką dzieci i nowym kredytem hipotecznym na opłacenie kucharza? Dla pewności zerknąłem w lusterko wsteczne.

Nikogo, oczywiście; nikt nie czyhał z toporem i wyrobem garncarskim ozdobionym imieniem Dextera. Głupiałem w swoim samotnym otępieniu.

Na poboczu autostrady Palmetto płonął samochód i większość kierowców radziła sobie z korkiem, omijali go lewym poboczem albo trąbili i krzyczeli. Ja zjechałem z autostrady na drogę biegnącą obok magazynów, nieopodal lotniska. W składzie przy Sześćdziesiątej Dziewiątej terkotał niemilkący alarm przeciw włamaniowy i trzech mężczyźni bez widocznego pośpiechu ładowali pudła do ciężarówki. Uśmiechnąłem się i pomachałem; zignorowali mnie.

To było uczucie, z którym się powoli oswajałem – ostatnio na biednego pustego Dextera nie zważał nikt, oczywiście oprócz tego, kto albo mnie śledził, albo nie.

Ale à propos pustki: owszem, sprytnie się wykręciłem od konfrontacji z Ritą, tyle że kosztem kolacji, a nie jest to coś, z czym mogę się łatwo pogodzić. Teraz potrzebowałem jedzenia prawie tak bardzo jak powietrza.

Zatrzymałem się przy Pollo Tropical i kupiłem pół kurczaka na wynos. Zapach natychmiast wypełnił samochód i na ostatnich kilometrach musiałem wyteńczyć całą siłę woli, żeby nie stanąć z piskiem hamulców i nie rozszarpać kurczaka zębami.

Na parkingu przed komendą pokusa okazała się zbyt silna i, wchodząc do budynku, musiałem wyjąć dokumenty tłustymi palcami, przez co omal nie upuściłem fasoli. Kiedy jednak wreszcie zasiadłem przed komputerem, byłem już dużo bardziej zadowolonym chłopcem, a z kurczaka zostały tylko woreczek kości i miłe wspomnienie.

Jak zwykle, z pełnym żołądkiem i czystym sumieniem dużo łatwiej zmusić mój potężny mózg do pracy na wyższych obrotach. Zniknięcie Mrocznego Pasażera zdawało się wskazywać, że prowadził odrębny żywot. Musiał więc skądś pochodzić i chyba tam właśnie wrócił. Dlatego chciałem dowiedzieć się jak najwięcej o tym, skąd się wziął.

Mój Pasażer nie był jedyny na świecie. Spotkałem już kilku innych drapieżców spowitych niewidzialną czarną chmurą, sygnalizującą obecność takiego autostopowicza jak mój. Logiczne, że każdy z nich musiał się gdzieś i kiedyś narodzić, nie tylko we mnie i za mojego życia. Wstyd przyznać, ale nigdy się nie zastanawiałem, gdzie powstały te wewnętrzne głosy i dlaczego. Teraz, kiedy miałem przed sobą całą noc w cichym i spokojnym laboratorium, mogłem naprawić to tragiczne niedopatrzenie.

I tak, w ogóle nie myśląc o swoim bezpieczeństwie, dałem nura w Internet. Oczywiście po wpisaniu „Mroczny Pasażer” nie wyskoczyło nic pomocnego. W końcu to moje prywatne określenie. Sprawdziłem jednak, na wszelki wypadek, i nie znalazłem nic prócz kilku gier sieciowych i paru blogów, o których naprawdę wypadałoby donieść odpowiednim władzom, jeśli jakieś zajmują się młodzieńczym lękiem egzystencjalnym.

Poszukałem „wewnętrznego towarzysza”, „wewnętrznego przyjaciela”, a nawet „ducha opiekuńczego”. I znów było kilka nadzwyczaj ciekawych wyników, które skłaniały do refleksji nad tym, co się z naszym starym, znużonym światem dzieje, ale nic, co rzuciłoby światło na mój problem. Jednak z tego, co wiem, nic nie istnieje tylko w jednym egzemplarzu i najprawdopodobniej po prostu wpisywałem niewłaściwe wyrażenie.

Dobrze więc: „Wewnętrzny przewodnik”. „Wewnętrzny doradca”. „Ukryty pomocnik”. Sprawdziłem wszystkie kombinacje tych słów, jakie przyszły mi do głowy, pozamieniałem przymiotniki, przeleciałem listy synonimów i nie mogłem się nadziwić temu, w jakim stopniu pseudofilozofia New Age zdominowała Internet. I wciąż nie znalazłem

nic bardziej złowieszczego od porad, jak wykorzystać potęgę mojej podświadomości do zbitcia fortuny na handlu nieruchomościami.

Trafiła się jednak bardzo interesująca wzmianka o Salomonie, tym z Biblii, z której wynikało, że stary mędrzec w sekrecie wspominał o jakimś królu wewnętrznym. Poszedłem tym tropem. Kto by przypuszczał, że w Biblii można znaleźć coś ciekawego i istotnego? Okazuje się jednak, że kiedy myślimy o Salomonie jako o mądrym, wesołym dziadziu z brodą, który dla hecy chciał przeciąć dziecko na pół, umyka nam to, co najlepsze.

Na przykład zbudował świątynię ku czci niejakiego Molocha, podobno jednego z niesympatycznych starych bogów, i zabił własnego brata, bo było w nim „zło”. Mogłem zrozumieć, że z biblijnego punktu widzenia wewnętrzne zło to całkiem dobry opis Mrocznego Pasażera. Ale jeśli istniał tu jakiś związek, czy ktoś z „królem wewnętrznym” rzeczywiście zabiłby kogoś, w kim tkwiło zło?

Aż mi się w głowie kręciło. Czy miałem sądzić, że sam król Salomon miał swojego Mrocznego Pasażera? Czy też, skoro uchodził za jednego z pozytywnych bohaterów Biblii, powinienem zinterpretować to tak, że odnalazł takiego w swoim bracie i z tego powodu go zabił? I czy wbrew temu, co się nam wmawia, mówił serio o przecięciu dziecka na pół?

Czy to naprawdę istotne, co wydarzyło się kilka tysięcy lat temu na drugim krańcu świata? Nawet zakładając, że król Salomon miał jednego z pierwszych Mrocznych Pasażerów, jak pomagało mi to na powrót stać się uroczym, śmiertelnie groźnym Dexterem? Co w ogóle miałem wspólnego z tymi fascynującymi przekazami historycznymi? Nic w nich nie mówiło mi, skąd pochodził Pasażer, czym był i jak go odzyskać.

Byłem w kropce. Najwidoczniej pora się poddać, pogodzić z losem, zdać na łaskę Wysokiego Sądu, wcielić w rolę Dextera, cichego ojca rodziny i Mrocznego Mściciela na emeryturze. Powoli oswajać się z myślą, że nigdy więcej nie poczuję tego twardego, chłodnego dotyku księżycyca na zakończeniach włókien nerwowych, który towarzyszył mi, gdy prześlizgiwałem się przez noc jak awatar zimnej, ostrej stali.

Próbowałem wymyślić coś, co zmobilizowałoby mnie do wzniesienia się na wyżyny wysiłku umysłowego, ale przypomniał mi się

tylko fragment wiersza Rudyarda Kiplinga: „Jeśli potrafisz nie stracić głowy, gdy wszyscy wokół swoje tracą” czy coś w tym stylu. Jakoś mi to nie wystarczyło. Może Ariel Goldman i Jessica Ortega powinny były nauczyć się Kiplinga na pamięć. Tak czy owak, moje poszukiwania nic nie dały.

No dobrze. Jak inaczej można by nazwać Pasażera? „Ironiczny komentator”, „system ostrzegawczy”, „ukryty podglądacz”. Sprawdziłem to wszystko. „Ukryty podglądacz” dał kilka niespodziewanych wyników, ale nic użytecznego w moich poszukiwaniach.

Następne były „obserwator”, „wewnętrzny obserwator”, „mroczny obserwator”, „ukryty obserwator”.

Jeszcze jedna próba, dość rozpaczliwa, pewnie wynikająca z tego, że znów zaczynałem myśleć o jedzeniu, ale mimo to mająca swoje uzasadnienie: „głodny obserwator”.

I znów głównie bełkot w stylu New Age. Tym razem jednak rzucił mi się w oczy pewien blog. Kliknąłem link. Przeczytałem pierwszy akapit i choć nie powiedziałem „bingo”, do tego mniej więcej sprowadzały się moje myśli.

„Znów wyruszam w noc z Głodnym Obserwatorem” – tak się zaczynało. „Krążymy ciemnymi ulicami, obfitymi w zwierzynę, jedziemy powoli, gdy wokół szykuje się uczta, słyszymy zew fali krwi, która wkrótce podniesie się, by zalać nas radością...”

Cóż. Proza może nieco nazbyt kwiecista. A ten fragment o krwi lekko niesmaczny. Jednak pomijając te szczegóły, był to całkiem wierny opis tego, co czułem przed każdą moją przygodą. Wyglądało na to, że odnalazłem bratnią duszę.

Czytałem dalej. Wszystko zgadzało się z tym, czego sam doświadczałem, kiedy krążyłem nocą i niecierpliwie czekałem na zaspokojenie głodu, pilotowany przez syczący we mnie głos. Gdy jednak opowieść doszła do momentu, w którym ja rzuciłbym się na ofiarę i ją rozszarpał, ten narrator wspomniął o „innych”, po czym następowały trzy znaki z nieznanego mi alfabetu.

Nieznanego?

Gorączkowo sięgnąłem przez biurko po teczkę z aktami dwóch bezgłowych dziewczyn. Wyszarpnąłem plik zdjęć, przejrzałem

je i znalazłem.

Takie same trzy litery, nakreślone kredą na podjeździe przed domem doktora Goldmana, wyglądające jak zniekształcone M, L i K.

Zerknąłem na monitor komputera; identyczne.

Tego już nie mogłem uznać za zbieg okoliczności. Natrafiłem na coś ważnego, może nawet na klucz do zrozumienia całego tego bajzlu. Tak, wysoce to znaczące, z jednym małym przypisem: znaczące co? Co z tego wynikało?

Jakbym i bez tego nie miał dość zmartwień. Przyjechałem popracować nad osobistym problemem, jakim było zaginięcie Pasażera – późnym wieczorem, żeby mieć spokój od siostry i innych obowiązków. A teraz okazywało się, że jeśli chcę ten problem rozwiązać, będę musiał pomóc Deborze w śledztwie. Gdzie jest sprawiedliwość na tym świecie?

Cóż, jeśli narzekanie przynosi jakieś korzyści, to ja takich dotąd nie uświadczylem w życiu pełnym cierpienia i krasomówczych popisów. Dlatego równie dobrze mogłem wziąć to, co mi wpadło w ręce, i zobaczyć, gdzie mnie doprowadzi.

Pierwsza rzecz, co to za pismo? Byłem raczej pewien, że nie chińskie ani japońskie, ale może jakiś inny azjatycki alfabet, o którym nic nie wiedziałem? Otworzyłem atlas internetowy i zacząłem odhaczać kolejne kraje: Korea, Kambodża, Tajlandia. W żadnym nie używano alfabetu, który by pasował. Co zostawało? Cyrylica? Wszedłem na stronę z pełnym alfabetem. Musiałem ją długo studiować; niektóre litery przypominały te z podjazdu, ale koniec końców uznałem, że to nie to.

Co teraz? Co zrobiłby ktoś rzeczywiście bystry, tak bystry, jak ja sam jeszcze nie tak dawno temu czy nawet ktoś taki jak ten największy mądrała wszech czasów, król Salomon?

Coś zabręczało mi cicho w głowie i chwilę słuchałem tego dźwięku, zanim podniosłem słuchawkę. Tak, zgadza się, powiedziałem „król Salomon”. Ten facio z Biblii, który miał wewnętrznego króla. Co takiego? Poważnie? Związek, powiadasz? Nie mów?

Małe szanse, ale nic prostszego jak sprawdzić, więc to zrobiłem. Salomon ma się rozumieć mówił w języku starohebrajskim, który bez trudu znalazłem w sieci. Raczej nie wyglądał jak znaki, które mnie

interesowały. A zatem żadnego związku nie było; ipso facto czy jakaś tam inna równie urzekająca łacińska fraza.

Zaraz, zaraz: jeśli mnie pamięć nie myli, oryginalnym językiem Biblii nie był hebrajski tylko jakiś inny? Brutalnie zagoniłem szare komórki do roboty i w końcu znalazły odpowiedź. Tak, to coś, co zapamiętałem z tego niepodważalnego źródła naukowego, „Poszukiwaczy zaginionej arki”. A język, o który mi chodziło, to aramejski.

Także i tym razem bez kłopotu znalazłem stronę internetową pragnącą nauczyć nas wszystkich pisania po aramejsku. I zachęciła mnie do nauki bardzo skutecznie, bo nie ulegało wątpliwości, że te trzy litery pochodziły właśnie z tego alfabetu. Zresztą były to aramejskie odpowiedniki M, L i K, tak jak się wydawało na pierwszy rzut oka.

Czytałem dalej. W aramejskim, jak w hebrajskim, nie używało się samogłosek. Należało je uzupełnić samemu. Spory kłopot, bo człowiek musiał wiedzieć, jakie słowo ma przed sobą, zanim mógł je odczytać. Krótko mówiąc, MLK to mogło być mleko, milka, Amelka czy jedna z wielu innych możliwych kombinacji, z których żadna nie miała sensu. Przynajmniej dla mnie, a to wydawało się najważniejsze. Mimo wszystko dalej bazgrałem po kartce, próbując nadać tym literom sens. Milok. Molak. Molek...

Raz jeszcze coś błysnęło mi w tyle głowy i pochwyciłem to, wywlokłem na światło i obejrzałem. Znów król Salomon. Tuż przed tym, jak zabił brata dlatego, że miał w sobie zło, zbudował świątynię Molocha. A Moloch, plugawe bóstwo Ammonitów, występował też pod imieniem Molek.

Tym razem wpisałem w wyszukiwarkę „kult Molocha” i przejrzałem kilkanaście nic niewnoszących stron, zanim trafiłem na kilka, na których wyczytałem jedno i to samo: podczas obrzędów wyznawcy zatracali się w ekstatycznym transie, a kulminacją było złożenie ofiary z człowieka. Podobno ludzi wprowadzano w stan takiego uniesienia, że nawet nie zauważali, jak to się stało, że mały Jimmy został zabity i upieczony, niekoniecznie w tej kolejności.

Cóż, nie bardzo rozumiem, jak można zatracić się w ekstatycznym transie, choć bywam na meczach futbolowych na Orange Bowl. Przyznam więc, że zaciekawilo mnie, na czym polegała ta sztuczka? Poczytałem trochę więcej na ten temat i dowiedziałem się, że dużą rolę

grała w tym muzyka, tak poruszająca, że niemal automatycznie wprawiała w stan uniesienia. Jak to się odbywało – tu opisy były niejednoznaczne; najbardziej konkretny, jaki znalazłem, pochodził z tłumaczenia starego aramejskiego tekstu, opatrzonego mnóstwem przypisów, i brzmiał „Moloch zesłał im muzykę”. Pewnie znaczyło to, że grupa jego kapłanów paradowała przez miasto z bębnami i trąbami...

Dlaczego właśnie z bębnami i trąbami, Dexterze?

Bo to właśnie słyszałem w moim śnie. Bębny i trąby, których muzyka narasta, by przejść w chóralny śpiew radosnych głosów i uczucie, że czyste, wiekuiste szczęście jest tuż, za drzwiami.

Co wydaje się całkiem przyzwoitą roboczą definicją zatracenia się w ekstatycznym transie, prawda?

No dobrze, rozumowałem; przyjmijmy, czysto teoretycznie, że Moloch powrócił. Czy że nigdy nie odszedł. A zatem liczące sobie trzy tysiące lat plugawe bóstwo z Biblii zsyła muzykę po to, żeby, hm... żeby co? Wykraść mojego Mrocznego Pasażera? Zabijać młode kobiety z Miami, współczesnej Gomory? Sięgnąłem nawet po spostrzeżenie, które poczyniłem wcześniej, w muzeum, i starałem się je dopasować do reszty układanki: czyli Salomon miał pierwszego Mrocznego Pasażera, który teraz przybył do Miami i, niczym lew przejmujący władzę nad stadem próbuje pozabijać tutejszych Pasażerów, bo, hm... Bo co właściwie?

Czy naprawdę miałem uwierzyć w to, że czarny charakter ze Starego Testamentu wyłonił się z mroku dziejów, żeby mnie dopaść? Nie rozsądniej byłoby od razu zarezerwować sobie pokój bez klamek?

Próbowałem to ugryźć ze wszystkich stron i nic. Może mózg też zaczynał się sypać, jak całe moje życie. A może to po prostu zmęczenie. Nie widziałem w tym wszystkim sensu. Musiałem dowiedzieć się czegoś więcej o Molochu. Zaciekawilo mnie, czy Moloch ma własną stronę.

Sprawdzenie tego zajęło mi tylko chwilę, więc wpisałem, co trzeba, przebiegłem oczami po liście blogów zapatrzonych w siebie marudów, sieciowych RPG-ów i nieprzenikniętych paranoicznych rojeń, aż znalazłem coś, co wyglądało obiecująco. Kiedy kliknąłem link, zaczął się ukazywać obraz, bardzo powoli, i nagle...

Głębokie, potężne bębnienie, pulsujący rytm i przebijające się z wolna natarczywe trąby, coraz głośniejsze, jak pęczniący balon,

który nagle pęka, by uwolnić głosu – zapowiedź niepojętej radości; tę muzykę słyszałem we śnie.

I powoli wyłaniała się rozżarzona głowa byka, na samym środku strony, z dwiema uniesionymi dłońmi po bokach i trzema znajomo wyglądającymi aramejskimi literami.

A ja siedziałem, patrzyłem i mrugałem razem z kursorem; muzyka wdzierła się we mnie, niosła na wyżyny gorącej, cudownej, nieznannej ekstazy, która obiecywała tyle oszałamiającej rozkoszy, ile tylko można zaznać w świecie ukrytej radości. I w czasie, gdy te dziwne, euforyczne doznania przechodziły mnie fala za falą, pierwszy raz, odkąd sięgam pamięcią, ba, pierwszy raz w życiu czułem coś nowego, innego i niepożądanego.

Bałem się.

Nie potrafiłem określić, z jakiego powodu ani czego się boję, a to pogarszało sytuację; kipiał we mnie samotny, nieznaną strach, który niósł się echem przez pustkę i odpędzał wszystko prócz lęku i obrazu głowy byka.

To nic takiego, Dexter, mówiłem sobie. Wizerunek zwierzęcia i kilka losowo wybranych nut niezbyt dobrej muzyki. Zgadzałem się z samym sobą, ale nie mogłem zmusić rąk, by posłuchały głosu rozsądku i zsunęły się z moich kolan. To było tak, jakby sen i jawa, dwa rzekomo odrębne światy, zlały się ze sobą na tyle, że nie dało się ich od siebie odróżnić; jakby coś, co mogło pojawić się w moim śnie, a potem na monitorze komputera w mojej pracy miało zbyt wielką moc, żeby się temu opierać, więc pozostawało mi tylko patrzeć, jak ściąga mnie na dół, w płomienie.

Nie miałem w sobie mrocznego, potężnego głosu, który zmieniłby mnie w stal i cisnął jak oszczep w to coś, czymkolwiek było. Osamotniony, wystraszony, bezradny i zdezorientowany Dexter znalazł się w mroku, podczas gdy pod łóżkiem czyhały nieznanne straszdyła szykujące się, by porwać go z tego świata do krainy ognia, bólu i przerażenia.

Ruchem bynajmniej nie pełnym gracji rzuciłem się przez biurko i wyrwałem kabel komputera z gniazdka. Wyglądałem, jakbym miał elektrody podłączone do mięśni, zdyszany zwałem się z powrotem

na krzesło, tak szybko i niezdarnie, że wtyczka na końcu kabla odskoczyła w tył i uderzyła mnie w czoło, tuż nad lewą brwią.

Przez kilka minut nie robiłem nic, tylko oddychałem i patrzyłem, jak pot kapie z mojej twarzy na biurko. Nie miałem pojęcia, dlaczego wyskoczyłem z krzesła jak nabita na osękę barakuda, wiedziałem tylko, że z jakiegoś powodu musiałem to zrobić, bo inaczej umarłbym. Nie mogłem zrozumieć, skąd wzięło się to przeświadczenie, ale było jak najbardziej rzeczywiste, wyrwało się z nowej ciemności między moimi uszami i zmiażdżyło swoją natarczywością.

Siedziałem więc w moim cichym gabinecie, wpatrzony w ciemny ekran, i zastanawiałem się, kim jestem i co się właściwie stało.

Jeszcze nigdy się nie bałem. Strach to uczucie, a Dexter ich nie ma. Bać się strony internetowej to już nie głupota i nonsens, tylko coś dużo gorszego, coś, na co brak określenia. A ja nie zachowywałem się nieracjonalnie, chyba że wtedy, kiedy naśladowałem istoty ludzkie.

Dlaczego w takim razie wyciągnąłem wtyczkę i dlaczego drżały mi ręce, a wszystko to z powodu wesołej melodyjki i rysunkowej krówki?

Nie miałem na to odpowiedzi i sam już nie wiedziałem, czy chcę ją poznać.

Pojechałem do domu, przekonany, że ktoś mnie śledzi, choć przez całą drogę w lusterku wstecznym nie było nic.

Tamten to naprawdę ktoś wyjątkowy. Obserwator dawno nie widział kogoś o takim harcie ducha. Sytuacja rozwijała się dużo ciekawiej, niż to bywało poprzednio. Zaczynał nawet czuć coś jakby duchową więź z tamtym. Trochę to smutne. Gdyby tylko wszystko się inaczej ułożyło. Jednak nieuchronny los tamtego miał w sobie swoiste piękno, a to też było dobre.

Nawet kiedy jechał tak daleko za nim, widział oznaki puszcających nerwów; przyspieszanie i hamowanie, majstrowanie przy lusterkach. Dobrze. Niepokój to dopiero początek. Musiał wpędzić tamtego w coś dużo gorszego od niepokoju i robi to. Najpierw jednak koniecznie trzeba dać mu do zrozumienia, co go czeka. Bo sam, mimo wszystkich wskazówek, chyba jeszcze na to nie wpadł.

Cóż, mówi się trudno. Obserwator po prostu będzie się trzymać schematu dotąd, aż tamten zorientuje się, jaka moc podąża jego

śladami. A wtedy nie będzie miał wyboru. Przyjdzie jak szczęśliwe jagnię na rzeź.

Do tego czasu nawet obserwacja miała swój cel. Niech wie, że ktoś patrzy. Nawet jeśli zobaczy obserwującą go twarz, nic mu to nie da.

Twarze mogą się zmieniać. Obserwacja będzie trwać.

Oczywiście, tej nocy nie zmrzyłem oka. Następnego dnia, w niedzielę, półprzytomny ze zmęczenia i niepokoju zabrałem Cody'ego i Astor do pobliskiego parku i, siedząc na ławce, usiłowałem cokolwiek zrozumieć z masy mało konkretnych informacji i domysłów, które zebrałem do tej pory. Elementy nie chciały ułożyć się w żadną logiczną całość. Nawet gdybym wykuł z nich jakąś w miarę spójną teorię, nie powiedziałoby mi to, jak znaleźć mojego Pasażera.

Najlepsze, co zdołałem wymyślić, to mglista hipoteza, że Mroczny Pasażer i jemu podobni są wśród nas od co najmniej trzech tysięcy lat. Dlaczego jednak ten mój miałby uciec przed innym, tego wytłumaczyć nie potrafiłem, tym bardziej że spotykałem innych wcześniej i jedyną reakcją było zjeżenie sierści. A co do mojej teorii o nowym tatusiu-lwie: w parku, na przyjemnie grzejącym słońku, w otoczeniu dzieci wymyślających sobie trajkoczącymi głosikami, wydawała się szczególnie naciągana. Statystycznie mniej więcej połowa z nich pozostawała pod pieczę nowych tatusiów – tak by wynikało z danych o liczbie rozwodów – a wyglądało na to, że mają się świetnie.

Pozwoliłem, żeby ogarnęła mnie rozpacz, uczucie, które wydawało się lekko absurdalne w piękne popołudnie w Miami. Pasażer zniknął, zostałem sam i nie wpadłem na żaden pomysł oprócz tego, by zapisać się na aramejski. Mogłem mieć nadzieję, że bryła zamarznętej brudnej wody spadnie z przelatującego samolotu prosto na mój łeb i skróci moje cierpienia. Spojrzałem w niebo, ale spotkał mnie tylko kolejny zawód.

Następna nieprzespana w połowie noc, przerwana tylko przez znajome dźwięki muzyki, która wdarła się w mój sen i obudziła mnie, gdy już siadałem na łóżku, żeby ruszyć jej tropem. Nie miałem pojęcia, dlaczego uznałem, że to dobry pomysł, a tym bardziej, dokąd chciała mnie zabrać, ale najwyraźniej postanowiłem iść i już. Było oczywiste, że jest ze mną coraz gorzej, że staczam się błyskawicznie w szarą, pustą otchłań szaleństwa.

W poniedziałek rano oszołomiony i zmaltretowany Dexter wszedł chwiejnym krokiem do kuchni, gdzie z miejsca brutalnie natarł na mnie huragan Rita, który nadciągnął, wymachując wielką stertą papierów i płyt kompaktowych.

- Chcę wiedzieć, co myślisz - powiedziała i uderzyło mnie, że lepiej, by akurat tego nie wiedziała, zważywszy jak ponure ostatnio miewam myśli. Zanim jednak mogłem się zdobyć na choćby łagodny sprzeciw, już cisnęła mnie na krzesło i zaczęła rozrzucać papiery.

- To kompozycje kwiatowe, które proponuje Hans. - Pokazała mi serię zdjęć, na których rzeczywiście było coś jakby kwiaty. - Ta jest na ołtarz. I może jest trochę, och, sama nie wiem. - Spojrzała na mnie z rozpaczą. - Myślisz, że będą się śmiać, że jest za dużo bieli?

Choć słynę z wyrafinowanego poczucia humoru, jakoś nie potrafiłem znaleźć w kolorze białym nic śmiesznego, ale zanim zdołałem ją uspokoić w tej kwestii, już zaczęła przewracać kartki.

- W każdym razie - objaśniała - tak wygląda pojedyncze nakrycie, I mam nadzieję, że będzie pasować do planów Manny'ego Borque'a. Może powinniśmy poprosić Vince'a, żeby to z nim skonsultował?

- Cóż - wykrztusiłem.

- Boże, już tak późno? - przeraziła się i nim wydobyłem z siebie choćby jedną sylabę, rzuciła mi na kolana stosik kompaktów. - Zostawiłam sześć zespołów, resztę odrzuciłam. Mógłbyś to dziś przesłuchać i powiedzieć, co sądzisz? Dzięki, Dex - ciągnęła nieprzerwanie, po czym nachyliła się, pocałowała mnie w policzek i ruszyła do drzwi, już skupiona na następnym punkcie porządku dziennego. - Cody? - zawołała. - Pora wychodzić, skarbie. Zbieraj się.

Nastąpiły trzy minuty zamieszania, którego punktem kulminacyjnym było to, że Cody i Astor wsadzili głowy do kuchni, żeby się pożegnać, po czym trzasnęły drzwi frontowe i zapadła cisza.

I w tej ciszy miałem wrażenie, że prawie słyszę, jak w nocy, słabe echo muzyki. Wiedziałem, że powinienem zerwać się z krzesła i wypaść na zewnątrz z szablą w mocno zaciśniętych zębach - wyskoczyć na jasne światło dnia, znaleźć to coś, czymkolwiek było, dopaść w jego legowisku i zabić - ale nie mogłem.

Internetowa strona Molocha zaszczepiła we mnie strach i choć wiedziałem, że to głupie, złe, bezproduktywne i zupełnie

nie w stylu Dextera, nie potrafiłem z tym walczyć. Moloch. Debilne stare imię, nic więcej. Pradawny mit, który popadł w zapomnienie tysiące lat temu, obalony wraz ze świątynią Salomona. Bujda, wytwór prehistorycznych wyobraźni, mniej niż nic – tyle że się tego bałem.

Wyglądało na to, że nie mam innego wyjścia jak tylko dociągnąć do wieczoru, nie wychylając się, i mieć nadzieję, że to coś mnie nie dopadnie. Byłem wykończony i może to podsycalo we mnie poczucie bezradności. Ale sam w to nie wierzyłem. Miałem wrażenie, że coś bardzo złego krąży wokół mnie, coraz bliżej, z moim zapachem w nozdrzach, i już czułem, jak zatapia kły w mojej szyi. Mógłbym próbować co najwyżej przeciągnąć trochę tę zabawę, ale wcześniej czy później nieznaną wróg pochwyci mnie w szpony, a wtedy ja też będę meczał, bił piętami w ziemię, aż umrę. Straciłem całą wolę walki; tak naprawdę nie miałem już w sobie nic oprócz czegoś w rodzaju odruchowego człowieczeństwa, które powiedziało mi, że pora iść do pracy.

Wziąłem stosik płyt Rity i wygramoliłem się z domu. A kiedy stałem pod drzwiami i przekręcałem klucz w zamku, od krawężnika bardzo powoli oderwał się biały avalon, który leniwie ruszył ulicą. W obliczu takiej bezczelności moje zmęczenie i rozpacz ulotniły się bez śladu i, niczym ładunek prądu, przeszło mnie czyste przerażenie. Zatoczyłem się na drzwi, płyty wysunęły mi się z palców i spadły na chodnik.

Samochód powoli podjechał do znaku stopu. Patrzyłem za nim, sparaliżowany i odrętwiały. A kiedy jego światła hamowania zgasły i ruszył przez skrzyżowanie, coś się w Dexterze przebudziło. To był gniew.

Może sprawił to absolutny, zuchwały, zimny brak szacunku, z jakim zachowywał się avalon, a może po prostu potrzebowałem uzupełnić poranną kawę zastrzykiem adrenaliny. Tak czy owak, przepelniło mnie słuszne oburzenie i jeszcze nie zdecydowałem, co robić, a już pobiegłem do swojego samochodu i wskoczyłem na fotel kierowcy. Wcisnąłem kluczyk do stacyjki, zapaliłem silnik i rzuciłem się w pościg za avalonem.

Nie zważając na znak stopu, przeciąłem skrzyżowanie i zauważyłem tamten samochód kilka przecznic dalej; skręcał w prawo. Jechałem dużo szybciej niż powinienem i zobaczyłem go znowu, kiedy odbijał w lewo, w kierunku autostrady numer 1. Zmniejszyłem dzielący nas

dystans i przyspieszyłem, by dogonić go zanim zginie w porannym szczycie.

Miałem do niego jakąś przecznicę straty, kiedy skręcił na północ na autostradę numer 1, i popędziłem jego śladem, ignorując pisk hamulców i ogłuszające trąbienie klaksonów. Avalon był mniej więcej dziesięć samochodów przede mną i, wykorzystując wszystkie umiejętności nabyte przez lata jeżdżenia po Miami, starałem się do niego zbliżyć, skupiony tylko na drodze, nie na liniach dzielących pasy. Nie bawiły mnie nawet cudowne fajerwerki słowne, które padały z różnych samochodów. Smok powstał na nogi i choć może nie miał wszystkich zębów, miał wolę walki. Wpadłem w złość – kolejne nowe doświadczenie. Wypuszczono ze mnie całą ciemność, dałem się zapędzić do jasnego, obskurnego kąta, w którym napierały na mnie ściany, ale co za dużo, to niezdrowo. Pora, by Dexter stanął do walki. I choć właściwie nie wiedziałem, jak postąpię, kiedy dogonię tamten wóz, bezwzględnie zamierzałem to zrobić.

Byłem może pół przecznicy za nim, kiedy kierowca avalona mnie zauważył. Natychmiast dodał gazu i wśliznął się na zewnętrzny lewy pas, w lukę tak małą, że samochód za nim ostro zahamował i obrócił się bokiem. Dwa następne auta wpadły na niego i w moje uszy wdarł się donośny ryk klaksonów i hamulców. Wypatrzyłem po prawej stronie akurat dość wolnego miejsca, żeby ominąć miejsce kraksy, po czym wróciłem na lewy, teraz już zupełnie wolny pas. Avalon był na następnym skrzyżowaniu i nabierał prędkości, ale wcisnąłem gaz do dechy i pomknąłem za nim.

Przez kilka przecznic dystans między nami prawie się nie zmieniał. Wreszcie avalon dopędził samochody poprzedzające ten, który uległ kraksie, i trochę się do niego zbliżyłem, na odległość dwóch aut. Widziałem już duże okulary przeciwsłoneczne patrzące na mnie w jego lusterku wstecznym. A kiedy wystrzeliłem naprzód i znalazłem się tylko o jedną długość samochodu za jego tylnym zderzakiem, kierowca nagle szarpnął kierownicą w lewo, wtoczył się na pas rozdzielczy i wsunął bokiem w strumień samochodów po drugiej stronie. Został w tyle, zanim mogłem zareagować. Wręcz słyszałem drwiący śmiech, niosący się ku mnie z avalona, który powlókł się w stronę Homestead.

Ale nie dałem za wygraną. Nie dlatego, że dopadając tamten samochód, mogłem uzyskać jakieś odpowiedzi, choć zapewne tak.

Nie myślałem też o sprawiedliwości ani jakimkolwiek innym abstrakcyjnym pojęciu. Nie, powodował mną czysty, zawzięty gniew, wydobywający się z jakiegoś nieużywanego wewnętrznego zakątka i sphywał z mojego jaszczurczego mózgu prosto do knykci. Tak naprawdę chciałem wyciągnąć tego typu z jego zafajdanego grata i dać mu w pysk. To było zupełnie nowe doznanie, ta myśl o zadaniu obrażeń cielesnych w ataku furii, doznanie upajające, dość silne, by stłumić resztki logicznych odruchów, i powodowany nim zjechałem na pas rozdzielczy.

Mój samochód wtoczył się nań z przeraźliwym zgrzytem i spadł po drugiej stronie. Potężnej betoniarce zabrakło jakichś dziesięciu centymetrów, żeby rozgnieść mnie na placek, ale ja tylko dodałem gazu i pojechałem za avalonem na południe. Ruch w tym kierunku był mniejszy.

Daleko z przodu widziałem kilka ruchomych białych plam, z których każda mogła stać się moim celem. Dałem gaz do dechy.

Bogowie ruchu ulicznego okazali łaskawość i prulem slalodem wśród jadących w jednostajnym tempie aut przez prawie kilometr, zanim natknąłem się na pierwsze czerwone światło. Na każdym pasie stało posłusznie po kilka samochodów i nie mogłem ich wyminąć – chyba żebym powtórzył moją wywołującą protesty wozu sztuczkę z wtoczeniem się na pas rozdzielczy. Zrobiłem to. Zjechałem z wąskiego końca pasa rozdzielczego na skrzyżowanie w samą porę, by przysporzyć poważnego kłopotu jasnoźółtemu hummerowi, który – o naiwności – próbował korzystać z dróg zgodnie z nakazami zdrowego rozsądku. Gwałtownie szarpnął się w bok, żeby mnie ominąć i prawie mu się udało; nastąpiło tylko leciuteńkie łupnięcie, po czym odbiłem się zgrabnie od jego przedniego zderzaka i przeciąłem skrzyżowanie, przy wtórze kolejnego koncertu na klaksony i wyzwiska.

Jeśli avalon nadal jechał autostradą numer 1, musiał być jakieś kilkaset metrów przede mną. Nie czekałem, by ten dystans się powiększył. Telepałem się naprzód moim wiernym, poobijanym samochodzikiem i po ledwie pół minuty zobaczyłem przed sobą dwa białe samochody – terenowo-sportowego chevy i minivana. Ani śladu avalona.

Zwolniłem tylko na moment – i dostrzegłem go kątem oka na parkingu pasażu handlowego po prawej stronie. Właśnie wjeżdżał

za sklep spożywczy. Dałem gaz do dechy, przeciąłem dwa pasy i wpadłem na parking. Kierowca tamtego wozu zauważył mnie; przyspieszył i zjechał na ulicę prostopadłą do jedyńki, po czym pognął na wschód najszybciej, jak tylko mógł. Przemknąłem przez parking i ruszyłem za nim.

Przez jakieś półtora kilometra prowadził mnie przez osiedle mieszkaniowe, potem skręcił i minął park, w którym dzieci ze żłobka bawiły się w najlepsze. Podjechałem trochę bliżej – w samą porę, by zobaczyć, jak na drogę przed nami wychodzi kobieta z małym dzieckiem na rękę i dwójką dzieci po bokach.

Avalon dodał gazu i wpadł na chodnik, a kobieta dalej powoli przechodziła przez jezdnię i patrzyła na mnie jak na billboard, którego nie mogła przeczytać. Skręciłem gwałtownie, żeby ją ominąć, gdy jedno z dzieci nagle skoczyło w tył, prosto pod moje koła i wcisnąłem pedał hamulca, ile sił. Samochód wszedł w poślizg i przez chwilę zanosilo się na to, że wpadnę w całą grupkę, stojącą tępo na środku drogi. Koła jednak w końcu chwyciły asfalt i udało mi się obrócić kierownicą, dodać trochę gazu i zatoczyć krąg na trawniku przed domem naprzeciwko parku. Wróciłem na drogę w chmurze zielska i pomknąłem za avalonem, który przez ten czas powiększył swoją przewagę.

Przez następnych kilka przecznic odległość między nami pozostawała prawie bez zmian, aż w końcu uśmiechnęło się do mnie szczęście. Avalon zignorował kolejny znak stopu, ale tym razem ruszył za nim radiowóz na sygnale. Nie wiedziałem, czy cieszyć się z towarzystwa, czy zazdrościć konkurencji, ale tak czy inaczej dużo łatwiej było jechać za błyskającymi światłami i wyjącą syreną, więc nadal wlokłem się w ogonie.

Dwa tamte samochody szybko brały jeden zakręt za drugim i już-już myślałem, że chyba trochę się do nich zbliżam, kiedy nagle avalon zniknął, a radiowóz zahamował i stanął. Nie minęło kilka sekund, a podjechałem do niego i wysiadłem.

Przede mną policjant biegł przez krótko przystrzyżony trawnik przecięty śladami opon, które prowadziły do kanału na tyłach domu. Avalon powoli opadał na dno u przeciwległego brzegu i na moich oczach przez okno wygramolił się mężczyzna, który przepłynął kilka metrów dzielących go od drugiej strony kanału. Policjant po chwili wahania wskoczył do wody i popłynął do na wpół zatopionego wozu.

A ja usłyszałem za plecami odgłos ostro hamujących ciężkich opon. Odwróciłem się.

Żółty hummer zatrzymał się tak gwałtownie, że aż nim zatrzęsło, i wyskoczył czerwony na twarzy mężczyzna o włosach koloru piasku.

- Sukinsynu jebany! - wydarł się na mnie. - Stuknąłeś mnie! Co sobie, kurwa, myślisz?!

Zanim mogłem odpowiedzieć, zadzwoniła moja komórka.

- Przepraszam - powiedziałem i, o dziwo, piaskowowłosy mężczyzna zaczął w milczeniu, aż odbiorę.

- Gdzie jesteś, do cholery? - wrzasnęła Debora.

- W Cutler Ridge, patrzę na kanał - powiedziałem.

Zatkało ją na całą sekundę, zanim warknęła:

- To weź się wytrzymaj i przyjeżdżaj na kampus. Mamy następnego trupa.

Minęło kilka minut, zanim oderwałem się od kierowcy żółtego hummera, a być może byłbym tam do tej pory, gdyby nie gliniarz, który wskoczył do kanału. Wygramolił się z wody i podszedł do mnie, kiedy słuchałem nieprzerwanego potoku gróźb i wulgaryzmów, ani jednego szczególnie oryginalnego. Staralem się zachować uprzejmie – facet wyraźnie musiał sobie ulżyć i bardzo dobrze, inaczej mógłby się nabawić urazu psychicznego – ale koniec końców miałem pilną policyjną robotę. Próbowałem zwrócić mu na to uwagę, ale widać należał do tych osób, które nie potrafią jednocześnie krzyczeć i słuchać głosu rozsądku.

Dlatego pojawienie się niezadowolonego i przemoczonego do suchej nitki gliniarza stało się mile widzianym przerywnikiem rozmowy, coraz bardziej męczącej za sprawą nerwowego monomana.

- Byłbym wdzięczny za wszelkie informacje o kierowcy tamtego samochodu – powiedziałem do policjanta.

- Nie wątpię – odparł. – Proszę dokumenty.

- Muszę jechać na miejsce zbrodni.

- Jest pan na nim – odparował. Pokazałem mu więc dokumenty, a on obejrzał je z wielką uwagą, kapiąc wodą na laminowane zdjęcie. Wreszcie skinął głową. – W porządku, Morgan, już cię tu nie ma.

Reakcja kierowcy hummera była taka, jakby gliniarz zasugerował, żeby podpalić papieża.

- Nie możesz sukinsyna tak puścić! – wrzasnął. – Stuknął mnie, skurwieli!

A gliniarz, Bóg z nim, tylko spojrzął na niego, chwilę pociękał i powiedział:

- Proszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny. – Uznałem, że to świetny sygnał do zejścia ze sceny, więc zeń skorzystałem.

Mój biedny, zmalretowany samochód głośno wyrażał swoje niezadowolenie, ale i tak pojechałem nim na uniwersytet – innego

wyjścia tak naprawdę nie było. Nieważne, jak bardzo ucierpiał, musiał dowieźć mnie na miejsce. No i przez to poczułem, że łączy nas pewna więź. Obaj byliśmy skonstruowanymi z maestrią urządzeniami, niegdyś pięknymi, teraz zdemolowanymi przez okoliczności, nad którymi nie mieliśmy kontroli. Na tę myśl aż chciało się poużalać nad sobą i to też robiłem przez kilka minut. Gniew, który rozpierał mnie ledwie kilka minut temu, wysączył się kropla po kropli, jak skapująca z policjanta woda z kanału. Widok kierowcy avalona, który popłynął na drugi brzeg, potem wyszedł z wody i oddalił się bez pośpiechu, wzbudził we mnie to samo odczucie, co ostatnio wszystko: że co robię krok naprzód, grunt usuwa mi się spod nóg.

No i teraz pojawiło się następne ciało, a my jeszcze nie wykombinowaliśmy, co zrobić z pozostałymi. Jak charty na wyścigach goniliśmy sztucznego królika, który zawsze jest o włos za daleko i odskakuje, ilekroć nieszczęsny pies już chce go złapać w zęby.

Przede mną na uniwersytet dotarli dwa radiowozy, czterej policjanci już otoczyli Muzeum Sztuki Lowe i trzymali rosnący tłum na dystans. Krępy, masywny gliniarz z ogoloną głową podszedł do mnie i wskazał na tyły budynku.

Ciało znaleziono w kępie krzaków za galerią. Debora rozmawiała z kimś, kto wyglądał na studenta, a Vince Masuoka kucał przy lewej nodze trupa i ostrożnie szturchał długopisem coś na jego kostce. Zwłok nie widać było z drogi, ale mimo to nie można powiedzieć, by sprawca próbował je ukryć. Od razu rzuciło się w oczy, że ofiara została upieczona jak dwie poprzednie i w ten sam sposób ułożona, w sztywnej, oficjalnej pozie, z ceramicznym łbem byka na miejscu głowy. I znów, kiedy na nią patrzyłem, odruchowo czekałem na jakąś reakcję wewnętrznego ja. Nie usłyszałem jednak nic prócz łagodnego wiatru tropikalnego wietrzącego mój mózg. Wciąż sam.

Kiedy tak stałem, nabzdyczony i zadumany, Debora ruszyła na mnie pełną parą.

- Nie spieszyło ci się - ryknęła na cały regulator. - Gdzieś był?
- Kurs makramy - powiedziałem. - Wszystko tak jak poprzednio?
- Na to wygląda - przyznała. - Co sądzisz, Masuoka?
- Chyba tym razem coś mamy - powiedział Vince.

- No, kurwa, czas najwyższy - burknęła Debora.

- Na kostce jest bransoletka - mówił Vince. - Z platyny, więc się nie stopiła. - Podniósł oczy na Deborę i obdarzył ją swoim okropnie sztucznym uśmiechem. - Jest na niej imię Tammy.

Debora zmarszczyła brwi i spojrzała w stronę bocznych drzwi galerii. Stał tam policjant, a z nim wysoki mężczyzna w marynarce z kory i muszce, który patrzył na nią niepewnie.

- Ten to kto? - spytała Vince'a.

- Profesor Keller. Uczy historii sztuki. Znalazł ciało.

Wciąż zasepiona, Debora wstała i skinęła na mundurowego, żeby przyprowadził profesora.

- Profesorze...?

- Keller. Gus Keller - odparł profesor. Był przystojnym mężczyzną po sześćdziesiątce z czymś podobnym do szramy po pojedynku na lewym policzku. Nie wyglądał, jakby miał zemdleć na widok ciała.

- Znalazł pan zwłoki - zagała Debora.

- Tak jest. Szedłem obejrzeć nową wystawę... sztuka Mezopotamii, nawiasem mówiąc, bardzo ciekawa... i zobaczyłem to w zaroślach. - Zmarszczył czoło. - Chyba jakąś godzinę temu.

Debora skinęła głową, jakby już to wszystko wiedziała, nawet to o Mezopotamii, co było standardową policyjną sztuczką obliczoną na zachęcenie ludzi, by dorzucili więcej szczegółów, zwłaszcza jeśli mają małe co nieco na sumieniu. Na Kellera to nie podziałało. Czekał na następne pytanie, a Debora próbowała jakieś wymyślić. Jestem słusznie dumny z mojej w bólach zdobytej sztucznej umiejętności zachowania się w towarzystwie i nie chciałem, żeby cisza stała się niezręczna, więc odchrząknąłem, a Keller na mnie spojrzał.

- Co może nam pan powiedzieć o tej ceramicznej głowie? - spytałem. - Z artystycznego punktu widzenia. - Debora przeszła mnie wzrokiem, ale może to przez zazdrość, że ja wymyśliłem to pytanie, nie ona.

- Artystycznego? Niewiele - powiedział Keller, patrząc na głowę byka leżącą przy zwłokach. - Wygląda jak zrobiona w formie, a potem wypalona we względnie prymitywnym piecu. Może nawet dużym piekarniku. O wiele ciekawsza jest z historycznego punktu widzenia.

- Jak to ciekawsza? - zachnęła się Debora.

Wzruszył ramionami.

- Cóż, nie jest doskonała, ale ktoś próbował odtworzyć bardzo stary stylizowany wzór.

- Jak bardzo stary? - dociekała. Keller uniósł brew i wzruszył ramionami, jakby zadała niewłaściwe pytanie, ale odpowiedział mimo to.

- Sprzed trzech, czterech tysięcy lat.

- Rzeczywiście bardzo stary - podsunąłem uczynnie i oboje tak na mnie spojrzeli, że poczułem się w obowiązku dodać coś choć trochę inteligentnego: - A z której części świata pochodzi?

Keller skinął głową. Znów byłem inteligentny.

- Z Bliskiego Wschodu. Podobny motyw występuje w Babilonii, a nawet wcześniej w okolicach Jerozolimy. Głowa byka prawdopodobnie ma związek z kultem jednego z dawnych bóstw. Wyjątkowo paskudnego.

- Molocha - powiedziałem. Gardło mnie bolało, kiedy wymawiałem to imię.

Debora wpiła się we mnie wzrokiem, teraz już stuprocentowo pewna, że coś przed nią ukrywałem, ale kiedy Keller zaczął mówić, ponownie spojrzała na niego.

- Zgadza się. Moloch lubił ofiary z ludzi. Zwłaszcza dzieci. To był standardowy układ: ty składasz dziecko w ofierze, on gwarantuje ci obfite plony czy zwycięstwo nad wrogami.

- Skoro tak, tegoroczne zbiory powinny być rekordowe - zauważyłem, ale żadne z nich jakoś nie uznało mojej uwagi za godną choćby lekkiego uśmiechu. Cóż, człowiek robi, co może, żeby wnieść trochę humoru na ten ponury świat, a jeśli inni nie doceniają jego starań, ich strata.

- Po co palić ciała? - rzuciła Debora.

Keller uśmiechnął się przelotnie, jak profesor wdzięczny za pytanie z sali.

- To klucz do całego rytuału. Wielki posąg Molocha z głową byka służył za piec.

Pomyślałem o Halpernie i jego „śnie”. Czy wiedział o Molochu wcześniej, czy było to coś, co zobaczył tak, jak ja usłyszałem tę muzykę? A może Debora od początku miała rację i rzeczywiście stał

przed tym posągiem i zabił dziewczyny, choć teraz wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne?

- Piec - powiedziała Debora, a Keller skinął głową. - I wrzucają do niego ciała? - spytała z niedowierzaniem.

- Jeszcze lepiej - mówił Keller. - Poprzez rytuał dawali ludziom cud. Tak naprawdę odstawiali bardzo pomysłową szopkę, to wszystko. Ale stąd właśnie wzięta się nieprzemijająca popularność Molocha; bo to było przekonujące, raz, i fascynujące, dwa. Posąg miał ręce wyciągnięte w stronę wiernych. Wkładało się w nie ofiarę, a on jakby ożywał i ją pożerał; ręce powoli podnosiły delikwenta do ust.

- I wrzucały do pieca - dodałem, bo znudziło mi się tylko przysłuchiwać - przy dźwiękach muzyki.

Debora dziwnie na mnie spojrzała, a ja uprzytomniłem sobie, że nikt dotąd słowem nie wspomniał o muzyce, ale Keller tym się nie przejął.

- Otóż to - odparł. - Trąby, bębny, śpiew, wszystko bardzo hipnotyczne. Z wielkim finałem w chwili, kiedy bóg podnosił ofiarę i wrzucał sobie do ust. Stamtąd wpadała do pieca. Żywcem. To raczej mało przyjemne.

Wierzyłem Kellerowi - sam słyszałem to ciche, odległe dudnienie bębnow i dla mnie też nie było to zbyt przyjemne.

- Czy ktoś nadal czci tego jak mu tam? - spytała Debora.

Keller pokręcił głową.

- O ile wiem, od dwóch tysięcy lat już nie.

- Jak to, do cholery - palnęła. - Czyli kto za tym stoi?

- Nie mówimy tu o jakiejś tajemnicy - wyjaśnił profesor. - To całkiem niezłe udokumentowany kawałek historii. Każdy mógł trochę poszperać w źródłach i znaleźć dość informacji, żeby zrobić coś takiego.

- Ale po co? - drążyła Debora.

Uśmiechnął się uprzejmie.

- Tego to ja nie wiem.

- To na cholere mi to wszystko? - rzuciła oskarżycielsko, jakby obowiązkiem Kellera było uchylenie odpowiedzi na to pytanie.

Obdarzył ją życzliwym, profesorskim uśmiechem.

- Trochę wiedzy nie zaszkodzi - powiedział.

- Na przykład - dodałem - teraz wiemy, że gdzieś musi być duży posąg byka z piecem w środku.

Debora gwałtownie odwróciła twarz do mnie.

Nachyliłem się ku niej.

- Halpern - szepnąłem. Zamrugła i poznałem po niej, że sama jeszcze na to nie wpadła.

- Myślisz, że nie śnił?

- Nie wiem, co myśleć - przyznałem. - Ale jeśli ktoś odstawia tę szopkę z Molochem na serio, czemu nie miałby użyć odpowiedniego sprzętu?

- Szlag by to - mruknęła. - Ale gdzie ukryć coś takiego?

Keller odkaslnął z pewną delikatnością.

- Obawiam się, że to jeszcze nie wszystko - powiedział.

- To znaczy? - Debora wpatrywała się w niego z napięciem.

- Cóż, trzeba by też ukryć zapach. Swąd smażonego ludzkiego ciała. Długo się utrzymuje i raczej się go nie zapomina. - Mówił z lekkim zakłopotaniem i na koniec wzruszył ramionami.

- Czyli szukamy gigantycznego, śmierdzącego posągu z piecem w środku - rzuciłem radośnie. - Coś takiego chyba nietrudno znaleźć.

Debora przeszła mnie spojrzeniem i znów nie mogłem nie być lekko zawiedziony jej prostolinijnym podejściem do życia - zwłaszcza że jeśli Mroczny Pasażer nie będzie grzeczny i nie wyjdzie z kryjówki, niemal na pewno dołączę do niej jako stały rezydent Krainy Ponuractwa.

- Profesorze Keller - odezwała się i odwróciła się do mnie plecami. Teraz jej biedny braciszek czuł się już zupełnie opuszczony. - Czy w całej tej byczej historii jest coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc?

Proszę, co za błyskotliwy dowcip. Aż podniosło mnie to na duchu i nawet prawie żałowałem, że sam tego nie powiedziałem, ale słowa Debory najwyraźniej nie zrobiły wrażenia ani na Kellerze, ani na niej samej. Miała taką minę, jakby nie zdawała sobie sprawy, że z jej ust padło coś godnego uwagi. A Keller tylko pokręcił głową.

- Przykro mi, ale to raczej nie moja działka - odparł. - Znam temat pobieżnie, tylko o tyle, o ile wiąże się z historią sztuki. Lepiej porozmawiajcie państwo z kimś od filozofii albo religioznawstwa porównawczego.

- Na przykład z profesorem Halpernem - szepnąłem znowu, a Debora pokiwała głową, wciąż patrząc spode łba.

Już miała odejść, ale na szczęście w porę przypomniała sobie o dobrych manierach. Odwróciła się do Kellera.

- Bardzo nam pan pomógł, profesorze Keller - powiedziała. - Proszę dać znać, jeśli coś się panu przypomni.

- Oczywiście - odparł, a Deb złapała mnie za ramię i popchnęła naprzód.

- Znowu do dziekanatu? - spytałem uprzejmie, kiedy zdrętwiała mi ręka.

- Uhm. Ale jeśli w którejś z grup Halperna będzie jakaś Tammy, nie wiem, co zrobię.

Wyrwałem strzępy mojej ręki z jej uścisku.

- A jeśli żadnej nie będzie?

Zmierzyła mnie wzrokiem.

- Pospiesz się - mruknęła.

Kiedy jednak znów przechodziłem obok ciała, coś złapało mnie za nogawkę. Spojrzałem w dół.

- Ehm - zagaił Vince. Odchrząknął. - Dexter - powiedział, a ja uniosłem brew. Zaczerwienił się i puścił moje spodnie. - Musimy pogadać.

- Naturalnie. Czy to może poczekać?

Pokręcił głową.

- To dość ważne.

- Dobrze więc. - Przeszedłem trzy kroki z powrotem w miejsce, gdzie wciąż kuczał nad ciałem. - O co chodzi?

Odwrócił wzrok i choć wydawało się nieprawdopodobne, by mógł okazać prawdziwe uczucia, jego twarz poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Rozmawiałem z Mannym.

- Moje gratulacje. I nadal masz wszystkie kończyny - zauważyłem.

- On, ehm.... Chce wprowadzić kilka zmian. Ehm. Do jadłospisu. Twojego jadłospisu. Weselnego.

- Aha - odparłem, mimo że trudno o większy banał niż „aha” wypowiedziane nad zwłokami. Cóż, nie mogłem się powstrzymać. - Te zmiany nie będą mnie aby przypadkiem kosztować?

Vince ani myślał na mnie spojrzeć. Pokiwał głową.

- Trochę - przyznał. - Mówi, że miał natchnienie. Coś zupełnie nowego i innego.

- To świetnie - stwierdziłem - ale mnie raczej nie stać na natchnienie. Będziemy musieli odmówić.

Vince znów pokręcił głową.

- Nie rozumiesz. Zadzwoił tylko dlatego, że cię lubi. Mówi, że zgodnie z umową może robić, co chce.

- Na przykład ociupinkę podnieść cenę?

Vince teraz już zarumienił się na całego. Wymamrotał kilka sylab i uciekł wzrokiem jeszcze dalej w bok.

- Co? - spytałem go. - Coś ty powiedział?

- Prawie o drugie tyle - odparł bardzo cicho, ale przynajmniej dało się go usłyszeć.

- Drugie tyle, no proszę.

- Tak.

- Wychodzi pięćset dolarów od nakrycia - zauważyłem.

- Na pewno wszystko będzie super - zapewnił Vince, czerwony jak burak.

- Za pięćset dolarów od nakrycia ma być więcej niż super. Ma parkować samochody, myć podłogi i masować gościom plecy.

- Dexter, to będzie coś zupełnie nowego. Pewnie opiszą twoje wesele w prasie.

- Tak, w „Między nami bankrutami”. Vince, musimy z nim pomówić.

Pokręcił głową, wciąż wpatrzony w trawę.

- Nie mogę - wykrztusił.

Ludzie cudnie łączą w sobie śmieszność, ignorancję i tępotę, prawda? Nawet ci, którzy przeważnie udają, jak Vince. Proszę bardzo: nieustraszony spec od medycyny sądowej, mający przed sobą zmasakrowane zwłoki, które robią na nim nie większe wrażenie niż byle pniak, a paraliżuje go myśl o spotkaniu z kurduplem, który trudni się rzeźbieniem w czekoladzie.

- No dobrze. - Wziąłem głęboki oddech. - Sam z nim porozmawiam.

Wreszcie podniósł na mnie oczy.

- Uważaj na siebie, Dexter - powiedział.

Dogoniłem Deborę, kiedy zawracała samochód, i szczęśliwie zatrzymała się na dość długo, żebym mógł wsiąść i zabrać się z nią do dziekanatu. W trakcie krótkiej jazdy nie miała nic do powiedzenia, a ja zbyt zaprzątnięty własnymi problemami ani myślałem tym się przejmować.

Szybko przejrzałem protokoły z moją nową znajomą z dziekanatu. W żadnej z grup Halperna nie znaleźliśmy dziewczyny imieniem Tammy. Jednak Debora, która w tym czasie chodziła tam i z powrotem, była na to przygotowana.

- Sprawdźcie w poprzednim semestrze - zasugerowała. Zrobiłem to; znowu nic.

- No dobrze - mruknęła zasepiona. - Teraz sprawdźcie w grupach Wilkinsa.

Świetny pomysł i na dowód tego od razu trafiłem w dziesiątkę: panna Connor chodziła na seminarium Wilkinsa z etyki sytuacyjnej.

- Dobrze - powiedziała Debora. - Weź jej adres.

Tammy Connor mieszkała w domu studenckim, ledwie parę chwil drogi od nas, i Debora nie zwlekając, zawiozła mnie tam i nieprzepisowo zaparkowała przed budynkiem. Wypadła z wozu i pomaszerowała w stronę wejścia, zanim zdążyłem otworzyć drzwi, ale ruszyłem za nią najszybciej jak mogłem.

Pokój znajdował się na drugim piętrze. Debora nie traciła czasu na przywołanie windy, tylko wbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie, a że przez to byłem zbyt zdyszany, żeby się skarżyć, to i się nie poskarżyłem. Dotarłem na górę w tej samej chwili, kiedy drzwi pokoju Tammy otworzyły się, ukazując kręłą brunetkę w okularach.

- Tak? - powiedziała. Patrzyła ze zmarszczonym czołem na Deborę. Deb pokazała swoją odznakę.

- Tammy Connor?

Dziewczynie aż dech zaparło. Położyła sobie dłoń na gardle.

- O Boże, wiedziałam.

Debora skinęła głową.

- Czy rozmawiam z Tammy Connor?

- Nie. Nie, pewnie, że nie. Jestem Allison. Mieszkamy razem.

- Allison, wiesz, gdzie jest Tammy?

Dziewczyna wciągnęła dolną wargę do ust, zagryzła ją i gwałtownie pokręciła głową.

- Nie.

- Jak długo jej nie ma?

- Dwa dni.

- Dwa dni? - Debora uniosła brwi. - To normalne?

Allison wyglądała, jakby lada chwila miała sobie odgryźć wargę, a mimo to ciągle ją przeżuwała. Przerwała tylko na dość krótko, by wybełkotać:

- Miałam nic nie mówić.

Debora długo jej się przyglądała, zanim w końcu stwierdziła:

- Allison, coś będziesz musiała powiedzieć. Podejrzewamy, że Tammy może być w nie lada tarapatach.

Bardzo oględnie powiedziane, zważywszy że prawdopodobnie nie żyła, ale to przemilczałem, bo Allison i tak już była mocno poruszona.

- Och! - Zaczęła podrygiwać jak na sprężynie. - Och, och, ja wiedziałam, że tak to się skończy.

- Tak, to znaczy jak? - spytałem.

- Wydało się - odparła. - Mówiłam jej.

- Nie wątpię - stwierdziłem. - Może i nam powiesz?

Przez chwilę podskakiwała nieco szybciej.

- Och - odezwała się w końcu, po czym zaszczębiotała: - Ma romans z profesorem. O Boże, ona mnie zabije!

Osobiście nie sądziłem, by Tammy miała kogokolwiek zabić, ale tak dla pewności spytałem:

- Czy Tammy nosiła biżuterię?

Spojrzała na mnie jak na wariata.

- Biżuterię? - powtórzyła, jakby to było słowo w jakimś obcym języku, może aramejskim.

- Otóż to - powiedziałem dla zachęty. - Pierścionki, bransoletki, coś w tym stylu?

- Znaczą coś takiego, jak jej platynowy łańcuszek na nogę? - Tym pytaniem Allison zaskarbiła sobie moją wdzięczność.

- Właśnie coś takiego. Miała coś na nim napisane?

- Uhm. Imię - odparła. - O Boże, ale będzie wściekła.

- Allison, wiesz, z którym profesorem miała romans? - spytała Debora.

Dziewczyna znów pokręciła głową.

- Naprawdę nie powinnam mówić.

- Z profesorem Wilkinsem? - wtrąciłem się i choć Debora łypnęła na mnie spoode łba, reakcja Allison była tego warta.

- O Boże. Przysięgam, że nikomu nie mówiłam.

Jedna rozmowa przez komórkę wystarczyła, by zdobyć adres w Coconut Grove, pod którym doktor Wilkins uwił swoje skromne gniazdko. Było to na osiedlu o nazwie The Moorings, co znaczyło, że albo moja alma mater płaci wykładowcom dużo lepiej niż kiedyś, albo profesor Wilkins ma dodatkowe źródła dochodów. Kiedy skręciliśmy na jego ulicę, rozpadał się popołudniowy deszcz, który najpierw przeciągał nad drogą ukośną ścianą wody, potem przeszedł w kapuśniaczek, by ostatecznie znów lunąć jak z cebra.

Dom znaleźliśmy bez trudu. Numer był na otaczającym go żółtym, dwumetrowej wysokości murze. Dostępu na podjazd broniła brama z kutego żelaza. Debora zaparkowała przed nią na ulicy i wysiedliśmy. Zajrzeliśmy za bramę. Dom raczej skromny, nie więcej niż trzysta pięćdziesiąt metrów kwadratowych, stał co najmniej siedemdziesiąt metrów od wody, więc może Wilkins faktycznie nie był aż tak zamożny.

Kiedy zaglądaliśmy do środka i szukaliśmy sposobu, by dać znać, że przyjechaliśmy i że chcemy wejść, drzwi frontowe otworzyły się i wyszedł mężczyzna w jasnożółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Ruszył w stronę samochodu zaparkowanego na podjeździe, niebieskiego lexusa.

- Profesorze? - zawołała Debora na cały głos. - Profesorze Wilkins?

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na nas spod kaptura.

- Tak?

- Moglibyśmy chwilę z panem porozmawiać? - spytała.

Podszedł do nas powoli, z głową lekko przechyloną w stronę Debory.

- Zależy kim są „my”.

Debora sięgnęła do kieszeni po odznakę i profesor Wilkins ostrożnie przystanął, niechybnie zaniepokojony, że moja siostra wyciągnie granat.

- „My” są z policji - zapewniłem go.

- „Wy” są z policji? Naprawdę? - Odwrócił się do mnie z półuśmiechem, który to uśmiech na mój widok zastygł, zadrżał, po czym powrócił już jako mocno nieudany sztuczny uśmiech. A że na fałszywych uczuciach i minach znam się jak mało kto, nie miałem co do tego wątpliwości: z jakiegoś powodu wystraszył się mojej skromnej osoby i próbował to pokryć wymuszonym uśmiechem. Ale dlaczego? Jeśli był winny, wizja policji u bram chyba powinna być mu bardziej niemiła niż odwiedziny Dextera. On jednak tylko spojrzał na Deborahę i powiedział: - Ach tak, już raz się spotkaliśmy, przed moim gabinetem.

- Zgadza się - przytaknęła i wreszcie wyciągnęła odznakę.

- Przepraszam, długo to potrwa? Trochę mi się spieszy - uprzedził.

- Mamy tylko parę pytań, panie profesorze - zapewniła Debora. - Zajmiemy panu minutę, nie więcej.

- Cóż. - Przeniósł spojrzenie z odznaki na moją twarz i znów szybko uciekł wzrokiem. - W porządku. - Otworzył bramę i przytrzymał ją. - Wejdziecie państwo?

Choć i tak już przemokliśmy do suchej nitki, pomyśl, żeby schować się przed deszczem, wydawał się niegłupi, więc poszliśmy za Wilkinsem przez bramę po podjeździe do domu.

Wnętrze miało wystrój w dobrze mi znanym, klasycznym stylu Swobodny Luksus à la Coconut Grove. Tak modelowego przykładu nie widziałem od dzieciństwa, kiedy to triumfy w okolicy zaczęło święcić zdobnictwo spod znaku Modernizmu à la Policjanci z Miami. Tu jednak było oldskulowo, jak w czasach, kiedy dzielnica stała się znana za sprawą swojego luzackiego, artystycznego klimatu.

Podłogi wyłożone czerwonawobrazowymi płytkami lśniły tak, że można by się w nich przeglądać przy goleniu; na prawo, obok dużego okna panoramicznego, stały skórzana kanapa i dwa fotele tworzące z nią komplet - miejsce w sam raz do rozmów. Przy oknie był

barek z dużą przeszkloną szafką na wino, wyposażoną w regulator temperatury, a na ścianie obok wisiał abstrakcyjny akt.

Wilkins poprowadził nas obok dwóch roślin w doniczkach do kanapy. Dwa kroki przed nią zawahał się.

- Ach - powiedział, zdejmując kaptur z głowy - jesteśmy trochę za mokrzy na skórzane meble. Może zaproponuję stółek barowy? - Wskazał gestem barek.

Spojrzałem na Deborę, która wzruszyła ramionami.

- Postoimy - zdecydowała. - To zajmie tylko minutę.

- W porządku. - Wilkins założył ręce na piersi i uśmiechnął się do Debory. - Cóż jest takie ważne, że przysłali kogoś takiego jak pani w okropną pogodę?

Debora zaczerwieniła się lekko, nie wiem, z irytacji czy z innego powodu.

- Od jak dawna sypia pan z Tammy Connor? - spytała.

Wyraz zadowolenia zniknął z twarzy Wilkinsa i na chwilę zastąpiła go bardzo nieprzyjemna mina.

- Gdzie to słyszeliście?

Widziałem, że Debora próbuje go leciuteńko wytrącić z równowagi, a ponieważ jest to jedną z moich specjalności, dorzuciłem swoje trzy grosze.

- Czy będzie pan musiał sprzedać ten dom, jeśli nie dadzą panu stałego etatu? - spytałem.

Spojrzenie, jakie mi posłał, nie wyrażało nic miłego. No i utrzymał język za zębami.

- Powinienem był się domyślić - powiedział. - Czyli to wam zeznał Halpern? Że winny jest Wilkins?

- To znaczy, że nie miał pan romansu z Tammy Connor? - spytała Debora.

Wilkins ponownie na nią spojrzał i z widocznym wysiłkiem odtworzył swój swobodny uśmiech. Pokręcił głową.

- Proszę wybaczyć. Nie mogę przyzwyczaić się do pani w roli złego policjanta. Pewnie ta technika nieźle się sprawdza, kiedy wy dwoje ją stosujecie, hm?

- Jak dotąd, nie - odparłem. - Nie odpowiedział pan na żadne pytanie.

Skinął głową.

- No dobrze. A czy Halpern przyznał się wam, że włamał się do mojego gabinetu? Znalazłem go pod moim biurkiem. Bóg raczy wiedzieć, co tam robił.

- Jak pan sądzi, dlaczego się włamał? - pociągnęła temat Debora.

Wilkins wzruszył ramionami.

- Twierdził, że poprzerał jego referat i że to sabotaż.

- A zrobił to pan?

Popatrzył na nią, potem, przez krótką nieprzyjemną chwilę, na mnie, i znów przeniósł wzrok na Debora.

- Proszę pani - powiedział - naprawdę staram się państwu pomóc. Ale stawiacie mi tyle różnych zarzutów, że nie bardzo wiem, na który odpowiedzieć.

- Czy to dlatego nie odpowiedział pan na żaden? - spytałem.

Wilkins zignorował mnie.

- Jeśli powiecie mi, co ma referat Halperna do Tammy Connor, chętnie wam pomogę na tyle, na ile będę mógł. W przeciwnym razie przykro mi, ale muszę już iść.

Debora spojrzała na mnie, nie wiedziałem, czy w poszukiwaniu rady, czy dlatego, że znudziło jej się patrzeć na Wilkinsa, więc wzruszyłem ramionami najlepiej, jak potrafię, a ona skierowała wzrok z powrotem na niego.

- Tammy Connor nie żyje - powiadomiła go.

- Ojej - powiedział Wilkins. - Jak to się stało?

- Tak samo, jak w przypadku Ariel Goldman - odparła Deb.

- A pan znał je obie - dodałem usłużnie.

- Przypuszczam, że znało je kilkadziesiąt osób. Z Jerryem Halpernem włącznie - zaznaczył.

- Czy profesor Halpern zabił Tammy Connor, profesorze Wilkins? - spytała go Debora. - Będąc w areszcie śledczym?

Wzruszył ramionami.

- Mówię tylko, że też znał dziewczyny.

- I też romansował z Tammy? - spytałem.

Wilkins uśmiechnął się złośliwie.

- Nie sądzę. Przynajmniej nie z Tammy.

- Co to znaczy, profesorze? - odezwała się Debora.

Wilkins wzruszył ramionami.

- Takie tam plotki. Gadanie dzieciaków. Niektórzy mówią, że Halpern jest gejem.

- Mniejsza konkurencja dla pana - powiedziałem. - Na przykład o Tammy Connor.

Wilkins spojrział na mnie wilkiem i nie wątpię, że na drugim roku studiów byłbym onieśmielony.

- Zdecydujcie się, czy zabiłem moje studentki, czy je pieprzyłem - wycedził.

- Czemu nie jedno i drugie?

- Był pan na studiach? - spytał.

- A owszem - odparłem.

- To powinien pan wiedzieć, że zawsze znajdzie się grupa dziewczyn, które próbują uwodzić profesorów. Tammy miała skończone osiemnaście lat, ja nie jestem żonaty.

- Czy to nie trochę nieetyczne sypiać ze studentką?

- Byłą studentką - warknął. - Zaczęliśmy się spotykać po zakończeniu zajęć w poprzednim semestrze. Nie ma prawa zabraniającego spotykać się z byłą studentką. Zwłaszcza jeśli sama rzuca się człowiekowi na szyję.

- Trzeba ją jeszcze złapać - dorzuciłem.

- Poprzerabiał pan referat profesora Halperna? - spytała Debora.

Wilkins spojrział na nią i znów się uśmiechnął. Miło obserwować kogoś, kto potrafi zmieniać uczucia na zawołanie prawie tak dobrze jak ja.

- Pani detektyw, widzi pani, że rysuje się tu pewien schemat? Proszę mi wierzyć, Jerry Halpern to świetny facet, ale... nie całkiem zrównoważony? A teraz, poddany całej tej presji, po prostu uznał, że spiskuję przeciwko niemu, sam jeden. - Wzruszył ramionami. - Aż tak dobry nie jestem - dodał z lekkim uśmiechem. - Przynajmniej w spiskowaniu.

- Czyli uważa pan, że Halpern zabił Tammy Connor i pozostałe ofiary? - podsumowała Debora.

- Nic takiego nie powiedziałem - odparł. - Ale to on jest psycholem. Nie ja. - Zrobił krok w stronę drzwi i spojrział na Deborę. - A teraz,

jeśli państwo pozwolą, naprawdę muszę już iść.

Debora podała mu wizytówkę.

- Dziękujemy, że poświęcił nam pan czas. Jeśli coś się panu przypomni, proszę do mnie zadzwonić.

- Nie omieszka. - Obdarzył ją uśmiechem z gatunku tych, które zakończyły erę disco, i położył jej dłoń na ramieniu. Deborze udało się nie wzdrygnąć. - Przykro mi, że muszę państwa wyrzucić na deszcz, ale...

Deb błyskawicznie, jak mi się zdawało, wysunęła się spod jego dłoni i ruszyła do drzwi. Poszedłem za nią. Wilkins wygonił nas za bramę, wsiadł do swojego wozu, wymanewrował tyłem na ulicę i odjechał. Deb stała w deszczu i patrzyła za nim, czym, nie wątpię, chciała go spieszyć na tyle, żeby wyskoczył z samochodu i wszystko wyśpiewał, ale w taką pogodę uznałem to za nadgorliwość. Zaczekałem na nią w aucie.

Kiedy niebieski lexus zniknął, Debora wreszcie usiadła obok mnie.

- Ciarki mnie przechodzą, kiedy patrzę na skurwiela - powiedziała.

- Myślisz, że to on zabił? - spytałem. Było to dla mnie dziwne uczucie, nie wiedzieć i zastanawiać się, czy ktoś inny zdołał zajrzeć pod maskę drapieżcy.

Pokręciła głową zirytowana. Woda poleciała z jej włosów na mnie.

- Myślę, że to obleśny typ. Co ty sądzisz?

- Że pewnie masz rację - odparłem.

- Nie krępował się przyznać, że miał romans z Tammy Connor. Po co więc kłamał, że miał z nią zajęcia w zeszłym semestrze?

- Taki odruch? - podsunąłem. - Bo ma szansę na stały etat?

Zabębniła palcami w kierownicę, po czym zdecydowanym ruchem wychyliła się do przodu i uruchomiła samochód.

- Każę go śledzić - zdecydowała.

Kiedy wreszcie przyszedłem do pracy, na moim biurku leżała kopia protokołu zajścia i uprzytomniłem sobie, że ktoś oczekuje ode mnie, żebym mimo wszystko wyrobił dziś normę. Tyle się wydarzyło przez ostatnich kilka godzin, że z trudnością oswoiłem się z myślą, iż większa część dnia pracy wciąż wisi nade mną jak miecz nad niewinną duszą, więc zanim zająłem się odrabianiem pańszczyzny, poszedłem po kawę. Miałem cichą nadzieję, że ktoś przyniósł pączki albo ciastka, ale cóż, nadzieja matką głupich. Nie było nic prócz palonej, bardzo ciemnej kawy, akurat na półtora kubka. Nalałem sobie trochę - resztę zostawiłem dla prawdziwych desperatów - i powlokłem się z powrotem za biurko.

Wziąłem protokół i zacząłem czytać. Jak się okazało, ktoś wjechał do kanału samochodem należącym do niejakiego pana Dariusza Starzaka, a następnie uciekł z miejsca zdarzenia. Samego pana Starzaka na razie nie udało się przesłuchać. Długo mrugałem i sącyłem ohydną kawę, zanim dotarło do mnie, że to protokół porannego zajścia, w którym sam uczestniczyłem; potem jeszcze dłużej zastanawiałem się, co z tym zrobić.

Samo nazwisko właściciela to za mało - właściwie tyle, co nic, bo samochód prawdopodobnie został ukradziony. Jednak gorzej było założyć tak z góry i nic nie robić niż sprawdzić to i zostać z niczym, więc znów zasiadłem do komputera.

Najpierw standardowe informacje: rejestracja samochodu, przy której widniał adres przy Old Cutler Road na dość ekskluzywnym osiedlu. Potem kartoteka policyjna: mandaty, nakazy, alimenty. Nic. Z tego by wynikało, że pan Starzak to wzorowy obywatel, który nigdy nie miał kontaktu z długim ramieniem sprawiedliwości.

No dobrze; samo nazwisko „Dariusz Starzak”. Dariusz to dość rzadkie imię, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych. Sprawdziłem akta urzędu imigracyjnego. I, o dziwo, od razu coś znalazłem.

Pierwsza sprawa, to doktor Starzak, nie tylko „pan”. Obronił doktorat z filozofii religii na uniwersytecie w Heidelbergu i jeszcze przed kilku laty wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kiedy poszperałem trochę głębiej, dowiedziałem się, że został zwolniony w związku z jakimś nieokreślonym skandalem. Akurat z polskiego nie jestem mocny, choć potrafię powiedzieć „kiełbasa”, kiedy zamawiam lunch w delikatesach. Jednak jeśli tłumaczenie nie było zupełnie do chrzanu, Starzak wyleciał za członkostwo w nielegalnym stowarzyszeniu.

W dokumencie nie znalazłem nic o tym, dlaczego europejski uczony, który stracił pracę z tak niejasnego powodu, miałby chcieć mnie śledzić, a potem wjechać samochodem do kanału. Poważne przeoczenie. Mimo to wydrukowałem zdjęcie Starzaka z akt urzędu migracyjnego. Obejrzałem je zmrużonymi oczami, próbując wyobrazić sobie tę twarz na poły zasłoniętą wielkimi okularami przeciwsłonecznymi, które widziałem w lusterku wstecznym avalona. To mógł być on. Mógł to też być Elvis. I z tego, co wiedziałem, Elvis miał równie dobry powód, żeby mnie śledzić jak Starzak.

Poszperałem trochę głębiej. Specowi od medycyny sądowej, nawet najbardziej czarującemu i sprytnemu, niełatwo bez oficjalnego uzasadnienia uzyskać dostęp do akt Interpolu. Jednak po kilku minutach gry w moją własną internetową wersję zbijaka dostałem się do centralnej kartoteki i zaczęło się robić ciekawie.

Doktor Dariusz Starzak figurował na specjalnych listach osób niepożądanych w czterech krajach - w Stanach nie, co tłumaczyło, dlaczego tu przebywał. Choć brakowało niezbitych dowodów, istniały podejrzenia, że wiedział o handlu sierotami wojennymi z Bośni więcej, niż przyznawał. Dokument dodawał mimochodem, że, oczywiście, ustalenie miejsca pobytu takich dzieci jest niemożliwe. W urzędowym policyjnym żargonie znaczyło to tyle, iż ktoś podejrzewał, że Starzak je zabijał.

Lektura tych akt powinna przyprawić mnie o silny dreszcz zimnej radości, napełnić ostrym blaskiem spodziewanej rozkoszy, ale nie usłyszałem nic, nawet najbardziej stłumionego echa najmniejszej iskierki. Tylko nieśmiały powrót ludzkiego gniewu, tego samego, którym zapalałem rano na widok śledzącego mnie Starzaka.

Nie było to wystarczającym substytutem mrocznej, dzikiej pewności Pasażera, do której przywykłem, ale lepsze to niż nic.

Starzak krzywdził dzieci, a teraz on - albo ktoś korzystający z jego samochodu - próbował zrobić krzywdę mnie. Dobrze zatem. Do tej pory byłem jak piłeczka pingpongowa odbijana przez innych i godziłem się z tym, biernie i bez słowa skargi, od czasu odejścia Mrocznego Pasażera wessany w próżnię przygnębiającej uległości. Wreszcie jednak trafiło mi się coś, co rozumiałem, i - a to jeszcze lepsze - z czym mogłem coś zrobić.

Z akt Interpolu wiedziałem, że Starzak jest złym człowiekiem, dokładnie takim, jakiego normalnie szukałbym na potrzeby swojego hobby. Ktoś śledził mnie jego samochodem, a uciekając, posunął się do tego, żeby wjechać nim do kanału. Możliwe, że wóz ktoś ukradł, a Starzak był całkowicie niewinny. Ja jednak tak nie sądziłem i raport Interpolu potwierdzał, że mam słuszność. Ale tak dla pewności sprawdziłem doniesienia o skradzionych samochodach. Nie znalazłem nic o Starzaku ani o jego aucie.

No dobrze: miałem pewność, że to właśnie on, co potwierdzało jego winę. Wiedziałem, jak muszę zadziałać. Miałbym sobie nie poradzić tylko dlatego, że w duchu zostałem sam?

Przyjemny żar pewności powoli, zdecydowanie podsycił gniew do stanu wrzenia. Owszem, nie mogło się to równać z niewzruszoną jak wartość waluty opartej na złocie pewnością, którą zawsze dawał mi Pasażer, ale wiedziałem, że to coś więcej niż przecucie. Byłem przekonany o swojej słuszności. Jeśli nie miałem tak niezbitego dowodu, jak zwykle, mówi się trudno. Starzak zaostrzył sytuację do tego stopnia, że wyzbyłem się wszelkich wątpliwości, a on wskoczył na pierwsze miejsce mojej listy. Znajdę go i zostaną po nim tylko złe wspomnienie i kropla zakrzepłej krwi w mojej palisandrowej skrzyneczce.

A skoro pierwszy raz w życiu jechałem na emocjach, pozwoliłem, by zatliła się we mnie mała, słaba iskierka nadziei. Kto wie, może kiedy zajmę się Starzakiem, kiedy zrobię to wszystko, czego nigdy jeszcze nie robiłem w pojedynkę, Mroczny Pasażer powróci. Nie miałem pojęcia, jak to działa, ale było to poniekąd logiczne, nie? Pasażer zawsze mi towarzyszył, dopingował - może więc pokazałby się, gdybym zaaranżował sytuację, jakiej potrzebował? Poza tym przecież miałem

Starzaka na wyciągnięcie ręki i sam się prosił, żebym się nim zajął, czyż nie?

A jeśli Pasażer nie wróci, może już czas, żebym zaczął być sobą w pojedynkę? W końcu to ja zawsze odwaląłem całą brudną robotę – może nawet pusty w środku dałbym radę nadal wypełniać swoje powołanie?

Odpowiedzią na każde z tych pytań było mrugające, wściekle czerwone „tak”. I przez chwilę odruchowo czekałem na dobrze znany syk rozkoszy z ciemnego zakamarka umysłu, ale oczywiście się nie doczekałem.

To nic. Poradzę sobie sam.

Ostatnio często pracowałem po nocach, więc kiedy po kolacji powiedziałem Ricie, że muszę wrócić do pracy, nie okazała najmniejszego zaskoczenia. Oczywiście, miałem jeszcze na głowie Cody’ego i Astor, którzy chcieli zabrać się ze mną i zrobić coś ciekawego albo chociaż zostać w domu i pobawić się w chowanego. Jednak po krótkich namowach i kilku niejasnych groźbach w końcu oderwałem ich od siebie i wysliznąłem się w noc. Moją noc, ostatniego przyjaciela, który mi pozostał, z marnym półksiężycem migocącym na pochmurnym, nasiąkłym wilgocią niebie.

Starzak mieszkał na zamkniętym osiedlu, ale pracujący za minimalną stawkę strażnik w małej budce tak naprawdę lepiej nadaje się do tego, by podnieść wartość nieruchomości, niż żeby odstraszyć kogoś o doświadczeniu i głodzie Dextera. I choć oznaczało to, że musiałem zostawić samochód kawałek za stróżówką i odbyć krótki spacer, trochę ruchu dobrze mi zrobiło. Ostatnio za często pracowałem do późna i budziłem się w podłym nastroju, więc miło było wreszcie rozprostować nogi i mieć pożyteczny cel.

Powoli krążyłem po osiedlu, aż znalazłem adres Starzaka, a wtedy poszedłem dalej, jak sąsiad na wieczornej przechadzce dla zdrowia. W pokoju od frontu paliło się światło, przed domem stał jeden samochód na florydzkich numerach; u dołu tablicy rejestracyjnej widniał napis „Manatee County”. Manatee County liczy zaledwie trzysta tysięcy mieszkańców, a po drogach jeździ co najmniej drugie tyle aut, rzekomo stamtąd pochodzących. To taki fortel wypożyczalni

samochodów, mający ukryć fakt, że wóz jest wynajęty i tym samym jego kierowca to turysta i uprawniony cel dla każdego drapieżcy złaźnionego łatwej zwierzyny.

Poczułem, że rozpała się we mnie mały płomyk podniecenia. Starzak był w domu, a skoro miał wypożyczony wóz, stawało się bardziej prawdopodobne, że sam wjechał swoim samochodem do kanału. Przeszedłem obok domu, wypatrując jakiegokolwiek oznaki, że zostałem zauważony. Nic. Tylko słaby dźwięk grającego gdzieś niedaleko telewizora.

Okrzyżłem kwartał i znalazłem dom z pogaszonymi światłami i zamkniętymi okiennicami, czyli taki, który raczej na pewno był pusty. Przeszedłem przez ciemne podwórko do wysokiego żywopłotu dzielącego je od posesji Starzaka. Wśliznąłem się w szczelinę w krzakach, nasunąłem czystą maskę na twarz, naciągnąłem rękawice i czekałem, aż wyostrzy mi się wzrok i słuch. A kiedy to robiłem, przyszło mi do głowy, że gdyby ktoś mnie teraz zauważył, wyszedłbym na idiotę. Nigdy dotąd się tym nie przejmowałem; radar Pasażera działał znakomicie i zawsze przestrzegał mnie przed niepożądanymi spojrzeniami. Teraz, bez pomocy z wewnątrz, czułem się nagi. A to wrażenie pociągnęło za sobą następne: świadomość własnej czystej, bezsilnej głupoty.

Co ja robię? Przychodząc tu spontanicznie, bez zwykłych starannych przygotowań, bez namacalnego dowodu, bez Pasażera, złamałem praktycznie wszystkie zasady, którymi kierowałem się w życiu. Szaleństwo. Sam się prosiłem, żeby mnie znaleźli i zamknęli albo żeby Starzak pociął mnie na plasterki.

Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w bulgoczące we mnie nowe emocje. Uczucie, a to ci dopiero autentyczna ludzka zabawa. Jeszcze trochę i będę się mógł zapisać na kręgle. Znaleźć sobie chat-room i gawędzić o technikach samopomocy New Age i alternatywnych ziołowych lekach na hemoroidy. Witaj w rasie ludzkiej, Dexter, nieskończenie błażej i bezużytecznej rasie ludzkiej. Mamy nadzieję, że twój krótki i bolesny pobyt będzie udany.

Otworzyłem oczy. Mogłem złożyć broń, pogodzić się z faktem, że Dexter na dziś skończył. Albo... mogłem zrobić to, po co przyszedłem, bez względu na ryzyko, i pokazać, że nadal mam w sobie to wszystko, dzięki czemu zawsze byłem tym, kim byłem.

Podjąć działanie, które albo skłoni Pasażera do powrotu, albo będzie wprowadzeniem do życia bez niego. Nawet jeśli nie miałem co do Starzaka absolutnej pewności, niewiele do tego brakowało, byłem już na miejscu, no i wchodziła w grę sytuacja nadzwyczajna.

Przynajmniej wybór nie stwarzał trudności, a tego mi ostatnio brakowało. Odetchnąłem głęboko i najciszej jak tylko potrafiłem, przedarłem się przez żywoplot na podwórko Starzaka.

Trzymając się ciemności, podszedłem do drzwi, którymi wchodziło się do garażu. Zamknięte na klucz, ale Dexter kpi sobie z zamków i nie potrzebowałem pomocy Pasażera, żeby otworzyć ten i dostać się do ciemnego garażu, cicho zamykając za sobą drzwi. Pod przeciwległą ścianą stał rower i warsztat, nad którym wisiały bardzo porządne narzędzia. Zapisałem to sobie w pamięci i przeszedłem przez garaż do drzwi prowadzących do domu. Przystawiłem do nich ucho i czekałem długą chwilę.

Przez ciche buczenie klimatyzacji słyszałem telewizor i nic poza tym. Dla pewności posłuchałem jeszcze trochę, po czym bardzo ostrożnie uchyliłem drzwi. Otworzyły się płynnie i bezszelestnie, a ja wsunąłem się do domu Starzaka, cichy i okryty ciemnością, ot, jeszcze jeden cień.

Podkradłem się korytarzem w stronę fioletowego blasku telewizora, nie odrywając się od ściany, boleśnie świadom, że gdyby Starzak stanął za mną, miałby mnie jak na dłoni, jasno podświetlonego. Kiedy jednak podszedłem dość blisko, by widzieć telewizor, zobaczyłem głowę wysuwającą się nad oparcie sofy i wiedziałem, że jest mój.

Przygotowałem pętlę z żyłki i ruszyłem naprzód. Zaczęła się reklama i głowa poruszyła się lekko. Zamarłem, ale Starzak przesunął się z powrotem na środek sofy, więc rzuciłem się ku niemu, pętla ze świstem opadła mu na szyję i zacisnęła się tuż nad jabłkiem Adama.

Przez chwilę szamotał się aż miło, sprawiając, że pętla zaciskała się coraz mocniej. Patrzyłem, jak się rzuca, chwyta za gardło, i choć sprawiało mi to przyjemność, nie czułem tej samej zimnej, dzikiej satysfakcji, do jakiej przywykłem w takich chwilach. Mimo wszystko lepsze to niż oglądać reklamę, więc dałem mu się wyszaleć, aż jego twarz spurpurowiała, a szamotanina przeszła w bezradny dygot.

- Nie ruszaj się, nic nie mów - powiedziałem - to dam ci odetchnąć.

Chwała mu za to, że od razu zrozumiał i zaprzestał swoich żalonych wysiłków. Trochę poluźniłem pętlę i słuchałem, jak bierze oddech. Tylko jeden, a potem znów ją zacisnąłem i podniosłem go na nogi.

- Chodź.

Poszedł.

Stałem za nim i trzymając żyłkę zaciśniętą na tyle, że gdyby się naprawdę postarał, mógłby złapać trochę powietrza, zaprowadziłem go korytarzem na tył domu i do garażu. Kiedy pchnąłem go na warsztat, upadł na kolano; albo się potknął, albo nieroztropnie próbował uciec. Tak czy inaczej, nie byłem w nastroju do zabawy; zaciągnąłem pętlę tak mocno, że oczy wyszły mu na wierzch, i patrzyłem, jak jego twarz ciemnieje, aż osunął się na podłogę nieprzytomny.

Tym łatwiej dla mnie. Dźwignąłem jego bezwładne cielsko na warsztat i mocno przywiązałem taśmą, podczas gdy on wciąż leżał z rozdziawionymi ustami, bez świadomości. Z kącika ust ściekała mu cienka strużka śliny i bardzo chrapliwie oddychał, nawet kiedy poluźniłem pętlę. Spojrzałem na Starzaka, przyklejonego do stołu, na jego szeroko otwartą brzydką gębę, i pomyślałem jak jeszcze nigdy, oto, czym jesteśmy. Do tego się wszystko sprowadza. Wór mięcha, który oddycha, a kiedy przestaje, nic więcej jak tylko gnijący ochłap.

Starzak zakaszłał i z ust wyciekło mu więcej flegmy. Naparł na krępującą go taśmę, pojął, że nie może się ruszyć, zatrzepotał powiekami i otworzył oczy. Powiedział coś niezrozumiałego, złożonego ze zdecydowanie zbyt wielu spółgłosek, po czym przewrócił oczami i zobaczył mnie. Oczywiście, nie mógł widzieć mojej twarzy pod maską, ale odniosłem bardzo nieprzyjemne wrażenie, że mimo to mnie rozpoznał. Chwilę ruszał ustami, ale nic nie mówił, aż w końcu opuścił oczy, wbił wzrok w punkt gdzieś obok swoich nóg i powiedział suchym, chrapliwym głosem ze środkowoeuropejskim akcentem, ale praktycznie bez śladu spodziewanego uczucia:

- Popelniasz wielki błąd.

Szukałem automatycznej złowieszczej odpowiedzi i nie znalazłem nic.

- Zobaczysz - mówił okropnym, matowym i ochrypłym głosem. - Dopadnie cię i tak, nawet beze mnie. Dla ciebie jest już za późno.

No proszę. Przyznał się, że śledził mnie w złych zamiarach. A mimo wszystko jedyne, co mi przyszło do głowy, to pytanie:

- Kto?

Zapomniał, że jest przyklejony do warsztatu, i próbował pokręcić głową. Nie udało mu się, ale niezbyt się przejął.

- Znajdą cię - powtórzył. - Już niedługo. - Lekko drgnął, jakby usiłował machnąć ręką. - Śmiało. Zabij mnie. Oni cię znajdą.

Spojrzałem na niego. Bezradny, skrępowany, gotów już do moich specjalnych zabiegów i myśl o tym, co nastąpi, powinna napełnić mnie lodowatą rozkoszą, a nie napełniła. Nie było nic prócz pustki, tego samego poczucia braku nadziei i sensu, które ogarnęło mnie, kiedy czekałem przed domem.

Otrząsnąłem się z przygnębienia i zalepiłem Starzakowi usta. Drgnął lekko, ale poza tym wciąż patrzył prosto przed siebie bez cienia jakiegokolwiek uczucia.

Uniosłem nóż i spojrzałem w dół, na moją nieruchomą i nieporuszoną ofiarę. Wciąż słyszałem jego okropny, wilgotny oddech, wdzierający się i wydzierający przez nozdrza, i chciałem go uciszyć, urwać mu film, wyłączyć to paskudztwo, pociąć na kawałki i zapakować je do czystych, suchych worków na śmieci, te nieruchome kawały kompostu, które nie będą już zagrażać, nie będą jeść, wydalać i miotać się po chaotycznym labiryncie ludzkiego życia...

I nie mogłem.

Przywołałem w duchu znajomy powiew mrocznych skrzydeł, by wydarł się ze mnie, rozświetlił mój nóż złowieszczym blaskiem drapieżnego zdecydowania... i nic. Nawet drgnienia na myśl o tej krwawej powinności, którą wypełniłem tak wiele razy i zawsze z taką radością. Tylko pustka.

Opuściłem nóż, odwróciłem się i wyszedłem w noc.

Następnego dnia jakoś wygramoliłem się z łóżka i pojechałem do pracy mimo nieustępliwej, otępiającej rozpacz, która rozkwitła we mnie jak ogród pełen suchych ciernistych krzewów. Spowijała mnie mgła tępego bólu, który doskwierał tylko na tyle, by przypomnieć, że on też niczemu nie służy, i jeśli zdołałem odbębnić zwykły, pusty rytuał – najpierw śniadanie, potem długa, powolna jazda do pracy – to tylko siłą przyzwyczajenia. W każdym razie zrobiłem to i zakodowanymi w pamięci mięśni ruchami dowlokłem się aż za swoje biurko, gdzie klapnąłem na krzesło, włączyłem komputer i dałem się wprzęgnąć w codzienny kierat.

Nawaliłem ze Starzakiem. Nie byłem już sobą i nie miałem pojęcia, kim i czym jestem.

Kiedy wróciłem do domu, Rita czekała na mnie pod drzwiami z miną wyrażającą niepokój i irytację zarazem.

- Musimy wybrać zespół – powiedziała. – Nie wiadomo, czy nie mają zarezerwowanego terminu.

- Dobrze – odparłem. Czemu by nie wybrać zespołu? Zajęcie tak sensowne jak każde inne.

- Pozbierałam płyty z miejsca, gdzie je wczoraj upuściłeś, i ułożyłam według ceny.

- Dziś je przesłucham – zapewniłem i choć Rita nadal była jakby obrażona, to w końcu uspokoiła się przy cowieczornej krzątaniu i podczas gdy ona gotowała i sprzątała, ja słuchałem zespołów rockowych grających „Kaczuszki” i „Białego misia”. Nie wątpię, że w normalnych okolicznościach sprawiłoby mi to taką frajdę jak ból zęba, ale ponieważ i tak nie mogłem znaleźć sobie innego pożytecznego zajęcia, przebrnąłem przez cały stosik płyt i ani się obejrzałem, a nadszedł czas, by położyć się spać.

O pierwszej w nocy muzyka wróciła, i nie myślę tu o „Kaczuszkach”. To były znajome bębny i trąby, z towarzyszeniem chóru głosów, który

przetoczył się przez mój sen i uniósł mnie ku niebiosom, aż obudziłem się na podłodze z jego wspomnieniem wciąż huczącym w uszach.

Długo leżałem na podłodze i zastanawiałem się, co to znaczy, ale nie mogłem sklecić jednej sensownej myśli, a bałem się zasnąć, bo nie chciałem znów przez to przechodzić. W końcu wgramoliłem się do łóżka i chyba nawet zmorzył mnie sen, bo kiedy otworzyłem oczy, świeciło słońce i z kuchni dochodziły jakieś dźwięki.

W sobotni poranek Rita zrobiła naleśniki z jagodami, których widok podziałał jak upragniony kuksaniec przypominający o codzienności. Cody i Astor rzucili się na nie z zapalem i w normalnych okolicznościach też bym się nie hamował. Ten poranek jednak normalny nie był.

Trudno znaleźć słowa, które w dostatecznym stopniu wyraziłyby to, w jak wielkim Dexter musi być szoku, by stracić apetyt. Mam błyskawiczną przemianę materii i potrzebuję nieustannego dopływu paliwa, by utrzymać na chodzie wspaniałą maszynę, jaką jestem, a naleśniki Rity w pełni zasługują na miano benzyny bezołowiowej najwyższego gatunku. A mimo to raz po raz łapałem się na tym, że wpatruję się w widelec zawieszony w połowie drogi między talerzem a moimi ustami i nie mogę wykrzesać z siebie entuzjazmu niezbędnego, by dokończyć ruch i wziąć kęs.

No i wkrótce wszyscy skończyli, a ja nadal gapilem się w pół talerza jedzenia. Nawet Rita zauważyła, że źle się dzieje w Królestwie Dextera.

- Prawie nie tknąłeś jedzenia. Coś nie tak?

- To przez tę sprawę, nad którą pracuję - wyjaśniłem, przynajmniej częściowo zgodnie z prawdą. - Nie mogę przestać o niej myśleć.

- Och. Jesteś pewien, że to... to znaczy, jest bardzo makabryczna?

- Nie w tym rzecz - odrzekłem, ciekaw, co Rita chce usłyszeć. - Po prostu... bardzo zagadkowa.

Skinęła głową.

- Czasem, jeśli na jakiś czas przestaniesz się o czymś myśleć, odpowiedź przychodzi sama - powiedziała.

- Może i masz rację - odparłem, chyba niezupełnie szczerze.

- Dokończysz śniadanie? - spytała.

Wbiłem wzrok w talerz, na którym piętrzył się stos niedojedzonych naleśników ze zgęstniałą polewą. Z naukowego punktu widzenia wiedziałem, że wciąż są przepyszne, ale w tej chwili wyglądały mniej więcej tak apetycznie jak stara mokra gazeta.

- Nie.

Spojrzała na mnie z obawą. Kiedy Dexter nie dojada śniadania, wkraczamy na nieznany teren.

- Może popływasz łodzią? - zaproponowała. - To zawsze pomaga ci się odprężyć. - Podeszła i położyła na mnie rękę z zaborczą troską, a Cody i Astor podnieśli głowy z wypisaną na twarzach nadzieją na przejażdżkę łodzią i nagle poczułem się jak w ruchomych piaskach.

Wstałem. To już ponad moje siły. Nie mogłem spełnić swoich oczekiwań i aż duszno mi się robiło na myśl, że miałbym jeszcze zadowolić ich wszystkich. Czy sprawiło to moje niepowodzenie ze Starzakiem, prześladowająca mnie muzyka, czy powolne zapadanie się w otchłań życia rodzinnego, nie potrafiłem określić. Może wszystko naraz, trzy siły ciągnące każda w swoją stronę i rozszarpujące mnie na strzępy wciągane w wir tłamszącej normalności, od której chciało mi się wyć, choć nie byłem w stanie nawet skamleć. Niezależnie od powodu musiałem się stąd wyrwać.

- Mam sprawę do załatwienia - wykrztusiłem i wszyscy spojrzeli na mnie z pełnym urazy zaskoczeniem.

- Och - powiedziała Rita. - Jaką sprawę?

- W związku ze ślubem - palnąłem, choć nie miałem gotowej następnej kwestii; po prostu ślepo zawierzyłem instynktowi. I szczęśliwie dla mnie, przynajmniej ten jeden raz coś ułożyło się po mojej myśli, bo przypomniałem sobie rozmowę z zaczerwienionym, płaszczącym się Vince'em Masuoką. - Muszę pogadać z kucharzem.

Rita rozpromieniła się.

- Jedziesz do Manny'ego Borque'a? Ojej. To naprawdę...

- I to jak pogadać - zapewniłem ją. - Będę później.

O rozsądnej godzinie, jaką jest za piętnaście dziesiąta w sobotni poranek, serdecznie pożegnałem brudne naczynia oraz ognisko domowe i wsiadłem do samochodu. Na ulicach panował wyjątkowy spokój i po drodze do South Beach nie zauważyłem żadnych aktów przemocy ani przestępstw; zjawisko prawie tak rzadkie jak śnieg

w lipcu. A że ostatnio sprawy układały mi się tak, a nie inaczej, miałem oko na lusterko wsteczne. Przez chwilę myślałem, że śledzi mnie mały czerwony samochód, jakby džip, ale kiedy przyhamowałem, wyminął mnie. Ruch już do końca pozostał niewielki i kiedy zaparkowałem wóz, wjechałem windą na górę i zapukałem do Manny'ego Borque'a, było dopiero piętnaście po dziesiątej.

Odpowiedziała mi przedłużająca się, zupełna cisza, więc zapukałem znowu, tym razem z nieco większym zapałem. Już miałem wygrać na drzwiach prawdziwie porywającą salwę, kiedy otworzył nadzwyczaj rozespany i prawie nagi Manny Borque. Spojrzał na mnie, mrugając powiekami.

- O ja piórkuję - wychrypiał. - Która godzina?

- Dziesiąta piętnaście - powiedziałem radośnie. - Praktycznie pora na lunch.

Może jeszcze nie do końca się przebudził, a może uznał, że coś tak śmiesznego warto powiedzieć drugi raz; tak czy owak, powtórzył:

- O ja piórkuję.

- Mogę wejść? - spytałem uprzejmie, a on zamrugał jeszcze kilka razy i otworzył drzwi na oścież.

- Oby to było coś dobrego - mruknął, a ja poszedłem za nim obok paskudnego niby-dzieła sztuki w przedpokoju do jego grzędy przy oknie. Wskoczył na swój stołek, ja usiadłem naprzeciwko.

- Musimy pomówić o moim weselu - zacząłem, ale pokręcił głową rozdrażniony i pisnął:

- Franky! - Nie uzyskawszy odpowiedzi, oparł się na jednej małej dłoni, a drugą zastukał w stolik. - Lepiej, żeby ten gnojek... Franky, do cholery! - zawołał głosem, który zabrzmiał jak bardzo piskliwy ryk.

W głębi mieszkania coś zaszurało i pospiesznie wyszedł młody mężczyzna, zaciągnął szlafrok i przyglądał proste brązowe włosy. Stał przed Mannym.

- Cześć - powiedział. - To znaczy, wiesz, dzień dobry.

- Przynieś kawę. Migiem - rzucił Manny, nie patrząc na niego.

- Ee - powiedział Franky. - Jasne. Robi się. - Zawahał się na pół sekundy, co dało Manny'emu dość czasu, by pogrozić mu swoją miniaturową piąstką i pisnąć:

- Już, do cholery!

Franky przełknął i ruszył chwiejnym krokiem w stronę kuchni, Manny zaś znów oparł na pięści całe swoje rozeźlone czterdzieści pięć kilo i z westchnieniem zamknął oczy, jakby pastwiły się nad nim nieprzebrane hordy beznadziejnie głupich demonów.

Ponieważ wszystko wskazywało na to, że bez kawy nie będzie rozmowy, wyrząłem przez okno i zająłem się podziwianiem widoku. Na horyzoncie były trzy duże frachtowce wypuszczające w powietrze smugi dymu, a bliżej brzegu spora gromadka łodzi, począwszy od wartych miliony dolarów zabawek po grupkę desek do surfingu przy samej plaży. Jaskrawożółty kajak wyływał w morze, prawdopodobnie na spotkanie frachtowców. Świeciło słońce, mewy latały i szukały odpadków, a ja czekałem, aż Manny dostanie konieczną transfuzję.

Z kuchni dobiegł ogłuszający brzęk i stłumiony skowyt Franky'ego: „O cholera”. Manny próbował zacisnąć powieki jeszcze mocniej, jakby mógł się w ten sposób odciąć od koszmaru życia w otoczeniu przeraźliwej głupoty. I ledwie kilka minut później Franky wniósł serwis do kawy, srebrny, właściwie bezkształtny dzbanek i trzy przysadziste kamionkowe filiżanki, ustawione na przezroczystej tacy stylizowanej na paletę malarza.

Drżącymi rękami postawił filiżankę przed Mannym i nalał do pełna. Manny upił malutki łyczek, westchnął ciężko bez najmniejszej ulgi i wreszcie otworzył oczy.

- W porządku - mruknął. Odwrócił się do Franky'ego. - Idź posprzątać ten bajzel, którego narobiłeś, i niech no tylko później nadepnę na kawałek szkła, to słowo daję, flaki ci wypruję. - Franky odszedł niepewnym krokiem, a Manny wziął następny mikroskopijny łyk i zwrócił na mnie zaropiałe oczka. - Chciałeś porozmawiać o swoim weselu - powiedział jakby nie bardzo mógł w to uwierzyć.

- No właśnie - odparłem, a on pokręcił głową.

- Taki przystojny facet. Co ci strzeliło do głowy, żeby się żenić?

- Chcę płacić niższe podatki - odparowałem. - Możemy porozmawiać o jadłospisie?

- W sobotę, bladym świtem? Nie. To potworny, bezsensowny, prymitywny rytuał... - założyłem, że mówi o ślubie, nie o jadłospisie, choć z Mannym nigdy nic nie wiadomo -...i przeraża mnie, że ludzie

dobrowolnie się na to decydują. Ale... - lekceważąco machnął ręką -...przynajmniej dzięki temu mam okazję poeksperymentować.

- Ciekaw jestem, czy nie dałoby się poeksperymentować trochę taniej.

- Pewnie by się dało - odparł i po raz pierwszy pokazał zęby, ale uśmiechem nazwałby to tylko ktoś, kogo bawi znęcanie się nad zwierzętami - ale nic z tego.

- Dlaczego?

- Bo już zdecydowałem, co chcę zrobić, i nie możesz mi w tym przeszkodzić.

Szczerze mówiąc, przeszkodzić mogłem, i to na kilka sposobów, ale żaden nie spełniłby surowych wymogów Kodeksu Harry'ego, więc nie mogłem z nich skorzystać. A szkoda, bo pewnie frajda byłaby spora.

- Nie dałoby się pana grzecznie przekonać? - spytałem z nadzieją.

Wyszczrzył się oblesnie.

- Jak grzecznie?

- Ładnie poproszę i będę się dużo uśmiechać - wyjaśniłem.

- To za mało - odparł. - Zdecydowanie.

- Vince mówił, że proponuje pan stawkę pięćset dolarów od nakrycia?

- Ja nie proponuję - warknął. - I w dupie mam twoje grosiki.

- Nie dziwię się - próbowałem go trochę udobruchać. - W końcu to nie pańskie grosiki.

- Twoja panna podpisała umowę - przypomniał. - Mogę podać cenę, jaka mi, kurwa, pasuje.

- Na pewno jest coś, co mógłbym zrobić, żeby ją choć trochę obniżyć? - spytałem z nadzieją.

Groźny grymas Manny'ego złagodniał i znów przeszedł w jego niepowtarzalny oblesny uśmiech.

- Nie na krześle - powiedział.

- Czyli...?

- Jeśli pytasz o to, jak możesz mnie przekonać do zmiany zdania, to już odpowiadam: nijak. Zupełnie. Jest do mnie kilometrowa kolejka, mam zamówienia na dwa lata naprzód i oddaję ci wielką przysługę. -

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy, niemal upiorny. - Dlatego przygotuj się na cud. I słony rachunek.

Wstałem. Ten gnom najwyraźniej nie zamierzał się ugiąć i nie mogłem nic na to poradzić. Chciałem powiedzieć coś w stylu „Jeszcze mnie popamiętasz”, naprawdę, ale jakoś nie widziałem w tym sensu. Dlatego tylko odwzajemniłem uśmiech, powiedziałem „No cóż” i wyszedłem z mieszkania. Ledwie drzwi się za mną zamknęły, a już usłyszałem, jak Manny wydziera się na Franky’ego:

- Na litość boską, weźże rusz dupsko i sprzątnij ten burdel.

Kiedy szedłem do windy, poczułem na karku muśnięcie lodowatego, stalowego palca, a potem, tylko przez chwilę, słabe mrowienie, jakby Mroczny Pasażer umoczył w wodzie palec u nogi i czmychnął, gdy okazała się za zimna. Zatrzymałem się w pół kroku i rozejrzałem powoli.

Nic. Na drugim końcu korytarza jakiś facet niezdarnie podnosił gazetę sprzed drzwi. Poza tym pusto. Zamknąłem oczy, tylko na moment. Co? - spytałem. Ale odpowiedź nie nadeszła. Wciąż byłem sam. I, o ile ktoś nie wpatrywał się we mnie przez judasz w którychś drzwiach, to fałszywy alarm. Albo - co bardziej prawdopodobne - pobożne życzenie.

Wszedłem do windy i zjechałem na dół.

Kiedy winda ruszyła, Obserwator wyprostował się. W rękę wciąż miał podniesioną z wycieraczki gazetę. Dobry kamuflaż, może da się go jeszcze wykorzystać. Spojrzał w głąb korytarza, ciekaw, co tak interesującego było w tamtym mieszkaniu, ale to właściwie nie miało znaczenia. Dowie się. Tamten niczego przed nim nie ukryje.

Powoli odliczył do dziesięciu i niespiesznie ruszył korytarzem do mieszkania, które odwiedził tamten. Zajmie mu tylko chwilę, żeby dowiedzieć się, czego tam szukał. A wtedy...

Obserwator nie bardzo wiedział, co tamtemu chodzi po głowie, ale za długo to wszystko trwało. Pora zdopingować go, wyrwać z letargu. Wtedy, jak rzadko, poczuł, że przez czarną chmurę mocy przebija radosny rytm, zachęcający do zabawy, i usłyszał trzepot mrocznych skrzydeł.

Z badań nad ludźmi, które prowadzę całe życie, wynika, że jeszcze nie znalazł się taki, który wymyśliłby, jak zapobiec nastaniu poniedziałkowego poranka. Oczywiście, wielu próbuje, ale poniedziałek niezawodnie nadchodzi i tak, i cała trzódka chcąc nie chcąc musi wrócić do szarej rzeczywistości, wypełnionej daremnym trudem i cierpieniem.

Ta myśl zawsze podnosi mnie na duchu, a że lubię dawać ludziom radość, postanowiłem choć trochę ukoić ból nieuniknionego poniedziałkowego poranka i przyniosłem do pracy pudełko pączków. Wszystkie zniknęły w wygłodniałych, ale, co tu dużo mówić, zrzędliwych paszczach, zanim dotarłem do swojego biurka. Wątpiłem, by ktokolwiek miał lepszy niż ja powód, żeby marudzić, ale nie sposób było się tego domyślić, gdy widziało się, jak chwytają moje pączki i na mnie powarkują.

Vince'owi Masuoce wyraźnie udzielił się ogólny nastrój stonowanej udręki. Wpadł do mojego boksu ze zgrozą i niedowierzaniem na twarzy, która to mina musiała sygnalizować, że coś go wielce poruszyło, bo wyglądała prawie autentycznie.

- Jezu, Dexter - powiedział. - O Jezu Chryste.

- Chciałem ci jednego zostawić - wyjaśniłem w przekonaniu, że głosem tak zbolałym mówić mógł tylko o nieszczęściu, jakim był widok pustego pudełka po pączkach. On jednak pokręcił głową.

- O Jezu, to nie do wiary. On nie żyje!

- Jestem pewien, że nie pączki zawiniły - powiedziałem.

- Mój Boże, a ty miałeś z nim się spotkać. I co, byłeś u niego?

W każdej rozmowie przychodzi moment, kiedy przynajmniej jeden z uczestników musi cokolwiek z niej zrozumieć, i uznałem, że moment ten nadszedł.

- Vince, odetchnij głęboko, zacznij od początku i udawaj, że ty i ja mówimy tym samym językiem.

Spojrzał na mnie jak żaba na czaplę.

- O kurde. Ty jeszcze nic nie wiesz, co? Jasny gwint.

- Słownictwo ci ubożeje - zauważyłem. - Rozmawiałeś z Deborą?

- Dexter, on nie żyje. Znaleźli ciało późnym wieczorem.

- Czyli na pewno pozostanie martwy dość długo, żebyś mógł mnie oświecić, o czym do cholery mówisz.

Vince zamrugał i jego oczy nagle zrobiły się wielkie i wilgotne.

- Manny Borque - wybąkał. - Ktoś go zabił.

Przyznam, że miałem mieszane uczucia. Z jednej strony, na pewno nie było mi przykro, że ktoś inny usunął tego trolla i wyręczył mnie w tym, czego sam nie mogłem zrobić z powodu obiekcji natury moralnej. Ale z drugiej, teraz musiałem poszukać nowego kucharza - aha, no i pewnie trzeba będzie coś zeznać detektywowi prowadzącemu śledztwo. Irytacja walczyła o prymat z ulgą, gdy przypomniało mi się, że nie został już ani jeden pączek.

I to przesądziło. Zwyciężyła irytacja na myśl o tym, ile będę miał zwracania głowy. Harry jednak wyszkolił mnie na tyle dobrze, że wiedziałem, iż nie jest to stosowna reakcja na wieść o śmierci znajomego. Dlatego zrobiłem, co mogłem, by przywołać na twarz coś przypominającego szok, niepokój i poruszenie.

- O kurczę. Nie miałem pojęcia. Wiedzą, kto to zrobił?

Vince pokręcił głową.

- Nie miał żadnych wrogów - odparł, chyba nie zdając sobie sprawy, jak niewiarygodnie to brzmiało dla każdego, kto poznał Manny'ego. - To znaczy, wszyscy go podziwiali.

- Wiem. Pisali o nim w magazynach i w ogóle.

- Nie mogę uwierzyć, że ktoś zrobił mu coś takiego - powiedział.

Bogiem a prawdą, nie mogłem uwierzyć, że ktoś czekał z tym tak długo, ale uznałem, że niedyplomatycznie byłoby powiedzieć to na głos.

- Cóż, na pewno wszystko się wyjaśni. Komu to przydzielili?

Vince spojrzał na mnie tak, jakbym spytał, czy jest szansa, że rano wszędzie słońce.

- Dexter. On miał odciętą głowę. Jak te trzy ciała z kampusu uczelni.

Kiedy za młodu usilnie próbowałem dopasować się do otoczenia, przez pewien czas grałem w futbol amerykański. Raz dostałem z byka

w brzuch i przez kilka minut nie mogłem złapać tchu. Mniej więcej tak czułem się teraz.

- Aha.

- Czyli, naturalnie, przydzielili to twojej siostrze - postawił kropkę nad i.

- Naturalnie. - Uderzyła mnie nagła myśl i ponieważ od zawsze jestem koneserem ironii, spytałem: - Chyba nie został też upieczony?

Vince pokręcił głową.

- Nie.

Wstałem.

- Lepiej pójdę pogadać z Deborą - stwierdziłem.

Kiedy wszedłem do mieszkania Manny'ego, Debora nie była w nastroju do rozmowy. Pochylała się nad Camillą Figg, zbierając odciski palców wokół nóg stolika pod oknem, i nawet nie podniosła głowy, więc zajrzałem do kuchni. Tam leżały zwłoki; oglądał je Angel-Bez-Skojarzeń.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

- Angel - spytałem. - Dobrze widzę? To głowa dziewczyny?

Przytaknął i dźgnął głowę długopisem.

- Twoja siostra mówi, że pewnie tej z Muzeum Sztuki. Ktoś ją tu podrzucił, bo gościu to taki bugero.

Spojrzałem na oba cięcia, jedno tuż nad ramionami, drugie tuż pod brodą. To na głowie, jak pozostałe, które widzieliśmy do tej pory, wykonano starannie. Ale to na ciele, przypuszczalnie Manny'ego, wyszło nierówno, jakby sprawcy się spieszyło. Krawędzie obu cięć, precyzyjnie zsunięte, niezupełnie się zazębiały. Nawet samodzielnie, bez podszeptów wewnętrznego suflera, mogłem stwierdzić, że to zabójstwo w jakiś sposób różniło się od pozostałych i mały zimny palec przesuwający się po moim karku sugerował, że różnica ta może mieć duże znaczenie - nawet dla moich obecnych kłopotów - ale poza tym niejasnym i niezadowolającym cieniem przecucia nie było tu dla mnie nic prócz niepokoju.

- Są drugie zwłoki? - spytałem Angela, przypomniawszy sobie o nieszczęsnym, poniewieranym Frankym.

Angel wzruszył ramionami, nie podnosząc głowy.

- W sypialni - mruknął. - Przebity nożem rzeźnickim i tyle. Głowa została. - Czuł się chyba lekko urażony, że ktoś, kto tyle się natrudził, ostatecznie zostawił głowę, ale oprócz tego najwyraźniej nie miał mi nic do powiedzenia, więc podszedłem do mojej siostry, która kucała obok Camilli.

- Dzień dobry, Deb - powiedziałem z pogodą ducha, której akurat zupełnie mi brakowało, i nie tylko mnie, bo Debora nawet na mnie nie spojrzała.

- Wal się, Dexter - odparowała. - Jeśli nie masz dla mnie nic dobrego, wypieprzaj.

- Nie wiem, czy to dobre, ale chłopak w sypialni ma na imię Franky. Ten tutaj to Manny Borque, o którym pisali w magazynach.

- A skąd to, kurwa, wiesz?

- Cóż, trochę głupia sprawa. Możliwe, że jako jeden z ostatnich widziałem go żywego.

Wyprostowała się.

- Kiedy? - rzuciła.

- W sobotę rano. Koło wpół do jedenastej. Właśnie tutaj - i wskazałem na filizankę, która wciąż stała na stoliku. - To moje odciski palców.

Debora patrzyła na mnie z niedowierzaniem i kręciła głową.

- Ty go znałeś. Co, kumplowaliście się?

- Wynająłem go do obsługi wesela - wyjaśniłem. - Podobno był świetnym kucharzem.

- Uhm. I co tu robiłeś w sobotę rano?

- Podniósł stawkę. Chciałem go przekonać, żeby ją obniżył.

Rozejrzała się po apartamencie i wyjrzała przez okno na widok wart milion dolarów.

- Ile wołał? - spytała.

- Pięć stów od nakrycia.

Gwałtownie odwróciła się do mnie.

- Kurwa. Za co?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie chciał powiedzieć ani spuścić z ceny.

- Pięćset dolarów od nakrycia? - upewniła się.

- Sporawo, nie? Cóż, teraz to już nieaktualne.

Debora długo przygryzała wargę, nie mrugając, aż w końcu złapała mnie za ramię i odciągnęła od Camilli. Wciąż widziałem małą stopę wystającą zza drzwi kuchni, w której świętej pamięci Manny poniósł przedwczesną śmierć, ale Debora zaprowadziła mnie w przeciwną stronę, na drugi koniec pokoju.

- Dexter, daj słowo, że go nie zabiłeś.

Jak już wspominałem, nie żywię prawdziwych uczuć. Długo i ciężko pracowałem nad tym, by nauczyć się reagować na wszelkie możliwe sytuacje jak człowiek, ale ta zupełnie mnie zaskoczyła. Co powinna wyrażać moja twarz, kiedy własna siostra oskarża mnie o morderstwo? Szok? Gniew? Niedowierzanie? O ile wiedziałem, tego nie było w żadnym podręczniku.

- Debora - powiedziałem. Mało to błyskotliwe, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Bo ja ci nie popuszczę - ostrzegła. - Nie w takiej sytuacji.

- Nigdy bym nie... - wyjąkałem. - To nie... - Pokręciłem głową; to naprawdę wydawało się takie niesprawiedliwe. Najpierw opuścił mnie Mroczny Pasażer, a teraz najwyraźniej straciłem własną siostrę i rozum. Szczury uciekały, okręt Dexter tonął.

Odetchnąłem głęboko i spróbowałem zapędzić załogę do wybierania wody. Debora była jedyną osobą na świecie, która wiedziała, czym naprawdę jestem, i choć jeszcze nie w pełni się z tym oswoiła, dotychczas myślałem, że rozumiała granice bardzo starannie wytyczone przez Harry'ego i to, że nigdy ich nie przekroczy. Widać się myliłem.

- Debora - powtórzyłem. - Czemu miałbym...

- Przestań pieprzyć - warknęła. - Oboje wiemy, że mogłeś to zrobić. Znalazłeś się tu w odpowiednim momencie. I masz niezły motyw: wymigać się od zapłacenia mu pięćdziesięciu czy ilu tam kawałków. Albo to, albo muszę przyjąć, że zbrodni dopuścił się gość, który siedzi w pudle.

Ponieważ jestem sztucznym człowiekiem, na ogół myślę niezwykle trzeźwo, bo głowy nie zaśmiecają mi uczucia. Teraz jednak czułem się, jakbym próbował coś dostrzec przez ruchome piaski. Z jednej strony, byłem zaskoczony i cokolwiek zawiedziony, że według niej mogłem odwalić taką fuszerkę. Z drugiej, chciałem ją zapewnić,

że nie zamordowałem. I dodać, że gdybym zabił, nigdy by się o tym nie dowiedziała, ale to wydało mi się jakoś mało dyplomatyczne. Dlatego wziąłem jeszcze jeden głęboki oddech i przestałem na:

- Słowo.

Długo mierzyła mnie wzrokiem.

- Poważnie - powiedziałem.

W końcu skinęła głową.

- Dobrze. Obyś mówił prawdę.

- Mówię prawdę. Nie zrobiłem tego.

- Uhm - odburknęła. - Skoro nie ty, to kto?

To naprawdę niesprawiedliwe. Znaczący, całe to tak zwane życie. No bo jak to? Wciąż bronię się przed zarzutem zabójstwa - który stawia mi moja przybrana siostra! - a jednocześnie wymaga się ode mnie, żebym wyjaśnił zbrodnię. Nie mogłem nie podziwiać giętkości umysłu, która pozwalała Deborze na tego rodzaju intelektualne wygibasy, ale szczerze mówiąc, wolałem, by swoje twórcze myślenie zachowała dla kogoś innego.

- Nie wiem - odparłem. - I nie mam... nie mam żadnych, tego, pomysłów.

Spojrzała na mnie wzrokiem twardym, że aż strach.

- Czemu miałabym w to też uwierzyć?

- Deb - zacząłem i zawałem się. Czy już pora, by powiedzieć jej o Mrocznym Pasażerze i jego obecnej nieobecności? Kłębiły się we mnie bardzo nieprzyjemne doznania, zupełnie jak w początkach grypy. Czyżby to uczucia uderzały o bezbronne wybrzeże Dextera jak spiętrzone fale toksycznych ścieków? Jeśli tak, nic dziwnego, że ludzie są tacy nieszczęśliwi. To było okropne doświadczenie.

- Debora, słuchaj - powiedziałem znowu i myślałem, jak by tu zacząć.

- Słucham, na litość boską. Ale nic nie mówisz.

- Bo to trudne - wyznałem. - Nigdy jeszcze o tym nie mówiłem.

- Najwyższy czas zacząć.

- Ja... tego... mam w sobie takie coś - bełkotałem świadom, że wychodzę na kompletnego durnia, i poczułem, że robi mi się dziwnie ciepło w policzki.

- Znaczący co - rzuciła. - Raka?

- Nie, nie, to... bo ja ten, słyszę, ee... To mówi mi różne rzeczy - wydukałem. Z niewiadomego powodu musiałem odwrócić wzrok od Debory. Na ścianie zauważyłem zdjęcie nagiego męskiego torsu; ponownie spojrzałem na Deb.

- Jezu. - Wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem. - Mam rozumieć, że słyszysz głosy? Jezu Chryste, Dex.

- Nie. To nie tak, że słyszę głosy. Nie całkiem.

- To co, do kurwy nędzy? - wybuchnęła.

Znów musiałem spojrzeć na nagi tors i wypuścić powietrze z ust, zanim mogłem spojrzeć jej w twarz.

- Kiedy mam, wiesz, przeczucia. Na miejscu zbrodni - dodałem. - To właśnie dlatego, że ten... to do mnie mówi. - Twarz Debory była jak skuta lodem, zupełnie nieruchoma, jakbym wyznawał jakieś straszliwe grzechy; no i w sumie tak się rzecz miała.

- I co ci mówi? - spytała. - Coś w stylu, hej, ten, co zabił, uważa się za Batmana?

- Tak jakby. To tylko, no wiesz. Drobne wskazówki, które dostawałem.

- Dostawałeś - powtórzyła.

Naprawdę musiałem się znowu odwrócić.

- Debora, tego już nie ma - powiedziałem. - Jakby wystraszyło się czegoś w związku z tą sprawą z Molochem i uciekło. Nigdy przedtem się to nie zdarzyło.

Długo nic nie mówiła, ja też milczałem.

- Mówiłeś tacie o tym głosie? - spytała wreszcie.

- Nie musiałem. Wiedział.

- A teraz te głosy umilkły.

- Jeden głos.

- I dlatego nic mi o tym wszystkim nie mówisz.

- Tak.

Zazgrzytała zębami tak głośno, że usłyszałem. Wypuściła powietrze z ust, nie rozwierając szczęk.

- Albo mnie okłamujesz, bo to zrobiłeś - wysyczała - albo mówisz prawdę i jesteś jebanym psycholem.

- Deb...

- Jak myślisz, w którą wersję chcę wierzyć, Dexter? Hę? No? Którą?

Zdaje się, że ostatnio czułem prawdziwy gniew, będąc nastolatkiem, choć może już wtedy nie potrafiłem odróżnić oryginału od podróbki. Teraz jednak, kiedy opuszczony przez Mrocznego Pasażera byłem na najlepszej drodze do tego, by stać się prawdziwym człowiekiem, zanikały wszystkie stare bariery między mną a normalnością i trawiła mnie złość, jeśli nie całkowicie autentyczna, to bardzo niewiele jej do tego brakowało.

- Debora - powiedziałem - jeśli mi nie ufasz i chcesz myśleć, że ja zabiłem, to sram na to, w którą wersję uwierzysz.

Przeszyła mnie spojrzeniem i po raz pierwszy odpowiedziałem jej tym samym.

Wreszcie odzyskała mowę.

- Tak czy tak, muszę to zgłosić - oświadczyła. - Oficjalnie na razie masz się trzymać od tego z daleka.

- Niezmiernie się cieszę - odparłem. Przyglądała mi się jeszcze chwilę, wreszcie złożyła usta w ciup i wróciła do Camilli Figg. Przez moment patrzyłem na jej plecy, aż w końcu poszedłem do drzwi.

Nie miałem po co tu sterczeć jak kołek, zwłaszcza że powiadomiono mnie, oficjalnie i nieoficjalnie, że nie jestem mile widziany. Chciałbym móc powiedzieć, że moje uczucia zostały zranione, ale o dziwo, wciąż byłem zbyt wściekły, by się obrażać. A że tak naprawdę nigdy nie potrafiłem pojąć, jak ktoś może mnie lubić, poniekąd ulżyło mi, iż Debora choć raz wykazała zdrowe podejście.

Czyli Dexter jak zwykle górą; a mimo to, kiedy szedłem do drzwi, by udać się na wygnanie, jakoś nie miałem poczucia, że odniosłem wielki triumf.

Czekałem na windę, kiedy w moje uszy wdarł się chrapliwy okrzyk „E!”

Odwróciłem się i zobaczyłem drałującego ku mnie ponurego i bardzo rozeźlonego starszego pana w sandałach i czarnych skarpetach prawie do kościstych kolan. Miał też obszerne szorty, jedwabną koszulę i wyraz słusznego oburzenia na twarzy.

- Te! Z policji? - rzucił. Domyśliłem się, że mowa o mnie.

- Ja? Tak.

- Co z moją gazetą, do cholery?

Ależ wolno te windy jeżdżą. Cóż, kiedy nie ma innego wyjścia, staram się być uprzejmy, naprawdę, więc uśmiechnąłem się pojednawczo do starego wariata.

- Nie spodobała się panu? - spytałem.

- A tam nie spodobała! W ogóle nie przyszła, do cholery! - krzyknął na mnie i lekko spurpurowiał z wysiłku. - Dzwoniłem i mówiłem waszym, a ta kolorowa, co odebrała, kazała mi do gazety zadzwonić! Widziałem, jak gówniarz ją ukradł, a ta odkłada słuchawkę!

- Gówniarz ukradł panu gazetę - Pokiwałem głową.

- No przecież mówię, do cholery! - Jego głos zaczynał przechodzić w skrzek, co nie uprzyjemniało czekania na windę. - To po to płacę podatki, żeby baba mi takie rzeczy mówiła? I jeszcze się śmiała, kłępa jedna!

- Mógłby pan kupić nową gazetę - powiedziałem uspokajającym tonem.

Nie uspokoił się.

- Co to za gadanie, do czorta? Kupić nową gazetę? Sobota rano, jestem w piżamie, i mam iść po nową gazetę? A nie moglibyście z łaski swojej łapać bandytów, co?

Winda wreszcie oznajmiła swoje przybycie cichym „dzyń”, ale teraz już mnie to nie obchodziło, bo przyszła mi do głowy pewna myśl. Tak, od czasu do czasu miewam myśli. Większość nigdy nie wypływa aż na samą powierzchnię, pewnie wskutek tego, że całe życie usiłuję udawać człowieka. Ta jednak, niczym bąbelek gazu w błocie, z wolna wynurzyła się i pękła z trzaskiem, napełniając mój umysł jasnością.

- Sobota rano? - powiedziałem. - Pamięta pan, o której to było?

- Pamiętam, a jakże! Mówiłem im, która godzina, kiedy dzwoniłem, wpół do jedenastej w sobotę rano, a gówniarz gazetę mi kradnie!

- Skąd pan wie, że to gówniarz?

- Bo patrzyłem przez judasz, o! - wrzasnął na mnie. - Co, miałem wyjść na korytarz bez patrzenia? Kiedy wy nic tylko się objacie? Niedoczekanie!

- Kiedy pan mówi „gówniarz”, osobę w jakim wieku ma pan na myśli?

- Słuchaj no pan - odparł - dla mnie każdy poniżej siedemdziesiątki to gówniarz. Ale ten? Dałbym mu ze dwadzieścia lat, a, i miał plecak,

taki, co to teraz jest w modzie.

- Mógłby pan opisać tego chłopaka?

- Ślepy nie jestem. Kiedy wstał z moją gazetą, to widziałem, że miał tatuaż, taki, co to wszyscy sobie teraz robią, i to na karku!

Metalowe palce musnęły mój kark i choć odpowiedź znałem z góry, spytałem:

- Jak wyglądał ten tatuaż?

- Taki tam japoński znak czy coś. W głowie się nie mieści. Po tośmy sprali Japońców, żeby teraz kupować ich samochody i tatuować na naszych dzieciakach ich gryzmoły?

Wyraźnie dopiero się rozkręcał i choć podziwiałem go, że w tym wieku ma tyle energii, uznałem, iż pora oddać go w ręce odpowiednich władz w osobie mojej siostry. Myśl ta roznieciła we mnie przyjemne uczucie satysfakcji, bo raz, dzięki temu Debora będzie miała podejrzanego lepszego niż biedny Banita Dexter i dwa, napuszczając na nią tego przeuroczego starego pierdziela, choć trochę odegram się za to, że w ogóle śmiała mnie podejrzewać.

- Pan pozwoli ze mną - powiedziałem do dziadygi.

- Nigdzie nie idę.

- Nie chciałby pan porozmawiać z takim prawdziwym detektywem? - spytałem i godziny ćwiczeń nad moim uśmiechem najwyraźniej dały dobry skutek, bo starszy pan zmarszczył czoło, rozejrzał się i powiedział:

- No dobrze. - Następnie poszedł za mną tam, gdzie sierżant Siostra warczała na Camillę Figg.

- Mówiłam, że nic tu po tobie - powiedziała z całą serdecznością i wdziękiem, do jakich mnie przyzwyczaiła.

- W porządku - odparłem. - Rozumiem, że świadka mam zabrać ze sobą?

Debora otworzyła usta, po czym kilka razy na przemian zamykała je i otwierała, jakby uczyła się oddychać jak ryba.

- Nie możesz... to nie... Niech cię szlag trafi, Dexter - wyartykułowała wreszcie.

- Mogę, ale i tak w końcu mnie trafi, na pewno - odparłem. - Tymczasem ten oto przemiły staruszek ma ci coś ciekawego do powiedzenia.

- Tylko nie staruszek, tylko nie staruszek - oburzył się.
 - To detektyw Morgan - przedstawiłem Deb. - Jest tu najważniejsza.
 - Dziewczyna? - prychnął. - Nic dziwnego, że nikogo złapać nie mogą. Baba-detektyw.
 - Niech pan jej powie o plecaku - poradziłem mu. - I o tatuażu.
 - Jakim tatuażu? - rzuciła. - O czym, do cholery, mówisz?
 - Jaka to wyszczekana - obruszył się starszy pan. - Wstyd!
- Uśmiechnąłem się do siostry.
- Miłej pogawędki - rzuciłem.

Nie mogłem być pewien, że oficjalnie przywrócono mnie do drużyny, ale wolałem nie odchodzić za daleko, żeby nie stracić okazji do wspaniałomyślnego przyjęcia przeprosin siostry. Dlatego ulokowałem się przy drzwiach mieszkania świętej pamięci Manny'ego Borque'a, gdzie mogłem w stosownej chwili zostać zauważony. Niestety, zabójca nie ukradł wielkiej artystycznej kuli zwierzęcych rzygów na piedestale obok drzwi. Wciąż tkwiła na miejscu, w samym centrum mojej strategicznej pozycji i, czekając, musiałem na nią patrzeć.

Ciekaw byłem, ile czasu minie, zanim Debora spyta starszego pana o tatuaż i skojarzy fakty. Jeszcze nad tym myślałem, kiedy usłyszałem jej podniesiony głos, recytujący urzędowe formułki kończące przesłuchanie, typu „dziękuję za pomoc” i „proszę zadzwonić, jeśli coś się panu przypomni”. A potem ruszyli razem do drzwi. Debora mocno trzymała starszego pana za łokieć i sterowała go do wyjścia.

- Ale co z moją gazetą, psze pani? - zaprotestował, kiedy otworzyła drzwi.

- Psze pani sierżant - odpowiedziałem mu i Debora łypnęła na mnie spode łba.

- Proszę zadzwonić do gazety - poradziła. - Oddadzą panu pieniądze. - I praktycznie wyrzuciła go za drzwi, gdzie przez chwilę stał i trząsł się ze złości.

- Zło wygrywa! - krzyknął i wtedy, na szczęście dla nas obojga, Debora zamknęła drzwi.

- Wiesz, on ma rację - stwierdziłem.

- To nie powód, żebyś robił taką zadowoloną minę - odparowała.

- Natomiast ty powinnaś choć spróbować - zasugerowałem. - To on, chłopak tamtej, jak mu tam.

- Kurt Wagner - rzuciła.

- Doskonale. Godna podziwu staranność. To Kurt Wagner, i dobrze o tym wiesz.

- Gówno wiem - burknęła. - To mimo wszystko mógł być zbieg okoliczności.

- Pewnie - powiedziałem. - I są matematyczne szanse, że słońce wzejdzie na zachodzie, ale to mało prawdopodobne. Zresztą, kto jeszcze wchodzi w rachubę?

- Ta gnida Wilkins.

- Ktoś go obserwuje, nie?

Prychnęła.

- Taa, ale wiesz, jak to jest. Jeden z drugim zdrzemną się albo pójdą wysrać, a potem przysięgają, że ani na chwilę nie spuścili gościa z oka. A on w tym czasie spokojnie zarzyna czirliderki.

- Naprawdę nadal myślisz, że mógł być zabójcą? Mimo że ten gówniarz był tu w tym samym czasie, kiedy zginął Manny?

- Ty też tu wtedy byłeś. A to morderstwo nie jest takie jak pozostałe. Raczej marna podróbka.

- W takim razie skąd głowa Tammy Connor? To Kurt Wagner, Deb, nie ma innego wyjścia.

- No dobrze - zgodziła się. - To pewnie on.

- Pewnie? - spytałem autentycznie zaskoczony. Wszystko wskazywało na małodłata z tatuażem na karku, a ta rozterki przeżywa.

Długo na mnie patrzyła, bynajmniej nie obdarzając mnie spojrzeniem pełnym ciepłej, siostrzanej miłości.

- To mimo wszystko mogłeś być ty - powiedziała.

- Proszę bardzo, aresztuj mnie - rzuciłem. - Tak byłoby najmądrzej, co? Kapitan Matthews będzie zadowolony, że kogoś aresztowałaś, a ty zostaniesz ulubienicą mediów, bo zwinęłaś brata. Świetne rozwiązanie, Debora. Nawet prawdziwy zabójca się ucieszy.

Nic nie odpowiedziała, odwróciła się i poszła. Po chwili namysłu stwierdziłem, że to doskonały pomysł. Zrobiłem więc to samo, tyle że ruszyłem w przeciwną stronę, do wyjścia i do pracy.

Pozostała część dnia przyniosła mi dużo więcej satysfakcji. W bmw zaparkowanym na poboczu autostrady Palmetto znaleziono dwa ciała, płci męskiej, rasy białej. Ktoś próbował go ukraść i kiedy zobaczył, co jest w środku, zadzwonił na policję, uprzednio zabrawszy sprzęt

stereo i poduszki powietrzne. Prawdopodobną przyczyną zgonu były liczne rany postrzałowe. Prasa z upodobaniem używa określenia „porachunki gangów” w opisach zabójstw cechujących się pewną starannością i umiarem. W tym wypadku gangi nie wchodziły w grę. Dwa ciała i wnętrze samochodu zostały dosłownie naszpikowane ołowiem i zbryzgane krwią, jakby zabójca nie bardzo wiedział, za co trzymać broń. Sądząc z otworów po kulach w szybach, to cud, że nie zginął żaden z przejeżdżających kierowców.

Zpracowany Dexter powinien być Dexterem zadowolonym, a w samochodzie i na asfalcie nie brakowało ohydnej zakrzepłej krwi, by dać mi zajęcie na wiele godzin, ale, co nie mogło dziwić, nie zacierałem rąk z zadowolenia. Spotykało mnie tyle okropnych rzeczy, a teraz jeszcze pożarłem się z Deb. Trudno powiedzieć, że ją kochałem - nie jestem zdolny kochać - ale przyzwyczaiałem się do niej i wolałbym mieć ją przy sobie i móc liczyć na jej względną przychylność.

Pomijając drobne sprzeczki w dzieciństwie, jak to między rodzeństwem, tak naprawdę rzadko się kłóciliśmy, i byłem zaskoczony, że tym razem aż tak mnie to poruszyło. Owszem, jestem bezdusznym potworem, który lubi zabijać, ale to bolało, że tak właśnie mnie postrzegała, zwłaszcza że dałem jej słowo bestii, iż jestem niewinny, przynajmniej w tym wypadku.

Chciałem dobrze żyć z moją siostrą, ale jednocześnie byłem obrażony, że trochę zbyt gorliwie reprezentuje Majestat Prawa, a za mało udziela się jako moja pomocnica i powiernica.

Oczywiście, to logiczne, że traciłem na to całą moją słuszną złość, bo w końcu czymże innym miałbym zająć myśli - takie problemy jak śluby, tajemnicza muzyka i zaginieni Pasażerowie zawsze rozwiązują się same, prawda? A badanie rozbryzgów krwi to prosta robota, niewymagająca większego skupienia. Na potwierdzenie tego, użalając się nad sobą, zapomniałem o bożym świecie i dlatego pośliznąłem się na zakrzepłej krwi i upadłem na kolano obok bmw.

Szokowi towarzyszącemu uderzeniu w asfalt natychmiast zawtórował szok psychiczny, fala strachu i zimna, która z lepkiego paskudztwa na ziemi wdarła się prosto do mojego pustego ja, i minęła długa chwila, zanim mogłem znów złapać oddech. Spokojnie, Dexter,

pomyślałem. To tylko drobne, bolesne przypomnienie tego, kim jesteś i skąd się wzięłaś, wywołane przez stres. Nic, co miałyby związek z operowym byłem.

Udało mi się wstać bez skamlenia, ale miałem rozdarte spodnie, bolące kolano, a jedną nogawkę spodni oblepiała obrzydliwa, na połę zaschnięta krew.

Naprawdę nie lubię krwi. Spojrzałem w dół i zobaczyłem ją na swoim ubraniu, dotykającą mnie, zwłaszcza teraz, kiedy w moim życiu zapanował zupełny chaos, a ja wpadłem w wielką, pustą jamę bez Pasażera - to zamknęło obwód. Teraz już na pewno odczuwałem emocje i nie było to przyjemne. Zadygotałem i omal nie krzyknąłem, ale jakoś - ledwo ledwo - powstrzymałem się, doprowadziłem do porządku i dalej robiłem swoje.

Nie poczułem się dużo lepiej, ale jakoś przetrwałem resztę dnia dzięki temu, że przebrałem się w zapasowe ubranie, które zapobiegliwi spece od analizy śladów krwi zawsze mają pod ręką, i wreszcie nadszedł czas, by wrócić do domu.

Kiedy jechałem Old Cutler na południe, do Rity, uczepił się mnie mały czerwony geo i ani myślał odpuścić. Patrzyłem w lusterko, ale nie mogłem dostrzec twarzy kierowcy i ciekawiło mnie, czy nieświadomie czymś mu podpadłem. Mocno mnie korciło, żeby dać po hamulcach i niech się dzieje, co chce, ale jeszcze nie byłem aż tak padnięty, by uznać, że rozbitcie mojego samochodu zmieni cokolwiek na lepsze. Próbowałem ignorować tamten samochód, ot, jeszcze jeden nie do końca normalny kierowca z Miami, mający jakieś tajemniczy ukryty cel.

On jednak uparcie trzymał się tuż za mną i zacząłem zastanawiać się, jakież to może być cel. Przyspieszyłem. Geo zrobił to samo i nadal siedział mi na zderzaku.

Zwolniłem; geo też.

Przeciąłem dwa pasy, odprowadzany gniewnym trąbieniem i uniesionymi środkowymi palcami. Geo pojechał za mną.

Kto to? Czego ode mnie chciał? Czy to możliwe, by Starzak wiedział, że to ja go skrępowałem taśmą, a teraz jechał za mną innym samochodem z mocnym postanowieniem zemsty? A może tym razem to ktoś inny - a jeśli tak, kto? I dlaczego? Jakoś nie mogłem uwierzyć,

by to sam Moloch siedział za kierownicą samochodu za mną. Skąd prastare bóstwo wytrzasnęłoby choćby tymczasowe prawo jazdy? Ktoś tam jednak siedział i zamierzał przez jakiś czas mi towarzyszyć, a ja nie miałem pojęcia, kto zacz. Złapałem się na tym, że rozpaczliwie szukam odpowiedzi, błagalnie wyciągam ręce do czegoś, czego już nie było, i poczucie straty i pustki wzmogło moją niepewność, gniew i zaniepokojenie; uświadomiłem sobie, że wciągam powietrze z sykiem przez zaciśnięte zęby, że kurczowo ściskam kierownicę dłońmi oblanymi zimnym potem, i pomyślałem: dość.

A kiedy już przygotowywałem się psychicznie do tego, by wcisnąć pedał hamulca, wyskoczyć z samochodu i skuć mordę tamtemu kierowcy, czerwony geo nagle oderwał się od mojego zderzaka, skręcił w prawo, na boczną ulicę, i rozpląnął się w okrywającej Miami nocy.

Wiele hałasu o nic. Normalna psychoza godzin szczytu. Jeszcze jeden przeciętny pirat drogowy z Miami, zabijający nudę długiego powrotu do domu zabawą w berka z samochodem z przodu.

A ja byłem tylko oszołomionym, sponiewieranym, paranoicznym eks-potworem z zaciśniętymi dłońmi i zgrzytającymi zębami.

Pojechałem do domu.

Obserwator odbił w bok, zrobił kółko po okolicy i wrócił do punktu wyjścia. Teraz, schowany wśród innych samochodów, był niewidoczny dla tamtego i skręcił na jego ulicę daleko za nim. Fajnie siedzieć mu na zderzaku i patrzeć, jak wpada w lekki popłoch. Sprowokował go, by wybadać jego gotowość, sprawdzian wypadł wysoce zadowolająco. Musiał wprowadzić tamtego w odpowiedni stan ducha, a to niezwykle delikatny proces. Robił to nie pierwszy raz i dobrze znał te wszystkie objawy. Tamten stawał się już nerwowy, ale to jeszcze za mało. Trzeba doprowadzić go do ostateczności, zepchnąć na sam skraj urwiska.

Pora podkreślić tempo.

To będzie wyjątkowy wieczór.

Kiedy przyjechałem do Rity, przygotowywała kolację. Zważywszy na to, przez co przeszedłem i co o tym myślałem, wydawałoby się, że nigdy więcej nie wezmę jedzenia do ust. Ledwie jednak przestąpiłem próg, a już w moje nozdrza uderzył aromat; Rita zrobiła pieczeń wieprzową z brokułami, ryżem i fasolą, a mało co na tym świecie może się równać z pieczenią wieprzową Rity. Dlatego też Dexter, który odsuwał talerz i wstawał od stołu, był już względnie ułagodzony. A i reszta wieczoru, prawdę mówiąc, podzielała w miarę uspokajająco. Bawiłem się w chowanego z Codym, Astor i dziećmi z sąsiedztwa, aż nadeszła pora, by poszli do łóżek, a potem siedzieliśmy z Ritą na kanapie i oglądaliśmy serial o gderliwym lekarzu, zanim położyliśmy się spać.

Normalność nie doskwierała zbyt, jeśli było w niej miejsce dla pieczeni wieprzowej Rity i jakże zajmujących Cody'ego i Astor. Może będę mógł żyć ich życiem, jak stary baseballista, który po zakończeniu kariery zostaje trenerem. Tyle się musieli nauczyć, a szkoląc ich, mogłem raz jeszcze przeżyć odchodzące w niepamięć dni chwały. Smutne to, fakt, ale zawsze stanowi jakąś rekompensatę.

I choć świetnie wiem, że nie powinienem, zapadając w sen, złapałem się na myśleniu, że może wcale nie jest mi tak najgorzej.

To naiwne przekonanie przetrwało do północy, kiedy obudziłem się i zobaczyłem Cody'ego stojącego w nogach łóżka.

- Ktoś jest na dworze - usłyszałem.

- Dobrze - odparłem półprzytomnie, zupełnie niezaciekawiony tym, co go skłoniło, żeby mi o tym poinformować.

- Chce wejść - dodał.

Usiadłem prosto.

- Gdzie?

Cody odwrócił się i wyszedł na korytarz, a ja za nim. Pomyślałem, że coś mu się przyśniło i tyle, ale w końcu to było Miami i takie rzeczy

zdarzają się tu też na jawie, choć na ogół nie częściej niż pięćset, sześćset razy na noc.

Cody zaprowadził mnie do tylnych drzwi. Jakieś trzy metry przed nimi znieruchomiał i ja też.

- Tu - powiedział cicho.

Tu, rzeczywiście. To nie koszmar, a przynajmniej nie taki, który można mieć tylko we śnie.

Gałka w drzwiach poruszała się z boku na bok. Ktoś kręcił nią z zewnątrz.

- Obudź mamę - szepnąłem do Cody'ego. - Każ jej zadzwonić na 1-1-2. - Podniósł na mnie wzrok, jakby zawiedziony, że nie zamierzam wypaść na dwór z granatem i wziąć spraw w swoje ręce, ale odwrócił się i pobiegł korytarzem do sypialni.

Podszedłem do drzwi, cicho i ostrożnie. Na ścianie obok nich był włącznik reflektora oświetlającego ogródek. Kiedy wyciągnąłem do niego rękę, gałka w drzwiach znieruchomiała. Włączyłem światło i tak.

I w tej samej chwili, jakby w reakcji na pstryknięcie włącznikiem, coś zaczęło walić w drzwi frontowe.

Odwróciłem się, pobiegłem do nich i w połowie drogi zderzyłem się z Ritą, która właśnie wyszła na korytarz.

- Dexter - powiedziała. - Co... Cody mówił...

- Dzwon na policję - rzuciłem. - Ktoś próbuje się włamać. - Spojrzałem za jej plecy, na Cody'ego. - Idź po siostrę i wszyscy razem zamknijcie się w łazience.

- Ale kto miałby... Przecież my nie... - wyjąkała Rita.

- Idźcie - uciałem i przecisnąłem się obok niej do drzwi frontowych.

Także i tym razem włączyłem światło na zewnątrz i dźwięk natychmiast ucichł.

By rozbrzmieć ponownie w głębi korytarza, zdaje się, że za oknem kuchni.

I, naturalnie, kiedy wpadłem do kuchni, zapadła cisza, jeszcze zanim włączyłem światło.

Powoli podszedłem do okna nad zlewem i ostrożnie wyjrzałem.

Nic. Tylko noc, żywopłot i dom sąsiada, poza tym zupełnie nic.

Wyprostowałem się i chwilę stałem nieruchomo. Czekałem, aż hałas rozlegnie się w innym zakamarku domu. Tak się nie stało. Uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech, i wypuściłem powietrze z ust. Cokolwiek to było, przestało się dobijać. Odeszło. Rozwarłem pięści i odetchnąłem głęboko.

I wtedy Rita krzyknęła.

Obróciłem się tak gwałtownie, że wykręciłem sobie kostkę, ale mimo to pokuśtykałem do łazienki najszybciej jak mogłem. Drzwi były zamknięte na zamek, a w środku coś skrobało w szybę.

- Idź sobie! - krzyknęła Rita.

- Otwórz - poprosiłem i Astor szeroko otworzyła drzwi.

- Za oknem - wskazała ruchem głowy, dość spokojnie, jak mi się wydawało.

Rita stała na środku łazienki z zaciśniętymi pięściami podniesionymi do ust, a przed nią Cody, uzbrojony w przepychacz do sedesu. Oboje patrzyli w okno.

- Rita.

Odwróciła się do mnie z szeroko otwartymi oczami, nabiegłymi strachem.

- Czego oni chcą? - wykrzyknęła, jakby myślała, że będę w stanie jej to wyjaśnić. I może w normalnych okolicznościach byłbym; przez „normalne” rozumiem całe moje dotychczasowe życie, kiedy miałem do towarzystwa Pasażera, szepczącego mi straszne tajemnice. A tak wiedziałem tylko, że chcą się dostać do środka, i nie miałem pojęcia dlaczego.

Nie wiedziałem, czego szukali, ale teraz wydawało się to mniej ważne niż fakt, że najwyraźniej myśleli, że to coś mamy.

- Szybko - rzuciłem. - Wszyscy wychodzić. - Rita odwróciła się do mnie, ale Cody nie ruszył się z miejsca. - Już - ponagliłem ich. Astor wzięła Ritę za rękę i wybiegły. Położyłem dłoń na ramieniu Cody'ego, popchnąłem go za matką, delikatnie wyjąłem mu przepychacz z ręki i dopiero wtedy odwróciłem się do okna.

Hałas nie ustawał, głośne skrobanie, które brzmiało jakby ktoś próbował wydrapać dziurę w szybie. Praktycznie bez zastanowienia ruszyłem naprzód i rąbnąłem w okno gumową końcówką przepychacza.

Dźwięk ucichł.

Przez długą chwilę nie słyszałem nic prócz swojego nierównego oddechu. A potem, niezbyt daleko, ciszę przecięło wycie policyjnej syreny. Wycofałem się z łazienki, nie odrywając oczu od okna.

Rita siedziała na łóżku, z Codym po jednej stronie i Astor po drugiej. Dzieci wydawały się całkiem spokojne, ale Rita była na skraju hysterii.

- Już dobrze - uspokajałem. - Policja zaraz będzie.

- Przyjedzie sierżant Debbie? - spytała Astor i dodała z nadzieją: - Jak myślisz, zastrzelili kogoś?

- Sierżant Debbie jest w łóżku i śpi - pozbawiłem ją złudzeń. Syrena była coraz bliżej, wreszcie z piskiem opon zatrzymała się przed naszym domem i stopniowo spuszczała z tonu, aż niechętnie umilkła. - Już są - powiedziałem. Rita zerwała się z łóżka i złapała każde z dzieci za rękę.

Cała trójka wyszła za mną z sypialni i kiedy stanęliśmy przed drzwiami frontowymi, już usłyszałem grzeczne, ale zdecydowane pukanie w drewno. Życie uczy nas ostrożności, zawołałem więc:

- Kto tam?

- Policja - odparł surowy męski głos. - Mamy zgłoszenie o możliwym włamaniu. - Brzmiało to autentycznie, ale na wszelki wypadek nie zdjąłem łańcucha, kiedy uchyliłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Rzeczywiście, na progu stało dwóch mundurowych, jeden patrzył na drzwi, a drugi, odwrócony, obserwował ogródek i ulicę.

Zamknąłem drzwi i zdjawszy łańcuch, otworzyłem je ponownie.

- Proszę - powiedziałem. Policjant miał plaketkę z nazwiskiem Ramirez i wydał mi się znajomy. On jednak nawet nie drgnął; patrzył tylko na moją rękę.

- Co my tu mamy, szefie? - Wskazał ruchem głowy moją dłoń. Wciąż trzymałem przepychacz do sedesu.

- Och. - Włożyłem przepychacz za drzwi, do stojaka na parasole. - Przepraszam. To do obrony własnej.

- Uhm - mruknął Ramirez. - Zależy, co miał ten drugi. - Wszedł do domu i zawołał przez ramię do partnera: - Williams, rzuć okiem na ogródek.

- Się robi. - Williams, żyłasty Murzyn pod czterdziestkę, poszedł do ogródka i zniknął za rogami domu.

Ramirez stał na środku pokoju i patrzył na Ritę i dzieci.

- To co jest grane? - spytał i zanim mogłem odpowiedzieć, przyjrzał mi się zmrużonymi oczami. - My się znamy?

- Dexter Morgan. Pracuję w laboratorium.

- Aha. To jak, Dexter, co tu się stało?

Powiedziałem mu.

Gliniarze zostali z nami jakieś czterdzieści minut. Rozejrzeli się po ogródku i okolicy i nic nie znaleźli, co wcale ich nie zaskoczyło, a i dla mnie, prawdę mówiąc, nie było wielkim szokiem. Kiedy sprowadzili co trzeba, Rita zrobiła im kawę i nakarmiła owsianymi ciastkami, które sama upiekła.

Ramirez uważał, że to małolaty próbowały nas sprowokować do jakiejś reakcji, a jeśli tak, udało im się znakomicie. Williams usilnie starał się podnieść nas na duchu, przekonywał, że to głupi żart i że już po wszystkim, a Ramirez na odchodnym zapewnił, że do rana jeszcze kilka razy przejadą się po okolicy. Nawet jednak z tymi uspokajającymi słowami świeżo w pamięci Rita przesiedziała resztę nocy w kuchni z filiżanką kawy, niezdolna zasnąć. Co do mnie, przewracałem się z boku na bok przeszło trzy minuty, zanim wróciłem w objęcia Morfeusza.

I kiedy sfrunąłem ponad długim czarnym zboczem w czeluść snu, znów rozbrzmiała ta muzyka. Rozpierała mnie wielka radość, a potem czułem podmuch gorąca na twarzy...

I nie wiedzieć czemu, byłem na korytarzu, a Rita potrząsała mną i wołała mnie po imieniu.

- Dexter, zbudź się. Dexter.

- Co się stało? - spytałem.

- Chodziłeś we śnie - odparła. - I śpiewałeś. Przez sen.

I tak oto różanopalca jutrzeńka zastała nas oboje przy stole kuchennym pijących kawę. Kiedy wreszcie w sypialni zadzwonił budzik, Rita poszła go wyłączyć, po czym wróciła i spojrzała na mnie. Ja spojrzałem na nią, ale nie bardzo wiedzieliśmy co powiedzieć, a potem weszli Cody i Astor i nie pozostało nam nic innego, jak tylko odbębnić zwykłe poranne zajęcia, a potem pojechać do pracy, automatycznie udając, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Ale oczywiście nie było. Ktoś próbował wnikać w moje myśli i udawało mu się to aż za dobrze. A teraz jeszcze usiłował dostać się

do mojego domu, a ja nawet nie wiedziałem, kim jest i czego chce. Musiałem przyjąć, że to wszystko ma jakiś związek z Molochem i nieobecnością mojej Istoty.

Najkrócej mówiąc, ktoś chciał mi coś zrobić i niewiele go już dzieliło od osiągnięcia celu.

Jakoś nie chciało mi się wierzyć, by czyhał na moje życie prastary bóg z krwi i kości. Pierwsza sprawa – takowi nie istnieją. A nawet gdyby, po cóż jeden z nich miałby zawracać sobie głowę mną? Najpewniej za całą tą historią z Molochem krył się jakiś człowiek, który wykorzystał ją, żeby poczuć się potężny i ważny i wmówić ofiarom, że posiada magiczne moce.

Jak na przykład umiejętność wdzierania się do moich snów i odgrywania mi muzyki? Człowiek-drapieżca nie zdołałby tego zrobić. Ani przepłoszyć Mrocznego Pasażera.

Jedyne możliwe odpowiedzi były nie do przyjęcia. Niewykluczone, że to wina obezwładniającego znużenia, ale żadne inne nie przychodziły mi do głowy.

Po przyjeździe do pracy nie miałem okazji wymyślić nic lepszego, bo od razu przyszło wezwanie na miejsce podwójnego zabójstwa w cichym domku hodowców marihuany w Grove. Znaleziono dwoje nastolatków, skrępowanych, zadźganych, a potem jeszcze dla formalności postrzelonych po kilka razy każdy. I choć nie wątpię, że powinienem uważać to za coś potwornego, tak naprawdę byłem ogromnie wdzięczny za możliwość oglądania trupów, które nie zostały upieczone ani skrócone o głowę. Dzięki temu przez pewien czas mogłem się łudzić, że wróciła normalność, ba, nawet spokój. Pyskałem luminolem to tu, to tam, wręcz uszczęśliwiony, że robię coś, co choć na krótko uciszyło tamtą straszną muzykę.

Dało mi to też czas na rozmyślania. Co dzień oglądałem takie miejsca zbrodni jak to i w dziewięciu przypadkach na dziesięć zabójcy mówili „Coś mnie opętało” albo „Kiedy zrozumiałem, co robię, już było za późno”. Wszystko to kapitalne wymówki, choć trochę mnie bawiły, bo ja zawsze wiedziałem, co robię, i dlatego to robiłem.

I wreszcie przybłąkała się jakaś myśl – bez Mrocznego Pasażera nie mogłem Starzakowi nic zrobić. To znaczyło, że źródłem mojego talentu był Pasażer, nie ja sam. Z czego mogło wynikać, że wszyscy

ci inni, których coś „opętało”, tymczasowo gościli u siebie podobną istotę, mam rację?

Aż do tej pory, moja nigdy mnie nie opuściła; zadomowiona u mnie na dobre, nie zabierała się okazją z pierwszym lepszym ponurym zbirem, żeby powłóczyć się po ulicach.

No dobrze, na razie odłóżmy to na bok. Po prostu przyjmijmy, że niektórzy Pasażerowie prowadzą wędrowny tryb życia, a inni zakładają gniazda. Czy stąd wziął się ten rzekomy sen Halperna? Czy coś mogło w niego wstąpić, jego rękami zabić dwie dziewczyny, a przed odejściem zabrać go do domu i ułożyć do snu?

Nie wiedziałem. Ale wiedziałem, że jeśli ta teoria trzyma się kupy, to wkopałem się dużo bardziej, niż mi się zdawało.

Kiedy wróciłem do mojego gabinetu, pora lunchu już minęła i czekał na mnie telefon od Rity z przypomnieniem, że o wpół do trzeciej mam spotkanie z jej przewodnikiem duchowym. Nie, nie chodziło o jakiegoś brodatego guru; był to zwykły pastor, jakiego spotkać można w każdym protestanckim kościele, jeśli z jakiegoś powodu poczuje się potrzebę, by taki odwiedzić. Co do mnie, zawsze wychodziłem z założenia, że gdyby jakiś Bóg istniał, nie dopuściłby, by takie stworzenie jak ja żyło i miało się świetnie. A jeśli się mylę, to gdybym wszedł do kościoła, ołtarz mógłby popękać i runąć.

Jednak czasy przezornego unikania przeze mnie obiektów religijnych teraz miały się ku końcowi, bo Rita zapragnęła, by ślubu udzielił nam jej osobisty pastor, który widać musiał sprawdzić moje kwalifikacje na człowieka, zanim zgodzi się przyjąć zlecenie. Inna sprawa, że przy poprzedniej okazji nie spisał się dobrze, bo pierwszy mąż Rity, uzależniony od cracku narkoman, regularnie ją tłukł, co wielebnemu jakoś umknęło. A jeśli wtedy nie zauważył czegoś tak oczywistego, że mną raczej nie pójdzie mu lepiej.

Mimo to Rita wielce się z nim liczyła, pojechaliśmy więc do stareńskiego kościoła ze skały koralowej na zarośniętej działce w Grove, ledwie kilkaset metrów od miejsca zbrodni, na którym pracowałem rano. Rita miała tu bierzmowanie, poinformowała mnie, i знаła pastora od dawien dawna. Widocznie było to istotne, i chyba słusznie, zważywszy na to, co wiedziałem o kilku duszpasterzach,

którymi zainteresowałem się w związku z moim hobby. Czy raczej dawnym hobby.

Wielebny Gilles czekał na nas w swoim gabinecie, a może nazywa się to klasztor, oaza czy coś takiego? Plebania zawsze kojarzyła mi się z plebsem. Może przyjął nas w zakrystii – akurat tu mam braki w terminologii. Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, moja przybrana matka, Doris, próbowała nawet zaciągnąć mnie do kościoła, ale po paru godnych pożalowania incydentach stało się jasne, że na dłuższą metę nic z tego nie będzie, i Harry powiedział dość.

Każdą ścianę w gabinecie wielebnego zajmowały regały z książkami o nieprawdopodobnych tytułach, zawierającymi bez wątpienia doskonale instrukcje, jak radzić sobie ze wszystkim tym, czego zdaniem Pana Boga powinniśmy się wystrzegać. Zauważyłem też kilka, które pozwalały zgłębić tajniki duszy kobiety, choć nie było podane, której kobiety, i dowiedzieć się, ile Chrystus może dla nas zrobić, nie za minimalną stawkę, mam nadzieję. Znalazła się nawet jedna o chrześcijańskiej chemii, co wydało mi się lekkim przegięciem, chyba żeby wyjaśniała tę starą sztuczkę z zamianą wody w wino.

Dużo ciekawsza wydawała się książka z gotyckim pismem na grzbiecie. Obróciłem głowę, żeby przeczytać tytuł; czysta ciekawość, ale kiedy go odcyfrowałem, zmroziło mnie tak, jakby moje gardło nagle wypełnił lód.

„Opętanie przez demony: fakt czy fikcja?” – tak brzmiał i na jego widok zaświeciła mi się w głowie żarówka.

Postronny obserwator mógłby wzruszyć ramionami i powiedzieć, że Dexter musi być tępy, skoro nie wpadł na to wcześniej. Rzeczywiście, nie wpadłem. Słowo „demon” źle się kojarzy, nie sądzicie? I dopóty, dopóki Istota była obecna, nie widziałem potrzeby, by używać wobec niej określeń rodem z ksiąg wiedzy tajemnej. Dopiero teraz, kiedy zniknęła, jakieś wyjaśnienie stało się dla mnie niezbędnym. Czemużby nie przyjąć tego? Trochę staroświeckie, ale właśnie ta sędziwość mogła wskazywać, że coś w sobie ma, że w jakiś sposób łączy ten nonsens o Salomonie i Molochu z tym, co spotykało mnie dziś.

Czy Mroczny Pasażer naprawdę był demonem? I czy jego nieobecność oznaczała, że został wypędzony? A jeśli tak, to przez co?

Czyste dobro? Nie przypominałem sobie, bym coś takiego spotkał od, och, gdzieś tak od urodzenia. Wręcz przeciwnie.

Ale czy demona wypędzić mogłoby coś bardzo, bardzo złego? Na przykład Moloch? Albo czy demon mógłby z jakiegoś powodu wypędzić siebie sam?

Próbowałem pocieszyć się myślą, że przynajmniej teraz już miałem kilka dobrych pytań, ale to niezbyt pomogło, a z dalszych rozważań wytrąciło mnie otwarcie drzwi i wejście rozpromienionego przewielebnego Gillesa.

- No, no - wymamrotał.

Miał jakieś pięćdziesiąt lat i wyglądał na dobrze odżywionego, więc widać parafianie nie skąpili na tacę. Od razu podszedł do nas, wyściskał Ritę i cmoknął ją w policzek, mnie zaś powitał serdecznym, męskim uściskiem dłoni.

- Cóż - powiedział i uśmiechnął się do mnie z rezerwą. - A więc to ty jesteś Dexter.

- Tak by wychodziło - odparłem. - Nie moja wina.

Skinął głową, zupełnie jakbym mówił z sensem.

- Proszę, proszę, siadajcie, rozgośćcie się. - Przeszedł za biurko i spoczął na wielkim fotelu obrotowym.

Wziąłem sobie te słowa do serca i rozsiadłem się wygodnie w czerwonym skórzanym fotelu na wprost jego biurka, za to Rita tylko przycupnęła na skraju swojego, identycznego.

- Rita. No proszę. A zatem jesteś gotowa spróbować raz jeszcze, co?

- Tak, to znaczy... tak mi się zdaje. - Rita spiekła raka. - To znaczy tak. - Spojrzała na mnie z uśmiechem, czerwona jak burak. - Tak, jestem gotowa.

- To świetnie, naprawdę świetnie. - Poparł jej decyzję i przeniósł swoje pełne serdecznej troski spojrzenie na mnie. - Dexter. Chciałbym cię trochę lepiej poznać.

- Cóż, po pierwsze, jestem podejrzany o morderstwo - odparłem skromnie.

- Dexter - powiedziała Rita i choć wydawało się to niemożliwe, poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Policja uważa, że kogoś zabiłeś? - spytał wielebny Gilles.

- Och, nie cała - wyjaśniłem. - Tylko moja siostra.

- Dexter pracuje w laboratorium - wykrztusiła Rita. - Jego siostra jest detektywem. On tak tylko... żartuje.

Znów skinął na mnie głową.

- Poczucie humoru bardzo się przydaje w każdym związku - zauważył.

Na chwilę zamilkł, zrobił zamyśloną i jeszcze bardziej szczerą minę, po czym spytał:

- Co sądzisz o dzieciach Rity?

- Och, Cody i Astor dosłownie uwielbiają Dextera. - Rita pośpieszyła z odpowiedzią, wyraźnie uszczęśliwiona, że nie rozmawiamy już o moim statusie człowieka ściganego.

- Ale co czuje do nich Dexter? - naciskał delikatnie.

- Lubię ich.

Wielebny Gilles skinął głową.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Dzieci czasem mogą być ciężarem. Zwłaszcza kiedy nie są własne.

- Cody i Astor czasem naprawdę mogą być ciężarem - powiedziałem.

- Ale to mi w zasadzie nie przeszkadza.

- Po wszystkim przez co przeszli - stwierdził - potrzeba im kogoś, kto wskazywałby im właściwą drogę.

- Wskazuję, a jakże - zapewniłem, choć uznałem, że w szczegóły lepiej się nie zagłębiać, więc dodałem: - Same się do tego garną.

- To dobrze - odparł. - Rozumiem, że będziemy widywać dzieci w szkółce niedzielnej? - Uznałem, że to bezczelna próba szantażu obliczonego na skaptowanie przyszłych coniedzielnich sponsorów, ale Rita skwapliwie przytaknęła, więc nie protestowałem. Poza tym byłem raczej pewien, że cokolwiek ludzie powiedzą, Cody i Astor szukać będą pociechy duchowej gdzie indziej.

- A teraz przejdźmy do was. - Odchylił się na oparcie i potarł jedną dłońią grzbiet drugiej. - Związek w dzisiejszych czasach musi mieć mocny fundament w wierze. - Spojrzał na mnie wyczekująco. - Dexter? Co ty na to?

No tak. Pastor zawsze wcześniej czy później tak wszystko zachachmęci, by znaleźć pretekst do nawiązania do swojej specjalności. Nie wiem, czy gorzej jest okłamywać duchownych niż zwykłych ludzi, ale chciałem szybko i bezboleśnie zakończyć tę rozmowę,

a czy osiągnąłbym to, mówiąc prawdę? Załóżmy, że zrobiłbym tak i powiedział coś w stylu: Tak, ojciec wielbny, głęboko wierzę – w ludzką chciwość i głupotę, i w słodczy ostrej stali w księżycową noc. Wierzę w to, co ukryte w ciemności, w zimny chichot z cienia w moim wnętrzu, w absolutną jasność noża. Och tak, ojciec, mam wiarę, a nawet więcej – pewność, bo widziałem ponurą istotę rzeczy i wiem, że naprawdę istnieje; tam właśnie żyję.

Tym jednak raczej bym go nie uspokoił, a że okłamując pastora, pójdę do piekła? Też mi zmartwienie. Jeśli piekło rzeczywiście istnieje, już czeka tam na mnie miejsce w pierwszym rzędzie. Dlatego powiedziałem tylko:

- Wiara jest bardzo ważna – co go wyraźnie usatysfakcjonowało.

- No, świetnie. – Zerknął ukradkiem na zegarek. – Dexter, masz jakieś pytania dotyczące naszego kościoła?

W sumie dobre pytanie, ale dla mnie zaskakujące, bo myślałem, że w czasie tej rozmowy będę odpytywany, nie pytającym. Zakładałem, że czeka mnie jeszcze co najmniej godzina robienia uników – ale żebym miał pytać? O co właściwie? Czy piją sok winogronowy, czy wino? Czy taca jest z metalu, czy z drewna? Czy taniec to grzech? Byłem nieprzygotowany i tyle. Pastor jednak sprawiał wrażenie autentycznie zaciekawionego, więc posłałem mu krzepiący uśmiech i powiedziałem:

- Szczerze mówiąc, ogromnie mnie interesuje, co pan sądzi o opętaniu przez demony.

- Dexter! – Rita przełknęła z nerwowym uśmiechem. – To nie... Nie możesz...

Wielebny Gilles uniósł dłoń.

- W porządku, Rita. Chyba wiem, co Dexterowi leży na sercu. – Odchylił się, skinął głową i obdarzył mnie uprzejmym, znaczącym uśmiechem. – Dawno nie byliśmy w kościele, co, Dexter?

- Fakt.

- Myślę, iż przekonasz się, że nowy kościół całkiem dobrze dostosował się do współczesnego świata. Prawda Bożej miłości pozostaje niezmienna, ale zmieniać się może sposób, w jaki ją rozumiemy.

- I wtedy, to nie żart, mrugnął do mnie. - Chyba możemy się zgodzić co do tego, że demony to coś w sam raz na Halloween, nie na niedzielą mszę.

Cóż, miło, że dostałem odpowiedź, nawet jeśli nie takiej oczekiwałem. Właściwie nie liczyłem na to, że wielebny Gilles wyciągnie księgę czarów i rzuci zaklęcie, ale przyznam, że byłem nieco zawiedziony.

- Czyli wszystko w porządku - podsumowałem.

- Jeszcze jakieś pytania? - spytał z ogromnie zadowolonym uśmiechem. - O kościół, może o coś w związku z ceremonią?

- Nie, dziękuję. Już chyba wszystko jasne.

- Mamy taką nadzieję - odparł. - Wystarczy postawić Chrystusa na pierwszym miejscu, a reszta ułoży się sama.

- Amen - powiedziałem radośnie. Rita łypnęła na mnie, ale wielebny nawet okiem nie mrugnął.

- Dobrze więc. - Wstał i podał mi rękę. - Czyli widzimy się dwudziestego czwartego czerwca. - Też wstałem i uścisnąłem jego dłoń. - Ale liczę, że zobaczymy się wcześniej - dodał. - Co niedziela o dziesiątej odprawiamy wspaniałe, nowoczesne nabożeństwo. - Mrugnął do mnie i ścisnął moją dłoń trochę mocniej, tak po męsku. - Zdążysz wrócić na mecz.

- To doskonale. - Uśmiechnąłem się i pomyślałem sobie, że to miłe, kiedy biznes uwzględnia potrzeby klientów.

Puścił moją dłoń i bez skrępowania porwał Ritę w objęcia.

- Rita, tak się cieszę, że jesteś szczęśliwa.

- Dziękuję - wyszlochała mu w ramię. Chwilę jeszcze opierała się o niego i siąkała nosem, aż w końcu stanęła prosto, potarła nos i spojrzała na mnie. - Dziękuję, Dexter - powiedziała. Za co, nie wiem, ale zawsze to przyjemne, jak o człowieku pamiętają.

Pierwszy raz od dłuższego czasu autentycznie spieszyło mi się, by wrócić do mojego boksu. Nie dlatego, że stęskniłem się za rozbryzgami krwi, lecz z powodu tego, co wpadło mi do głowy w gabinecie wielbnego Gillesa. Opętanie. Brzmiało to intrygująco. Tak naprawdę nigdy nie czułem się opętany, chyba że przez Ritę. Ale przynajmniej było to wyjaśnienie, które miało dość długą historię, i rwałem się do tego, żeby ją poznać.

Najpierw sprawdziłem automatyczną sekretarkę i e-mail: żadnych wiadomości, nie licząc rutynowej wewnętrznej notatki o sprzątaniu w barku; żadnych pokornych przeprosin Deb. Po kilku ostrożnie prowadzonych rozmowach telefonicznych dowiedziałem się, że szukała Kurta Wagnera. Ulżyło mi, bo to znaczyło, że nie śledziła mnie.

Teraz, kiedy problem został rozwiązany, a moje sumienie oczyściło się, skupiłem uwagę na opętaniu. I znów na pierwszy plan wysunął się stary dobry król Salomon. Ponoć skumał się z liczną grupą demonów, z których większość nosiła nieprawdopodobnie brzmiące imiona, każde z kilkoma „z”. Dyrygował nimi jak siłą najemną i nie dość, że usługiwały mu we wszystkim, to jeszcze zbudowały jego wielką świątynię, co trochę mnie zszokowało, bo zawsze słyszałem, że świątynia to dobra rzecz, a poza tym przecież musiały obowiązywać jakieś przepisy regulujące pracę demonów. To znaczy, skoro my tak się oburzamy, że nielegalni imigranci zbierają pomarańcze, czemu wszyscy ci bogobojni patriarchowie nie mieliby wydać jakichś rozporządzeń przeciwko demonom?

Ale miałem to przed sobą czarno na białym. Król Salomon zadawał się z nimi jakby nigdy nic i robił za ich szefa. Rzecz jasna, nie lubiły, żeby im rozkazywać, ale dla niego uczyniły wyjątek. A to nasunęło mi interesującą myśl, że może potrafił je kontrolować ktoś inny, ktoś, kto teraz próbował podporządkować sobie Mrocznego Pasażera, a ten uciekł, by uniknąć przymusowej służby. Zastanowiłem się nad tym.

Największy kłopot polegał na tym, że ta teoria nie wyjaśniała porażającego poczucia śmiertelnego zagrożenia, które ogarniało mnie od samego początku, nawet wtedy, zanim Pasażer mnie opuścił. Rozumiem, że nikt nie chce pracować wbrew własnej woli, ale to nie miało nic wspólnego z panicznym lękiem, jaki budziła we mnie ta myśl.

Czy to znaczyło, że Pasażer nie był demonem? Że moje odczucia są objawem psychozy? Czystą fantazją o zdążającej moimi śladami żądzy mordy, o nadciągającej zgrozie?

A z drugiej strony, w dziejach świata nie istniała kultura, która nie wierzyłaby, że w idei opętania coś jest na rzeczy. Tyle że nie bardzo mogłem to powiązać z moim problemem. Czułem, że jestem na tropie, ale nie zrodziła się z tego żadna genialna myśl.

Nagle zrobiło się w pół do szóstej i z większym niż zwykle zapalem ewakuowałem się z pracy i pojechałem do niezbyt pewnego azylu, jakim był dom.

Następnego popołudnia siedziałem w moim boksie i pisałem raport na temat bardzo nudnego wielokrotnego zabójstwa. Nawet w Miami zdarzają się zwyczajne morderstwa i to było jedno z nich - czy raczej, gwoli ścisłości, trzy i pół, bo mieliśmy trzy ciała w kostnicy i jeszcze jedno na intensywnej terapii w szpitalu imienia Jacksona. Prosta sprawa - ktoś powystrzelał ofiary z przejeżdżającego samochodu, jak to się zdarza w nielicznych w mieście dzielnicach z tanimi nieruchomościami. Nie miałem co tracić na to czasu, bo pojawiło się wielu świadków i wszyscy zgodnie twierdzili, że zabił ktoś o nazwisku „Skurwysyn”.

Mimo to trzeba dopełnić formalności, więc poświęciłem pół dnia, by sprawdzić, czy ktoś nie wyskoczył z bramy i nie pociachał ofiar sektorem w tym samym czasie, kiedy dostały z przejeżdżającego samochodu. Zastanawiałem się, jak by tu ciekawie wyrazić to, że układ rozbryzgów potwierdza, iż strzały padły z ruchomego źródła, ale z nudy oczy mi zezowały i kiedy patrzyłem tępo w ekran, uszy wypełniło narastające dzwonienie, które przeszło w brzęk gongów i znów rozległa się nocna muzyka, a czysta biel strony edytora tekstu nagle spłynęła ohydłą krwią, która chlusnęła na mnie, załała biuro i cały widoczny

świat. Zerwałem się z krzesła, kilka razy zamrugałem, aż obraz zniknął, ale wciąż drżałem i usiłowałem zrozumieć, co się stało.

To zaczynało mnie dopadać w biały dzień, nawet wtedy, gdy siedziałem za biurkiem w komendzie. Niedobrze, bardzo niedobrze. Albo to coś rosło w siłę i coraz bardziej się zbliżało, albo zapadałem się w otchłań szaleństwa. Schizofrenicy słyszeli głosy, a muzykę? I czy można uznać Mrocznego Pasażera za głos? Czy przez cały ten czas doświadczałem objawów psychozy, a teraz wchodziłem w ostatni, zwariowany etap życia Wątpiącego Dextera jako pozornie normalnego człowieka?

Nie sądziłem, by to było możliwe. Harry zrobił ze mną porządek, dopilnował, żebym dostosował się do otoczenia, jak należy – gdybym oszalał, wiedziałby o tym, a zapewniał mnie, że tak nie jest. Harry nigdy się nie mylił. Czyli jasna sprawa, że mną wszystko w jak najlepszym porządku, dziękuję bardzo.

To dlaczego słyszałem tę muzykę? Dlaczego drżała mi ręka? I dlaczego musiałem szukać oparcia u ducha, by nie klapnąć na podłogę i nie zacząć grać palcem na wargach?

Oczywiście nikt inny w budynku nic nie usłyszał – tylko ja. W przeciwnym razie na korytarzach zaroiłoby się od tańczących i krzyczących ludzi. Nie, w moje życie wpełzł strach, skradał się moim śladem za szybko, żebym mógł uciec, wypełniał rozległą pustkę we mnie, w której niegdyś mościł się Pasażer.

Nie miałem żadnego punktu zaczepienia; musiałem zdobyć informacje z zewnątrz, jeśli chciałem coś z tego zrozumieć. Według licznych źródeł, demony istniały naprawdę – w Miami nie brakowało ludzi, którzy przez całe życie dzień w dzień ciężko pracowali nad tym, by je odpędzić. I choć babalao powiedział, że nie chce mieć z tą sprawą nic wspólnego, i umył od niej ręce najszybciej, jak mógł, najwyraźniej coś wiedział. Moim zdaniem Santeria dopuszcza możliwość opętania. Ale mniejsza z tym: Miami to piękne i różnorodne miasto i na pewno znajdę inne miejsce, gdzie będę mógł zadać to samo pytanie i dostać zupełnie odmienną odpowiedź – może nawet tę, której oczekuję. Wyszedłem z boksu i ruszyłem na parking.

Drzewo Życia było na skraju Liberty City, dzielnicy Miami, której turyści z Iowa raczej nie powinni odwiedzać po zmroku. Ten szczególny

zakątek opanowali imigranci z Haiti i wiele budynków pomalowano na kilka jaskrawych barw, jakby jednej nie starczyło na wszystkie. Na niektórych ścianach widniały malowidła przedstawiające życie na haitańskiej prowincji. Pierwszoplanowymi postaciami były koguty. I kozy.

Na zewnętrznej ścianie Drzewa Życia zostało namalowane, jakże stosownie, wielkie drzewo, a pod nim widniały wydłużone sylwetki dwóch mężczyzn walących w wysokie bębny. Zaparkowałem przed samym sklepem i wszedłem drzwiami z siatką przeciw owadom, brzęknęły dzwoneczki i zamknęły się za mną z hukiem. Z zaplecza, zza zasłony z paciorków dobiegł kobiecy głos, który krzyknął coś po kreolsku, stanąłem więc przy szklanej ladzie i czekałem. Wzdłuż ścian ciągnęły się regały zastawione słoikami wypełnionymi tajemniczymi substancjami, płynnymi, stałymi i o nieustalanej konsystencji. Jeden czy dwa zawierały coś, co chyba kiedyś żyło.

Przez paciorki przecisnęła się kobieta. Mniej więcej czterdziestolatka, chuda jak szczapa, o wydatnych kościach policzkowych i cerze koloru wyblakłego od słońca mahoni. Miała powłóczystą czerwono-żółtą suknię i dobrany pod kolor turban zawiązany na głowie.

- Ach. - Mówiła z mocnym kreolskim akcentem. Obrzuciła mnie bardzo sceptycznym spojrzeniem i lekko pokręciła głową. - W czym mogę pomóc?

- No cóż. - I w zasadzie na tym utknąłem. Bo i od czego miałem zacząć? Nie mogłem ot tak palnąć, że chyba kiedyś byłem opętany i że chcę, żeby demon wrócił; biedaczka mogłaby chlusnąć na mnie kurzą krwią.

- Tak, proszę pana? - ponagliła mnie niecierpliwie.

- Pomyślałem sobie - powiedziałem, poniekąd zgodnie z prawdą - że może ma pani jakieś książki o opętaniu przez demony? Eee... po angielsku?

Odeła wargi z wielką dezaprobatą i energicznie pokręciła głową.

- To nie demony - stwierdziła. - Czemu pan o to pyta... Pan z prasy?

- Nie. Ja tylko tak... no... z ciekawości. To mnie interesuje.

- Interesuje pana *voudoun*?

- Tylko kwestia opętania.

- Hm - mruknęła z jeszcze większą dezaprobatą, jeśli to w ogóle możliwe. - Czemu?

Ktoś bardzo mądry musiał już kiedyś powiedzieć, że jak wszystko inne zawiedzie, trzeba dać szansę prawdzie. Za dobrze to brzmiało, żebym uznał, iż pierwszy na to wpadłem, i w tej chwili nie pozostawało mi nic innego, jak z tej rady skorzystać. Spróbowałem więc.

- Myślę, to znaczy, nie jestem pewien, że chyba byłem opętany. Jakiś czas temu.

- Ha. - Przyjrzała mi się uważnie i wzruszyła ramionami. - Może i tak. A czemu pan tak uważa?

- Ja tylko, ee... wie pani, miałem takie wrażenie. Że coś było, hm. We mnie? I obserwowało?

Splunęła na podłogę, bardzo dziwny gest u tak eleganckiej kobiety, i pokręciła głową.

- Ech, wy *blancs*. Wykradacie nas i przywozicie tutaj, wszystko nam zabieracie. A potem, kiedy robimy coś z niczego, bo tyle od was mamy, do tego też chcecie się dobrać. Ha. - Pogroziła mi palcem, zupełnie jak nauczycielka drugiej klasy krnąbrnemu uczniowi. - Słuchaj no, *blanc*. Gdyby wstąpił w ciebie duch, wiedziałbyś o tym. To nie jest tak jak w filmach. To wielkie błogosławieństwo i... - dodała ze złośliwym uśmieszkiem - ...*blancs* to nie spotyka.

- Cóż, szczerze mówiąc... - zacząłem.

- *Non* - ucięła. - Jeśli sam tego nie zechcesz, jeśli nie poprosisz o błogosławieństwo, on nie przyjdzie.

- Ale ja tego chcę - powiedziałem z naciskiem.

- Ha. Do ciebie nie przyjdzie nigdy. Marnujesz mój czas. - Zrobiła w tył zwrot i zniknęła za zasłoną z paciorków.

Uznałem, że nie ma sensu czekać, aż zmieni zdanie. Raczej się na to nie zносиło - zresztą, nie zanosilo się też na to, by wudu mogło dać odpowiedzi na pytania o Mrocznego Pasażera. Powiedziała, że to coś, co przychodzi na wezwanie, i nazwała błogosławieństwem. Cóż, przynajmniej ta odpowiedź różniła się od innych, choć nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek zapraszał Mrocznego Pasażera do siebie - zawsze po prostu był. Ale tak dla pewności zatrzymałem się przy krawężniku przed sklepem i zamknąłem oczy. Wróc, proszę, powiedziałem w duchu.

I nic. Wsiadłem do samochodu i wróciłem do pracy.

Cóż za interesujący wybór, pomyślał Obserwator. Wudu. Widział pewne uzasadnienie, oczywiście, nie mógł temu zaprzeczyć. Ale najbardziej frapowało go, co to mówiło o tamtym. Szedł właściwym tropem - i był już blisko.

A kiedy pojawi się następna wskazówka, będzie jeszcze o ten jeden krok bliżej. Chłopak spanikował tak, że próbował się wykręcić. Ale tego nie zrobił; bardzo pomógł i teraz już podążał drogą po swoją mroczną nagrodę.

Dokładnie jak tamten.

Ledwie usadowiłem się na krześle, a już Debora wpadła do mojego boksu i klapnęła na składane krzesło na wprost biurka.

- Kurt Wagner zaginął - poinformowała mnie.

Czekałem na dalszy ciąg, ale się nie doczekałem, więc skinąłem głową.

- Przyjmuję przeprosiny - powiedziałem.

- Ostatni raz widziano go w sobotę po południu - ciągnęła. - Jego kolega z pokoju zeznał, że przyszedł wystraszony, ale nie chciał nic powiedzieć. Zmienił buty, wyszedł i tyle. - Po chwili wahania dodała: - Zostawił plecak.

Przyznam, że trochę się ożywiłem.

- Co w nim było?

- Ślady krwi. - Takim samym tonem zapewne wyznałaby, że przyznaje się do kradzieży ostatniego ciastka. - To krew Tammy Connor.

- Aha. - Pomyślałem, że nie wypada wspominać o tym, że dała krew do zbadania komuś innemu. - Całkiem mocny dowód.

- Uhm. To on. To musi być on. Zabił Tammy, schował głowę do plecaka i załatwił Manny'ego Borque'a.

- Na to wygląda - odparłem. - A szkoda. Zaczynałem oswajać się z myślą, że jestem winny.

- Przecież to, kurwa, bez sensu - poskarżyła się Debora. - Dobry student, z dobrego domu, jest w drużynie pływackiej... i tak dalej.

- I bardzo sympatyczny - powiedziałem. - Nie do wiary, że robił takie straszne rzeczy.

- No dobrze - odburknęła Debora. - Wiem, do cholery. Stara śpiewka. Tyle że... no dobra, gość zabija swoją dziewczynę, to jeszcze rozumiem. I jej koleżankę, bo, przypuśćmy, wszystko widziała. Ale całą resztę? I po kiego je spalać? No i o co chodzi z tymi byczymi łbami i z tym, jak mu tam, Smoluchem?

- Molochem - poprawiłem ją. - Smoluch to taki brudas.

- Jeden czort. Ale to bez sensu, Dex. To znaczy... - Odwróciła wzrok i przez chwilę myślałem, że mimo wszystko przeprosi. Myliłem się. - Jeśli ma to jakiś sens - powiedziała - to chyba tylko dla ciebie. Bo znasz się na takich rzeczach. - Spojrzała na mnie, wciąż wyraźnie zakłopotana. - To coś, no wiesz... to znaczy, czy to, hm... czy to wróciło? Ten twój, ee...

- Nie. Nie wrócił.

- Hm. To kiepsko.

- Wysłałaś list gończy za Kurtem Wagnerem? - spytałem.

- Dex, znam swój fach. Jeśli jest w okręgu Miami-Dade, dopadniemy go. Szuka go też FDLE. Jeśli jest na Florydzie, ktoś go znajdzie.

- A jeśli nie ma go na Florydzie?

Spojrzała na mnie twardym wzrokiem i zobaczyłem w niej zaczątki podobieństwa do Harry'ego z czasów, zanim się rozchorował, a miał za sobą już tak wiele lat służby w policji: znużonego i przyzwyczajonego do rutynowych porażek.

- Wtedy pewnie ujdzie mu to na sucho. A ja będę musiała arestować ciebie, żeby nie stracić roboty.

- No cóż. - Usiłowałem zachować dobry humor w obliczu wszechogarniającej, ponurej szarości. - Miejmy nadzieję, że jeździ łatwym do rozpoznania samochodem.

Prychnęła.

- Czerwonym geo. Wiesz, takim minidzipem.

Zamknąłem oczy. Poczulem nagle, że cała krew spływa mi do stóp.

- Czerwonym, powiadasz? - usłyszałem, jak pytam zdumiewająco spokojnym głosem.

Nie było odpowiedzi i otworzyłem oczy. Debora wpatrywała się we mnie z podejrzliwością tak silną, że wręcz mogłem jej dotknąć.

- Co to, do cholery. Jeden z tych twoich głosów?

- Któregoś wieczoru czerwony geo jechał za mną do samego domu - odparłem. - A potem ktoś próbował się do mnie włamać.

- Niech to szlag - warknęła. - Kiedy mi to, kurwa, zamierzałeś powiedzieć?

- Kiedy tylko uznasz, że znów możesz się do mnie odzywać - wyjaśniłem.

Ku mojemu wielkiemu zadowoleniu Debora spąsowiała i wbiła wzrok w buty.

- Miałam dużo roboty. - Zabrzmiało to niezbyt przekonująco.

- Jak Kurt Wagner - odparowałam.

- No już dobrze, Jezu. - Wiedziałem, że będzie mi to musiało wystarczyć za przeprosiny. - Tak, jest czerwone. Ale, kurde - ciągnęła, wciąż nie podnosząc głowy - chyba ten stary miał rację. Zło wygrywa.

Nie chciałem, żeby moja siostra była aż tak zdołowana. Przydałaby się jakaś dowcipna uwaga, coś, co wlałoby otuchę w jej serce i rozproszyło ponurą atmosferę, ale niestety, w głowie miałem pustkę.

- Cóż. Jeśli zło wygrywa, przynajmniej będziesz miała co robić.

Wreszcie podniosła głowę, ale bez cienia uśmiechu na twarzy.

- Taa - mruknęła. - W nocy jakiś facet z Kendall zastrzelił żonę i dwójkę dzieci. I dali to mnie. - Wstała i wyprostowała się powoli, przybierając prawie swoją normalną pozę. - Nasi górą - powiedziała i wyszła z mojego gabinetu.

Układ okazał się idealny. Nowe istoty miały samoświadomość i dzięki temu dużo łatwiej było nimi manipulować - i z dużo większą satysfakcją. Poza tym bardziej ochoczo zabijały się nawzajem i TO nie musiało długo czekać na nowego nosiciela, ani na kolejną okazję, by się rozmnożyć. Gorąco zachęcało nosiciela do zabójstwa, a potem niecierpliwie czekało na to dziwne, cudowne pęcznienie.

Jednak tym razem uczucie rodziło się powoli, by ostatecznie tylko połechtać TO i zniknąć. Nic poza tym. Ani kwitnienia, ani potomstwa.

TO było zdumione. Dlaczego nie udało się rozmnożyć? Musiał zaistnieć jakiś powód i TO systematycznie i umiejętnie szukało odpowiedzi. Przez wiele lat, gdy nowe istoty przeobrażały się i rosły, TO eksperymentowało. I krok po kroku odkryło warunki niezbędne do tego, by mogło się rozmnażać. Musiało zginąć całkiem sporo istot, zanim TO nabrało pewności, że poznało odpowiedź, ale ilekroć powtarzało wszystkie czynności zgodnie z wypracowaną recepturą, powoływało do życia nową świadomość, która z bólem i przerażeniem uciekała w świat. TO czuło się usatysfakcjonowane.

Metoda sprawdzała się najlepiej, kiedy nosiciele byli z lekka niezrównoważeni, czy to pod wpływem napojów, które zaczęli warzyć, czy też swoistego transu, w jaki się wprawiali. Ofiara musiała wiedzieć, co ją czeka, a jeśli pojawiła się jeszcze jakaś publiczność, jej emocje podsycaly i potęgowały doznanie.

Do tego dochodził ogień - doskonała metoda uśmiercania ofiar. Zdawał się wyzwalać całą ich esencję w jednym, potężnym impulsie spektakularnej energii.

No i wreszcie wszystko szło sprawniej, w przypadku ofiar młodych. Emocje otoczenia miały dużo silniejsze natężenie, zwłaszcza u rodziców. Niewyobrażalna rozkosz.

Ogień, trans, młode ofiary. Prosta receptura.

TO zaczęło naciskać, by nowi nosiciele stworzyli odpowiednie warunki na stałe. Okazali się zaskakująco skorzy do pomocy.

Kiedy byłem mały, widziałem w telewizji artystę cyrkowego, popisującego się żonglowaniem. Facet miał kilka giętkich prętów z talerzami na końcu i, żeby nie pospadały, kręcił prętami tak, że talerze stale się obracały. Gdy tylko spowalniał ruchy albo się odwracał, choćby na chwilę, talerze jeden po drugim zaczynały się kolebać i spadały z brzękiem na ziemię.

Doskonała metafora życia, co? Wszyscy próbujemy utrzymać wirujące talerze w górze, a kiedy już je podniesiemy, to nie można spuścić ich z oczu i trzeba zaszuwać bez wytchnienia. Tyle że w życiu jest tak, że ktoś ciągle dorzuca więcej talerzy, chowa pręty i niepostrzeżenie zmienia prawo ciężenia. I dlatego ilekroć człowiek myśli, że wszystkie talerze wirują jak należy, za jego plecami nagle rozlega się straszliwy brzęk i na ziemi ląduje cała sterta talerzy, o których istnieniu nawet nie wiedział.

Przykład? Proszę bardzo. Pochopnie założyłem, że dzięki tragicznej śmierci Manny'ego Borque'a jeden talerz mi odpadł, bo teraz mogłem zorganizować na wesele taką wyżerkę, jaką należało, czyli wędliny za sześćdziesiąt pięć dolarów i przenośną lodówkę pełną napojów gazowanych, no i wreszcie skoncentrować się na tym, co naprawdę ważne, czyli zbieraniu się do kupy. I tak oto, przekonany, że na froncie domowym bez zmian, odwróciłem się tylko na chwilę i nagrodą był przeraźliwy brzęk za moimi plecami.

Metaforyczny talerz, o którym mowa, potłukł się, kiedy po pracy wszedłem do domu Rity. Panowała taka cisza, że myślałem, iż nikogo nie ma, ale szybki rzut oka do środka wykazał coś dużo bardziej niepokojącego. Cody i Astor siedzieli nieruchomo na kanapie, a Rita stała za nimi z miną, od której świeże mleko zmieniłoby się w jogurt.

- Dexter - powiedziała głosem wieszczącym kataklizm - musimy porozmawiać.

- Oczywiście - odparłem, tak ścięty z nóg widokiem jej miny, że nawet sama myśl, by sobie zażartować, obróciła się w pył,

zdmuchnięty przez lodowaty powiew.

- Te dzieci. - I to wszystko, bo tylko przeszła mnie wzrokiem i nic więcej nie dodała.

Ale ja oczywiście wiedziałem, o które dzieci chodzi, więc pokiwałem głową dla zachęty.

- Tak.

- Uch - stęknęła.

Cóż, skoro sklecenie pełnego zdania zabierało Ricie tyle czasu, nic dziwnego, że kiedy wszedłem, w domu było tak cicho. Wyglądało na to, że jeśli mieliśmy do kolacji wydobyć z siebie więcej niż siedem słów, Dyplomatyczny Dexter musiał tchnąć trochę życia w zapomnianą sztukę konwersacji. I dlatego, z moją sławetną odwagą, bez zwłoki wkroczyłem do akcji.

- Rita, co się stało?

- Uch - powtórzyła, co nie było optymistyczne.

No nie. Nawet tak błyskotliwy rozmówca jak ja wiele z monosylab nie wyciągnie. A że Rita wyraźnie nie paliła się do tego, by mi pomóc, spojrzałem na Cody'ego i Astor, którzy, odkąd wszedłem, nawet nie drgnęli.

- Możecie mi wytłumaczyć, co się stało waszej matce?

Wymienili jedno z tych swoich spojrzeń, po czym odwrócili się do mnie.

- Nie chcieliśmy - odezwała się Astor. - Po prostu wypadek.

Niewiele mi to wyjaśniło, ale przynajmniej zostało wypowiedziane pełne zdanie.

- Niezmiernie się cieszę - stwierdziłem. - Wypadek, znaczy co?

- Wpadliśmy - sprecyzował Cody, a Astor dźgnęła go łokciem.

- Nie chcieliśmy - powtórzyła z naciskiem i Cody spojrzał na nią, zanim przypomniał sobie, co uzgodnili; łypnęła na niego spode łba, a on mrugnął powiekami, odwrócił się do mnie i powoli pokiwał głową.

- Wypadek - powiedział.

To miło, że linie łączności wciąż sprawnie funkcjonowały na tyłach zwartego frontu, ale ja dalej nie wiedziałem, o czym rozmawiamy, a rozmowa trwała już, lekko licząc, kilka minut - czas był ważnym czynnikiem, bo zbliżała się pora kolacji, a Dextera trzeba dokarmiać regularnie.

- Nic więcej nie chcę powiedzieć - odezwała się Rita. - A to nie wystarczy, o nie. Nie rozumiem, jak mogliście przypadkiem związać kota Villegasów.

- Nie zdechł. - Astor broniła swego głosem tak cichym, jakiego jeszcze u niej nie słyszałem.

- A po co sekator? - rzuciła Rita.

- Nie użyliśmy go.

- Ale chcieliście, prawda?

Dwie małe głowy obróciły się do mnie i po chwili to samo zrobiła głowa Rity.

Jestem pewien, że przypadkowo, ale rysował się coraz wyraźniejszy obraz tego, co się stało, i nie była to spokojna martwa natura. Wyglądało na to, że dzieci postanowiły pouczyć się trochę na własną rękę, bez mojego udziału. I, co gorsza, widziałem, że nie wiedzieć czemu stało się to także moim zmartwieniem; Cody i Astor liczyli, że ich z tego wyciągnę, a Rita nie zawahałaby się nabić broń i wypalić do mnie z obu luf. Oczywiście, to było niesprawiedliwe; przecież jak dotąd nie zrobiłem nic prócz tego, że wróciłem do domu z pracy. Jednak, o czym się przekonałem przy niejednej okazji, życie w ogóle jest niesprawiedliwe i nie ma gdzie złożyć w tej sprawie reklamacji, więc nie pozostaje nic innego, jak tylko pogodzić się z takim stanem rzeczy, uprzątnąć bałagan i żyć dalej.

To właśnie spróbowałem zrobić, choć podejrzewałem, że próżny trud.

- Na pewno jest jakieś doskonałe wyjaśnienie. - Po tych słowach Astor od razu się rozpromieniła i energicznie pokiwała głową.

- To był wypadek - upierała się radośnie.

- Jak można związać kota, przykleić taśmą do warsztatu i stać nad nim z sekatorem, a potem mówić, że to wypadek?! - wykrzyczała z oburzeniem Rita.

Sytuacja trochę się gmatwała. Z jednej strony, ulżyło mi, że wreszcie uzyskałem tak jasny obraz problemu. Jednak z drugiej, wchodziliśmy na dość grząski grunt i chyba lepiej dla Rity, by o pewnych sprawach nie wiedziała.

Wydawało mi się, że jednoznacznie zabroniłem Astor i Cody'emu latać samodzielnie, dopóki ich tego nie nauczę. Najwidoczniej

jednak postanowili tego nie zrozumieć i, choć ponieśli konsekwencje swojego działania i dobrze im tak, tylko ja mogłem ich wydobyć z tej opresji. Jeśli nie dadzą sobie wytłumaczyć, że pod żadnym pozorem nie może się to powtórzyć – i że nie wolno im zejść z Drogi Harry’ego, na którą ich wprowadziłem – niech wiatr miota nimi bez końca.

- Wiecie, że zrobiliście coś złego? – spytałem. Pokiwali głowami w zgodnym rytmie.

- Wiecie, dlaczego to jest złe?

Astor zrobiła wielce niepewną minę i zerknęła na Cody’ego.

- Bo daliśmy się złapać! – palnęła.

- A widzisz? – Głos Rity drżał histerycznie.

- Astor. - Przyjrzałem jej się bardzo uważnie i właściwie do niej nie mrugnąłem. - Nie pora na żarty.

- Cieszę się, że ktoś to uważa za żart – wtrąciła Rita. - Bo ja jakoś nie mogę.

- Rita - powiedziałem z całym kojącym spokojem, na jaki mogłem się zdobyć, a potem, wykorzystując subtelny spryt nabyty przez lata udawania dorosłego człowieka, dodałem: - Myślę, że to może być jedna z tych sytuacji, o których mówił wielebny Gilles, no wiesz, kiedy muszę wskazać właściwą drogę.

- Dexter, oni po prostu... Sama nie wiem... A ty...! - Choć była bliska łez, ulżyło mi, że przynajmniej wraca jej dawna wymowność. A miary szczęścia dopełniło to, że w samą porę stanęła mi przed oczami scena ze starego filmu i już doskonale wiedziałem, jak powinien postąpić prawdziwy człowiek.

Podszedłem do Rity i z moją najlepszą poważną miną położyłem jej dłoń na ramieniu.

- Rito. - Czułem się ogromnie dumny z dostojnego, męskiego brzmienia mojego głosu. - Za bardzo się w to angażujesz i pozwalasz, by emocje przyćmiły twój rozsądek. Tym dwojgu trzeba stanowczo uzmysłowić, co zrobili, i ja mogę się tym zająć. W końcu - dodałem, kiedy przypominałem sobie tę kwestię zadowolony, że nie powinęła mi się noga - teraz to ja muszę być ich ojcem.

Powinienem był się domyślić, że ten tekst zepchnie Ritę do jeziora łez; i rzeczywiście, ledwie skończyłem mówić, wargi jej zadrżały, gniew zniknął z twarzy, a po policzkach ściekły cienkie strużki.

- Dobrze - wyszłochała - proszę, ja... Porozmawiaj z nimi i tyle. - Głośno pociągnęła nosem i uciekła z pokoju.

Pozwoliłem jej na to teatralne wyjście i odczekałem chwilę, żeby wywarło odpowiednie wrażenie, zanim stanąłem przed kanapą i spojrzałem w dół, na moją parę opryszków.

- Cóż. Zdaje się, iż ktoś mówił, że rozumie, obiecuje i poczeka?

- Bo za długo zwlekasz - odparła Astor. - Nic nie zrobiliśmy, tylko ten jeden raz, a poza tym nie zawsze masz rację i uważamy, że nie musimy dłużej czekać.

- Jestem gotów - zameldował Cody.

- Czyżby? Skoro tak, to widać wasza mama jest najlepszym detektywem świata, skoro jesteście gotowi, a ona i tak was zdybała.

- Dex-terrrr - jęknęła Astor.

- Nie, Astor, teraz nie mów, tylko słuchaj. - Spojrzałem na nią z najbardziej surową z moich min i przez chwilę myślałem, że coś odpowie, ale właśnie wtedy w naszym salonie zdarzył się cud. Astor zmieniła zdanie i zamknęła buzię.

- No dobrze - powiedziałem. - Od samego początku mówiłem, że musicie to robić po mojemu. Nie musicie uważać, że mam zawsze rację - tu Astor wydała dźwięk, ale nic nie powiedziała. - Ale musicie robić, co każę. Inaczej wam nie pomogę i skończycie w więzieniu. Innego wyjścia nie ma. Jasne?

Bardzo możliwe, że nie wiedzieli, jak zareagować na tę zmianę tonu i roli. Nie byłem już Dexterem-Towarzyszem Zabawy, tylko kimś zupełnie innym, Dexterem-Demonem Dyscypliny, którego nigdy dotąd nie widzieli. Wymienili niepewne spojrzenia, więc przycisnąłem ich jeszcze trochę mocniej.

- Daliście się złapać. Co spotyka tych, którzy dają się złapać?

- Idą do kąta? - niepewnie odparł Cody.

- Uhm - przytaknąłem. - A jeśli mają trzydzieści lat?

Astor chyba pierwszy raz w życiu zapomniała języka w gębie, a Cody na razie wyczerpał swój limit trzywyrazowych wypowiedzi. Popatrzyli po sobie, a potem spojrzeli w dół, na swoje stopy.

- Moja siostra, sierżant Debora, i ja cały dzień łapiemy ludzi, którzy robią takie rzeczy - mówiłem. - A kiedy już ich złapiemy, idą do więzienia. - Uśmiechnąłem się do Astor. - To dorosła wersja stania

w kącie. Tyle że dużo gorsza. Siedzi się w pokoiku wielkości waszej łazienki, dzień i noc zamkniętym na klucz. Sika się do dziury w podłodze. Je się spleśniałe paskudztwa, no i są tam szczury i dużo karaluchów.

- Dexter, wiemy, co to więzienie - powiedziała.

- Serio? To dlaczego tak wam spieszo tam trafić? A wiecie, co to jest Stara Iskrowa?

Astor znów spojrzała na swoje nogi; Cody jeszcze nie podniósł głowy.

- Stara Iskrowa to krzesło elektryczne. Jeżeli was złapią, przypną do niego pasami, podłączą wam kable do głowy i usmażą was jak bekon. Fajnie, co?

Pokręcili głowami.

- Dlatego pierwsza lekcja, jaka z tego płynie, jest taka, że nie można dać się złapać. Pamiętacie piranie? - Przytaknęli. - Wyglądają groźnie, więc ludzie wiedzą, że są niebezpieczne.

- Ale, Dexter, my nie wyglądamy groźnie - zaprotestowała Astor.

- To prawda. I oby tak zostało. Mamy być ludźmi, nie piraniami. Ale zasada jest taka sama; trzeba wyglądać jak ktoś, kim się nie jest. Bo kiedy stanie się coś złego, wiecie, kogo wszyscy będą szukać najpierw? Groźnych ludzi. Musicie więc wyglądać jak słodkie, urocze, normalne dzieci.

- A mogę się malować? - spytała Astor.

- Jak będziesz starsza - odparłem.

- O wszystkim tak mówisz! - Naburmuszyła się.

- I nie żartuję. Tym razem wpadliście, bo chcieliście być samodzielni i nie wiedzieliście, co robicie. A nie wiedzieliście, co robicie, bo mnie nie posłuchaliście.

Uznałem, że starczy już tych tortur, i usiadłem między nimi na kanapie.

- Nigdy więcej nie róbcie nic beze mnie, dobrze? I tym razem macie mi to obiecać na poważnie.

Powoli podnieśli oczy na mnie i pokiwali głowami.

- Obiecujemy - powiedziała cicho Astor, a Cody, jeszcze ciszej, powtórzył za nią:

- Obiecujemy.

- No, to rozumiem. - Uroczyście uścisnąłem im dłonie. - Dobrze, a teraz chodźmy przeprosić waszą mamę. - Oboje zerwali się na równe nogi, promieniejąc ulgą, że straszliwe męki dobiegły końca, a ja wyszedłem za nimi z pokoju, zadowolony z siebie jak chyba jeszcze nigdy.

Może całe to ojcostwo to nie taki głupi pomysł.

Sun Tzu, człowiek bardzo mądry, mimo że od dawna nieżyjący, popełnił książkę pod tytułem *Sztuka wojny* i jednym z wielu błyskotliwych spostrzeżeń, jakie w niej poczynił, było to, że ilekroć zdarza się coś złego, przy odpowiednim podejściu można to obrócić na swoją korzyść. To nie jakieś tam kalifornijskie optymistyczne myślenie New Age typu „kiedy życie rzuca ci kłody pod nogi, zbuduj z nich dom”. Nie, to niezwykle praktyczna rada, która przydaje się dużo bardziej niż moglibyście przypuszczać.

Na przykład w tej chwili miałem zagwozdkę, jak kontynuować nauczanie Cody’ego i Astor Kodeksu Harry’ego po tym, gdy matka nakryła ich w niedwuznacznej sytuacji. Szukając wyjścia z tej opresji, przyszedł mi na myśl stary dobry Sun Tzu i próbowałem wyobrazić sobie, co zrobiłby na moim miejscu. Oczywiście, jako generał, pewnie kazałby kawalerii uderzyć na lewą flankę czy coś, ale ogólne zasady musiały być takie same.

Dlatego kiedy prowadziłem Cody’ego i Astor do ich zapłakanej matki, przeczesałem mroczną gęstwinę myśli Dextera w poszukiwaniu choćby śladu pomysłu, który zadowolilby starego chińskiego generała. I w tej samej chwili, kiedy nasza trójka jedno po drugim stanęła przed siąkającą nosem Ritą, taki pomysł wyskoczył z ukrycia jak spłoszona kuropatwa, a ja go natychmiast ucapilem.

- Rita - powiedziałem cicho - myślę, że mogę temu zaradzić, zanim to wymknie się spod kontroli.

- Słyszałeś co... To już się wymknęło spod kontroli - odparła i urwała, żeby porządnie pociągnąć nosem.

- Mam pewien pomysł. Jutro zaraz po szkole przywieź ich do mnie, do pracy.

- Ale to nie... to znaczy, czy to wszystko nie zaczęło się właśnie od tego, że...

- Zobaczysz, nie ma to jak lekcja pogładowa.

Chwilę patrzyła na mnie, znów pociągnęła nosem i spojrzała na dzieci.

I dlatego właśnie o wpół do czwartej następnego popołudnia Cody i Astor na zmianę patrzyli przez mikroskop w laboratorium.

- To włos? - spytała Astor.

- Zgadza się.

- Wygląda obrzydliwie!

- Jak prawie całe ludzkie ciało, zwłaszcza pod mikroskopem. Spójrz na ten drugi.

Nastąpiła chwila skupienia, przzerwana tylko raz, kiedy Cody pociągnął Astor za ramię, a ona odepchnęła go ze złością:

- Przestań, Cody.

- Co zauważyłaś? - spytałem.

- Nie wyglądają tak samo.

- Bo nie są takie same - wyjaśniłem. - Pierwszy jest twój. Drugi mój.

Jeszcze chwilę je oglądała, po czym podniosła głowę znad okularu.

- To widać - stwierdziła. - Różnią się.

- To jeszcze nie wszystko - powiedziałem. - Cody, daj but.

Posłusznie usiadł na podłodze i ściągnął lewą tenisówkę. Wziąłem ją od niego i wyciągnąłem rękę.

- Chodź. - Pomogłem mu wstać i ruszył ze mną do najbliższego blatu, podskakując na jednej nodze. Posadziłem go na stołku i pokazałem mu podeszwę jego buta. - Twój but. Jest czysty czy brudny?

Uważnie mu się przyjrzał.

- Czysty.

- Tak by się wydawało. A teraz patrz. - Wziąłem małą drucianą szczotkę i starannie wyskrobałem prawie niewidoczny brud z rowków w podeszwie na płytkę Petriego. Pobrałem małą próbkę i przeniósłem ją na szkiełko, które położyłem pod mikroskopem. Astor natychmiast zaczęła się wpychać przede mnie, żeby popatrzeć, ale Cody szybko przybiegł w podskokach.

- Moja kolej. Mój but.

Spojrzała na mnie. Skinąłem głową.

- To jego but - wydałem werdykt. - Będziesz mogła popatrzeć, kiedy skończy. - Najwyraźniej uznała, że tak było sprawiedliwie, bo cofnęła się i pozwoliła Cody'emu wdrapać się na stołek. Spojrzałem w okular, żeby wyregulować ostrość, i zobaczyłem, że próbka wygląda dokładnie tak, jak na to liczyłem. - Uhm - mruknąłem i odsunąłem się do tyłu. - Powiedz, co widzisz, młody Jedi.

Cody przez kilka minut patrzył ze zmarszczonym czołem w mikroskop, aż niecierpliwe podrygi Astor tak nas zaczęły rozpraszać, że obaj spojrzeliśmy na nią.

- Wystarczy - powiedziała. - Moja kolej.

- Chwila - odparłem i odwróciłem się do Cody'ego. - No? Co widziałeś?

Pokręcił głową.

- Śmieci.

- W porządku - skwitowałem. - A teraz ja ci powiem, co widzę. - Ponownie zajrzałem w okular. - Po pierwsze, zwierzęce włosy, prawdopodobnie kocie.

- To z tego kota - stwierdziła pewnie Astor.

- Jest też trochę ziemi z dużą zawartością azotu; to pewnie taka do doniczek. - Mówiłem do niego, nie podnosząc głowy. - Dokąd zabraliście tego kota? Do garażu? Tam, gdzie wasza mama pielęgnuje rośliny?

- Tak.

- Uhm. Tak myślałem. - Znów spojrzałem w mikroskop. - O, proszę bardzo. Syntetyczne włókno z czyjegoś dywanu. Niebieskie. - Popatrzyłem na Cody'ego z uniesioną brwią. - Jakiego koloru jest dywan w twoim pokoju?

- Niebieskiego. - Wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Uhm. Gdybym chciał błysnąć, porównałbym to z próbką pobraną z twojego pokoju. Wtedy byłoby po tobie. Mógłbym udowodnić, że to ty załatwiłeś kota. - Raz jeszcze spojrzałem w okular. - Mój Boże, ktoś tu niedawno jadł pizzę... O, jest też kawałek popcornu. Pamiętacie film w zeszłym tygodniu?

- Dexter, daj popatrzeć - marudziła Astor. - Moja kolej.

- Dobrze. - Posadziłem ją na stołku obok Cody'ego, żeby mogła spojrzeć w mikroskop.

- Nie widzę popcornu.

- Ten brązowy, okrągły paproch w rogu - powiedziałem. Na chwilę zamilkła, po czym spojrzała na mnie.

- Nie możesz naprawdę rozpoznać tego wszystkiego. Nie po tym, co widać przez mikroskop.

No dobrze, popisywałem się trochę, przyznaję, ale przecież miałem określony cel, więc przygotowałem się należycie. Pochwyliłem uprzednio naszykowany zeszyt i rozłożyłem go na blacie.

- Właśnie że mogę - oświadczyłem. - I nie tylko to. Patrzcie. - Odszukałem stronę ze zdjęciami kilku włosów zwierzęcych, starannie dobranych tak, by były jak najbardziej zróżnicowane. - Tu macie włos kota - pokazałem. - Zupełnie inny niż włos kozy, widzicie? - Przewróciłem kartkę. - I włókna z dywanu. W niczym niepodobne do tych tutaj, z koszuli, i tego, ze ścierki.

Przysunęli się do siebie i wbili wzrok w zeszyt. Przerzucili kilkanaście stron, które sam przygotowałem, chcąc im pokazać, że owszem, mogę to wszystko rozpoznać. Oczywiście, było to tak zestawione, by sprawić wrażenie, że medycyna sądowa jest tylko troszeczkę bardziej wszechwidząca i wszechmocna od czarnoksiężnika z Krainy Oz. I trzeba uczciwie przyznać, że naprawdę potrafimy robić prawie wszystko, co im pokazałem. Na ogół niezbyt to pomaga w łapaniu bandytów, ale po co miałbym im to mówić i psuć magiczne popołudnie?

- Spójrzcie w mikroskop - odezwałem się po kilku minutach. - Spróbujcie znaleźć coś jeszcze. - Zrobili to ochoczo i na jakiś czas dało im to zajęcie.

Kiedy wreszcie podnieśli na mnie oczy, obdarzyłem ich promiennym uśmiechem.

- I wszystko to na czystym bucie. - Zamknąłem zeszyt i obserwowałem ich reakcję. Byli pod wrażeniem. - A użyliśmy tylko mikroskopu - dodałem i wskazałem ruchem głowy liczne lśniące aparaty w pokoju. - Pomyślcie tylko, czego moglibyśmy się dowiedzieć, gdybyśmy wykorzystali cały ten nowoczesny sprzęt.

- Uhm, ale moglibyśmy chodzić boso - stwierdziła Astor.

Skinąłem głową, jakby to, co powiedziała, miało sens.

- Moglibyście, jasne. A ja wtedy mógłbym zrobić coś takiego... Daj rękę, Astor.

Przyglądała mi się przez kilka sekund, jakby w obawie, że utnę jej rękę, ale w końcu wysunęła ją powoli. Chwyciłem jej dłoń i wyjętymi z kieszeni czązkami wyskrobałem brud spod paznokci.

- Czekaj, aż zobaczysz, co tam masz.

- Przecież myłam ręce - obruszyła się.

- Nieważne - odparłem. Położyłem małe drobinki na następnym szkiełku i zamocowałem je pod obiektywem mikroskopu. - Proszę - powiedziałem.

Łup.

Zabrzmiało trochę melodramatycznie, kiedy powiem, że wszyscy zamarliśmy, ale tak właśnie się stało. Spojrzeli na mnie, ja na nich i zapomnieliśmy oddychać.

Łup.

Odgłos się przybliżał i coraz trudniej było sobie przypomnieć, że jesteśmy na komendzie policji i nic a nic nam nie grozi.

- Dexter - odezwała się Astor lekko drżącym głosem.

- Jesteśmy na komendzie policji - zapewniłem ją. - Nic a nic nam nie grozi.

Łup.

Dźwięk ucichł, bardzo blisko. Włosy zjeżyły mi się na karku i odwróciłem się w stronę drzwi. Uchyliły się powoli.

Sierżant Doakes. Stał w drzwiach z groźną miną, która chyba została mu na zawsze.

- Yy - powiedział. Głos wychodzący z pozbawionych języka ust sierżanta był prawie tak niepokojący jak jego wygląd.

- Rzeczywiście, to ja - odparłem. - Miło, że pamiętałeś.

Jeszcze jedno łupnięcie i wszedł do pokoju. Astor zeskoczyła na podłogę i pognęła pod okna, najdalej od drzwi, jak się dało. Doakes zatrzymał się i popatrzył na nią. Potem przeniósł wzrok na Cody'ego, który zsunął się ze stołka, stanął twarzą do Doakesa i utkwiał w nim nieruchome spojrzenie.

Doakes patrzył na Cody'ego, Cody na Doakesa, aż w końcu sierżant wziął wdech à la Darth Vader, tak tylko mogę to określić. Potem

ponownie zwrócił głowę ku mnie i - znowu łupnięcie - zrobił szybki krok do przodu, omal nie tracąc równowagi.

- Yy. - Tym razem syknął. - Fiesi!

- Fiesi? - Byłem naprawdę zdziwiony, nie chodziło mi o to, by go prowokować. To znaczy, jeśli facet upiera się, żeby tupać po korytarzach i straszyć dzieci, mógłby choć nosić ze sobą notes i ołówek, może dałoby się z nim porozumieć.

Najwyraźniej nic takiego nie przyszło mu do głowy. Sapnął jeszcze raz jak Darth Vader i powoli wymierzył stalowy szpon w Cody'ego.

- Fiesi - powtórzył, obnażając zęby.

- O mnie mówi - powiedział Cody. Odwróciłem się do niego zaskoczony, że rozmawia z Doakesem, który wyglądał jak istota rodem z koszmaru. Tyle że Cody oczywiście nie miał koszmarów. Spokojnie patrzył na sierżanta.

- Że niby co? - spytałem.

- Zobaczył mój cień - odparł Cody.

Sierżant Doakes zrobił następny chwiejny krok w moją stronę. Jego prawy szpon kłapnął, jakby sam z siebie postanowił mnie zaatakować.

- Yy. Fesz. Choły.

I weź tu coś zrozum z tego bełkotu. Jasne, domyśliłem się, że facetowi coś leży na wątrobie, ale lepiej zrobiłby, gdyby oszczędzał swoje okaleczone usta i pozostał przy łypaniu spode łba.

- Fiełół. Fie - wysyczał i oznaczało to tak jednoznaczne potępienie wszystkiego, czym był Dexter, że wreszcie zrozumiałem, iż o coś mnie oskarża.

- Jak to? - powiedziałem. - Przecież nic nie zrobiłem.

- Fiesiak - wymamrotał, znów wskazując na Cody'ego.

- Nie, miastowy. - Przyznam, że tylko udawałem, że źle go zrozumiałem; chciał powiedzieć „dzieciak”, a wyszło „fiesiak”, bo nie miał języka, no ale cierpliwość każdego ma swoje granice. Dla Doakesa powinno być aż nazbyt oczywiste, że jego próby komunikacji werbalnej mają w najlepszym razie umiarkowane powodzenie, a mimo to ani myślał dać za wygraną. Czy on nie miał za grosz przyzwoitości?

Na szczęście dla nas wszystkich, przerwał nam łoskot na korytarzu i do pokoju wpadła Debora.

- Dexter... - Znieruchomiła, kiedy jej oczom ukazał się zwariowany obrazek: Doakes z podniesionym na mnie szponem, Astor skulona pod oknem, Cody sięgający na blat po skalpel, by użyć go przeciwko Doakesowi. - Co do cholery - powiedziała. - Doakes?

Bardzo powoli opuścił rękę, ale nie oderwał oczu ode mnie.

- Szukałam cię, Dexter. Gdzie byłeś?

Z wdzięczności za to, że zjawiała się w samą porę, pominąłem milczeniem to, jak głupie zadała pytanie.

- Jak widać, tutaj. Dzieci nauczam - odparłem. - A ty?

- W drodze na Dinner Key. Znaleźli ciało Kurta Wagnera.

Debora przedzierała się przez ruch uliczny z prędkością kaskadera przeskakującego motorem nad kanionem. Zastanawiałem się, jak by tu jej uprzejmie dać do zrozumienia, że jedziemy obejrzyć trupa, który prawdopodobnie nam nie ucieknie, więc czy nie byłaby łaskawa trochę zwolnić, ale nie mogłem znaleźć wyrażenia, na które nie oderwałyby rąk od kierownicy i nie zacisnęła ich na mojej szyi.

Cody i Astor byli za mali, by rozumieć, że są w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i świetnie się bawili na tylnym siedzeniu, a nawet udzielił im się nastrój chwili i ilekroć zajeżdżaliśmy komuś drogę, radośnie podnosili środkowe palce w odpowiedzi na pozdrowienia innych kierowców.

Na jedyńce pod LeJeune zderzyły się trzy samochody, co na pewien czas spowolniło ruch i nas też zmusiło do tego, by wlec się naprzód w żółtym tempie. Ponieważ nie musiałem już zużywać całego wdychanego powietrza na wstrzymywanie krzyków przerażenia, spróbowałem wyciągnąć z Debory, co właściwie jedziemy zobaczyć.

- Jak zginął? - spytałem.

- Tak jak reszta - odparła. - Spalony. Odcięta głowa.

- Jesteś pewna, że to Kurt Wagner?

- Czy mogę to udowodnić? Jeszcze nie. Czy jestem pewna? Jak cholera.

- Dlaczego?

- W pobliżu znaleźli jego wóz.

Miałem prawie pewność, że normalnie doskonale rozumiałbym, czemu ktoś ma obsesję na punkcie ludzkich głów, i wiedziałbym, gdzie je znaleźć i dlaczego. Tyle że teraz, kiedy zostałem sam ze sobą, nic już nie było normalne.

- To nie ma najmniejszego sensu - zauważyłem.

Debora warknęła i walnęła dłonią w kierownicę.

- Myślisz, że nie wiem?

- To Kurt musiał załatwić pozostałe ofiary - dodałem.

- To kto sprzątnął jego? Jego drużynowy? - Wcisnęła klakson i zjechała na przeciwny pas, żeby wyminąć kłębowisko aut. Ostro skręciła, prosto na autobus, i przez następnych pięćdziesiąt metrów pędziła slalomem między samochodami, aż w końcu znaleźliśmy się za miejscem wypadku. Skupiłem się na tym, by pamiętać o oddychaniu, i na snuciu refleksji, że tak czy owak wszyscy kiedyś umrzemy, więc w ogólnym rozrachunku co to miało za znaczenie, czy zabije nas Debora? Nie budowało to pogodnego nastroju, ale przynajmniej nie krzyczałem ani nie wyskoczyłem przez okno do czasu, aż Debora wróciła na właściwy pas.

- Fajnie było - powiedziała Astor. - Możemy tak jeszcze raz?

Cody przytaknął z entuzjazmem.

- I następnym razem można by włączyć sygnał - dodała Astor. - Sierżant Debbie, dlaczego nie jeździsz na sygnale?

- Nie mów na mnie Debbie - warknęła Debora. - Nie lubię sygnału i tyle.

- Dlaczego? - dociekała Astor.

Debora wypuściła powietrze z ust i zerknęła na mnie kątem oka.

- To dobre pytanie - powiedziałem.

- Bo za bardzo hałasuje - burknęła. - A teraz dajcie mi prowadzić, co?

- Dobrze - przystała Astor, wyraźnie jednak nieprzekonana.

Milczeliśmy przez całą drogę na Grand Avenue, a ja próbowałem myśleć - na tyle jasno, by wreszcie wymyślić coś użytecznego. Nie udało się. Jednak przyszło mi do głowy coś, o czym warto wspomnieć.

- A jeśli zabójstwo Kurta to tylko zbieg okoliczności?

- Nawet ty w to chyba nie wierzysz - odparła Deb.

- Ale jeśli uciekał - rozważałem - może próbował sobie załatwić lewe papiery albo wywóz z kraju i zwrócił się do niewłaściwych ludzi. W tych okolicznościach mógł trafić na różnych oprychów.

Nawet mnie wydawało się to nieprawdopodobne, ale Debora i tak kilka sekund o tym myślała, przygryzając dolną wargę i w roztargnieniu trąbiąc na wyprzedzany autobus hotelowy.

- Nie - powiedziała wreszcie. - Został upieczony, Dexter. Jak tamte dwie. Czegoś takiego by nie zrobili.

Znów poczułem mrowienie w ponurej pustce, niegdyś zamieszkaney przez Mrocznego Pasażera. Zamknąłem oczy i próbowałem odszukać choć ślad mojego niegdyś nieodłącznego towarzysza, ale na próżno. Podniosłem powieki w porę, by zobaczyć, jak Debora dodaje gazu i wyprzedza jasnoczerwone ferrari.

- Ludzie czytają gazety. Zawsze znajdą się jacyś naśladowcy.

Pomyślała jeszcze chwilę i pokręciła głową.

- Nie. Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Nie w takiej sytuacji. Tu i tu usmażone i bezgłowe ofiary i to miałyby być przypadek? W życiu.

Nadzieja zawsze umiera ostatnia, ale mimo to musiałem przyznać, że Debora pewnie ma rację. Ścinanie i całopalenie raczej nie należały do standardowych metod działania normalnych, ciężko pracujących zabójców; większość poprzestałaby na przywaleniu w łeb, przywiązaniu kotwicy do nóg i wrzuceniu do zatoki.

Dlatego wszystko wskazywało, że jedziemy obejrzeć ciało kogoś, kogo uważaliśmy za mordercę, a kto został zamordowany w ten sam sposób jak jego ofiary. Gdybym był po dawnemu pogodny, na pewno doceniłbym rozkoszną ironię tej sytuacji, ale w moim obecnym stanie wydawało się to tylko jeszcze jednym irytującym afrontem dla uporządkowanej egzystencji.

Ale Debora dała mi bardzo mało czasu na refleksje i dąsy; przedarła się przez ruch uliczny w centrum Coconut Grove i skręciła na parking obok Bayfront Park, gdzie zaczął się już znajomy cyrk. Stały tam trzy radiowozy, a Camilla Figg zbierała odciski palców z poobijanego czerwonego geo zaparkowanego przy parkomacie, prawdopodobnie należącego do Kurta Wagnera.

Wysiadłem i rozejrzałem się. Nawet bez podszeptów wewnętrznego głosu z miejsca zauważyłem, że coś tu nie gra.

- Gdzie ciało? - spytałem Deborę.

Już szła w stronę bramy jachtklubu.

- Na wyspie.

Zamrugąłem i z bliżej nieokreślonego powodu myśl o ciele na wyspie zjeżyła mi włosy na karku. Kiedy jednak spojrzałem na wodę, szukając

odpowiedzi, poczułem tylko popołudniową bryzę wiejącą wśród sosen na wyspach barierowych Dinner Key i w pustce wewnątrz mnie.

Debora szturchnęła mnie łokciem.

- Chodźże.

Spojrzałem na tylne siedzenie, na Cody'ego i Astor, którzy dopiero teraz opanowali trudną sztukę rozpinania pasów i właśnie wysuwali się z samochodu.

- Zostańcie tu - nakazałem im. - Niedługo wrócę.

- Gdzie idziesz? - spytała Astor.

- Muszę popłynąć na tamtą wyspę.

- Jest tam trup? - dociekała.

- Tak.

Zerknęła na Cody'ego, a potem znów odwróciła się do mnie.

- My też chcemy.

- Wykluczone - odparłem. - Dość kłopotów narobiłem sobie poprzednim razem. Jak pozwolę wam zobaczyć następne zwłoki, wasza matka i mnie położy trupem.

Cody'ego strasznie to rozbawiło; parsknął cicho i pokręcił głową.

Usłyszałem okrzyk i spojrzałem przez bramę na przystań. Debora była już na nabrzeżu i właśnie miała wejść na zacumowaną tam policyjną motorówkę. Pomachała do mnie.

- Dexter! - wrzasnęła.

Astor tupnęła nogą, żeby zwrócić moją uwagę, i spojrzałem na nią.

- Musicie tu zostać - powtórzyłem - a ja muszę iść.

- Ale Dexter, my chcemy na łódź - upierała się.

- Przykro mi, nie możecie. Ale jak będziecie grzeczni, w weekend zabiorę was na moją łódź.

- I pokażesz nam trupa? - spytała Astor.

- Nie - powiedziałem zdecydowanie. - Koniec z oglądaniem trupów na jakiś czas.

- Przecież obiecałeś! - zaprotestowała.

- Dexter! - wrzasnęła znów Debora. Pomachałem do niej, ale to chyba nie wystarczyło, bo zaczęła przywoływać mnie gwałtownymi gestami.

- Astor, muszę iść. Zostańcie tu. Później porozmawiamy.

- Zawsze to samo - mruknęła.

W bramie przystanąłem i zwróciłem się do stojącego tam mundurowego, potężnego, tęgiego bruneta z bardzo niskim czołem.

- Mógłby pan rzucić okiem na moje dzieciaki? - spytałem go.

Spojrzał na mnie.

- Co ja przedszkolanka jestem?

- Tylko przez kilka minut - dodałem. - Są bardzo grzeczne.

- Słuchaj no, koleś - zaczął, ale zanim mógł skończyć, coś zaszeleściło i obok nas wyrosła Debora.

- Cholerny świat, Dexter! Włóżże na tę łódź!

- Przykro mi - odparłem. - Muszę znaleźć kogoś, kto popilnuje dzieci.

Zazgrzytała zębami. Zerknęła na potężnego gliniarza i przeczytała nazwisko na jego plakietce.

- Suchinsky - powiedziała. - Pilnuj, kurwa, dzieci.

- Oj, pani sierżant - jęknął. - Jezu Chryste.

- Zostań z dziećmi, mówię. Może się czegoś nauczysz. Dexter, wsiadaj na tę cholerną łódź!

Odwróciłem się i pospieszyłem na cholerną łódź. Debora wyminęła mnie i już siedziała, kiedy wskoczyłem na pokład. Policjant u steru obrał kurs na jedną z mniejszych wysp, lawirując wśród zakotwiczonych żaglówek.

U wyjścia z przystani Dinner Key leży kilka wysepek, osłaniających ją od wiatru i fal, i między innymi dzięki temu jest tak dobrym kotwiczowiskiem. Oczywiście, dobrym wyłącznie w normalnych warunkach, czego najlepiej dowodziły same wysepki, zawałone wrakami łodzi i innymi morskimi śmieciami naniesionymi przez liczne w ostatnich latach huragany; co pewien czas osiedlali się na nich dzicy lokatorzy, którzy stawiali chałupy z roztrzaskanych fragmentów łodzi.

Wyspa, na którą płynęliśmy, była jedną z mniejszych. Na plaży leżała niebezpiecznie przechylona piętnastometrowa sportowa łódź rybacka, a sosny w głębi lądu obwieszane kawałami styropianu, strzępami materiału i cienkimi paskami oderwanymi z plastikowych płacht i worków na śmieci przedstawiały dość osobliwy widok. Poza tym wszystko wyglądało tak, jak zostawili Indianie, ot, spokojny skrawek ziemi pokryty australijskimi sosnami, kondomami i puszkami po piwie.

Oczywiście, nie licząc ciała Kurta Wagnera, które prawie na pewno nie było pamiątką po Indianach. Leżało na małej polanie pośrodku wyspy i, jak poprzednie, ułożone w oficjalnej pozie, z rękami skrzyżowanymi na piersi i złączonymi nogami. Ciało bezgłowe, nagie, zwęglone od ognia, w zasadzie niczym nie różniło się od pozostałych – tyle że tym razem pojawił się jeden drobny dodatek. Szyję okalał rzemyk z mosiężnym medalionem mniej więcej wielkości jajka. Nachyliłem się, żeby go obejrzeć; to głowa byka.

I znów poczułem dziwne ukłucie, jakby gdzieś w pustce wewnątrz mnie coś rozpoznało, że to znaczące, ale nie wiedziało, dlaczego ani jak to wyrazić – bo to potrafił tylko Pasażer.

Vince Masuoka kucał obok ciała i oglądał niedopałek. Debora uklękła przy nim. Obszedłem ich wkoło, patrząc na ten obrazek ze wszystkich stron: Martwa Natura z Policjantami. Chyba liczyłem na to, że znajdę jakiś mały, ale istotny ślad. Na przykład prawo jazdy zabójcy albo podpisane przyznanie się do winy. Nie natrafiłem jednak na nic takiego, tylko piach, zryty butami i skotłowany wiatrem.

Ukląknę na jedno kolano obok Debory.

- Domyślam się, że sprawdziliście, czy ma tatuaż?

- Od razu – powiedział Vince. Wyciągnął dłoń w gumowej rękawiczce i lekko uniósł zwłoki. Rzeczywiście, był tam, na wpół schowany pod piaskiem, ale wciąż widoczny, tylko ucięty u góry; brakująca część pewnie została na zaginionej głowie.

- To on – stwierdziła Debora. – Tatuaż, samochód na przystani... To on, Dexter. Żeby tak jeszcze wiedziała, co znaczy ten cholerny tatuaż.

- To po aramejsku – powiedziałem.

- Kurde, a skąd wiesz?

- Sprawdziłem. – Przykucnąłem obok ciała. – Zobacz. – Podniosłem z piachu małą sosnową gałązkę i wskazałem nią na tatuaż. Brakowało części pierwszej litery, obciętej razem z głową, ale reszta była wyraźnie widoczna, w sam raz na lekcję aramejskiego. – Tu masz M, a przynajmniej to, co z niego zostało. Dalej jest L i K.

- I co to, do cholery, znaczy?

- Moloch. – Mówiąc to słowo w pełnym słońcu, poczułem lekki, niczym nieuzasadniony dreszcz. Próbowałem się z tego otrząsnąć,

ale zaniepokojenie pozostało. - W aramejskim nie ma samogłosek. Czyli MLK to Moloch.

- Albo mleko - powiedziała Debora.

- Nie no, Deb, jeśli myślisz, że nasz zabójca wydziergałby sobie na karku „mleko”, lepiej się zdrzemnij.

- Ale jeśli Wagner jest Molochem, to kto go zabił?

- Wagner zabija pozostałych. - Usilnie starałem się sprawiać wrażenie zamyślonego i pewnego siebie jednocześnie. Nie poszło łatwo.

- A potem, hm...

- Taa - mruknęła. - Do „hm” doszłam sama.

- A Wilkinsa obserwujecie.

- Obserwujemy, na litość boską.

Spojrzałem znów na ciało, ale nie było na nim nic innego, żadnej wskazówki, która powiedziała by mi cokolwiek ponadto, co już wiedziałem, czyli prawie nic. Nie mogłem wyrwać myśli z błędnego koła: jeśli Wagner był Molochem i teraz nie żył, przez Molocha zabity...

Wstałem. Przez chwilę kręciło mi się w głowie, jakby poraził mnie blask ostrych światła, i w oddali usłyszałem tę okropną muzykę, która narastała, wypełniając sobą popołudnie, i w tym momencie nie miałem cienia wątpliwości, że gdzieś blisko jest bóg, który mnie wzywa - prawdziwy bóg, nie jakiś rąbnięty kawalarz.

Pokręciłem głową, żeby uciszyć muzykę, i omal nie fiknąłem. Poczułem, że ktoś podtrzymał mnie za ramię, ale czy to Deb, Vince czy Moloch we własnej osobie, nie miałem pojęcia. W oddali głos wołał mnie po imieniu, a właściwie nie tyle wołał, ile śpiewał moje imię w aż za dobrze znanym rytmie tamtej muzyki. Zamknąłem oczy, poczułem żar na twarzy i muzyka stała się głośniejsza. Coś mną potrząsnęło i podniosłem powieki.

Muzyka umilkła. Ten żar to tylko słońce nad Miami, ku któremu wiatr pędził chmury zwiastujące popołudniowy szkwał. Debora trzymała mnie za łokcie i potrząsała mną, raz po raz powtarzając moje imię.

- Dexter. Hej, Dex. Dexter. Dexter.

- Jestem - odpowiedziałem, choć wcale nie miałem pewności.

- Dex, dobrze się czujesz?

- Chyba za szybko wstałem.

Patrzyła na mnie z powątpiewaniem.

- Aha.

- Serio, Deb, już wszystko gra - zapewniłem ją. - To znaczy, chyba.

- Chyba.

- Tak. Mówię ci, za szybko wstałem i tyle.

Jeszcze chwilę na mnie patrzyła, aż w końcu odpuściła sobie i cofnęła się o krok.

- No dobra. W takim razie, jeśli dasz radę dojść do łodzi, możemy wracać.

Możliwe, że ciągle jeszcze trwałem w osobliwym stanie półświadomości, ale jej słowa wydały mi się prawie tak bezsensowne, jakby były wymyślonymi sylabami.

- Wracać? - spytałem.

- Dexter - powiedziała. - Mamy sześć trupów, a nasz jedyny podejrzany leży tu bez głowy.

- Jasne. - Kiedy mówiłem, w tle mojego głosu słyszałem słabe bębnienie. - To dokąd jedziemy?

Debora zacisnęła pięści i zęby. Spojrzała na zwłoki i przez chwilę, słowo daję, myślałem, że splunie.

- A co z tym facetem, którego zagoniłeś do kanału? - spytała wreszcie.

- Starzakiem? Nie, powiedział, że... - Ugryzłem się w język, ale za późno, bo Debora już na mnie naskoczyła.

- Powiedział? Kiedy z nim rozmawiałeś, do cholery?

Na swoją obronę mam to, że naprawdę jeszcze mi się trochę w głowie kręciło i nie myślałem, co mówię, no i przez to znalazłem się w dość niezręcznej sytuacji. Nie mogłem tak po prostu powiedzieć siostrze, że rozmawiałem z nim któregoś wieczoru, kiedy przymocowałem go taśmą do warsztatu i próbowałem pokroić na małe, równe kawałki. Ale krew musiała napływać z powrotem do mojego mózgu, bo bardzo szybko znalazłem wyjście z sytuacji.

- Mówię, że nie powiedziałbym, że miał z tym coś wspólnego - wyjaśniłem. - Wydawał się zwykłym... sam nie wiem. Jakby coś do mnie miał, bo zajechałem mu drogę czy coś.

Chwilę patrzyła na mnie ze złością, ale w końcu chyba mi uwierzyła, bo odwróciła się i kopnęła nogą w piasek.

- Nic innego nie mamy - powiedziała. - Nie zaszkodzi go sprawdzić.

Uznałem, iż złym pomysłem byłoby powiadomić ją, że sprawdziłem go już dość gruntownie, wykraczając daleko poza rutynowe czynności śledcze, więc tylko pokiwałem głową na znak zgody.

Na wysepce nie było już właściwie nic do oglądania. Jeśli zostało jeszcze coś cennego, znajdą to Vince i reszta szczurów laboratoryjnych, a nasza obecność tylko by im przeszkadzała. Debora niecierpliwiła się, chciała jak najszybciej wrócić na stały ląd, żeby zastraszać podejrzanych. Poszliśmy więc na plażę i wsiedliśmy do policyjnej motorówki, która zabrała nas w krótki rejs na przystań. Kiedy wygramoliłem się na nabrzeże i ruszyłem z powrotem na parking, czułem się już trochę lepiej.

Nigdzie nie widziałem Cody'ego i Astor, więc podszedłem do policjanta Niskie Czoło.

- Siedzą w samochodzie - powiedział, zanim mogłem się odezwać. - Chcieli bawić się ze mną w policjantów i złodziei, a ja nie pisałem się na to, żeby robić za przedszkolankę.

Najwyraźniej uważał, że jego tekst o byciu przedszkolanką jest taki, że boki zrywać i zasługuje na to, by go powtórzyć, więc żeby nie usłyszeć go po raz trzeci, tylko skinąłem głową, podziękowałem i poszedłem do samochodu Debory. Dzieci nie widziałem aż do chwili, kiedy stanąłem już przy aucie; nawet przemknęło mi przez myśl, że może przesiadły się do innego. Wtedy jednak zobaczyłem ich, skulonych na tylnym siedzeniu i wpatrzonych we mnie okrągłymi oczami. Próbowałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte na zamek.

- Mogę wejść? - zawołałem przez szybę.

Cody chwilę szarpał się z zamkiem, aż wreszcie otworzył drzwi.

- Co się dzieje? - spytałem.

- Widzieliśmy tego straszego faceta - powiedziała Astor.

Z początku nie miałem pojęcia, o co jej chodzi, i dlatego nie domyśliłem się, czemu pot zaczął mi ściekać po plecach.

- Jak to, straszego? Mówisz o tamtym policjancie?

- Dex-terr. Nie głupiego. Straszego. Takiego jak wtedy, kiedy widzieliśmy głowy.

- Tego samego?

Znów wymienili spojrzenia i Cody wzruszył ramionami.

- Tak jakby - powiedziała Astor.

- Widział mój cień - dodał Cody swoim cichym, chrapliwym głosem.

Dobrze, że chłopak tak się otworzył, ale jeszcze lepsze było to, że teraz już wiedziałem, czemu pot oblewa mi plecy. Cody już wcześniej wspomniał coś o swoim cieniu, a ja nie zwróciłem na to uwagi. Teraz pora posłuchać. Dosiadłem się do nich.

- Skąd wiesz, że widział twój cień?

- Tak powiedział - odparła Astor. - A Cody widział jego cień.

Chłopiec skinął głową, nie odrywając oczu od mojej twarzy, wpatrzony we mnie ze swoją zwykłą, ostrożną miną, z której nic nie dało się wyczytać. A mimo to poznałem, że ufa, iż jeśli cokolwiek się dzieje, ja sobie z tym poradzę. Szkoda, że nie podzielałem jego optymizmu.

- Kiedy mówisz o swoim cieniu - spytałem ostrożnie - chodzi ci o ten na ziemi, od słońca?

Cody pokręcił głową.

- Masz jeszcze inny cień - powiedziałem.

Spojrzał na mnie tak, jakbym spytał, czy nosi spodnie, ale skinął głową.

- Wewnętrzny - wyjaśnił. - Sam taki kiedyś miałeś.

Odchyliłem się na oparcie i udawałem, że oddycham. „Wewnętrzny cień”. Doskonałe określenie - zgrabne, zwarte i precyzyjne. A kiedy dodać do tego, że sam taki miałem, nabierało przejmującej wymowy. Aż się wzruszyłem.

Oczywiście z wzruszenia tak naprawdę nie ma żadnego pożytku i zwykle udaje mi się go unikać. W tym wypadku otrząsnąłem się w duchu, ciekaw, co też się porobiło ze strzelistymi wieżami Zamku Dexter, niegdyś tak wyniosłego i ustrojonego jedwabnymi sztandarami czystego rozsądku. Świetnie pamiętałem, że dawniej cechowała mnie wyjątkowa bystrość, a teraz proszę, ignorowałem coś ważnego, i to o wiele za długo. Bo prawdziwą zagadką było nie to, co Cody ma na myśli, lecz to, dlaczego nie zrozumiałem go wcześniej.

Cody zobaczył innego drapieżcę i rozpoznał go, kiedy mroczna istota w nim usłyszała ryk pokrewnego sobie potwora, dokładnie tak, jak takich namierzałem ja, zanim nie zniknął mój Pasażer. A tamten w ten sam sposób rozpoznał Cody'ego. Ale dlaczego miałyby to wystraszyć dzieci na tyle, żeby schowały się w samochodzie...

- Czy ten człowiek coś wam powiedział? - spytałem ich.

- Dał mi to. - Cody wyciągnął płożołątkę wizytówkę. Wziąłem ją od niego.

Wizytówkę zdobiła stylizowana głowa byka, identyczna z tą, którą dopiero co widziałem na wyspie, zawieszoną na szyi zwłok Kurta. A pod spodem widniała wierna kopia jego tatuażu: MLK.

Przednie drzwi samochodu otworzyły się i Debora wskoczyła za kierownicę.

- Jedziemy - rzuciła. - Wracaj na swoje miejsce. - Wcisnęła kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik, zanim mogłem choćby wziąć wdech po to, żeby przemówić.

- Chwilę - wykrztusiłem, kiedy udało mi się złapać odrobinę powietrza.

- Nie mam chwili, do cholery - odparowała. - Rusz się.

- Deb, on tu był - powiedziałem.

- Na litość boską, Dex, kto?

- Nie wiem - przyznałem.

- To skąd, do kurwy nędzy, wiesz, że tu był?

Wychyliłem się do przodu i podałem jej wizytówkę.

- Zostawił to.

Debora wzięła wizytówkę, zerknęła na nią i upuściła ją na siedzenie, jakby poczuła pod palcami jad kobry.

- Kurde - mruknęła. Zgasiła silnik. - Gdzie to zostawił?

- Dał Cody'emu.

Obróciła głowę i spojrzała na nas wszystkich po kolei.

- Po co miałyby to dać dziecku? - spytała.

- Bo... - zaczęła Astor, ale zakryłem jej usta dłonią.

- Nie wtrącaj się, Astor - powiedziałem, zanim mogła zacząć rozprawać o tym, kto widział czyj cień.

Zaczerpnęła powietrza, ale się rozmyśliła i znieruchomiła, niezadowolona, że ją knebluje, ale na razie skłonna to przecierpieć. Przez chwilę siedzieliśmy tak sobie we czwórkę, jedna wielka nieszczęśliwa rodzina.

- Czemu nie wsadził jej za wycieraczkę albo nie wysłał pocztą? - zastanawiała się na głos Debora. - Ba, po cholere nam ją dał? Na litość boską, po kiego grzyba ją w ogóle wydrukował?

- Dał ją Cody'emu, żeby nas zastraszyć - wyjaśniłem. - To tak jakby powiedział: „A widzicie? Znam wasze słabe punkty i w każdej chwili mogę was dopaść”.

- Popisuje się - podsumowała Debora.

- Też tak sędzę.

- No, kurka wodna, pierwszy raz zrobił coś, co ma choć trochę sensu. - Rąbnęła dłońmi w kierownicę. - Chce się bawić w złap mnie, jeśli potrafisz, jak reszta psycholi, proszę bardzo, też to umiem. I sukinsyna złapię. - Spojrzała na mnie. - Schowaj tę wizytówkę do torebki na dowody - powiedziała - i spróbuj wyciągnąć z dzieci rysopis. - Otworzyła drzwi, wyskoczyła i poszła porozmawiać z potężnym gliną, Suchińskim.

- Pamiętacie, jak ten człowiek wyglądał?

- Tak - odparła Astor. - Twoja siostra mówiła serio? Naprawdę się z nim pobawimy?

- Nie chodziło jej o taką zabawę jak w chowanego. Raczej o to, że facet rzuca nam wyzwanie, żebyśmy spróbowali go złapać.

- To czym to się różni od zabawy w chowanego?

- Przy zabawie w chowanego nikt nie ginie. To jak on wyglądał?

Wzruszyła ramionami.

- Był stary.

- Taki naprawdę stary? Z siwymi włosami i zmarszczkami?

- Nie, no wiesz, stary. Jak ty.

- A, taki stary - powiedziałem i lodowata dłoń śmiertelności musnęła palcami moje czoło, pozostawiając za sobą słabość i drżenie rąk. Nie był to obiecujący pierwszy krok na drodze do uzyskania prawdziwego rysopisu, ale cóż, Astor miała dziesięć lat, a wszyscy dorośli są równie nieciekawi. Debora dobrze zrobiła, że wybrała

zamiast tego rozmowę z policjantem Tęym. Beznadziejna sprawa. Mimo to spróbować trzeba.

Doznałem nagłego olśnienia – a w każdym razie, przy moim obecnym niedostatku intelektu, coś, co musiało wystarczyć za olśnienie. A może tym strasznym człowiekiem był Starzak, podążający moim tropem? Przynajmniej miałyby to jakiś sens.

– Zapamiętałaś coś jeszcze? Może mówił z akcentem?

Pokręciła głową.

– Znaczą francuskim czy jakimś takim? Nie, mówił normalnie. Kto to jest Kurt?

Przesadą byłoby powiedzieć, że na te słowa serduszko zabiło mi jak szalone, ale zadrżało, to na pewno.

– Kurt to trup, którego właśnie oglądałem. Czemu pytasz?

– Bo ten człowiek mówił... – zaczęła Astor. – Mówił, że Cody kiedyś będzie dużo lepszym pomocnikiem niż Kurt.

Wewnętrzny termometr Dextera odnotował nagły, gwałtowny spadek temperatury.

– No proszę. Jak to miło z jego strony.

– Wcale nie był miły, Dexter. Przecież ci mówiliśmy. Straszny.

– Ale jak wyglądał, Astor? – spytałem bez większej nadziei. – Jak możemy go znaleźć, skoro nie wiemy, jak wygląda?

– Nie musisz go łapać, Dexter – odparła tym samym, lekko poirytowanym tonem. – Mówił, że znajdziesz go w odpowiednim czasie.

Świat zamarł w bezruchu na chwilę dość długą, bym poczuł, jak krople lodowatej wody wyskakują z wszystkich moich porów jak na sprężynach.

– Co dokładnie powiedział? – zdołałem wyartykułować, kiedy wszystko znów ruszyło z miejsca.

– Żeby ci powiedzieć, że znajdziesz go w odpowiednim czasie – odparła. – Przecież mówię.

– Jak to ujął? – drążyłem. – „Powiedz tatusiowi”? „Powiedz temu panu”? Jak?

Znów westchnęła.

– Powiedz Dexterowi – odparła powoli, tak, żebym zrozumiał. – Czyli tobie. Powiedział: „Powiedz Dexterowi, że znajdzie mnie w odpowiednim czasie”.

Pewnie powinienem być jeszcze bardziej przerażony. Ale, o dziwo, nie byłem. Wręcz przeciwnie, poczułem się lepiej. Teraz miałem pewność – ktoś naprawdę na mnie polował. Czy bóg, czy śmiertelnik, to już bez znaczenia; przyjdzie po mnie w odpowiednim czasie, cokolwiek to znaczy.

Chyba że ja dopadnę go pierwszy.

Zaświtała mi głupia myśl, godna nabuzowanego adrenaliną nastolatka. Jak dotąd, nie starczyło mi umiejętności, by wyprzedzić tego kogoś choćby o pół kroku, a co dopiero go znaleźć. Nie robiłem nic, tylko biernie patrzyłem, jak mnie śledzi, straszy, ściga i wpędza w mroczne rozterki, jakich jeszcze nie zaznałem.

Wiedział, kim, czym i gdzie jestem. Ja nie wiedziałem nawet, jak wygląda.

- Proszę, Astor, to ważne – powiedziałem. - Bardzo wysoki? Miał brodę? Był Kubańczykiem? Czarnym?

Wzruszyła ramionami.

- To był taki, no wiesz, biały w okularach. Zwyczajny. Wiesz.

Wcale nie wiedziałem i jeszcze trochę, a musiałbym się do tego przyznać, ale ocaliła mnie Debora, która właśnie otworzyła szarpnięciem drzwi kierowcy i wśliznęła się do samochodu.

- Jezu Chryste – powiedziała – jak ktoś tak głupi może sam sobie wiązać sznurówki?

- Co, Suchinsky nie był rozmowny?

- Był, i to jak. Ale gadał same pierdoły. Miał wrażenie, że facet przyjechał zielonym samochodem i to właściwie tyle.

- Niebieskim – odezwał się Cody i wszyscy spojrzeliśmy na niego. - Na pewno niebieski – powtórzył z uporem.

- To co, mam wierzyć małemu dziecku? – rzuciła Debora. - Czy gliniarzowi, który ma piętnaście lat stażu i nasrane we łbie?

- Nie powinnaś ciągle mówić brzydkich wyrazów – zwróciła jej uwagę Astor. - Jesteś mi już winna pięć i pół dolara. A poza tym Cody mówi prawdę, samochód był niebieski. Też go widziałam.

Spojrzałem na Astor, ale czułem na sobie świdrujące spojrzenie Debory, więc ponownie odwróciłem się do niej.

- No i? – powiedziała.

- Cóż - odparłem. - Bez brzydkich wyrazów: to dwójka bardzo bystrych dzieci, a policjanta Suchinsky'ego nigdy nie wezmą do Mensy.

- Czyli mam im uwierzyć.

- Ja wierzę.

Debora chwilę to przeżuwała, i to dosłownie: poruszała ustami, jakby rozgryzała coś bardzo twardego.

- No dobra - odezwała się wreszcie. - Czyli wiemy, że jeździ niebieskim samochodem, jak co trzeci mieszkaniec Miami. I co mi to daje?

- Wilkins ma niebieski samochód - przypomniałem.

- Wilkins jest pod obserwacją, do cholery - burknęła.

- Sprawdź.

Spojrzała na mnie, przygryzła wargę, pochwyciła nadajnik i wysiadła. Chwilę rozmawiała i słyszałem, że coraz bardziej podnosi głos. Potem powiedziała następne bardzo brzydkie słowo ze swojego repertuaru i Astor spojrzała na mnie, kręcąc głową. A Debora wpadła do samochodu i trzasnęła drzwiami.

- Szlag by to.

- Zgubili go?

- Nie, jest w domu. Właśnie wrócił.

- Gdzie był?

- Nie wiedzą. Zgubili go, kiedy się zmieniali.

- Co?

- Balfour kończył służbę, DeMarco zaczynał - wyjaśniła. - Wymknął się, kiedy się zmieniali. Przysięgają, że nie było go dziesięć minut, nie dłużej.

- Do jego domu jedzie się stąd pięć minut.

- Wiem. To co robimy?

- Niech dalej obserwują Wilkinsa - odparłem. - A ty tymczasem pogadaj ze Starzakiem.

- Chyba pojedziesz ze mną, co? - spytała.

- Nie - powiedziałem. Za nic w świecie nie chciałem się widzieć ze Starzakiem i choć raz miałem w zanadrzu doskonałą wymówkę. - Muszę zabrać dzieci do domu.

Zrobiła skwaszoną minę.

- A jeśli to nie Starzak? - spytała.

Pokręciłem głowę.

- Nie wiem.

- Aha. To tak jak ja. - Uruchomiła silnik. - Wracaj na swoje miejsce.

Było już dobrze po piątej, kiedy wróciliśmy na komendę, i choć Debora krzywo na mnie patrzyła – i to jak krzywo – zapakowałem Cody’ego i Astor do mojego skromnego środka transportu i ruszyliśmy do domu. Przez większość drogi siedzieli przygaszeni, najwyraźniej wciąż w lekkim szoku po spotkaniu ze strasznym facetem. Ale że dzielne z nich dzieciaki – czego wymownie dowodzi fakt, że po tym, co zrobił im ich biologiczny ojciec, w ogóle potrafią mówić – już jakieś dziesięć minut od domu Astor zaczęła wracać do formy.

– Szkoda, że nie jeździsz jak sierżant Debbie – powiedziała.

– Chcę jeszcze trochę pożyć – wyjaśniłem.

– Czemu nie masz sygnału? – dociekała. – Nie chciałeś?

– Ci z laboratorium nie jeżdżą na sygnale. A swoją drogą nie, nie chciałem. Wolę się nie wychylać.

W lusterku wstecznym zobaczyłem, że zmarszczyła czoło.

– Co to znaczy?

– Że nie chcę zwracać na siebie uwagi – wytłumaczyłem. – Nie chcę rzucać się ludziom w oczy. Też powinniście się tego nauczyć – dodałem.

– Inni chcą, żeby ludzie ich zauważali. Jeśli coś robią, to tylko po to, żeby wszyscy na nich patrzyli.

– Wy dwoje jesteście inni – odparłem. – Zawsze będziecie inni, nigdy tacy jak cała reszta. – Długo milczała i zerknąłem na nią w lusterku. Patrzyła na swoje nogi. – To niekoniecznie coś złego – powiedziałem. – Jak inaczej mówi się na kogoś, kto jest normalny?

– Nie wiem – bąknęła.

– Że jest zwyczajny. Naprawdę chcecie być zwyczajni?

– Nie – odparła, już jakby mniej nieszczęśliwa. – Ale jeśli nie będziemy zwyczajni, ludzie nas zauważą.

– Dlatego musicie się nauczyć tego, jak nie rzucać się w oczy.

– Byłem skrycie zadowolony, że okrężną drogą dowiodłem swojej racji. – Musicie udawać, że jesteście naprawdę normalni.

- Czyli nikt nie może się dowiedzieć, że jesteśmy inni - stwierdziła. -
Nigdy.

- Otóż to.

Spojrzała na brata i znów, jak to oni, odbyli długą rozmowę bez słów. Zapadła przyjemna cisza i mogłem w spokoju jechać w wieczornych korkach i użalać się nad sobą.

Astor odezwała się po kilku minutach.

- To znaczy, że nie możemy powiedzieć mamie, co dziś robiliśmy.

- Możecie powiedzieć o mikroskopie.

- Ale o całej reszcie już nie? O tym strasznym facecie i o przejażdżce z sierżant Debbie?

- Zgadza się.

- Przecież nie wolno kłamać - zaprotestowała. - Zwłaszcza mamie.

- Dlatego nic jej nie powiecie - wyjaśniłem. - Nie trzeba jej niepotrzebnie martwić.

- Ale ona nas kocha. Chce, żebyśmy byli szczęśliwi.

- Tak, ale musi myśleć, że jesteście szczęśliwi tak, jak ona to rozumie. Inaczej sama nie będzie szczęśliwa.

I znów nastąpiła długa chwila ciszy. Wreszcie, tuż przed skrzyżowaniem na ich ulicę, Astor spytała:

- A ten straszny facet ma mamę?

- Prawie na pewno - odparłem.

Rita musiała czekać pod samymi drzwiami, bo gdy tylko przyjechaliśmy, otworzyły się i wyszła nam na powitanie.

- Cześć - powitała nas radośnie. - I czegoż to się dziś nauczyliście?

- Widzieliśmy brud - odparł Cody. - Z mojego buta.

Rita zamrugwała.

- A to dopiero - powiedziała.

- I kawałek popcornu - dodała Astor. - I patrzyliśmy w mikrofon, i mogliśmy poznać, gdzie byliśmy.

- Mikroskop - poprawił ją Cody.

- Wszystko jedno. - Wzruszyła ramionami. - Ale można też było poznać, skąd się wziął włos. Z kozy czy z dywanu.

- O rany - skomentowała Rita, lekko oszołomiona i zbita z tropu - widzę, że świetnie się bawiliście.

- Tak - przyznał Cody.

- No cóż - skwitowała Rita - to może teraz weźcie się do odrabiania lekcji, a ja zrobię wam podwieczorek.

- Dobrze - rzuciła Astor i razem z Codym pognali do domu. Rita patrzyła na nich, aż zniknęli w środku, a wtedy odwróciła się, wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy za nimi.

- Czyli dobrze poszło? - spytała. - To znaczy, z... wydają się bardzo, hm...

- I są - powiedziałem. - Chyba zaczynają rozumieć, że takie wygłupy mają konsekwencje.

- Nie pokazałeś im nic zbyt okropnego, mam nadzieję?

- A skąd. Nawet jednej kropli krwi.

- Cieszę się. - Oparła głowę na moim ramieniu, co widać jest częścią ceny, którą trzeba zapłacić, kiedy się za kogoś wychodzi. Może po prostu publicznie oznaczała swoje terytorium, a jeśli tak, to chyba powinienem być cały szczęśliwy, że nie zrobiła tego tradycyjną zwierzęcą metodą. Tak czy inaczej, okazywanie uczuć przez kontakt fizyczny nie jest czymś, co rozumiem, ale objąłem ją ramieniem, bo wiedziałem, że to prawidłowa ludzka reakcja, i weszliśmy za dziećmi do domu.

Jestem raczej pewien, że nie powinno się tego nazwać snem. Ale w nocy do mojej biednej sponiewieranej głowy znów wdarł się ten dźwięk, ta sama muzyka, śpiew i brzęk metalu, co przedtem, i poczułem żar na twarzy i dziką radość wzbierającą w tym szczególnym zakamarku wewnątrz mnie, który tak długo pozostawał pusty. Kiedy się obudziłem, stałem pod drzwiami frontowymi z ręką na gałce, zlany potem, zadowolony, spełniony i w ogóle się nie niepokoiłem, choćby wypadało.

Oczywiście, znałem pojęcie „lunatykowania”. Ale z zajęć z psychologii na pierwszym roku wiedziałem też, że powody, dla których ludzie chodzą we śnie, zwykle nie mają nic wspólnego ze słyszeniem muzyki. I w najgłębszej głębi ducha zdawałem sobie sprawę, że powinienem się denerwować, martwić, miotać w rozpacz, bo w moim uśpionym mózgu działały się rzeczy, które dziać się

nie powinny, więcej, nie miały prawa, a mimo to się działy. I w dodatku cieszyłem się z tego. To w tym wszystkim najbardziej przerażało.

Muzyka nie była mile widziana w Sali Koncertowej Dextera. Nie pragnąłem jej. Chciałem, żeby dała mi spokój. Ona jednak powróciła, zagrała i wbrew mojej woli napełniła mnie nadnaturalnym szczęściem, a potem zostawiła pod drzwiami frontowymi, jakby próbowała wyciągnąć mnie z domu i...

I co? Zjawiła się porażająca myśl typu „pod łóżkiem czyha potwór”, płynąca prosto z jaszczurczego mózgu, ale...

Czy to przypadkowy impuls, niezbadane poruszenie nieświadomości wyciągnęło mnie z łóżka i doprowadziło pod drzwi? Czy też coś próbowało mnie wywabić z domu? Tamten człowiek powiedział dzieciom, że znajdzie go w odpowiednim czasie - czy to już?

Czy ktoś chciał, żeby Dexter w środku nocy pozostał sam, bez świadomości, co się z nim dzieje?

Nadzwyczajna myśl. Byłem z niej ogromnie dumny, bo dowodziła ponad wszelką wątpliwość, że doznałem urazu mózgu i od tej pory nie mogę za siebie odpowiadać. Znowu przecierałem nowe szlaki na polu głupoty. Poddałem się beznadziejnej, idiotycznej histerii wywołanej przez stres. Nikt na świecie nie mógł mieć tyle czasu do zmarnowania; Dexter nie był na tyle ważny dla nikogo prócz Dextera. I aby to udowodnić, włączyłem światło na ganku i otworzyłem drzwi.

Po drugiej stronie ulicy, kilkanaście metrów na zachód, jakiś samochód zapalił i odjechał.

Zamknąłem drzwi i zaryglowałem na dwa zamki.

I znowu przypadło mi w udziale siedzieć przy stole kuchennym, sączyć kawę i kontemplować wielką tajemnicę życia.

Zegar pokazywał trzecią trzydzieści dwie, kiedy siadałem, i szóstą, kiedy weszła Rita.

- Dexter. - Patrzyła na mnie z wyrazem sennego zdumienia na twarzy.

- We własnej osobie - odparłem, z najwyższym trudem zachowując pozory doskonałego humoru.

Zmarszczyła brwi.

- Co się stało?

- Nic. Po prostu nie mogłem zasnąć.

Spuściła głowę, szurając nogami, powlokła się do ekspresu i nalała sobie kawy. Usiadła naprzeciwko mnie i wzięła łyk.

- Dexter - powiedziała. - Wątpliwości to normalna rzecz.

- Oczywiście - przytaknąłem, choć nie miałem zielonego pojęcia, o co jej chodzi. - Bez nich nie byłoby filozofii.

Pokręciła głową ze znużonym uśmiechem.

- Wiesz, co mam na myśli - dodała, niezgodnie z prawdą. - Dotyczące ślubu.

Gdzieś w tyle głowy zapaliło mi się słabe przyćmione światełko i omal nie powiedziałem „Aha”. Ślub, oczywiście. Samice człowieka miały obsesję na punkcie ślubów, nawet cudzych. Ich własny zaś zaprzętał je dwadzieścia cztery godziny na dobę, na jawie i we śnie. Rita patrzyła na wszystko przez pryzmat ślubu. Jeśli nie mogłem spać, to ani chybi przez koszmary spowodowane wizją zbliżającego się ślubu.

Mnie ta przypadłość nie dotknęła. Miałem masę poważnych zmartwień, a ślub był czymś na autopilocie. W którymś momencie zjawię się gdzie trzeba, stanie się, co ma się stać, i szlus. Rzecz jasna, do takiego podejścia nie mogłem przekonać Rity, choć mnie wydawało się najzupełniej rozsądny. Nie, musiałem znaleźć wiarygodne wytłumaczenie mojej bezsenności, a przy okazji wykazać entuzjazm dla nadciągającego wspaniałego wydarzenia.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu i wreszcie mój wzrok padł na dwa pojemniki na kanapki ułożone jeden na drugim obok zlewu. To świetny początek; sięgnąłem w głąb mojego zamulonego umysłu i z zaśmiecających go fusów wygrzebałem coś, co jeszcze nie do końca rozmiękło.

- A jeśli nie jestem dość dobry dla Cody'ego i Astor? - powiedziałem.
- Jak mogę być dla nich ojcem, kiedy tak naprawdę nim nie jestem?
A jeśli sobie nie poradzę?

- Och, Dexter. Jesteś wspaniałym ojcem. Uwielbiają cię.

- Ale... - Usiłowałem wypaść jak najbardziej autentycznie i wymyślić ciąg dalszy - ...ale teraz jeszcze są mali. A co będzie, kiedy urosną? Jak zaczną pytać o ich prawdziwego ojca...

- O tym sukinsynu wiedzą tyle, że im wystarczy - warknęła Rita. Zaskoczyła mnie; nigdy nie słyszałem, żeby używała tak ostrych słów. Możliwe, że i ją to zdziwiło, bo się zaczerwieniła. - To ty jesteś ich

prawdziwym ojcem – mówiła z zapałem. – To ciebie podziwiają, słuchają i kochają. Jesteś właśnie takim ojcem, jakiego potrzebują.

Częściowo to prawda, bo tylko ja mogłem ich nauczyć Kodeksu Harry’ego i innych niezbędnych rzeczy, choć Rita raczej nie to miała na myśli. Niedyplomatycznie byłoby jednak o tym wspomnieć, więc powiedziałem tylko:

– Naprawdę chcę być w tym dobry. Nie mogę nawalić, nigdy przynigdy.

– Och, Dex – spojrzała na mnie czule – wszyscy popełniamy błędy. – Święta racja. Wiele razy zaobserwowałem, że nieudolność jest jedną z cech charakterystycznych rodzaju ludzkiego. – Ale nie poddajemy się i koniec końców wszystko się jakoś układa. Serio. Zobaczysz, poradzisz sobie doskonale.

– Naprawdę tak myślisz? – Czułem się lekko zażenowany tym, jak haniebnie szarżowałem.

– Ja nie myślę. Ja wiem. – Obdarzyła mnie swoim niepowtarzalnym uśmiechem. Wyciągnęła rękę nad stołem i chwyciła moją dłoń. – Nie nawalisz, ja do tego nie dopuszczę – dodała. – Teraz jesteś mój.

Śmiałe słowa, zważywszy że niewolnictwo podobno jest od lat zabronione. Z drugiej strony, pozwalały zrećznie wybrnąć z krępującej sytuacji, więc niech jej będzie.

– No dobrze – powiedziałem. – Zjedzmy śniadanie.

Przechyliła głowę na bok i chwilę na mnie patrzyła, a ja zorientowałem się, że musiałem palnąć gafę, ale w końcu zamrugała tylko kilka razy i powiedziała:

– Racja. – Wstała i zaczęła robić śniadanie.

W nocy tamten otworzył drzwi, a potem zatrzasnął je ze strachem – tak, czuł strach, nie sposób tego nie zauważyć. Przyszedł na wezwanie i się bał. Dlatego Obserwator nie miał najmniejszych wątpliwości.

Już czas.

Byłem wykończony, dezorientowany i, co najgorsze, wciąż przerażony. Na każde radosne ryknięcie klaksonu wyrywałem się z pasów i sięgałem po broń, a ilekroć jakiś Bogu ducha winny samochód zbliżał się na centymetry do mojego zderzaka, łapałem się na tym, że patrząc spode łba w lusterko i czekam na jakiś nietypowo wrogi gest lub roszadzający głowę huk znienawidzonej muzyki ze snu.

Coś chciało mnie dopaść. Wciąż nie wiedziałem, dlaczego ani co to właściwie jest, tylko że ma niejasny związek z prastarym bóstwem, ale wiedziałem, że chce mnie dopaść i że nawet jeśli nie może zrobić tego już teraz, to wymęczy mnie tak, że kapitulacja wyda się ulgą.

Jakże kruchą istotą jest człowiek, a bez Pasażera tym właśnie byłem, nieudolną podróbką człowieka. Słabą, miękką, ociążałą i głupią, niewidzącą, niesłyszącą i nieświadomą, bezradną, beznadziejną i zadreńczoną. Tak, byłem prawie gotów położyć się i dać się rozjechać temu czemuś. Poddać się, pozwolić, by ta muzyka zawładnęła mną i porwała mnie w radosny ogień i pustą rozkosz śmierci. Nie będzie oporu, negocjacji i wreszcie nie będzie Dextera. Jeszcze kilka nocy takich jak ta ostatnia i przyjmę to z radością.

Nawet w pracy nie miałem chwili wytchnienia. Debora już czyhała i rzuciła się na mnie, ledwie wyszedłem z windy.

- Starzak zaginął - powiedziała. - W skrzynce poczta z paru dni, pod drzwiami gazety... Zniknął.

- Przecież to dobra wiadomość, Deb - zauważyłem. - Skoro uciekł, to chyba dowód, że jest winny?

- Dupa, nie dowód. Tak samo było z Kurtem Wagnerem i skończył martwy. Skąd mogę wiedzieć, że to nie spotka Starzaka?

- Możemy rozesłać list gończy. Może dorwiemy go pierwsi.

Debora kopnęła ścianę.

- Szlag by to, jeszcze ani razu nie byliśmy pierwsi czy choćby na czas. Pomóż mi, Dex - jęknęła. - Ja zwariuję.

Mogłem powiedzieć, że mnie grozi coś dużo poważniejszego, ale postąpiłbym nieszlachetnie.

- Spróbuję - obiecałem zamiast tego, a Debora ze zwieszonymi ramionami powlokła się w głąb korytarza.

Jeszcze nie dotarłem do mojego boksu, kiedy powitał mnie sztucznie nasrożony Vince Masuoka.

- Gdzie pączki? - spytał oskarżycielskim tonem.

- Jakie pączki?

- Dziś twoja kolej - przypomniał - żeby przynieść pączki.

- Miałem ciężką noc.

- I dlatego wszyscy mamy mieć ciężki poranek? - rzucił. - Gdzie tu sprawiedliwość?

- Nie jestem od sprawiedliwości, Vince. Tylko od rozbryzgów.

- Hm - nadął się. - Widać od pączków też nie. - I odmaszerował z niemal przekonującą imitacją słusznego oburzenia, co nasunęło mi refleksję, że nie pamiętałem, kiedy Vince'owi ostatnio udało się mnie przegadać. Kolejna oznaka, że jechałem na resztkach paliwa. Czyżby to naprawdę ostatnie podrygi Dogasającego Dextera?

Ten dzień roboczy był długi i okropny, czyli taki, jakie podobno - ciągle się to słyszy - są wszystkie. Dexter nigdy tak nie uważał; w pracy zawsze miałem co robić i tryskałem sztuczną pogodą ducha, nie marudziłem ani nie wpatrywałem się w zegar. Może tak lubiłem pracować, bo wiedziałem, że to element gry, fragment wyrafinowanego dowcipu pod tytułem „Jak Dexter człowieka udawał i wszystkich nabrał”. Ale prawdziwie dobry dowcip musi mieć przynajmniej jednego wtajemniczonego odbiorcę, a że zostałem sam, bez mojej wewnętrznej publiczności, puenta jakoś mi się wymykała.

Mężnie przebrnąłem przez resztę poranka, obejrzałem trupa w centrum i wróciłem zrobić serię bezsensownych badań. Potem jeszcze złożyłem kilka zamówień i dokończyłem raport, i już sprzątałem biurko przed wyjściem, kiedy zadzwonił telefon.

- Potrzebuję twojej pomocy - burknęła moja siostra.

- To oczywiste - odparłem. - Cieszę się, że to przyznajesz.

- Jestem do północy na służbie - powiedziała, ignorując moją błyskotliwą i dowcipną ripostę - a Kyle sam okiennic nie założy.

Tak często w środku rozmowy dociera do mnie, że nie wiem, o czym mówię. Nieprzyjemne to uczucie, choć gdyby to samo uświadomili sobie inni, zwłaszcza ci w Waszyngtonie, świat stałby się dużo lepszy.

- Po co Kyle zakłada okiennice? - spytałem.

Debora prychnęła.

- Jezu Chryste, Dexter, co ty robisz cały dzień? Nadciąga huragan.

Właściwie mogłem odpowiedzieć, że cokolwiek robię, nie mam czasu siedzieć i słuchać prognoz pogody. Zamiast tego stwierdziłem tylko:

- Huragan, no proszę. Fajowo. Kiedy to się stało?

- Postaraj się być na szóstą. Kyle będzie czekać.

- W porządku - odparłem. Ale już odłożyła słuchawkę.

Język Debory znam biegle, więc domyśliłem się, że ten telefon należało potraktować jako formę oficjalnych przeprosin za nieuzasadnioną wrogość, jaką mi ostatnio okazywała. Bardzo możliwe, że zaakceptowała Mrocznego Pasażera, zwłaszcza że zniknęła. Wypadało się z tego cieszyć, ale w takim dniu jak ten była to tylko kolejna drzazga za paznokciem biednego Dobitego Dextera. I jeszcze ten huragan. Wydawało się, że z czystej złośliwości wybrał najgorszy możliwy moment na swoją bezcelową napaść. Czy ból i cierpienie, które zsyłał mi los, nie mają końca?

No cóż, życie to niekończące się pasmo udręk. Wyszedłem na spotkanie z lubym Debory.

Zanim jednak uruchomiłem samochód, zadzwoniłem do Rity, która według moich wyliczeń powinna już być prawie w domu.

- Dexter - rzuciła zdyszana - nie pamiętam, ile mamy butelkowanej wody, a w Publix kolejki są aż po parking.

- Najwyżej będziemy pili piwo - odparłem.

- Konserw chyba nie zabraknie, tyle że wołowa leży już ze dwa lata - ciągnęła, najwyraźniej nieświadoma, że ktoś inny mógł coś powiedzieć. Pozwoliłem jej więc trajkotać dalej w nadziei, że w końcu przystopuje. - Dwa tygodnie temu sprawdzałam latarki. Pamiętasz, wtedy, jak czterdzieści minut nie było światła? Zapasowe baterie leżą w lodówce, na dolnej półce, w głębi. Cody i Astor są ze mną, jutro nie ma zajęć pozaszkolnych, ale ktoś ze szkoły powiedział

im o huraganie Andrew i Astor chyba trochę się wystraszyła, więc może porozmawiasz z nimi, jak wrócisz? Wytłumacz im, że to taka silniejsza burza i że nic takiego się nie stanie, trochę powieje, pohuczy i na jakiś czas zgasną światła. Ale jakbyś po drodze przejeżdżał koło jakiegoś sklepu, pamiętaj, żeby dokupić butelkowanej wody, najwięcej, ile się da. I weź trochę lodu, zdaje się, że lodówka turystyczna jest tam, gdzie zawsze, na półce nad pralką, włoży się do niej lód i wszystko, co może się zepsuć. Aha... A co z twoją łodzią? Jest w bezpiecznym miejscu czy musisz coś z nią zrobić? Powinniśmy zdążyć zabrać rzeczy z podwórka przed zmrokiem, wszystko będzie dobrze, huragan pewnie w ogóle przejdzie bokiem.

- W porządku - powiedziałem. - Wrócę dziś trochę później.

- Dobrze. O, proszę, w Winn-Dixie nie jest tak źle. Chyba spróbujemy wejść, jest wolne miejsce na parkingu. Pa!

Nigdy bym nie przypuszczał, że to możliwe, ale Rita najwyraźniej nauczyła się obywać bez oddychania. A może musiała tylko jak wieloryb od czasu do czasu wynurzać się, żeby nabrać powietrza. Tak czy inaczej dała inspirujący spektakl, po którym poczułem się dużo lepiej przygotowany do zakładania okiennic z jednorękiem chłopakiem mojej siostry. Zapaliłem silnik i wsunąłem się w sznur samochodów.

Jeśli normalnie ruch w godzinach szczytu to jeden wielki chaos, to w godzinach szczytu przed nadejściem huraganu rozpętuje się istna apokalipsa, obłądana walka o to, by nawet jeżeli wszyscy zginiemy, nie być tym pierwszym. Kierowcy prowadzili, jakby autentycznie musieli zabić każdego, kto mógłby im przeszkodzić w zdobyciu sklejk i baterii. Domek Debory w Coral Gables znajdował się niedaleko, ale kiedy wreszcie zatrzymałem się przed nim, czułem się, jakbym przetrwał próbę męskości u Apaczów.

Kiedy tylko wysiadłem, drzwi frontowe otworzyły się i wyszedł Chutsky.

- Cześć, stary - zawołał. Pomachał wesoło stalowym hakiem zastępującym lewą dłoń i przyszedł się przywitać. - Z góry dziękuję za pomoc. Tym cholernym hakiem ciężko przykręcać nakrętki.

- A jeszcze trudniej dłubać w nosie - powiedziałem lekko poirytowany pogodą, z jaką znosił cierpienie.

Ale zamiast się obrazić parsknął śmiechem.

- No. A co dopiero tyłek podetrzeć. Chodź. Wszystko jest za domem.

Poszedłem za nim na tyły domu, gdzie Debora miała mały zarośnięty taras. Tyle że - a to niespodzianka - nie był już zarośnięty. Gałęzie, które dotąd nad nim zwisały, zostały przycięte, a pomiędzy kamieni poznikały chwasty. Pojawiły się za to trzy starannie przyszczyżone krzaki róży i grządka jakichś ozdobnych kwiatów, a w rogu stał wypucowany grill.

Spojrzałem na Chutsky'ego i uniosłem brew.

- Tak, wiem - powiedział. - Trochę to pedalskie, co? - Wzruszył ramionami. - Nudno jest tak siedzieć i kurować się, a poza tym lubię porządek, może bardziej niż twoja siostra.

- Wygląda bardzo ładnie.

- Uhm - mruknął, jakbym naprawdę zarzucił mu, że jest gejem. - Cóż, do roboty. - Ruchem głowy wskazał opartą o ścianę stertę arkuszy blachy falistej: przeciwhuraganowe okiennice Debory. Morganowie od dwóch pokoleń mieszkali na Florydzie i Harry wbił nam do głowy, żebyśmy używali solidnych okiennic. Trochę oszczędzisz na okiennicach, dużo więcej wydasz na nowy dom, kiedy zawiodą.

Tyle że minusem wysokiej jakości okiennic Debory było to, że strasznie dużo ważyły i miały ostre krawędzie. Grube rękawice potrzebne koniecznie - w przypadku Chutsky'ego jedna. Nie jestem jednak pewien, czy doceniał to, ile oszczędza na rękawicach. Pracował jakby trochę ciężiej niż musiał, żeby pokazać mi, iż wcale nie jest niepełnosprawny i tak naprawdę nie potrzebuje mojej pomocy.

Tak czy owak, już po jakichś czterdziestu minutach wszystkie okiennice mieliśmy zamocowane. Chutsky spojrzał jeszcze na te, które osłaniały drzwi balkonowe, i, wyraźnie zadowolony, że tacy z nas wybitni fachowcy, uniósł lewą rękę, żeby otrzeć pot z czoła. Zreflektował się w ostatniej chwili, zanim przebił sobie hakiem policzek. Zaśmiał się gorzko, wpatrzony w hak.

- Nie mogę się do tego przyzwyczaić. - Pokręcił głową. - Budzę się w środku nocy i swędzi mnie knykieć, którego nie mam.

Trudno znaleźć na to jakąś błyskotliwą czy choćby społecznie akceptowalną odpowiedź. Nigdzie nie wyczytałem, co mówić, gdy ktoś się skarży, że czuje swoją amputowaną dłoń. Chutsky najwyraźniej zauważył moje zmieszanie, bo parsknął oschłym, pustym śmiechem.

- A co tam - powiedział - i stara szkapa jeszcze może wierzgać. - Trochę niefortunny dobór słów, bo nie miał też lewej stopy i wierzganie raczej nie wchodziło w grę. Mimo to cieszyło mnie, że przestał się dołować, i uznałem, że wypada się z nim zgodzić.

- Nikt w to nie wątpi. Jestem pewien, że wrócisz do formy.

- Uhm, dzięki - odparł niezbyt przekonująco. - W każdym razie nie ciebie muszę o tym przekonać, tylko paru urzędasów z Waszyngtonu. Proponują mi pracę za biurkiem, ale... - Wzruszył ramionami.

- No coś ty - powiedziałem. - Chyba nie chcesz znów być szpiegiem, co?

- Na tym się znam. Przez jakiś czas byłem najlepszy.

- Może brakuje ci adrenaliny.

- Może - stwierdził. - Piwa?

- Dzięki - powiedziałem - mam rozkaz z samej góry, żeby kupić wodę i lód, zanim zabraknie.

- No tak. Ludzie boją się, że będą musieli wypić mojito bez lodu.

- To jedno z największych zagrożeń w czasie huraganu.

- Dzięki za pomoc - powiedział.

Kiedy jechałem do domu, ruch się nie zmniejszył, wręcz przeciwnie. Niektórzy gnali z drogocennymi arkuszami sklejki przytroczonymi do dachu, jakby właśnie obrobili bank. Złością odreagowywali stres, jaki przeżywa człowiek, który stoi godzinę w kolejce i myśli tylko o tym, czy ktoś się przed niego nie wepchnie i czy mu wszystkiego nie wykupią.

Inni kierowcy jechali zająć miejsca w tych samych kolejkach i patrzyli z nienawiścią na szczęśliwców, którzy ich uprzedzili i być może kupili ostatnią baterię C na Florydzie.

To cudowna mieszanka wrogości, furii i paranoi, powinna ogromnie poprawić mi nastrój. Jednak wszelkie nadzieje na odrobinę uciechy przysły, kiedy złapałem się na tym, że coś nucę, melodię, którą gdzieś już słyszałem, ale nie pamiętałem, gdzie, i nie mogę przestać. A kiedy w końcu sobie przypomniałem, skąd ją znam, cała radość świątecznego wieczoru rozbiła się w puch i pył.

Nuciłem melodię z mojego snu.

Muzyka, która grała mi w głowie, niosła ze sobą żar i swąd spalenizny. Zdawała się prosta, monotonna i niezbyt chwytna, a mimo to nuciłem ją sobie na autostradzie South Dixie i jej powtarzające się dźwięki kołysały mnie jak kołysanka, którą kiedyś śpiewała mi matka.

I wciąż nie wiedziałem, co to znaczy.

Jestem pewien, że cokolwiek działo się w mojej podświadomości, przyczyna tego była prosta, logiczna i łatwa do zrozumienia. Z drugiej strony, jakoś nie mogłem wymyślić prostego, logicznego i łatwego do zrozumienia powodu, dla którego miałbym we śnie słyszeć muzykę i czuć na twarzy żar.

Zabręczała moja komórka i ponieważ ruch i tak odbywał się w żółtym tempie, odebrałem.

- Dexter - powiedziała Rita, ale ledwo poznałem jej głos. Wydawała się przygaszona, zagubiona i kompletnie rozbita. - Cody i Astor... - wykrztusiła -...zniknęli.

Wszystko świetnie się układało. Nowi nosiciele okazywali nadzwyczajną chęć do współpracy. Zaczęli się zbierać w gromady i łatwo dali się przekonać, że muszą postępować według sugestii TEGO. I wzniesli potężne kamienne budowle dla potomstwa TEGO, wymyślili zawiłe obrzędy z wprawiającą w trans muzyką, a rwali się do pomocy z takim entuzjazmem, że w pewnym momencie było ich zbyt wielu, by za nimi nadążyć. Jeśli nosicielom dobrze się powodziło, z wdzięczności zabijali kilku swoich. Jeśli sprawy nie szły po ich myśli, zabijali w nadziei, że TO wszystko naprawi. A TO musiało tylko na to pozwolić.

I korzystając z tej nowo odkrytej swobody, TO zaczęło rozmyślać o swoim potomstwie. Po raz pierwszy, kiedy nastąpiło rozkurczenie i nowo narodzony wyrwał się na świat, TO złapało go, uspokoiło, ukoilo jego strach i podzieliło się z nim swoją świadomością. A nowo narodzony odpowiedział z satysfakcjonującym zapałem, szybko i radośnie przyswoił sobie wszystko, co TO miało mu do przekazania, i chętnie do niego dołączył. I wkrótce było ich czterech, ośmiu, sześćdziesięciu czterech - aż nagle zrobiło się ich zbyt wielu. Po prostu nie starczało dla wszystkich. I nawet nowi nosiciele zaczęli się uskarżać na liczbę wymaganych od nich ofiar.

TO, bardzo praktyczne, szybko zorientowało się, na czym polega problem, i rozwiązało go, zabijając prawie całe potomstwo. Mała grupka uciekła w świat w poszukiwaniu nowych nosicieli. TO zostawiło przy sobie garstkę młodych i wreszcie wszystko znów miało pod kontrolą.

Jakiś czas później ci, którzy uciekli, zaczęli się odgryzać. Ustanowili konkurencyjne świątynie i obrzędy i wysłali swoje liczne armie przeciw TEMU. Wielki zamęt trwał bardzo długo. Ale ponieważ TO było najstarsze i najbardziej doświadczone, ostatecznie pokonało wszystkich pozostałych oprócz kilku, którzy się ukryli.

Znaleźli schronienie w nosicielach rozrzuconych po całym świecie, nie wychylali się i wielu przeżyło. TO jednak przez tysiąclecia nauczyło się, jak ważne jest, by czekać. Miało pod dostatkiem czasu - całą wieczność - i mogło sobie pozwolić, by zachować cierpliwość, powoli wyłapywać i zabijać tych, którzy ocaleli, a potem bez pośpiechu, starannie przywrócić cudownemu kultowi swojej osoby dawną świetność.

TO pilnowało, by kult pozostał żywy; ukryty, ale żywy.

I czekało na pozostałych.

Nasz świat to nie raj, wiem doskonale. Na każdym kroku czyhają niezliczone zagrożenia, szczególnie na dzieci: może je uprowadzić obcy człowiek, przyjaciel rodziny albo rozwiedziony tatuś; mogą oddalić się i zniknąć, wpaść do kanału, utopić się w basenie sąsiada – a kiedy nadciąga huragan, pojawia się jeszcze więcej możliwości. Lista ograniczona jest tylko ich wyobraźnią, a tej Cody’emu i Astor nie brakowało.

Kiedy jednak Rita powiedziała mi, że zniknęli, nie pomyślałem o kanałach, wypadkach drogowych czy gangach motocyklistów. Wiedziałem, co spotkało Cody’ego i Astor, wiedziałem to z zimną, twardą pewnością, tak jasną i niepodważalną, że nie mogła się z nią równać żadna z szeptanych podpowiedzi Pasażera. W głowie eksplodowała mi jedna tylko myśl i nawet jej nie zakwestionowałem.

W ułamku sekundy, jakiego potrzebowałem, żeby dotarły do mnie słowa Rity, przed oczami przebiegły mi dziesiątki kadrów: samochody jadące za mną, nocni goście dobijający się do drzwi i okien, straszny facet zostawiający dzieciom wizytówkę i, co postawiło kropkę nad i, zjadliwy komentarz profesora Kellera: „Moloch lubił ofiary z ludzi. Zwłaszcza dzieci”.

Nie wiedziałem, czemu Moloch chciał akurat moje dzieci, ale nie miałem cienia wątpliwości, że to właśnie on – ona? ono? – je miał. I że nie wróży to Cody’emu i Astor nic dobrego.

Nie zwlekając ani chwili, pognałem do domu, przebijałem się slalomem przez korki jak na rodowitego mieszkańca Miami przystało, i już po kilku minutach wysiadłem z samochodu. Rita stała w deszczu u wylotu podjazdu. Wyglądała jak mała, osamotniona myszka.

– Dexter – powiedziała z bezdenną pustką w głosie. – Proszę, o Boże, Dexter, znajdź ich.

– Zamknij dom – rzuciłem – i chodź ze mną.

Chwilę patrzyła na mnie, jakbym zaproponował jej, żeby zostawiła dzieci i poszła zagrać w kręgle.

- Już. Wiem, gdzie są, ale potrzeba nam pomocy.

Odwróciła się i pobiegła do domu, a ja wyciągnąłem komórkę i wybrałem numer.

- Co - rzuciła Debora.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedziałem.

Chwilę milczała, po czym prychnęła zimnym śmiechem bez krzty wesołości.

- Jezu Chryste. Nadciąga huragan, oprychy już czekają w kolejkach, aż padnie prąd, a ty potrzebujesz mojej pomocy.

- Cody i Astor zniknęli. Ma ich Moloch.

- Dexter.

- Muszę ich jak najszybciej znaleźć i potrzebuję twojej pomocy.

- Przyjeżdżaj - zdecydowała.

Kiedy się rozłączyłem, Rita podeszła do mnie po chodniku, rozbryzgując wodę z tworzących się kałuż.

- Zamknęłam dom. Ale, Dexter, co będzie, jeśli wrócą, a nas nie będzie?

- Jeżeli wrócą, to tylko z nami - odparłem i chyba nie na taką pociechę liczyła. Wcisnęła pięść do ust, jakby ze wszystkich sił tłumiała krzyk. - Wsiadaj, Rita. Otworzyłem jej drzwi i spojrzała na mnie znad na wpuł przetrawionych knykcii. - Szybko - rzuciłem i wreszcie wsiadła. Wsunąłem się za kierownicę, uruchomiłem wóz i wyjechałem na ulicę.

- Mówiłeś - wyjąkała Rita, a ja z ulgą zauważyłem, że wyjęła pięść z ust - mówiłeś, że wiesz, gdzie są.

- Tak. - Skręciłem na jedynekę i dodałem gazu w rzadziejącym ruchu.

- Gdzie są? - spytała.

- Wiem, kto ich ma - odparłem. - Debora pomoże nam ustalić, dokąd ich zabrał.

- Dexter, o Boże - jęknęła i zaczęła bezgłośnie szlochać. Nawet gdybym nie prowadził, nie wiedziałbym, co zrobić czy powiedzieć, więc skupiłem się na tym, żeby dowieźć nas oboje na komendę w jednym kawałku.

W bardzo wygodnym pokoju zadzwonił telefon. Nie zaświergotał wulgarnie, nie odegrał też salsy ani fragmentu Beethovena, jak nowoczesne komórki. Nie, zamruczał zwyczajnym, staroświeckim dźwiękiem, tak jak telefony dzwonić powinny.

Tradycyjny dzwonek dobrze pasował do tego pokoju, urządzonego z nadzwyczaj krzepiącą elegancją. Był w nim komplet skórzanych mebli – kanapa i dwa fotele – podniszczonych, ale tylko tak, jak podniszczona jest ulubiona para butów. Telefon stał na ciemnym mahoniowym stoliku pod przeciwległą ścianą, obok barku z tego samego gatunku drewna.

Ogólnie pokój miał ponadczasową, swobodną atmosferę bardzo starego, szacownego klubu dla dżentelmenów. Wrażenie to psuł tylko jeden detal: miejsce między barkiem a kanapą zajmowała duża oszklona szafka, skrzyżowanie gabloty na trofea z regałem na rzadkie książki. Jednak zamiast półek, w środku znajdowały się setki wyłożonych filcem wnęk. W nieco ponad połowie z nich spoczywały starannie ułożone ceramiczne głowy byka.

Do pokoju wszedł starzec, bez pośpiechu, ale i bez ostrożności i niezdecydowania, jakich można by oczekiwać po kimś w jego wieku. Jego krok był pewny, jak u dużo młodszego człowieka. Miał siwe, bujne włosy i cerę tak gładką, jakby wypolerował ją pustynny wiatr. Szedł do telefonu tak, jakby wiedział, że ktokolwiek chciał z nim rozmawiać, nie rozłączy się, dopóki on nie odbierze i najwyraźniej miał rację, bo kiedy podnosił słuchawkę, telefon wciąż dzwonił.

- Tak - powiedział głosem też dużo młodszym i mocniejszym, niż można by oczekiwać. Słuchając, wziął nóż ze stolika obok telefonu nóż. Był ze starego brązu. Zakrzywiona główka miała kształt łba byka, z osadzonymi w oczach dwoma dużymi rubinami, a na klindze wykreślone złote litery bardzo przypominające MLK. Podobnie jak jego właściciel, nóż był dużo starszy niż wyglądał i o wiele mocniejszy. Starzec od niechcienia przesunął kciukiem po ostrzu i na skórze został krwawy ślad. Nie przejął się tym. Odłożył nóż.

- Dobrze - powiedział. - Przywieź ich tutaj. - Chwilę słuchał, zlizując krew z kciuka. - Nie - rzucił w końcu i przesunął językiem po dolnej wardze. - Inni już się zbierają. Moloch i jego lud nie boją się sztormu. Przez trzy tysiące lat widzieliśmy dużo gorsze rzeczy i wciąż tu jesteśmy.

Jeszcze chwilę słuchał, po czym przerwał rozmówcy z nutą zniecierpliwienia w głosie.

- Nie - rozkazał. - Żadnych opóźnień. Niech Obserwator przyprowadzi go do mnie. Już czas.

Starzec odłożył słuchawkę i chwilę stał nieruchomo. Potem znowu podniósł nóż i jego gładka stara twarz się wykrzywiła.

Wyglądało to prawie jak uśmiech.

Wiatr i deszcz zacinały ostro, ale tylko momentami, a prawie całe Miami już opuściło drogi i zajęło się wypełnianiem wniosków o odszkodowania za przewidywane szkody, więc ruch był do zniesienia. Jeden potężny podmuch omal nie zepchnął nas z autostrady, ale mimo to dość szybko dotarliśmy na miejsce.

Debora czekała w rejestracji.

- Chodźcie do mojego gabinetu - rzuciła - tam powiecie mi, co wiecie. - Poszliśmy za nią do windy i wjechaliśmy na górę.

Nazywać miejsce pracy Debory „gabinetem” to lekka przesada. To jeden z kilku identycznych boksów wydzielonych z większego pomieszczenia. Zmieściły się w nim biurko, krzesło i dwa składane krzesła dla gości. Usiedliśmy.

- No dobrze - powiedziała - co się stało?

- Ja ten... wysłałam ich na podwórko - odparła Rita. - Żeby pozbierali zabawki i całą resztę. Przed huraganem.

Debora skinęła głową.

- I co potem?

- Weszłam do domu, żeby schować prowiant. A kiedy wyszłam, już ich nie było. To... raptem parę minut później i... - Rita ukryła twarz w dłoniach i załkała.

- Widziałaś, żeby ktoś do nich podszedł? Albo choć jakieś obce samochody w okolicy? Cokolwiek?

Rita pokręciła głową.

- Nie, nic, po prostu zniknęli.

Debora spojrzała na mnie.

- Co do licha, Dexter. To wszystko? Cała historia? Skąd wiesz, że nie grają u sąsiada na Nintendo?

- Daj spokój, Debora. Jeżeli jesteś zbyt zmęczona, żeby pracować, to mów tak od razu. A jeśli nie, to przestań chrzanić. Wiesz równie dobrze jak ja...

- Nie wiem nic, ty też nie - odparowała.

- To znaczy, że nie uważałaś - powiedziałem i zorientowałem się, że przybieram ton prawie tak ostry jak ona, co mnie lekko zaskoczyło. Emocje? Ja? - Ta wizytówka, którą zostawił Cody'emu, mówi nam wszystko.

- Oprócz tego, gdzie, dlaczego i kto - warknęła. - I wciąż czekam na sugestie.

Choć rad bym odwarknąć Deb, nie bardzo miałem co. Musiałem przyznać jej rację. To, że Cody i Astor zaginęli, nie znaczyło, że nagle wpadły nam w ręce nowe informacje, które doprowadzą nas do zabójcy. Dowodziło tylko, że stawka ostro poszła w górę i że brakuje nam czasu.

- Co z Wilkinsem? - rzuciłem.

Machnęła ręką.

- Obserwują go.

- Jak ostatnio?

- Proszę - wtrąciła Rita głosem, do którego wkradała się histeria - o czym wy mówicie? Czy nie dałoby się jakoś po prostu... To znaczy, wszystko jedno jak... - Jej słowa przeszły w następną serię szlochów i Debora spojrzała na nią, a potem na mnie. - Proszę - zawodziła Rita.

Jej głos, przechodzący w krzyk, rozbrzmiał echem w mojej głowie i jakby wpuścił jeszcze jedną, ostatnią kroplę bólu do wirującej we mnie pustki, która zlewała się z odległą muzyką.

Wstałem.

Zachwiałem się lekko i usłyszałem, jak Debora wypowiada moje imię, a potem dobiegła mnie muzyka, cicha, ale natarczywa, zupełnie jakby czaiła się tam cały czas i czekała tylko na moment, kiedy będę mógł jej posłuchać i nic mnie nie będzie rozpraszało, i jak tylko skupiłem się na dudnieniu bębnow, wezwała mnie, wezwała tak, jak wiedziałem, że to robiła od samego początku, ale teraz bardziej nagłaco, coraz bliższa szczytu ekstazy, i kazała mi iść za nią, tędy, w jej objęcia.

I pamiętam, że niezmiernie się ucieszyłem, iż to już, i choć słyszałem, że Debora i Rita coś do mnie mówią, nie wydawało

mi się, by mogły mieć do powiedzenia coś wielce istotnego, nie teraz, kiedy muzyka wzywała i niosła upragnioną obietnicę szczęścia doskonałego. Dlatego uśmiechnąłem się do nich i chyba nawet powiedziałem: „Przepraszam”, po czym wyszedłem z pokoju, nie zważając na ich zdumione miny. Ruszyłem na drugi koniec parkingu, skąd płynęła muzyka.

Czekał tam na mnie samochód, co uradowało mnie jeszcze bardziej, i pospieszyłem do niego, poruszając nogami w cudnym, płynnym rytmie muzyki, i kiedy podszedłem, tylne drzwi się otworzyły, a dalej już nic nie pamiętam.

Nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy.

Radość nadciągnęła jak kometa, wielka potężna kula ognia wirująca na ciemnym niebie nadlatywała z niewyobrażalną prędkością, by mnie wchłonąć i porwać do bezkresnego wszechświata ekstazy i wszechwiedzącej jedności, miłości i zrozumienia – gdzie nie będzie nic prócz nieustającej rozkoszy, we mnie, ze mnie i wokół mnie, na wieki wieków, amen.

I niosła mnie po dziewiczym nocnym niebie, otulonego ciepłym, oślepiającym blaskiem euforycznej miłości, i kołysała jak dziecko w kolebce, a ja czułem radość, radość, nieskończoną radość. Wirowałem coraz szybciej, piąłem się coraz wyżej, przepelniony niewyobrażalnym szczęściem, kiedy nagle przez moją głowę przetoczył się donośny huk i otworzyłem oczy w małej ciemnej klitce bez okien, z twardą podłogą i ścianami z betonu. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani skąd się tu wziąłem. Nad drzwiami paliło się pojedyncze słabe światło, leżałem na podłodze w jego przyćmionym blasku.

Szczęście przysło, całkowicie, i nie zastąpiło go nic prócz poczucia, że gdziekolwiek jestem, nieprędko odzyskam radość i wolność. I choć w pokoju nie widziałem byczych łbów, ani ceramicznych, ani żadnych innych, a na podłodze nie leżały sterty starych aramejskich czasopism, nietrudno było dodać dwa do dwóch. Poszedłem za muzyką, wpadłem w ekstazę i straciłem panowanie nad sobą. A to znaczyło, że prawdopodobnie dorwał mnie Moloch, wszystko jedno, prawdziwy czy mityczny.

Chociaż może lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków. A nuż chodząc we śnie, zabłąkałem się do jakiegoś schowka i żeby wyjść, wystarczy przekręcić gałkę w drzwiach. Wstałem z pewnym trudem – przymulony i na miękkich nogach, i domyśliłem się, że cokolwiek mnie tu ściągnęło, udział w tym miał jakiś narkotyk. Chwilę stałem i skupiałem się na tym, by pomieszczenie przestało mi wirować przed oczami, i po kilku głębokich oddechach wreszcie się udało. Zrobiłem

krok w bok i dotknąłem ściany: bardzo solidne betonowe bloki. Drzwi okazały się prawie tak samo grube i porządnie zamknięte; nawet nie drgnęły, kiedy uderzyłem w nie ramieniem. Obszedłem mały pokój, w zasadzie nie większy od sporej szafy. Pośrodku znajdował się otwór odpływowy, poza tym nie zauważyłem żadnych innych elementów wyposażenia ani mebli. Raczej nie dodało mi to otuchy, bo z tego by wynikało, że albo miałem załatwić swoje potrzeby do dziury w podłodze, albo nie przewidywano, bym został tu dość długo, by w ogóle jakieś potrzeby mieć. A to nie wróżyło nic dobrego.

Nie żebym cokolwiek mógł zrobić, bez względu na to, jakie miano plany wobec mojej osoby. Czytałem *Hrabiego Monte Christo* i *Więźnia Zandy* i wiedziałem, że gdybym tylko miał łyżkę albo sprzączkę od paska, bez trudu wykopałbym tunel i może już za piętnaście lat odzyskał wolność. Niestety, ktoś nie pomyślał, żeby dać mi łyżkę, i przywłaszczył też sobie moją sprzączkę od paska. Przynajmniej wiele mi to o nim mówiło. Był bardzo ostrożny, a zatem zapewne doświadczony, i nie miał za grosz poczucia przyzwoitości, bo nie obchodziło go, że bez paska mogą mi spadać spodnie. Nadal jednak nie wiedziałem, kim jest ani czego ode mnie chce.

A to niedobra wiadomość.

I znikąd nie miałem najmniejszej wskazówki, co z tym fantem zrobić. Mogłem tylko siedzieć i czekać.

Tak zrobiłem.

Rozmyślania podobno są zdrowe dla duszy. Ludzie od zarania dziejów szukali ciszy i spokoju, odrobiny czasu dla siebie z dala od zgiełku, po to tylko, by sobie porozmyślać. A ja tu wszystko miałem – ciszę, spokój, czas dla siebie, a mimo to jakoś ciężko było rozsiać się wygodnie w cementowym pokoiku i czekać, aż najdą mnie jakieś refleksje i uleczą mi duszę.

Pierwsza sprawa, nie miałem pewności, czy w ogóle mam duszę. Jeśli tak, to co jej do łba strzeliło, żeby przez te wszystkie lata pozwalać mi robić takie straszne rzeczy? Czy Mroczny Pasażer zajął miejsce tego hipotetycznego tworu, podobno siedzącego w każdej istocie ludzkiej? I czy teraz, kiedy zostałem bez Pasażera, wykluje się we mnie nowa, prawdziwa dusza i koniec końców stanę się człowiekiem?

No proszę, a jednak zacząłem rozmyślać, tyle że jakoś nie miałem z tego specjalnej satysfakcji. Mogłem sobie myśleć, aż mi zęby powypadają, a to i tak nie wyjaśni, gdzie się podział mój Pasażer i gdzie byli Cody i Astor. Ani nie wyciągnie mnie z tego pokoiku.

Wstałem i obszedłem pomieszczenie, tym razem wolniej, wypatrując jakiegoś słabego punktu. W kącie zauważyłem otwór wentylacyjny – idealna droga ucieczki, gdybym tylko był rozmiarów fretki. W ścianie obok drzwi gniazdko. I tyle.

Stałem przy drzwiach i obmacałem je. Ciężkie i grube, nie dawały cienia nadziei, że mógłbym je wyważyć, wyłamać zamek czy otworzyć w jakikolwiek inny sposób bez pomocy ładunków wybuchowych lub walca drogowego. Jeszcze raz rozejrzałem się po celi, ale w żadnym z kątów nie wypatrzyłem ani tego, ani tego.

Byłem uwięziony. Zamknięty, schwytyany, odosobniony, w ciężkiej niewoli – nawet synonimy nie poprawiły mi nastroju. Przyłożyłem policzek do drzwi. Po co w ogóle się łudzić? Na co miałbym liczyć? Że ktoś wypuści mnie z powrotem na świat, gdzie już nie miałem po co żyć? Czy nie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, by pokonany Dexter po prostu odszedł w niebyt?

Przez grube drzwi usłyszałem coś, jakiś piskliwy, nadciągający dźwięk. I kiedy był już blisko, poznałem, co to: dwa spierające się głosy – jeden męski, drugi wyższy, natarczywy, brzmiący bardzo znajomo.

Astor.

– Głupi! – powiedziała, kiedy znaleźli się na wysokości moich drzwi. – Nie muszę... – I poszli.

– Astor! – krzyknąłem na cały głos, choć wiedziałem, że nie ma szans mnie usłyszeć. I na dowód, że głupotę spotkać można zawsze i wszędzie, walnąłem w drzwi obiema dłońmi i jeszcze raz wrzasnąłem: – Astor!

Oczywiście, nie było żadnego efektu, oprócz lekkiego szczypania dłoni. I, jako że nic innego nie przyszło mi do głowy, osunąłem się na podłogę, oparłem o drzwi i czekałem na śmierć.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem. Nie prezentowałem heroicznej postawy. Wiem, powinienem zerwać się na nogi, wyciągnąć cudowny pierścień i wykorzystać moje tajemne radioaktywne moce, żeby przegryźć się przez ścianę. Ale byłem wykończony. Pomyślałem,

że hardy głosik Astor, który usłyszałem, to jakby ostatni gwóźdź do trumny. Mroczny Rycerz odszedł. Zostało ze mnie samo opakowanie, a i ono się rozklejało.

Siedziałem więc zgarbiony, oparty o drzwi i nie działa się nic. Właśnie zastanawiałem się, jak by tu się powiesić na włączniku światła na ścianie, kiedy coś zaszurało za drzwiami. A potem ktoś je pchnął.

Oczywiście, po drodze byłem jeszcze ja, więc naturalnie to zaboląło, a i uraziło moją godność osobistą, zważywszy na miejsce, w które dostałem. Trochę przydługo zwlekałem z reakcją i tamten znów naparł na drzwi. Tym razem też zaboląło. A z bólu, rozkwitające pośród pustki jak pierwszy wiosenny kwiat, zrodziło się coś prawdziwie wspaniałego.

Wściekłość.

Nie jakaś tam irytacja, wkurzenie, że ktoś zrobił sobie z mojego tyłka odbój drzwiowy. Byłem naprawdę zły, rozjuszony, wściekły, że tak się mną pomiata, traktuje jak zbędny przedmiot, coś, co trzyma się pod kluczem, popychadło dla każdego, kto ma rękę i musi się wyżyć. Nieważne, że jeszcze przed chwilą sam miałem o sobie równie niskie mniemanie. To się zupełnie nie liczyło – wściekłem się w klasycznym tego słowa rozumieniu, czyli na wpół oszalały, niewiele myśląc, z całej siły odepchnąłem drzwi.

Poczułem lekki opór i trzasnął zamykany zamek. Pomyślałem „A masz!” – choć właściwie nie wiedziałem, co by to miało znaczyć. I kiedy wbiłem wzrok w drzwi, te znów zaczęły się otwierać, więc naparłem na nie, aż się zamknęły. Sprawilo mi to niesamowitą satysfakcję i poczułem się tak dobrze, jak dawno się nie czułem; kiedy jednak rozpierająca mnie czysta, ślepa furia nieco opadła, przyszło mi do głowy, że choć walenie w drzwi bardzo relaksuje, to koniec końców wielkiego pożytku nie przyniesie i wcześniej czy później będę musiał skapitulować, bo nie miałem żadnych narzędzi ani broni, a ten za drzwiami, przynajmniej teoretycznie, mógł posłużyć się czym tylko zechce.

W tej właśnie chwili drzwi znów się uchyliły, zatrzymując na mojej nodze, i kiedy odruchowo je odepchnąłem, wpadłem na pewien pomysł. To był durny, czysty eskapizm à la James Bond, ale kto wie, może coś z tego będzie, a poza tym nie miałem nic do stracenia. A że tak to ze mną jest, że ledwie pomyślę, a już rwę się do czynu,

to gdy tylko zamknąłem drzwi ramieniem, odsunąłem się na bok i czekałem.

Jak przewidziałem, drzwi otworzyły się z hukiem, tym razem nie napotykając mojego oporu, a kiedy odleciały na bok i uderzyły w ścianę, do środka wpadł wytrącony z równowagi mężczyzna w czymś w rodzaju munduru. Chciałem chwycić go za rękę, ale chybiłem i zamiast tego złapałem ramię, to jednak wystarczyło; obróciłem się na pięcie i ile sił pchnąłem go głową na ścianę. Rozległ się przyjemny dla ucha łoskot, jakby dużego arbuza spadającego ze stołu kuchennego, facet odbił się od ściany i runął twarzą na podłogę.

I patrzajcie narody, oto Dexter odrodzony i triumfujący; stałem dumnie nad ciałem pokonanego wroga, przed otwartymi drzwiami, za którymi czekała wolność, odkupienie, a potem może lekka kolacja.

Szybko przeszukałem strażnika, zabrałem mu pęk kluczy, duży scyzoryk i pistolet automatyczny, który w najbliższym czasie raczej nie będzie mu potrzebny. Wszedłem ostrożnie na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Gdzieś tam czekali Cody i Astor, a ja ich znajdę. Co zrobię wtedy, nie wiedziałem, ale to nieważne. Znajdę ich.

Budynek był mniej więcej wielkości dużego domu w Miami Beach. Ostrożnie przekradłem się w głąb długiego korytarza, kończącego się drzwiami podobnymi do tych, z którymi dopiero co się przepychałem.

Podszedłem na palcach i zacząłem nasłuchiwać. Nie usłyszałem nic, ale drzwi były tak grube, że to jeszcze nic nie przesądzało.

Położyłem dłoń na gałce i bardzo powoli przekręciłem. Drzwi się otworzyły.

Ukradkiem wyjrzałem zza nich i nie zobaczyłem nic niepokojącego, z wyjątkiem paru mebli, które wyglądały, jak z prawdziwej skóry – zapisałem sobie w pamięci, żeby powiadomić Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt. Był to dość elegancki pokój i kiedy otworzyłem drzwi szerzej, w przeciwnym kącie zobaczyłem bardzo ładny mahoniowy barek.

Jednak bardziej interesująca wydawała się gablota na trofea obok barku. Ciągnęła się przez kilka metrów wzdłuż ściany i, jeśli wzrok mnie nie mylił, za szybą majaczyły ułożone w rzędach rozmaite ceramiczne bycze łby, każdy oświetlony odrębnym minireflektorem. Nie liczyłem, ale musiało ich być ponad sto. I zanim mogłem wejść do środka, usłyszałem głos, tak zimny i oschły, że bardziej zimny i oschły już być nie mógł, przynajmniej jeśli należał do człowieka.

- Trofea. - Podskoczyłem i skierowałem pistolet w stronę dźwięku. - Ściana pamięci poświęcona bogu. Każda głowa symbolizuje duszę, którą do niego posłaliśmy. - W pokoju siedział starzec. Tylko na mnie patrzył, ale jego widok był jak cios obuchem. - Dla każdej ofiary robimy nową - mówił. - Wejdz, Dexter.

Nie wyglądał zbyt groźnie. Prawdę mówiąc, prawie go nie widziałem, bo ginął w jednym z dużych skórzanych foteli. Powoli wstał, z ostrożnością starego człowieka, i zwrócił na mnie twarz zimną i gładką jak obmywany przez rzekę gład.

- Czekaliśmy na ciebie - usłyszałem, choć z tego, co zauważyłem, był w pokoju sam, nie licząc mebli. - Wejdz.

Tak naprawdę nie wiem, czy to przez to, co powiedział, czy jak to powiedział, czy z jakiegoś zupełnie innego powodu. W każdym razie, kiedy spojrzał prosto na mnie, nagle poczułem się, jakby w pokoju zabrakło powietrza. Cała szaleńcza werwa, którą tryskałem podczas ucieczki, jakby wyciekła ze mnie i rozlała się kałużą u stóp, zaś na jej miejsce wdarła się wielka ogłuszająca pustka, a z nią poczucie, że na świecie nie ma nic prócz bezcelowego bólu, a ten człowiek jest jego panem.

- Narobiłeś nam mnóstwo kłopotów.

- Dobrze i to - odparłem. Z trudnością wydobyłem z siebie głos i nawet ja miałem wrażenie, że marnie to wypadło, ale przynajmniej udało mi się trochę starca zdenerwować. Zrobił krok w moją stronę, a ja złapałem się na tym, że chcę się odsunąć. - A propos - powiedziałem, usiłując nie okazywać, że czułem się, jakbym topniał - kim są „my”?

Przechylił głowę na bok.

- Myślę, że wiesz. W końcu już dość długo nam się przyglądasz. - Zrobił następny krok do przodu i moje kolana zdrząły lekko. - Ale skoro już tak miło sobie rozmawiamy... - dodał - ...jesteśmy wyznawcami Molocha. Spadkobiercami króla Salomona. Przez trzy tysiące lat zachowywaliśmy wiarę w naszego boga i strzeżliśmy jego tradycji i jego mocy.

- A ty ciągle z tym „my”.

Skinął głową i ten ruch sprawił mi ból.

- Są tu też inni - wyjaśnił. - Ale „my” to, jak zapewne wiesz, Moloch. On żyje we mnie.

- Czyli to ty pozabijałeś te dziewczyny? I mnie śledziłeś? - Przyznam, że trudno mi było sobie wyobrazić, by ten staruszek mógł się z tym wszystkim uporać.

Nawet się uśmiechnął, ale zimno, tak że nie poprawiło mi to samopoczucia.

- Nie osobiście, nie. To byli Obserwatorzy.

- Czyli... To znaczy, że on z ciebie wychodzi?

- Oczywiście. Moloch, kiedy tylko zechce, może przenieść się do każdego z nas. Nie jest jedną osobą i nie przebywa w jednej osobie.

Kiedy trzeba, wychodzi ze mnie i wstępuje w kogoś innego. Żeby obserwować.

- Dobrze mieć hobby - stwierdziłem. Nie bardzo wiedziałem, do czego ta rozmowa zmierza ani czy mój drogocenny żywot nie wychodzi na ostatnią prostą, więc zadałem pierwsze pytanie, które mi przyszło do głowy. - To dlaczego zostawiłeś ciała na kampusie?

- Chcieliśmy cię znaleźć, oczywiście. - Na te słowa zamarłem w bezruchu.

- Wpadłeś nam w oko, Dexter - ciągnął - ale musieliśmy się upewnić. Obserwować cię, żeby zobaczyć, czy rozpoznasz nasz rytuał i wyczujesz naszego Obserwatora. A że udało się skłonić policję, by skupiła się na Halpernie, tym lepiej dla nas.

Nie wiedziałem, od czego zacząć.

- Nie jest jednym z was? - spytałem.

- Och, nie - odpowiedział uprzejmie. - Kiedy tylko wyjdzie z aresztu, dołączy do pozostałych. - Wskazał ruchem głowy gablotę z trofeami, wypełnioną ceramicznymi głowami byka.

- Czyli to nie on zabił dziewczyny.

- On, naturalnie. Za namową przebywającego w nim jednego z Dzieci Molocha. - Przekrzywił głowę. - Jestem pewien, że kto jak kto, ale ty potrafisz to zrozumieć.

Oczywiście, że potrafiłem. Ale to nie odpowiadało na żadne z moich najważniejszych pytań.

- Moglibyśmy wrócić do tego, jak mówiłeś, że wpadłem wam w oko? - spytałem uprzejmie, myśląc o tym, ile trudu sobie zadałem, żeby nie zwracać niczyjej uwagi.

Spojrzał na mnie, jakbym miał wyjątkowo zakuty łeb.

- Zabiłeś Alexandra Macauleya - powiedział.

Zapadki osłabionego stalowego zamka, jakim był mózg Dextera, wreszcie zaskoczyły.

- Zander należał do was?

Lekko pokręcił głową.

- Mało znaczący pomocnik. Dostarczał materiały do naszych obrzędów.

- Przywoził wam lumpów, a wyście ich zabijali.

Wzruszył ramionami.

- Dexter, my składamy w ofierze, nie zabijamy. Tak czy inaczej, kiedy porwałś Zandera, zaczęliśmy cię śledzić i odkryliśmy, czym jesteś.

- A czym jestem? - wykrztusiłem lekko podekscytowany myślą, że stoję twarzą w twarz z kimś, kto może wyjaśnić zagadkę, jaka nurtowała mnie praktycznie odkąd pierwszy raz sięgnąłem po nóż. Nagle jednak zaschło mi w ustach i kiedy czekałem, co starzec powie, ogarnęło mnie uczucie, które bardzo przypominało autentyczny strach.

Jego spojrzenie wyostrzyło się.

- Jesteś wynaturzeniem. Czymś, co nie powinno istnieć.

Przyznam, że są momenty, kiedy zgodziłbym się z tym poglądem, ale to nie był jeden z nich.

- Nie chcę, żeby zabrzmiało to nieuprzejmie, ale lubię istnieć.

- Decyzja już nie należy do ciebie. Masz w sobie coś, co stanowi dla nas zagrożenie. Zamierzamy pozbyć się i tego, i ciebie.

- Szczerze mówiąc - powiedziałem pewien, że miał na myśli mojego Mrocznego Pasażera - tego czegoś już nie ma.

- Wiem - odparł z lekką irytacją - ale pierwotnie przyszło do ciebie, zwabione wielkim, traumatycznym cierpieniem. Zżyło się z tobą. Jest też jednak bękartem Molocha, a to wiąże ciebie z nami. - Pogroził mi palcem. - Dlatego mogłeś słyszeć muzykę. Dzięki łączności, którą nawiązał twój Obserwator. A kiedy zadamy ci wystarczająco silne cierpienie w bardzo krótkim czasie, on powróci jak ćma do płomienia.

To mi się raczej nie spodobało i zorientowałem się, że rozmowa szybko wymyka się spod mojej kontroli, ale w samą porę przypomniałem sobie, że przecież mam pistolet. Wymierzyłem go w starego i, rozdygotany, bo rozdygotany, ale się wyprostowałem.

- Chcę moje dzieci.

Niezbyt się przejął widokiem broni wycelowanej w jego pępek, co wydało mi się dowodem zbyt daleko posuniętej pewności siebie. U biodra miał duży, groźnie wyglądający nóż, ale nie sięgał po niego.

- Dzieci to już nie twoje zmartwienie - stwierdził. - Teraz należą do Molocha. Moloch lubi smak dzieci.

- Gdzie są? - rzuciłem.

Niedbale machnął ręką.

- Na Toro Key, ale już za późno, żebyś mógł przerwać rytuał.

Toro Key to wyspa odległa od lądu stałego i w całości prywatna. Choć jednak zwykle miło dowiedzieć się, gdzie człowiek jest, tym razem nasunęło mi to sporo bardzo trudnych pytań – na przykład, gdzie byli Cody i Astor, i jak zapobiec swojemu rychłemu zejściu z tego świata?

– Jeśli nie masz nic przeciwko – dla podkreślenia wagi swoich słów pokiwałem pistoletem – odbiorę dzieci i wrócimy do domu.

Ani drgnął. Spojrzał tylko na mnie i wręcz widziałem, jak z jego oczu wysunęły się trzepoczące czarne skrzydła; zanim mogłem pociągnąć za spust, odetchnąć czy choćby mrugnąć powiekami, usłyszałem narastające bicie w bębny, uparcie powracały do rytmu, który już wrył się w moją pamięć, a po chwili dołączyły do nich trąby, które wiodły chór głosów na wyżyny szczęścia, i zastygłem w bezruchu.

Widziałem normalnie, inne zmysły też pracowały bez zakłóceń, ale nie słyszałem nic prócz muzyki i nie mogłem robić nic prócz tego, co mówiła muzyka. A mówiła, że tuż, za drzwiami tego pokoju, czeka prawdziwe szczęście. Wzywała, żebym przyszedł i nabrał go tyle, ile zdołam udźwignąć, napełnił ręce i serce rozkoszą wiekuistą, radością, która pochłonie wszystko, i zobaczyłem, że odwracam się w stronę drzwi i nogi niosą mnie ku mojemu szczęśliwemu przeznaczeniu.

Kiedy byłem już przy drzwiach, te stanęły otworem i wszedł profesor Wilkins. On też miał broń i przelotnie zerknąwszy na mnie, skinął głową starcowi.

– Wszystko gotowe – powiedział.

Ledwie dosłyszałem jego głos przez burzę uczuć i dźwięków i ochoczo ruszyłem do drzwi.

Gdzieś głęboko pod tym wszystkim słaby, piskliwy głosik Dextera krzyczał, że nic nie jest tak, jak być powinno, i żądał zmiany kierunku. Brzmiał jednak tak cicho, a muzyka tak potężna, wyrastała ponad wszystko w tym nieskończenie cudownym świecie i ani przez chwilę nie było najmniejszych wątpliwości, co zrobić.

Podszedłem do drzwi w rytmie wszechobecnej muzyki, mgliście świadom, że starzec idzie ze mną, ale tak naprawdę nie interesowało mnie ani to, ani nic innego. Wciąż miałem pistolet w ręku – nie zabrali mi go, bo i po co, skoro nawet do głowy mi nie przyszło, by go użyć. Nie liczyło się nic prócz tego, by podążać za muzyką.

Starzec ominął mnie i otworzył drzwi; poczułem gorący podmuch na twarzy, wyszedłem i ujrzałem boga we własnej osobie, źródło muzyki, źródło wszystkiego, wielką, wspaniałą fontannę ekstazy zwieńczoną rogami byka. Górował nad wszystkim, jego ogromna głowa z brązu patrzyła z wysokości ośmiu metrów, ręce wyciągały się do mnie, w odsłoniętym brzuchu płonął piękny, gorący blask. Z lekkim sercem podszedłem do niego, nie zwracając uwagi na garstkę ludzi, którzy stali obok i patrzyli, choć wśród nich była Astor. Na mój widok zrobiła wielkie oczy i poruszyła ustami, ale nie usłyszałem, co powiedziała.

A mały Dexter we mnie krzychał głośnie, ale tylko na tyle głośno, żeby go usłyszeć, a zdecydowanie za cicho, żeby go usłyszeć. Szedłem dalej na spotkanie boga, widziałem płonący w nim żar, patrzyłem, jak płomień w jego brzuchu pełgają i skaczą, miotane szalejącym wśród nas wiatrem. I kiedy już podszedłem najbliżej, jak się dało, przy samym otwartym piecu, zatrzymałem się i czekałem. Nie wiedziałem, na co, ale wiedziałem, że to nadchodzi i że przeniesie mnie do cudownej wieczności, więc czekałem.

Pojawił się Starzak, który trzymał Cody'ego za rękę i zaciągnął go do nas; Astor wyrywała się stojącemu obok niej strażnikowi. Nie miało to jednak znaczenia, w bliskości boga, jego rozłożone ręce zaczęły opadać, by wziąć mnie w objęcia i pochwycić w ciepłym, rozkosznym uścisku. Przeszedł mnie dreszcz radości i nie słyszałem już piskliwych, daremnych protestów Dextera, nie słyszałem nic prócz głosu boga wołającego spośród muzyki.

Wiatr podsycił ogień i Astor wpadła na mnie. Zatoczyłem się na bok posągu, w żar buchający z jego brzucha. Wyprostowałem się, przelotnie tylko rozdrażniony, i znów mogłem obserwować, jak bóg – cud nad cuda – opuszcza ręce, a strażnik popycha Astor, by dołączyła do mnie w objęciach z brązu, kiedy nagle poczułem swąd spalenizny i pieczenie nóg; spojrzałem w dół i zobaczyłem, że palą mi się spodnie.

Natychmiast podniósł się we mnie krzyk oburzenia setki tysięcy neuronów i mgła uniosła mi się przed oczu. Muzyka okazała się tylko dźwiękiem płynącym z głośnika, a tu, obok, stali Cody i Astor i groziło im wielkie niebezpieczeństwo. Miałem wrażenie, jakby gdzieś we mnie pękła tama i przez wyrwę na powrót wlał się Dexter. Odwróciłem się do strażnika i odciągnąłem go od Astor. Posłał mi tępe, zaskoczone spojrzenie i przewrócił się; padając, złapał mnie za rękę

i pociągnął za sobą. Przynajmniej jednak zostawił Astor, a uderzając w ziemię, wypuścił z dłoni nóż, który wylądował koło mnie. Podniosłem go i zatopiłem ostrze w splocie słonecznym strażnika. Pasowało jak ulał.

Wtedy ból nóg przybrał na sile i natychmiast przystąpiłem do gaszenia tłących się spodni, turlałem się i klepałem je dłońmi, aż przestały się palić. I choć fajnie było już nie robić za żywą pochodnię, tych kilka sekund wystarczyło Starzakowi i Wilkinsowi, by rzucić się na mnie. Porwałem pistolet z ziemi i podźwignąłem się na nogi, twarzą do nich.

Dawno temu Harry nauczył mnie strzelać. Teraz wręcz słyszałem jego głos, kiedy stanąłem w pozycji strzeleckiej, wypuściłem powietrze z ust i spokojnie pociągnąłem za spust. Celuj w korpus i oddaj dwa strzały. Starzak fika. Skieruj broń na Wilkinsa, jeszcze raz to samo. I oto na ziemi leżały dwa trupy, pozostali gapie rozbiegli się w popłochu, a ja zostałem sam obok boga, sam w miejscu, w którym nagle zapadła głęboka cisza, huczał tylko wiatr. Odwróciłem się, by sprawdzić dlaczego.

Starzec miał Astor. Trzymał ją za szyję, w uścisku dużo silniejszym niż wydawało się możliwe przy jego wątłej budowie. Popchnął ją bliżej pieca.

- Rzuć broń - usłyszałem - albo dziewczyna się spali.

Nie widziałem powodu, by wątpić, że spełni swoją groźbę, a nie miałem pomysłu, jak go powstrzymać. Wszyscy żywi uciekli. Oprócz nas.

- Jeśli rzucę broń - powiedziałem i miałem nadzieję, że sprawiam rozsądne wrażenie - skąd mogę wiedzieć, że i tak jej nie spalisz?

Warknął na mnie i nawet teraz wywołało to szarpnięcie rozdzierającego bólu.

- Nie jestem mordercą - stwierdził. - Trzeba to zrobić jak należy, inaczej to zwykłe zabójstwo.

- Nie bardzo widzę różnicę.

- Nic dziwnego. Jesteś wynaturzeniem.

- Skąd mam wiedzieć, że i tak nas nie zabijesz?

- To ciebie muszę wrzucić do ognia. Rzuć broń, a ocalisz dziewczynę.

- Jakoś mnie to nie przekonuje - odparłem. Grałem na czas w nadziei, że coś mi wpadnie do głowy.

- Nie musi - powiedział. - To nie pat; na wyspie są inni i niedługo wrócą. Wszystkich nie powystrzelasz. I nadal jest tu bóg. Ale skoro chcesz, żeby cię przekonać, może potnę twoją małą, to widok jej krwi przemówi ci do rozsądku? - Sięgnął do biodra, nic nie znalazł i zmarszczył czoło. - Mój nóż. - Zaskoczenie na jego twarzy przeszło w głębokie zdumienie. Gapił się na mnie bez słowa, z szeroko rozdziawionymi ustami, jakby szykował się do odśpiewania arii.

I nagle osunął się na kolana, ściągnął brwi i runął na twarz, ukazując sterczące z pleców ostrze noża - i Cody'ego, który stał i patrzył z uśmiechem na upadającego starca, by następnie podnieść oczy na mnie.

- Mówiłem, że jestem gotowy - powiedział.

Huragan w ostatniej chwili zboczył na północ i dał o sobie znać tylko tym, że lało jak z cebra i trochę wiało. Najgorszy sztorm przeszedł na północ od Toro Key i Cody, Astor i ja resztę nocy spędziliśmy zamknięci w eleganckim pokoju, z kanapą pod jednymi drzwiami i dużym wyściełanym fotelem pod drugimi. Z telefonu, który znalazłem w pokoju, zadzwoniłem do Debory i zrobiłem za barkiem małe posłanie z poduszek, w przekonaniu, że gruby mahoń zapewni dodatkową osłonę, gdyby taka okazała się przydatna.

Nie było takiej potrzeby. Przez całą noc siedziałem z pożyczonym pistoletem w ręku i obserwowałem oboje drzwi i uśpione dzieci. A ponieważ nikt nam nie przeszkadzał, to nie wystarczyło, by utrzymać dorosłą mózgownicę przy życiu, więc zająłem się też myśleniem.

Myślałem, co powiedzieć Cody'emu, gdy się obudzi. Kiedy pchnął starca nożem, zmienił wszystko. Nieważne, co sądził, brakowało mu gotowości tylko dlatego, że zrobił to, co zrobił. Wręcz przeciwnie, utrudnił sobie życie. Miał przed sobą długą, krętą drogę, a ja nie wiedziałem, czy nadaję się do tego, by mu na niej towarzyszyć. Nie byłem Harrym i nigdy nie będę taki jak on. Harry działał z miłości, ja miałem zupełnie inny system operacyjny.

Tylko czym ten system był teraz? Czym był Dexter bez Mroku?

Jak w ogóle będę mógł żyć, a co dopiero uczyć dzieci, jak żyć, gdy miałem w sobie tylko bezdenną szarą próżnię? Starzec powiedział, że Pasażer wróci, jeśli odczuję wystarczająco silny ból. To znaczy co, będę musiał zadać sobie tortury fizyczne, żeby go wezwać? Niby jak? Dopiero co stałem w płonących gaciach i patrzyłem, jak wrzucają Astora do ognia, a to nie wystarczyło, żeby ściągnąć Pasażera z powrotem.

Myślałem, myślałem i nic nie mogłem wymyślić, aż w końcu nastał świt i przyjechali Debora, antyterrorysty i Chutsky. Na wyspie nie znaleźli nikogo ani niczego, co mogłoby wskazywać, gdzie się wszyscy podzieli. Ciała starca, Wilkinsa i Starzaka zostały oznaczone i zapakowane do worków, i całą grupą załadowaliśmy się do wielkiego

śmigłowca Straży Przybrzeżnej, który przetransportował nas na stały ląd. Cody i Astor oczywiście byli wniebowzięci, choć znakomicie udawali, że nie zrobiło to na nich wrażenia. A po tym, kiedy Rita ich wyściskała i oblała łzami, a reszta towarzystwa z zadowoleniem pogratulowała sobie dobrej roboty, życie potoczyło się dalej.

Właśnie tak: życie toczyło się dalej. Nie wydarzyło się nic nowego, moje problemy pozostały nierozwiązane i nie objawił się żaden nowy kierunek. Po prostu wróciła szara, upierdliwa rzeczywistość, która dobiła mnie dużo bardziej skutecznie, niż mógłby tego dokonać cały ból fizyczny na świecie. Może starzec miał rację - może byłem wynaturzeniem. Tylko że nawet to zostało mi odebrane.

Uszło ze mnie powietrze. Czuję się nie tylko pusty w środku, ale wręcz skończony, jakbym zrobił już wszystko, co miałem do zrobienia na tym świecie, i została ze mnie sama skorupa, która mogła tylko żyć wspomnieniami.

Wciąż łaknąłem wyjaśnienia tej nieobecności, która tak mnie dręczyła, ale go nie dostałem. I pewnie tak już zostanie. W moim odrętwieniu nigdy nie doznam bólu dość głębokiego, by przywołać Mrocznego Pasażera. Wszyscy byliśmy bezpieczni, źli ludzie poumierali albo zniknęli, ale jakoś miałem wrażenie, że mnie to nie dotyczy. Że brzmi to samolubnie? Cóż, nigdy nie kryłem, że jestem nieuleczalnym egocentrykiem, no chyba że ktoś akurat patrzył. Teraz oczywiście będę musiał się z tym kryć bez przerwy i ta myśl napełniła mnie niejasną, znużoną odrazą, z której nie mogłem się otrząsnąć.

To uczucie nie odstępowało mnie przez następnych kilka dni, aż w końcu usunęło się w cień na tyle, żebym powoli zaczął się godzić z moją nową dożywotnią dolą, Dextera Sponiewieranego. Nauczę się chodzić zgarbiony i ubierać na szaro, a dzieciarnia zacznie mi płatać złośliwe figle, bo będę taki smutny i posępny. Aż w końcu, w jakimś żałościwie starym wieku, po prostu przewrócę się przez nikogo niezauważony i wiatr rozniesie moje prochy po ulicy.

Życie toczyło się dalej. Dni przechodziły w tygodnie. Vince Masuoka rzucił się w wir przygotowań, znalazł nowego, bardziej sensownego kucharza, zabrał mnie na przymiarkę smokingu i, kiedy nadszedł dzień

ślubu, punktualnie odstawił mnie do zarośniętego kościoła w Coconut Grove.

Stałem więc przed ołtarzem, wsłuchany w muzykę organową, i czekałem cierpliwie i otępiały, aż Rita nadciągnie środkiem kościoła, żeby dać się zakuć ze mną w kajdany. Naprawdę piękna scena, szkoda tylko, że nie mogłem tego docenić. Do kościoła przyszło mnóstwo ładnie ubranych ludzi – nie wiedziałem, że Rita miała tylu znajomych! Może teraz i ja powinienem zacząć jakichś kolekcjonować, żeby stali przy mnie, gdy wiódł będę moje szare, bezsensowne życie. Ołtarz tonął w kwiatkach, a Vince stał u mojego boku, pocił się z nerwów i co kilka sekund odruchowo wycierał ręce w nogawki spodni.

Nagle organy ryknęły głośniejsze, na co wszyscy wstali i obejrzeli się za siebie. A oto i oni: Astor na czele, w pięknej białej sukience i włosach zakręconych w sprężynki, z ogromnym koszem kwiatów w dłoniach. Za nią Cody, w małym smokingu, z przylizanymi włosami, niósł aksamitną poduszeczkę, na której leżały obrączki.

Rita szła ostatnia. Kiedy zobaczyłem ją i dzieci, nagle przez głowę przebiegła mi wizja całej udręki, jaka czekała mnie w moim nowym, nudnym życiu, wywiadówek, rowerów, hipotek i zebrań patroli obywatelskich, zbiórek harcerskich, piłki nożnej, nowych butów i aparatów na zęby. Przede mną rozciągała się martwa, nijaka, wtórna egzystencja, i myśl ta sprowadzała straszliwą, wręcz nieznośną męczarnię, torturę, jakiej jeszcze nie zaznałem, i ból tak gorzki, że zamknąłem oczy...

I naraz poczułem w sobie dziwne mrowienie, jakby rosnącej satysfakcji; mówiło, że wszystko jest tak, jak być powinno, teraz i zawsze, i na wieki wieków; że co Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza.

Zadziwiony tym poczuciem słuszności, otworzyłem oczy i spojrzałem na Cody'ego i Astor, którzy wchodzili po stopniach, by stanąć koło mnie. Astor promieniała szczęściem – takiej jej jeszcze nie widziałem – i to dało mi pewność, że jest, jak ma być. I Cody, z taką godnością drobiący małymi, niepewnymi kroczkami, tak poważny na swój powściągliwy sposób. Zauważyłem, że porusza ustami, jakby chciał mi przekazać jakąś tajną wiadomość, zatem spojrzałem na niego pytająco. Jego wargi drgnęły znowu i schyliłem się lekko, żeby go usłyszeć.

- Twój cień - powiedział. - Wrócił.

Wyprostowałem się powoli i zamknąłem oczy, tylko na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żeby powitał mnie znajomy syczący chichot.

Pasażer wrócił.

Otworzyłem oczy i znów zobaczyłem świat taki, jaki być powinien. Nieważne, że stałem otoczony przez kwiaty, światło, muzykę i szczęście ani że Rita pięła się po stopniach zdecydowana przywrzeć do mnie na zawsze. Świat powrócił do równowagi; znów stał się miejscem, gdzie księżyc śpiewał hymny przy wtórze mruczando ciemności, przerywanego tylko kontrapunktem ostrej stali i radością polowania.

Koniec z szarością. Życie na powrót stało się mozaiką jasnych ostrzy i ciemnych cieni, domeną Dextera ukrywającego się w świetle dnia, by wyskoczyć spośród nocy i być tym, czym być mu przeznaczone: Dexterem Mścicielem, Mrocznym Kierowcą tego, co znów w nim siedziało.

I kiedy Rita stanęła obok mnie, poczułem, jak po mojej twarzy rozlewa się bardzo szczery uśmiech, którego nie starły ani wszystkie piękne słowa, ani dotyk ręki ściskającej moją dłoń, bo znów mogłem to powiedzieć i wiedzieć, że teraz to już na zawsze.

Tak. Och, tak.

Już wkrótce.

Epilog

Wysoko ponad bezsensowną krzątaniną miasta TO patrzyło i czekało. Jak zwykle, dużo było do oglądania, a TO nigdzie się nie spieszyło. Robiło to już wiele razy i robić będzie zawsze, bez końca. Po to istniało. W tej chwili możliwości pojawiło się bez liku i TO mogło spokojnie je rozważyć, aż znajdzie tę właściwą. A wtedy zacznie od nowa, zgromadzi wiernych, da im ich jasny cud i znów przyjdą zachwyty, radość i narastające poczucie słuszności ich bólu.

To wszystko powróci. Trzeba tylko zaczekać na właściwy moment.

A TO miało przed sobą całą wieczność.

Podziękowania

Nie da się pisać w próżni. Powietrza tej książce dostarczyli Bear, Pookie i Tink. Wyrazy wdzięczności dla Jasona Kaufmana i jego adiutanta, Caleba, za ich przeogromną pomoc przy opracowaniu rękopisu.

I jak zwykle szczególne podziękowania dla Nicka Ellisona, który puścił to wszystkow ruch.

o książce Dylematy Dextera

Powieść będąca inspiracją do powstania hitowego serialu Dexter!

Kim jest alter ego, zły demon Dextera Morgana, który każe mu przeobrażać się w seryjnego mordercę i z zimną krwią wymierzać sprawiedliwość innym psychopatom?

Tym razem sprytny Dexter prowadzi prywatne śledztwo w sprawie rytualnego morderstwa w studenckim kampusie, ale działając bez wsparcia swojego Mrocznego Pasażera, mężczyzna czuje się nieszczęśliwy, bezradny jak nigdy wcześniej. Przed wami trzecia część mrocznej serii o przygodach Dextera, możecie ją uznać za oddzielną historię lub czytać bez zachowania kolejności cyklu. Książka przybliży wam postać i motywy działania tajemniczego Mrocznego Pasażera oraz samego Morgana Dextera.

Powieści o Dexterze posłużyły za kanwę scenariusza popularnego serialu z lat 2006-2013 w telewizji Showtime, zaś odtwórca roli głównego bohatera Michael C. Hell otrzymał za nią wiele nagród i nominacji.

Lektura przypadnie do gustu każdemu, kto lubi powieści traktujące o ciemnej stronie psychiki ludzkiej i nadnaturalnych siłach, które zmieniają nawet sympatycznego faceta w groźnego przestępcę o osobliwej hierarchii wartości.